



PATRON KSIĄZKI:

CF
CENTRUM FORMY

Wyprawa na dach świata
była spełnieniem marzenia ambitnego
młodego sportowca z Kazachstanu

DENIS URUBKO ABSURD EVERESTU

Denis Urubko
Absurd Everestu

Tytuł oryginału: *Абцырð Эвepecтa*

Copyright © Denis Urubko, 2019

Polish edition copyright © by Helion S.A.

All rights reserved

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz wydawnictwo Helion dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz wydawnictwo Helion nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Tłumaczenie: Irena Kulesza, Lingua Lab, www.lingualab.pl

Redaktor prowadzący: Paweł Sondej

Redakcja: Iwona Baturó

Korekta: Bartosz Szpojda, Judyta Zegan

Zdjęcie na okładce: Borys Dedeszko

Zdjęcia: Denis Urubko, Maria J. Cardell, Andriej Starkow, Simone Moro, Olga Kwasznina, Borys Dedeszko, z archiwum Denisa Urubko

Projekt graficzny: Katarzyna Leja

Skład: Iwona Baturó

Mapy: Magdalena Krocza

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:

http://bezdroza.pl/user/opinie/?abseve_ebook

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Wydawnictwo Helion

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel.: 32 2309863

e-mail: redakcja@bezdroza.pl

księgarnia internetowa: <http://bezdroza.pl>

Wydanie I

ISBN: 978-83-283-6071-6

- [Poleć książkę](#)

- [Kup w wersji papierowej](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to!](#) » [nasza społeczność](#)

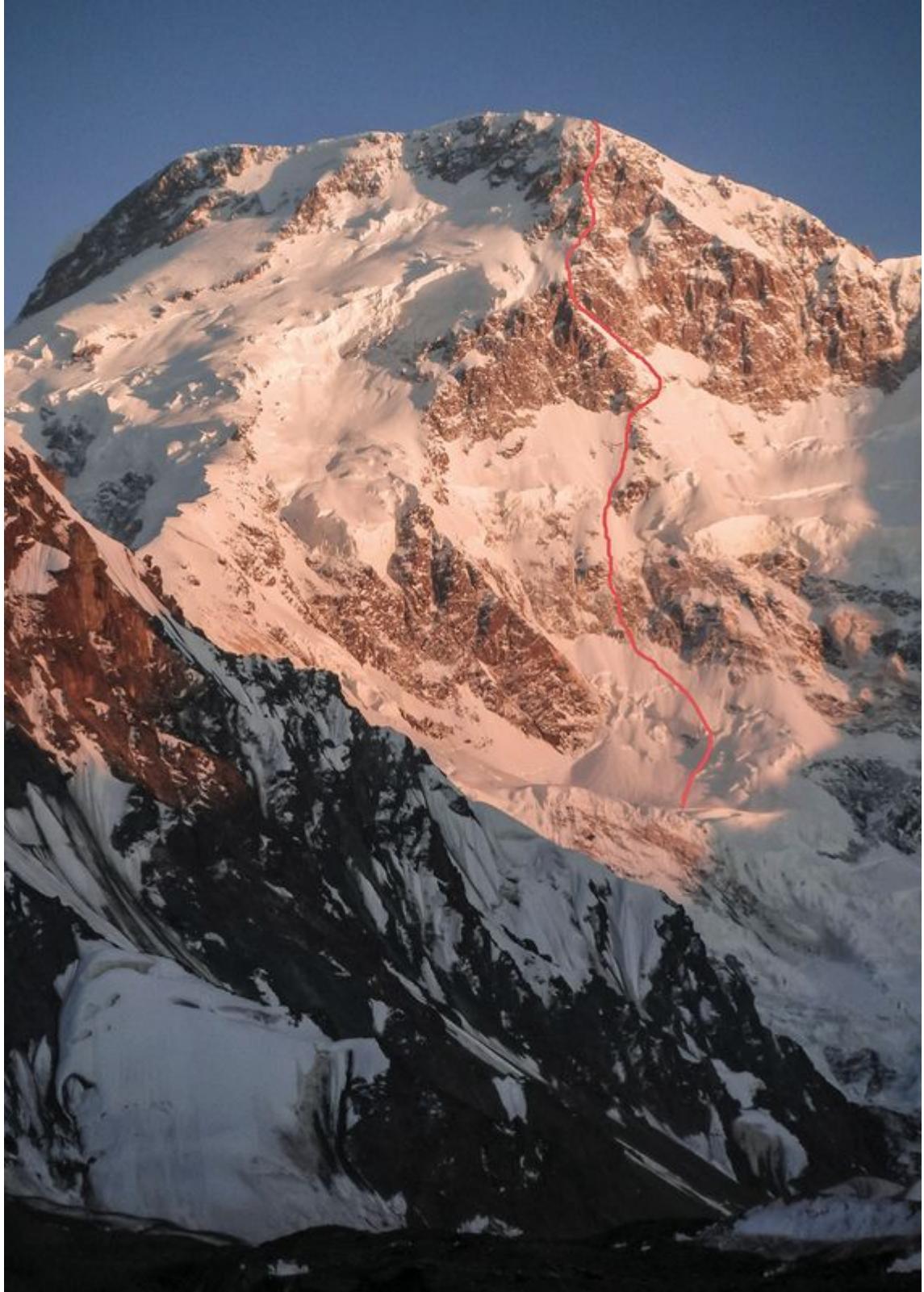


Wysokość nigdy nie sprawiała mi kłopotu. Wiecie..., „czym skorupka za młodu nasiąknie...”. Kiedy mieliśmy zdobywać jakąś górę, Ludmiła Nikołajewna Sawina mawiała: „Ten, kogo dogonię, zawraca”. Byliśmy młodzi, nie mogliśmy

dopuścić, by kierowniczką obozu i instruktorką okazała się lepsza od nas. Dawaliśmy z siebie wszystko. Trenowaliśmy według znanej biznesowej zasady: im więcej inwestujesz, tym więcej zyskujesz. Siedmiotysięczniki przyszły mi łatwo, niektóre wręcz bez uprzedniej aklimatyzacji. Tak zdobyłem Chan Tengri i Szczyt Lenina... A później ośmiotysięcznik Manaslu.

Często okoliczności sprawiały, że powracałem do pomysłów zrodzonych w przeszłości. Oczywiście, nie chodzi mi o czasy prehistoryczne... Wiele z tego, co udało mi się zrealizować, majaczyło na moim pionowym horyzoncie życia czort wie od kiedy. Ale wcześniej, jak to się mówi, nie byłem na owe wyzwania gotowy. Nowe drogi na tienszańskie Osiem Alpinistek, Pik Czapajewa i Szczyt Zwycięstwa, kaukazką Uszbinę, a zatem i Uszbę, oraz himalajskie Czo Oju okazały się piękne, i to mimo „intelektualnej przeszłości”.

Pewnie to znacie... Wiele wspaniałych linii dojrzewa w głowie nie dniami, lecz latami. Aż wreszcie okoliczności same układają się tak, jak powinny. Życie mówi: „Oto twój partner, oto pieniądze, oto czas... i oto pogoda!”. Ważne jest, żeby samemu wtedy nie zawieść: być przygotowanym fizycznie, bez bagażu problemów, mieć ułożone sprawy domowe i dokumenty z odpowiednią datą ważności. Wtedy można się pakować i rzucać w kolejną przygodę.



Dollar Rod – jedna z najtrudniejszych dróg na Szczyt Zwycięstwa (7439 m n.p.m.) poprowadzona przeze mnie i Gienadija Durowa w 2011 roku

Pewnego dnia nasza rodzina przeniosła się do Jużnosachalińska na wyspie Sachalin, młodość spędziłem więc otoczony przez zimne morze. Potem studiowałem we Władywostoku, ważnym mieście portowym. W zatoce tłoczyły się statki różnego kalibru. Przynosiły powiew wolności. Port przyciągał, mamił przygodą, a wybrzeże oferowało radosne chwile w ciepłym morzu. Słony wiatr wysychał na wargach pod palącym słońcem, przezroczysta woda pozwalała nurkować na głębokość pięciu metrów i z ościeniem polować na ryby. Często odprowadzałem spojrzeniem statki za horyzont. Zabierały szczęśliwców w romantyczną dal.

W młodości nie myśli się o tym, że statki toną, a ludzie umierają. Dziś coś się we mnie zmieniło. W moich rozmowach o wspinaczce nieraz pobrzmiwają pesymistyczne nuty. Alpinizm to niebezpieczne zajęcie. Strach w niego kogoś wciągać. Do tego każdy musi dojść sam. Można tylko pomagać, podpowiadać, co robić, żeby było bezpieczniej, zgodnie z regułami. Mimo to odpowiedzialność za niepowodzenia spoczywa także na ramionach osoby pomagającej.

Z powodu odnawiania się kontuzji czasem bywam zmuszony odkładać treningi. A przyjaciele coraz częściej powtarzają: „Zajrzyj do paszportu”. Którego? Polskiego, rosyjskiego, włoskiego? Wciąż mam coś do zrobienia, wolę więc koncentrować siły na kolejnym wyzwaniu. Dopóki istnieje szansa na osiągnięcie sukcesu w trudnych sytuacjach, lepiej nie wypadać ze sportowych kolein. Nie zwalniać ciała z wysiłku. Los i tak bez skrupułów może nam zgotować niespodziewany koniec, w rodzaju: „zmarł z przedawkowania alkoholu”, „pokonało go zapalenie płuc” albo „zginął potrącony przez samochód”.



Wytyczam jedną z najtrudniejszych dróg w dolinie Tujuk-Su na południowej ścianie Pioneer Peak (4031 m n.p.m.)

Wiek... to problem aktywności. Mając dwadzieścia lat, palisz, pijesz, bawisz się do upadłego, a rano i tak świetnie wyglądasz, jakby nie było tej całej hulanki i nieprzespanej nocy. Po trzydziestce robisz to samo, ale następnego dnia widać po tobie całą zabawę. W wieku czterdziestu lat przesypiasz spokojnie noc, a rano czujesz się tak, jakbyś pił, palił i imprezował do świtu.



Południe Polski to łańcuchy górskie. Wciąż trudno mi je dokładnie rozdzielić: Karpaty z Tatrami, Sudety z Karkonoszami... Dla mnie wszystkie pasma mają ten sam

rdzeń, ale dla Polaków różnice są zasadnicze. Ponadto, wielu jest z tymi górami tak mocno związanych, że nie widzą potrzeby, by poznawać inne. Starożytni Chińczycy też uważali, że ich kraina leży w centrum świata, a poza nią niczego ważnego nie ma.

Długo szukałem swojego miejsca. Po tym, jak wyrzucono mnie z Kazachstanu, gdzie mieszkałem przez dwadzieścia lat, drzwi otworzyły przede mną Rosja i Polska. Na okres próbny, a potem - zobaczymy. Moje nowe życie rozpoczęło się od tego, że Bogusław Magrel zaproponował mi pracę w Polskim Klubie Alpejskim. A wojewoda dolno-śląski Aleksander Skorupa w blasku urzędowej godności pewnego dnia wręczył mi zwykłe, choć oficjalne pismo. Do roboty, przyjacielu!

Pamiętam pewien jesienny wieczór w Karpaczu. Opowiadałem o swoim życiu kilku młodym ludziom, przyjaciółom. Wspominałem zimową wyprawę na K2 w latach 2002-2003.

- O każdym problemie każdy Polak ma własne zdanie - zauważyłem.
- Można powiedzieć to lepiej - zaśmiał się Adam Bielecki.
- Gdzie dwóch Polaków, tam trzy zdania.



Z polskim obywatelstwem

Niech go diabli, miał rację! Siedzieliśmy w restauracji i nie myśleliśmy o przyszłości. Było to łatwe – ponieważ nie było przyszłości, nie było też przeszłości, odpowiedzialności ani oparcia. Była jedynie Teraźniejszość, z której chcieliśmy czerpać garściami. Tak prawdziwie. Nad stolikami unosiły się duch swobody i opary piwa, niektórzy tańczyli pośrodku sali. Muzycy grali zagraniczny rock pomieszany z polską muzyką folkową.

- Grasz? - zapytał Tomek, widząc moje zainteresowanie gitarą. Był wokalistą i gitarzystą zespołu Luzz. Prawdziwy wirtuoz.

- Bierz!

Wow! Aż mi się zakręciło w głowie. Być może od dwóch łyków piwa, choć bardziej prawdopodobne, że z powodu nieokiełznanego poczucia swobody, świadomej potrzeby zainteresowania, skupienia uwagi ludzi. Kiedy moje palce spokojnie spoczęły na gryfie, zmrużyłem oczy w ekstazie. To

było jak... ech, nie da się opisać tego balansowania na granicy czystości i występku! Serce kołatało z podniecenia spełnionego marzenia. Chłopcy klaskali, robili zdjęcia, zachęcali. Ładne dziewczyny przyglądały mi się z zainteresowaniem... Co będzie dalej?

Atmosfera Karpacza była oszałamiająca, wręcz powalająca. Chciałem zagrać coś, co by z nią współgrało. Do morza adrenaliny wlać odrobinę romantyzmu. Muzycy załapali tak bardzo, że perkusista zespołu - Leszek - z aprobatą sprzedał mi kuksańca ogromną pięścią. A następnie poczęstował piwem. Miałem poczucie, że wieczór się udał.

Tymczasem Polacy nie są tolerancyjni. Tak mi się wydaje. Kiedyś Jacek Teler zauważył, że prawdopodobnie wiąże się to z religijnością. Chyba nie do końca: Włosi są co najmniej tak samo religijni jak Polacy, a do obcych podchodzą z większą dozą wyrozumiałości. Na tle polskiej młodzieży nawet Rosjanie wyglądają na bardziej tolerancyjnych wobec cudzoziemców.

- Twardy z was naród. - Zadrzałem pod spojrzeniem krzepkich facetów, którzy się uśmiechali. Bez trudu mogłem sobie wyobrazić, jak wszyscy stają się ponurzy.



XIV Karkonoskie Dni Lajtowe, z zespołem Luzz; 2013 rok

Adam Bielecki z łatwością unosił ogromne krzesło jedną ręką. W ten sposób zaprosił mnie, bym dosiadł się do towarzystwa. Udało mi się podnieść to siedzisko tylko obiema rękoma, chociaż udawałem, że ani trochę się nie staram.

Kiedy wyszedłem z restauracji, by wrócić do hotelu, wyskoczyła za mną jedna z dziewczyn. Skinęła głową i spytała:

- Odprowadzisz mnie?

Wydawało mi się, że w Polsce chodzenie po nocy jest bezpieczne. Może jednak czegoś nie wiedziałem? Było cicho... Ale ta cisza była lepka, otulająca. Sugerowała, że za chwilę coś się wydarzy. Wsłuchując się w nią, zdałem sobie sprawę, że zawiera mnóstwo dźwięków. Tworzyły podkład,

tło, które zauważasz tylko wtedy, gdy o nim pamiętasz. Posłuchaj! Skądś dochodziła muzyka, gdzieś indziej piszczwały opony, z pobliskiego okna dobiegał erotyczny kobiecy jęk... a jeszcze skąd indziej pijackie porachunki. Ech! Polska pulsowała pragnieniem życia. Dziewczyna w milczeniu skręciła w stronę swojego hotelu, ja zaś poszedłem dalej. Mój chód stał się ostrożny, napięty.



Wielka trójka: ja, Krzysiek, Simone; Włochy, 2011 rok

Jacy jeszcze są Polacy? Przedsiębiorczy. Kiedyś w Ałmatach trafiłem na targi materiałów i artykułów budowlanych, na których wystawiały się firmy z wielu krajów. Było też stoisko Konsulatu Generalnego RP w Ałmatach. Żaden inny kraj nie oddelegował na tę imprezę swoich przedstawicieli dyplomatycznych, którzy wspieraliby przedsiębiorców. Wicekonsul RP oraz kierownik

Wydziału Promocji Handlu i Inwestycji Ambasady RP w Astanie przechadzali się wzdłuż rzędów stoisk, wymieniając uprzejmości i zapraszając „do siebie”, by nieco opowiedzieć o historii i kulturze Polski.

Być może sekret energii Polaków tkwi w historii ich kraju. Zbyt często znajdował się między dwoma, a nawet trzema wrogimi obozami. Spalał w żarze. Może stąd Polacy tak lubią forsować swoje idee, mieć własne zdanie, udowadniać to, co jest nie do udowodnienia, walczyć o to, co nie może się ziścić, wyciągać korzyści nawet z mało pozytywnych sytuacji. Taki naród! A dziewczyny w polskich miastach są eteryczne, piękne. Wyglądają, jakby płynęły przez życie w takt muzyki Beethovena. Wśród niekończącej się wiosny i zachwyconych spojrzeń mężczyzn.



Za najlepsze miasto do życia u podnóża gór uważam Bergamo. Włochy stały się moją pierwszą europejską miłością. Jeśli jednak miałbym wskazać najbardziej urokliwe miasto w Polsce, byłyby to Wrocław. Malowniczo położony między odnogami, kanałami i dopływami Odry, z ponad setką mostów oraz stadami kaczek i łabędzi, panuje nad pobliskimi zamkami i klasztorami. To miasto studentów, jak Bergamo. Wesolej i hałaśliwej młodzieży, powabnych dziewczyn. Wrocławscy studenci są bardziej „uporządkowani” niż ich krakowscy odpowiednicy. Interesują się życiem w podobny sposób jak młodzież z bergamskiego Città Alta. Czuje się tu „klasycyzm”, pozostałość niemieckiego dziedzictwa. Leniwa rzeka historii płynęła i płynie przez miasto wraz z wodami Odry.

Wrocław to również miasto krasnali. Pozdrawiają ludzi na ulicach Starego Miasta. Są szybkie i zwinne... niczym

studenci. W nocy przemieszczają się z miejsca na miejsce: każdy pragnie poturlać kulę, pomachać chorągiewką, wyprać skarpetki, no i poślubić krasnalę. Ona jest jedna, ich wielu. Nikt nie chce natomiast trafić za kratki, choć czasem trzeba. Krasnale wnoszą do miasta iskrę radości. Cały dzień można chodzić z mapą w rękę i próbować odnaleźć kolejnego spryciarza. Dla dzieci to prawdziwa atrakcja.



Wrocławskie krasnale

Z Wrocławiem było związanych wielu świetnych alpinistów. Dla mnie to miasto Bogdana Jankowskiego. Kiedyś podbijał Pamiro-Ałaj i brał udział w licznych wyprawach himalajskich. Dzięki jego wiedzy i umiejętnościom podczas zimowych wypraw Andrzeja Zawady komunikacja radiowa zawsze stała na najwyższym poziomie. Spokojne skupienie pana Bogdana gwarantowało,

że w odpowiednim momencie łączność nie zawiedzie. To było wiele warte!

W Polsce idee wspinaczki i alpinizmu padają na podatny grunt. To widać. W wolne dni na skałach panuje tłok; wszyscy chcą się wspinać. Czasami do wybranej drogi trzeba się ustawiać w kolejce. Niemal nikt nie używa gri-gri, ekspresy zabiera się z podwójnym zapasem, wspinaczka bez koszulki raczej nie wchodzi w grę. Skala trudności dróg też jest tutejsza, zrozumiała tylko dla Polaków, czyli... także dla mnie.

Co by nie mówić, mogę Polaków stawiać za wzór. Tyle już napisano o ich przedsiębiorczości, niepowtarzalności, ostrości! To i tak za mało. Sam również nie dam rady opowiedzieć, jak to z nimi jest. Lepiej się spakować i pojechać do Wrocławia lub Karpacza.



Ludzie myślą, że przetrwanie wiąże się z ciepłem i wygodą domowego zacisza. W dużej mierze tak, niestety codzienność traci wtedy swój smak. Kiedy człowiek znajduje się na ostrzu noża, zawieszony między życiem a śmiercią, pojawiają się specyficzne doznania. Zaczynamy postrzegać wszystko o wiele głębiej, lepiej rozumiemy sens, istotę własnych działań. Myślę, że to jeden z powodów, dla których ludzie podejmują ryzyko. Będąc na granicy przeżycia, lepiej się dostrzega własne „ja”, prawdziwą esencję swojego jestestwa.

Możliwe, że osoba podejmująca próbę wejścia zimną na ośmiotysięcznik, chce doświadczyć ekstremalnego ryzyka. Poczuć w zagrożeniu, że żyje prawdziwie. Kiedy ryzykujesz w walce lub grasz *va banque* w biznesie, odczuwasz rzeczywistość znacznie wyraźniej niż w sytuacji stabilnej.

Jest jeszcze coś. W 2003 roku polska zimowa wyprawa na K2 trwała trzy miesiące. Nie myłem się, nie goliłem, wszyscy wymarziliśmy i wygłodnieliśmy. Powrót do cywilizacji był prawdziwą rozkoszą, cieszył nas każdy swobodny oddech, każdy łyk wody, uśmiech dziewczyny. Doświadczaliśmy czystych, niezmaconych emocji zwykłej codzienności, a było to możliwe tylko po konfrontacji z trudami dzikiego świata.

Niektórzy himalaiści doznają halucynacji. Bywa, że trwają one godzinę, bywa, że cały wieczór. Też je miałem. Ale, co ciekawe, nie w najwyższych górach, podczas wejścia bez tlenu, lecz w Ałatau Zailijskim, kiedy wspinałem się samotnie zimą na szczyt o wysokości około 4000 metrów. W drodze powrotnej byłem śmiertelnie zmęczony, głodny i odwodniony, od dwóch dni nie miałem wody w ustach. Nagle ujrzałem na morenie jakiegoś człowieka, który wskazywał mi kierunek zejścia.

Jest dla mnie jasne, że podczas wysokogórskich wspinaczek zachodzą zmiany w świadomości. Dziś zauważam, że słabiej kojarzę i nie reaguję tak szybko jak kiedyś. Zapewne ma na to wpływ wiek, ale jest to również podarek od wysokości. Dziś na przykład nie jestem już tak gwałtowny, żeby natychmiast odwzajemnić uśmiech dziewczyny. Gdy wywołuję zdjęcia po prezentacjach i imprezach, widzę zainteresowanie dziewczyn i siebie, zestresowanego, unikającego. Czasem w tak zwanym zwykłym życiu zdarza mi się popełnić faux pas.

Być gotowym na śmierć? Myślę, że każdy miał w życiu takie chwile, gdy był w stanie zaakceptować swój koniec. Weźmy chociażby utratę prawdziwej miłości. Miłość to przecież najpotężniejsza emocja w życiu. Miłość i nienawiść... Wszystko inne to wyłącznie dodatki. W góry chodzę z miłości, to coś więcej niż tylko pragnienie wspinaczki. Na Czo Oju byłem gotów na śmierć; zapłaciłem

wysoką cenę, wpadłem w stan nerwowy. Ogarnęło mnie niewiarygodnie silne pragnienie, żeby dotrzeć do celu, zdobyć szczyt, przekroczyć limit. Choćby nawet przyszło mi umrzeć.



Dwa razy (w 2002 i 2014 roku) wpadam w głębie nieba legendarnej krainy Szambala pod Kanczendzongą (8586 m n.p.m.)

Nie rozumiem ludzi, którzy traktują góry jak świętość. Niektórzy sądzą, że stanowią one część ich duszy, traktują jak coś ożywionego, wypełnionego kosmiczną energią, która może odpowiedzieć na ich pytania. Sam patrzę na góry jak na kawałki skał i lodu, kamieni w otoczeniu nieba. To swego rodzaju arena. Byłoby szaleństwem równać się z tym. Nie czuję ani więzi emocjonalnych, ani skomplikowanych relacji między mną a górami - one są martwe. To my, ludzie, wnosimy w nie nasze dusze, świadomość, humanizm. To my sprawiamy, że nabierają one cech istot żywych. I to dlatego niektórzy kamienie i lód personifikują.



Wiosną na Makalu (8481 m n.p.m.), wejście jako trener młodego zespołu; 2008 rok

W górach straciłem wielu przyjaciół... Około czterdziestu osób. I nie chodzi mi o ludzi, których raz lub dwa razy spotkałem na swojej górskiej ścieżce. Mówię o tych, z którymi wiele mnie łączyło. Każda śmierć bolała tak samo. Staram się jednak myśleć, że była to cena, jaką moi przyjaciele zapłacili za pasję. Za miłość.

Jeżeli stracę możliwość wspinania się, stracę samego siebie. Zostanę pozbawiony swojej istoty! Rodzina, dzieci i cała reszta staną się mniej istotne. Same góry nie są jednak w tym wszystkim najważniejsze. Dla większości ludzi przebywanie w nich to hobby; dla mnie - praca. Wykonuję ją, żeby mieć za co żyć, żeby móc wspierać dzieci i rodzinę. Pracować musi niemal każdy. Wydawca, prawnik, fotograf, każdy dokłada swoją cegiełkę. Ja też. I kocham tę swoją robotę. Ot i tyle. Jeżeli stracę możliwość pójścia w góry, będzie mi trudno. Spójrzmy na to z jeszcze innej strony: ktoś, kto całkowicie poświęca się domowi i rodzinie, rezygnuje ze swojego hobby, nie rozwija się. Pozbawia się wielu interesujących stron swojego życia.



Z Uelim Steckiem. Ueli zginął w 2017 roku podczas wspinaczki na Nuptse

Musiałem zmienić obywatelstwo. Nie jeden raz zresztą. Sam ledwo się odnajdywałem w tej skomplikowanej sytuacji. Przez prawie dwadzieścia lat służyłem w wojsku. Jednak dowództwo zdecydowało, że nie potrzebuje mojego doświadczenia i wyrzucono mnie precz. Straciłem pracę, która była dla mnie wszystkim – wspinaczką, działalnością instruktazową, która była ważna wcale nie z powodów finansowych. Po dwudziestu latach życia w Kazachstanie zostałem na lodzie. Nie miałem ani mieszkania, ani pracy – nic. Musiałem dobrze wszystko rozważyć. Rodzice mieszkali w Rosji, żona była Rosjanką, córeczka też znajdowała się w Rosji. Do tego miałem dobre kontakty z alpinistami rosyjskimi i europejskimi. Dlaczego zostawać w Azji, trzymać się kurczowo przeszłości? Wróciłem do Rosji, a później znalazłem się na Zachodzie.



Z Chrisem Boningtonem; 2008 rok

W Kazachstanie zostali inni wspinacze. Być może są tam bardziej potrzebni. Nie chciałem namawiać: „Zatrzymajcie mnie”. Nie! Jeżeli komuś się nie podobam lub mnie nie potrzebuje, odchodzę. Mam swobodę działania, robię to zgodnie z własnymi przekonaniem, otwieram nowe rozdziały w swoim życiu. Mogę uczciwie patrzeć ludziom w oczy, odwzajemniać uśmiechy, spotkać Bogdana Jankowskiego i innych przyjaciół...



Pewnego dnia, w ładne ciepłe popołudnie wspiniałem się w skałach. Słońce oświetlało pogórze, nastrój był cudowny. Moje ruchy były pełne gracji, ale też zdecydowane -

utrzymywałem się na koniuszkach palców. Wszędzie czuło się wiosnę. Na południu Kazachstanu marzec zaznaczał swoją obecność.



Z córkami - Jekateriną i Aleksandrą; Włochy 2018

Nagle za pazuchą rozzwonił się telefon komórkowy. Odchyliwszy się na lewej ręce, wsunąłem prawą do kieszeni i wyciągnąłem aparat. Hm! Numer był nieznany, jakiś dziwny. Czyżby europejski?

- Tak? Słucham?

- Ciao, Den, ty, kanalio! - Głos Barbary Zwerger otoczył mnie miłą chrypką. Dzwoniła z Włoch.

- Cześć, Barbarella! - Uśmiechnąłem się. Te kobiety! Tylko one mają talent do telefonowania w najmniej odpowiedniej chwili. Minutę wcześniej lub minutę później

byłoby super, ale nie, trzeba zrobić to właśnie teraz - na okapie.

- Możesz rozmawiać? - Z niemiecką precyzją od razu przeszła do rzeczy.

- No pewnie! Z tobą i Simone zawsze. - Barbara była żoną mojego przyjaciela.

Zakaślała na drugim końcu świata. Nagle pojąłem, że sytuacja jest niezwykła, a atmosfera nerwowa. Barbara nie mogła telefonować tak po prostu. Coś się działo z Simone? Myśli niczym strumień krwi uderzyły w moje skronie. Mimowolnie się spałem. Simone Moro znajdował się w Pakistanie, na stoku Broad Peak. To była zimowa wyprawa. Niemal bez wsparcia próbował zdobyć ośmiotysięcznik.

- Co się dzieje, Barbaro? - Chciałem, żeby moje pytanie zabrzmiało spokojnie i neutralnie.

- Simone idzie na szczyt. - Odpowiedź Barbary była rzeczowa.

- Wszystko z nim w porządku? Jakie ma warunki?

- Wszystko dobrze, Den. - Barbara zrozumiała, że się niepokoję. - Jestem z nim w kontakcie.

Odetchnąłem z ulgą. Tętno w skroniach gwałtownie zwolniło.

- Chcę się z tobą skonsultować. Dobrze pamiętasz drogę? Byłeś tam dwukrotnie.

- Pewnie, że pamiętam, Barbarello. Pytaj!

- Simone jest na przełęczy, na wysokości siedmiu tysięcy dziewięciuset metrów. Idzie dalej.

- Jak pogoda?

- Na razie można wytrzymać, choć jest bardzo zimno. Den?

- Tak?

- Powiedz mi... - urwała. Wyglądało na to, że próbuje się uspokoić. Potem kontynuowała bez emocji: - Powiedz, ile mu zostało do szczytu? Simone prosił... Przed chwilą dzwonił przez satelitę, kazał cię zapytać. Nie pamięta drogi. To było już dawno. Czy powinien iść dalej?

Oho! Nagle dotarło do mnie, że znajduję się w koszmarnej niewygodnej pozycji. Wiszę na lewej ręce pod okapem, jedną nogę zdążyłem już zaprzeć na bloku. Wyglądało to tak, jakbym zamarł przed skokiem. Przycisnąwszy uchem telefon do ramienia i zwolniwszy tym samym prawą rękę, niezgrabnie opuściłem się nieco niżej. Tu, korzystając z przelotu, niczym z tramwajowej rączki, mogłem złapać oddech.

Skup się! Ciało się uspokoiło, ale myśli gorączkowo pędziły. Przed moimi oczyma przesuwiał się kalejdoskop obrazów. Na przemian światło i cień. Tak! Słońce! Była trzecia po południu. Osiągnięcie przełęczy pod Broad Peakiem o tej porze to szczyt nieostrożności. Wysokość, na której znajdował się Simone - sarkastycznie parsknąłem - to nie 7900, a 7850 metrów. Duży minus. Ściemnia się. Ech, niedługo będzie ciemno!

- Barbaro - zawołałem do Włoch - z kim jest Simone?

- Jest sam - zameldowała po żołniersku.

Brr! Ciarki przeszły mi po plecach. Mogłem sobie wyobrazić, co się tam dzieje u mojego przyjaciela. Ja siedziałem tu, w cieple. Dobrze! Simone ma godzinę do przedwierzchołka i kolejną na szczyt. Dołączmy jeszcze pół godziny na to i owo... Osiągnie Broad Peak około 17.30. Zrobi się ciemno o 19.30. Myśli, proste jak kamyczki na liczydło, stukały w mojej głowie. Za późno. W ciągu dwóch

godzin nie zdąży zejść. Trzeba pokonać skały, potem przełęcz i szczeliny, gdzie można się zgubić. Samotnie między szczelinami każdy może stracić orientację. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób kiedyś wraz z Siergiejem Samołowem udało nam się bezpiecznie przejść ten odcinek we mgle i śniegu. Simone może nie mieć tyle szczęścia.

- Barbaro - znów się odezwałem - będzie lepiej, jeżeli Simone zawróci.

- Powiedz mi, jak tam dalej jest.

- Przepraszam cię, ale... Niech schodzi!

Kilka lat później na Broad Peak podczas zimowej wyprawy zginęło dwóch polskich wspinaczy. Schodzili ze szczytu. Wkrótce zaczęło się gadanie, kto kogo porzucił i jak powinien zachować się młody i silny Adam Bielecki, który najwcześniej zszedł do obozu czwartego. Kanapowe rozważania nieznających się na rzeczy ludzi wypełniały pseudoetyczne wywody. Trudno było określić, co jest prawdą, zrozumieć, jak ważne jest, by człowiek tam, na górze, w krytycznym momencie szedł dalej.

Być może wypadnę źle w oczach części czytelników. Po mojej stronie stoi jednak profesjonalizm połączony z ogromnym doświadczeniem zdobywania wysokich szczytów. Tu nie ma nic z taniego romantyzmu. Wydaje mi się, że Adam postąpił słusznie. Wrócił i w tamtej sytuacji była to najlepsza decyzja z możliwych. Wyobraźmy sobie, że czeka na pozostałych. Na tych, którzy nie dają już rady samodzielnie się poruszać. I tak nie mógłby nic zrobić.

Jestem zaznajomiony z takimi sytuacjami. Gdy coś się stanie na takiej wysokości, kiedy nie można pomóc fizycznie, nie ma wody ani czegokolwiek do jedzenia, pozostają tylko słowa wsparcia. Wiedzieli o tym wszyscy idący wtedy na szczyt, szczególnie Maciej.

Kolejna rzecz. Załóżmy, że dwie osoby zamierzają zdobyć Everest bez tlenu. Jedna z nich lekko podchodzi do treningów, spędza czas z przyjaciółmi, udziela się w pracy zawodowej, dba o rodzinę. W trakcie zdobywania szczytu nie ma dość siły na wspólne działanie. Druga solidnie się do wyprawy przygotowuje: ciężko trenuje, odpuszcza pracę, relacje z rodziną i przyjaciółmi. W najważniejszym momencie jest gotowa do ciężkiej wspinaczki. Oczywiście, nie wiem, jaki był poziom przygotowania każdego z wchodzących na Broad Peak. Jasne jest natomiast, że jeden z himalaistów był w podeszłym wieku, drugi – znacznie młodszy. Wspinacz, który ze względu na wiek miał ogromne doświadczenie, musiał zdawać sobie sprawę, że nie będzie miał tyle siły, co osoba młodsza. Przed wyjazdem potrzebny jest ogrom przygotowań...

Weźmy również pod uwagę, ile wysiłku i czasu Adam włożył wówczas w zdobycie góry. Zrozummy, że w tamtych warunkach nikomu nie był w stanie pomóc. O postawie Adama nie powiem nic złego – uczynił wszystko, co było wtedy możliwe. A nawet pomógł Arturowi Małkowi, który dzięki niemu odnalazł drogę zejścia do obozu czwartego i zapewne dostał łyk wody w namiocie.

Sam podobną sytuację przeżyłem na Annapurnie w 2004 roku. Do ataku szczytowego wyszedłem razem z Simone Moro. Po 200–300 metrach Simone poczuł się na tyle źle, że zawrócił do namiotu. Nie spał, przez całą noc podgrzewał wodę, nasłuchiwał, czekał. Schodziłem w samotności wyłącznie dzięki intuicji. Nic do mnie nie docierało, byłem przerażająco zmęczony. Czasem wołałem w pustkę w nadziei na pomoc, na cud. A ponieważ Simone też wierzył w ten cud, usłyszał moje nawoływania. Odpowiedział i dzięki temu mogę to opisać. Gdybym nie był w stanie sam się poruszać, Simone nie mógłby mi pomóc; w żaden sposób.

Wysokie góry to świat prostych zasad, tu należy być uczciwym przede wszystkim wobec samego siebie.

Są i inne wspomnienia... Po próbie szturmu na K2 zimą 2003 roku schodziłem z ostatniego obozu z Marcinem Kaczkanem. Miał objawy choroby wysokościowej, ale był w stanie utrzymać się na nogach. Bez tego nie dałbym rady mu pomóc. Droga była zabezpieczona poręczówkami. Wpinałem jego przyrząd zjazdowy do liny i asekurowałem go od góry. Marcin schodził krok po kroku. Podobnie było z Anną Czerwińską na Lhotse w 2001 roku. Gdyby nie mogła sama się poruszać, pozostałaby tam na zawsze.

Gdy w 2009 roku zimą wraz z Simone Moro wspinaliśmy się na Makalu, przypominaliśmy bliźniaki. Nie z wyglądu, ale pod względem kondycyjnego przygotowania. Ono było identyczne. Podobnie jak stopień motywacji. W rzeczywistości, gdyby jednemu z nas przydarzyło się coś złego, drugi również zostałby skazany. Nie było żadnych szans na pomoc innych.



Trudności związane z definicją sezonu zimowego w Himalajach i Karakorum zajmują uwagę środowiska górskiego od kilku lat. Pod wieloma względami odpowiedź na pytanie: „Czym jest prawdziwa zima?” zależy od osobistych kryteriów i żądań. Diabeł, jak mówią, tkwi w szczegółach.

Sam również jestem zainteresowany zarówno samym pytaniem, jak i odpowiedzią na nie udzieloną. Od dwudziestu lat definicja zimy zaprzęta moją głowę. A ponieważ często jestem o to pytany i wciągany do dyskusji, pora zająć stanowisko. Warto jednak pamiętać, że ludzie mają prawo do różnych zdań, a ich widzenie spraw

często zależy od stronniczych oświadczeń osób trzecich. Nie uważam siebie za ostatnią instancję, ale warto wziąć pod uwagę, że od lat siedzę w temacie.



Filozofia wiatru pod Makalu; zima 2008-2009

Zacznijmy od spraw podstawowych:

1. Mamy cztery pory roku: zimę, wiosnę, lato i jesień. Będę mówić o zimie, nie zapominając jednak o pozostałych porach.

2. W swoich rozważaniach biorę pod uwagę jedynie szczyty o wysokości powyżej 8000 metrów. Znajdują się one w Azji Środkowej, w Himalajach i Karakorum. Zakładam także, że baza wypadowa mieści się na wysokości około 5000 metrów. Obozy położone niżej niewiele mają

wspólnego z prawdziwym alpinizmem. Wyjątkiem jest baza pod Nanga Parbat i właśnie dlatego ten ośmiotysięcznik jest uznawany za jeden z najtrudniejszych do zdobycia. Życie w tamtejszym obozie bazowym jest oczywiście znacznie łatwiejsze, ale wędrówkę na szczyt zaczyna się z wysokości około 4300 metrów, z bazy wysuniętej. Warunki są tam podobne jak na innych ośmiotysięcznikach.

3. Zima nie jest taka sama w różnych rejonach górskich i na różnych wysokościach. Poza tym rozróżnia się zimę: astronomiczną, kalendarzową, klimatyczną. Ich zakresy czasowe są różne.

No to zaczynajmy!

Co do określeń zimy. Nie jestem meteorologiem ani astronomem, moja wiedza jest ograniczona, opieram się na własnych doświadczeniach i warunkach pogodowych. Każdy może jednak myśleć. Koncepcja zimy astronomicznej nie jest w codziennym życiu potrzebna, nie wiąże się ze zwykłym (w tym sportowym) zakresem ludzkiej działalności. Astronomowie wyznaczyli sobie jakieś założenia i nie mam zamiaru z nimi dyskutować. Na nasze życie ma natomiast wpływ zima klimatyczna, czyli okres, kiedy średnie dobowe temperatury powietrza spadają poniżej 0°C. To warunkuje naszą aktywność i specyfikę poczynań. Zimę kalendarzową w obiegowym znaczeniu^[*] wyznaczono na podstawie danych uzyskanych z ludzkich tysiącletnich doświadczeń. A ponieważ należę do tej wielkiej społeczności, żyję i wchodzę na szczyty w warunkach KLIMATYCZNYCH i zgodnie z KALENDARZEM. Dotyczy to zarówno zimy, jak i lata.

Rok (365 dni), jak pamiętamy, dzielimy na cztery części. Od czego zależy pora roku? Od wysokości Słońca nad horyzontem. Najkrótszy dzień i najdłuższa noc przypadają na 21-22 grudnia. Można więc uznać, że data ta wskazuje moment, kiedy ilość ciepła otrzymanego od Słońca jest

najmniejsza. Nie oznacza to jednak środka zimy klimatycznej. Atmosfera, skały, lodowce, woda i gleby mają swoją bezwładność: akumulują i oddają energię. Daty, znajdujące się w jednakowej odległości od dnia przesilenia zimowego, będą się charakteryzowały różnymi warunkami zimowymi. 1 grudnia, początek zimy w obiegowym znaczeniu, znajduje się bliżej przesilenia zimowego niż 28 (29) lutego, czyli jej końca w obiegowym znaczeniu. Mamy 21 dni do 67.



Zmęczony wojownik; Patagonia, 2019 rok

Czego oczekuję od zimy? Mrozu i wiatru, śniegu, krótkiego dnia. Właśnie te czynniki przesądzają o charakterze zimowych wypraw.

Światło słoneczne. Dzień jest znacznie krótszy 1 grudnia niż 28 (29) lutego, nie wspominać o lecie. To oczywiście komplikuje działalność górską.

Wiatr. Z nim bywa różnie. W październiku na Sziszapangmie zdarzały się dni, kiedy fruwałem w podmuchach huraganu niczym balonik. Huraganowe wiatry potrafią również pojawiać się wiosną. Z drugiej strony w lutym na Makalu mieliśmy dni prawdziwego spokoju, choć był to raczej dar z nieba. Wydaje się, że trudno oceniać zimę przez pryzmat wiatru. Mogę jedynie przyznać, że w grudniu, styczniu i lutym wieje znacznie silniej niż w innych miesiącach.

Temperatura. Podobnie jak z wiatrem: bywa różnie. Czasem latem jest naprawdę zimno, a zimą - nie tak ekstremalnie. Ogólnie temperatury w grudniu, styczniu i lutym są jednak niższe niż w innych porach roku.

Śnieg. Można nie brać go pod uwagę. Na ośmiotysięcznikach opady śniegu są znacznie większe latem niż zimą. Stąd w grudniu i styczniu znacznie łatwiej jest się poruszać w tamtejszym terenie. Lawiny są rzadkością, śnieg jest zwiewany ze zboczy przez wiatr. Można powiedzieć, że pod względem warunków śniegowych zimą na ośmiotysięcznikach jest łatwiej.



Cory Richards i Simone Moro zimną na Gaszerbrumie II (8035 m n.p.m.);
2011 rok

W dolinach sytuacja jest odmienna. Poniżej 5000 metrów pokrywa śnieżna wzrasta do wiosny. Kiedyś w lutym przedzieraliśmy się przez dolinę Barun przez pięć dni, brnąc w śniegu po pas, gdy tymczasem w normalnych warunkach pokonuje się ten odcinek w ciągu jednego dnia. Biorąc pod uwagę, że drogi wspinaczkowe zaczynają się powyżej bazy (a te znajdują się na wysokości około 5000 metrów), brak śniegu można jednak traktować jako pozytywny aspekt zimy. Tym bardziej że w obecnych czasach wspinacze często dolatują do bazy helikopterami.

Przejdźmy do subiektywnych opinii. Mam ich pod dostatkiem.

Uczestniczy wypraw na ośmiotysięczniki często twierdzą, że na początku grudnia góry wydają się bardziej dostępne niż później, podczas wspinaczki. Odpowiem, że z dolin wyglądają tak samo pięknie i cicho także w lutym. Zbliżając się do góry w grudniu, wspinacze podziwiają panoramy, są pozytywnie nastawieni, chłoną każdy szczegół. Robi się mniej pięknie, kiedy poznaje się to wszystko od kuchni.

Władze Nepalu i Pakistanu, wydając zezwolenia na zimowe zdobywanie ośmiotysięczników, wskazują, że ich ważność zaczyna się 1 grudnia. Czyż to nie oni wiedzą najlepiej, jaka panuje wówczas pogoda w najwyższych górach świata? Mieszkałem w sercu Azji, w Kazachstanie, przez dwadzieścia lat i mogę zapewnić, że nieraz pogoda 1 grudnia była gorsza od tej 28 (29) lutego. Na początku grudnia jest zimniej, wilgotniej - bardziej zimowo. Kazachstan leży bliżej interesującego nas regionu (Himalaje i Karakorum) niż znajdują się Europa i Ameryka, skąd pochodzi wielu wspinaczy próbujących narzucić innym swoje zdanie dotyczące pogody.

Warto w tym miejscu wspomnieć o wspinaczce w Kazachstanie i Rosji oraz tamtejszych ramach czasowych zimy, które wiążą się z zawodami i zdobywaniem kategorii mistrza. Góry Altaju i Kamczatki leżą bardziej na północ, do trzech klasycznych zimowych miesięcy dodano więc po kilka dni. Ale z obu stron zimy! Przykładowo, trwa tam ona od 15 listopada do 15 marca. Byłoby nietaktem uważać, że radziecka szkoła alpinizmu nie znała się na rzeczy.

Własny punkt widzenia często skłania do myślenia, że to NASZE wejście odbyło się w najgorszym czasie, kiedy górę najtrudniej było zdobyć. Bardziej etyczne wydaje się postrzeganie sukcesów innych jako podobnie trudnych, dokonanych w podobnych warunkach co „nasze”. Dlatego szczerze przyznaję, że moje zimowe wejście na Makalu wraz z Simone Moro w 2009 roku odbyło się dość

spokojnie; szczęśliwie znaleźliśmy się w odpowiednim miejscu we właściwym czasie.

Interesująca jest moralna i etyczna strona całego zagadnienia. Skąd wzięły się wątpliwości dotyczące okresu zimowego? Wystarczy przeanalizować listę zimowych wejść, żeby zauważyć, że zgodnie z miarą astronomiczną (zima trwająca w przybliżeniu od 22 grudnia do 21 marca) do zimowych zdobyczy nie zalicza się wejść Kazachów, Japończyków, Francuzów i Słowaków, które odbyły się między 1 a 22 grudnia. W zamian za zimowe uznaje się wejścia dokonane przez Włochów i Polaków w marcu.

Ludzie często szukają wymówek dla własnych słabości. Tłumaczą, usprawiedliwiają... Ot, taki przejaw patriotyzmu. Bo przecież: byliśmy TAM, zrobiliśmy TO! Południe to dla wszystkich czas, kiedy Słońce jest najwyższej na niebie; północ natomiast to jego przeciwieństwo. Podobnie jest z latem i zimą. Przy tym nikomu nie przychodzi do głowy myśl, że zima kończy się wówczas, gdy dni zaczynają się wydłużać. Światem nadal kierują utarte szablony i stereotypy.

Reguły w sportowym alpinizmie muszą być dla wszystkich jednakowe. Jeżeli dla większości ludzi, w tym meteorologów, zima to trzy najchłodniejsze miesiące roku (od 1 grudnia do 28 lub 29 lutego), wspinacze powinni się tego trzymać. A nie iść ręką w rękę z astronomami, których mało interesują rzeczywiste warunki klimatyczne (pogodowe) na Ziemi. W tym kontekście „rok astronomiczny” to abstrakcja niemająca realnego przełożenia na warunki ziemskie.

Zima, wiosna, lato, jesień. Każda pora roku ma swoje cechy szczególne. I choć 1 marca jest często dniem, w którym pogoda przypomina tę zimową, to już wiosna (wybaczcie, że się powtarzam). A 1 grudnia, choćby nawet na szczycie Everestu panowały dobre warunki, należy do

zimy. Aprobuję oczywiście podział na cztery pory roku. Dlatego z powodów, o których pisałem powyżej, wyznaczyłbym konkretne graniczne daty i uznał, że w Himalajach i Karakorum okres zimowy zaczyna się 1 grudnia a kończy 28 (29) lutego.

Robi się przykro, gdy widzi się, jak powszechnie szanowane osoby i sportowcy próbują przypasać krótką kołdrę zimowych osiągnięć do swojej wspinaczki. Nie chcę nikogo potępiać, szanuję te sukcesy, nie mogę się jednak nie uśmiechnąć, widząc ten przerost ambicji. Czy ktoś zdobywający latem ośmiotysięcznik w niezwykle niekorzystnych warunkach pogodowych (przykładowo przy temperaturze -40°C), może żądać, by uznano jego wyczyn za wejście zimowe?

Szanujmy osiągnięcia innych. Jeżeli 5 grudnia Słowacy weszli na Czo Oju, międzynarodowa społeczność alpinistyczna nie powinna odrzucać tego znakomitego sukcesu. Nie warto ciągnąć zimowej kołdry w drugą stronę, udowadniać, że grudzień to jesień, a marzec to nie wiosna. Wręcz przeciwnie! Cieszymy się z sukcesów kolegów, własnych też mamy przecież pod dostatkiem.

Przypomnę: chodzi o ZIMĘ, która jest zgodna z kalendarzem przyjętym przez ogół społeczeństwa, a nie z astronomicznymi rozważaniami.

Jeżeli wyprawa rozpoczęta w sierpniu kończy się dotarciem na szczyt 1 grudnia, powinna zostać uznana za wejście zimowe. Podobnie jeśli ktoś aklimatyzował się w komorze hiperbarycznej albo w górach półkuli południowej, potem helikopterem przyleciał w Himalaje i wszedł na Czo Oju w ciągu jednego dnia, akurat 28 lutego - on również powinien zostać uznany za zimowego zdobywcę.

Wspaniały himalaista Krzysztof Wielicki ma na ten temat swoją opinię: wspinaczka może się odbyć w określonym terminie, ale należy brać pod uwagę STYL i wyprawy, i ataku szczytowego. Zgadzam się: styl jest ważny, warto o nim rozmawiać. I nie chodzi tylko o wyprawy zaczynające się jeszcze przed sezonem zimowym albo kończące się już wiosną, o te z tlenem lub bez niego, z wykorzystaniem lin poręczowych albo bez nich, z dotarciem do bazy helikopterem lub przeciwnie - na piechotę; statkiem dookoła Afryki czy też bezpośrednio samolotem do Katmandu... Co powiemy o stylu wspinaczy, którzy stosują elektryczne lub chemiczne ogrzewacze do butów i łapawic? Puryści „czystych wejść” potępiają używanie butli tlenowych, ale stosowanie dodatkowego źródła ciepła, wspomnianego wyżej, jakoś im nie przeszkadza. W obecnych czasach technologia jest na tyle rozwinięta, że można się wspinać, zachowując komfort termiczny ciała nawet przy temperaturze -70°C . Takie wejście uznaje się za zimowe i sam nie mam nic przeciwko temu. Ale jaki to styl?

Powinienem napisać, że alpinizm się rozwija, tak samo jak inne dyscypliny sportowe. Tym bardziej za wybitne należy uznać pierwsze wejścia na Everest - Tenzinga Norgaya i Edmunda Hillary'ego w tzw. zwykłym sezonie, oraz Leszka Cichego i Krzysztofa Wielickiego zimą. W tamtych czasach były to wydarzenia epokowe. Każde z nich otworzyło nowe możliwości, nadało kierunek przyszłości. Chylę czoło przed ludźmi, którzy w tamtych trudnych warunkach pisali historię alpinistycznych wyczynów. Jednak współczesność nakłada na nas inne zobowiązania.

Zatem będę żył i się wspinał w zgodzie z kalendarzem i warunkami klimatycznymi. Bez dodatkowego tlenu i podgrzewaczy. Inaczej mówiąc - bez smoczka i termoforu. W terminach, które uważam za uczciwe, zrozumiałe i prawidłowe. Jeśli zimą, to od 1 grudnia do 28 (29) lutego.

W takim właśnie czasie spróbuję wejść na Broad Peak w nadchodzącym sezonie.



Zimą trudno o dobry nastrój. Mróz wyszarpuje z ciała strzępy ciepła i rozrzuca je po okolicy. Wokół morze śniegu. W jakiś sposób to warunki nam obce, nie ma chęci, by wychodzić na zewnątrz. Ośmio-tysięcznik to niebotyczna góra, człowiek taki malutki... Wciąż jednak na tych wysokościach potrafię cieszyć się życiem, pięknem natury, własną siłą. Wyznaczanie drogi tam, gdzie ludzkie istnienie nie zostało przewidziane, działa niczym narkotyk.



Droga od północnej strony pod K2 (8611 m n.p.m.); 2007 rok

Po zimowym sezonie, kiedy człowiek harował jak koń pociągowy, przychodzi czas treningów w małym stylu. Skalna wspinaczka i ćwiczenia techniczne wykańczają ciało i psychikę. Chciałoby się mieć tyle elastyczności, ile tkwi w linie. To praca wymagająca cierpliwości, a na początku brak spektakularnych rezultatów. Ma się wrażenie marnotrawienia energii aż do wycieńczenia organizmu. Później robi się ciekawiej. Miło jest wspiąć się w skałach, gdy ciało wchodzi w rutynę.

Dziś znów czuję smak życia. Mogę nie jeść, ale muszę trenować, planować, szykować się do kolejnego sezonu. Chociaż... ten sezon przecież ciągle trwa! Wskazówki dotyczące „oszczędzania energii” wydają mi się zbyteczne,

a problem motywacji nie istnieje - proszę wybaczyć te paralele. Mam niewyczerpane pokłady energii! Tak więc: „haruj jak wół, trzymaj język za zębami, a wszystko, co się wokół dzieje, traktuj jak zabawę”.

W bazie pod K2 Krzysztof Wielicki radził mi: „Siedź, nie bądź taki wyrywny. Trzeba magazynować energię”. Wielu uczestników magazynowało. Do mnie jednak to nie przemawia. Po co oszczędzać energię, skoro pozwala ona realizować Możliwości?

Jeżeli będziemy szli, czy też toczyli się przez życie, „zachowując energię”, nie osiągniemy wiele. Sam uważnie kroję czas na części, dzielę go między rodzinę i pracę, wyjścia do pizzerii i na treningi. Działam zgodnie z zasadą niemagazynowania energii. Tracę ją podczas wspinaczki, wyjazdów i spotkań z przyjaciółmi. Kilka skomplikowanych linii, narada w sprawie Cerro Torre, artykuł do czasopisma, spacer z dziećmi... Rozkręcam się!



Gaszerbrum II, base camp; zima 2011 roku

Życiowe kwestie powinny być rozstrzygane bez oglądania się na alpinizm. Mówiłem to niegdyś młodzieży z sekcji wspinaczkowej, a teraz powtórzę jeszcze raz. Na pierwszym miejscu jest rodzina. Na drugim - praca, która pozwala utrzymać rodzinę. Na trzecim - szkolenia zapewniające pracę. Dopiero na czwartym miejscu może się znaleźć hobby, na przykład alpinizm. To złote zasady życia. Po prawdzie samo życie. Tylko taki dureń jak ja, ma te proste pojęcia wymieszane w mózgownicy.



Simone w trakcie aklimatyzacji do zimowego wejścia na Gaszerbrum II

Ważne, żeby marzenia wcielać w życie w sposób rozważny i bezpieczny. Jeśli więc dzięki treningom zwiększasz szansę na pozostanie przy życiu, kiedy robisz to, co lubisz najbardziej - czy to będzie pływanie, surfing, skoki ze spadochronem, wspinaczka czy jeszcze coś innego - ZAPOMNIJ o złotych zasadach! Ciężko trenuj! Jeżeli, będąc blisko celu, powinieneś się wycofać, by mieć szansę wrócić żywy do domu - ZAPOMNIJ o celu! Zawróć. Jeśli wydasz na wyprawę ogromne pieniądze, a później dojdiesz do wniosku, że to nie ma sensu - ZAPOMNIJ o pieniądzach! Opuść.

Nie słuchaj innych. Ani przyjaciół, ani sponsorów, ani opinii publicznej, ani kolegów alpinistów. To twoje życie. Pamiętaj o zdrowym egoizmie.



Kiedyś postanowiłem zacząć pisać o górach. W swoim pierwszym tekście opowiedziałem, jak wszedłem na najwyższy szczyt Ałtaju. Było to mocne przeżycie, zmieniające postrzeganie; niczym całun mgły, który spotkałem na wysokości czterech tysięcy metrów. Leżąc na półce bagażowej w pociągu relacji Nowosybirsk - Władywostok i słuchając stukania kół, zapomniałem o całym świecie. Wspomnienia stały się narkotykiem, raz jeszcze przeżywałem zdobycie Biełuchy. Było to nad wyraz ekscytujące.

Z czasem moja „twórczość” się rozwinęła, poszła w lepszym kierunku, a niektórzy przyjaciele, nie wspominając o krewnych, zaczęli się interesować, co piszę i dlaczego. W ludziach zrodziła się ciekawość. Sporo tekstów napisałem do szuflady, wiele trafiło do nienazartej paszczy internetu, inne ukazały się w czasopiśmie. Wszystko to stworzyło pewną aurę, która czasem żyła własnym życiem, niezależnym od rzeczywistości. Moje teksty zawsze jednak bazowały na prawdziwych wydarzeniach. To, co wychodziło spod mojego pióra, co otrzymywał czytelnik, naprawdę wydarzyło się w moim życiu.



Jedna z moich książek po włosku, czekająca na polską edycję

W pewnym momencie doszedłem do wniosku, że litery ułożone w słowa, a następnie w zdania i akapity, pozwalają uwypuklić pewne sprawy. Umożliwiają zachowanie w pamięci spotkań, przyjaciół, ciekawych ludzi, z którymi zetknął mnie los. Zatrzymują chwilę niczym zdjęcie lub klatka filmowa. Ale dają coś jeszcze. W tekście mogę przekazać swoje emocje. Kadr sam w sobie nie zawiera uczuć, tylko się ich domyślamy, natomiast tekst może je nazywać.

Łatwo więc zrozumieć moją radość, kiedy 1 marca 2013 roku otrzymałem z drukarni egzemplarze nowej książki. Była w niej mowa o... Zresztą, najlepiej przytoczyć kilka zdań promujących wydanie *Absurdu Everestu*:

Alpinizm jako wspinaczka górską narodził się w Europie i tam nabierał rozmachu. W miarę dążenia ludzi do osiągnięcia kolejnych celów rozwijał się także w innych rejonach – Azji, Ameryce... W 1856 roku za najwyższy szczyt świata uznano Mount Everest. Dziś wielu marzy, by trafić na ten trzeci biegun Ziemi.

Książka Denisa Urubki to opowieść o tym, jak mu się poszczęściło, jak trafił pod Everest i podążył na szczyt. Był młodym ambitnym sportowcem, kiedy dostał się do świata, w którym rządziły nieznane mu zasady. Stało się to „sprawdzianem siły i mocy” – w nowym otoczeniu, w obcym kraju, w innej kulturze. Pobyt w Himalajach wzbudził szczególne uczucia, które pozostawiły głęboki ślad w duszy początkującego wówczas wspinacza. Po powrocie Denis postanowił podzielić się swoimi przeżyciami z innymi. Z czytelnikami, których interesuje nie tylko górski świat, lecz także walka o życiowe cele.

Wyprawa stała się spełnieniem marzeń Denisa. Zmieniła również jego podejście do górskich wyczynów. Z czasem Denis został jednym z najwybitniejszych himalaistów na świecie, zyskał międzynarodowe uznanie i wielu przyjaciół. Udało mu się przy tym zachować świeżość spojrzenia i romantyzm w obcowaniu z górami.

W Rosji *Absurd Everestu* ukazał się dzięki wsparciu Siergieja Aleksandrowicza Dołgowa. Jego zainteresowanie Himalajami i najwyższym szczytem świata, Everestem, oraz cierpliwość i wsparcie stały się głównymi motorami projektu. Dziękuję! Przyjaciele to ludzie, którzy mają podobne zainteresowania i próbują wzajemnie się wspierać.

Teraz *Absurd Everestu* trafia do rąk polskiego czytelnika. To książka o tym, do czego dążyłem i co udało mi się osiągnąć. Odzwierciedlenie tego, jak rozumiem wolność.

[*] Oficjalnie kalendarzowa zima zaczyna się 22 grudnia i trwa do 21 marca. Pokrywa się w zasadzie z zimą astronomiczną. Denis Urubko, pisząc o kalendarzowej zimie, ma na myśli powszechny podział na cztery pory roku, gdzie każdą porę wyznaczają trzy PEŁNE miesiące. W tak rozumianym kalendarzu zima trwa od 1 grudnia do 28 (29) lutego [wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza i redakcji].



Ludzka pamięć bywa krótka i niewiele się w niej przechowuje. Szczególnie dotyczy to społeczeństwa nagle przeniesionego z jednego ustroju do drugiego. Pozbawionego ideałów, oszukanego, zdezorientowanego,

który wykorzystuje maskę cynizmu i obojętności, żeby uchronić się przed straszliwą rzeczywistością. W trudnym okresie rozpadu państwa sowieckiego takie zachowanie było czymś w rodzaju reakcji obronnej. Łagodziło cios zadany naszej wątłej jeszcze moralności. Z łatwością zapomnieliśmy o przeszłości, wynosząc pod niebiosa nowych idoli. Beztrosko zatarliśmy w pamięci imiona przyjaciół pozostawionych na poboczu życia.

Mimo wszystko obok spraw nietrwałych, w sposób dziwaczny wzajemnie się zastępujących, na ziemi nadal istniały wartości ponad-czasowe. Byli też ludzie, dla których idee znaczyły dużo więcej niż bieżące problemy. Te ostatnie odsuwali na dalszy plan. To właśnie dzięki takim ludziom w połowie 1999 roku w wąwozie niedaleko Ałmatów powstało miejsce pamięci tych, którzy zginęli w górach. Wzniesiono pomnik, którego nikt nie nazwałby „obowiązkiem wobec minionego czasu”.

Na nastrój ludzi mieszkających u podnóża Ałatau Zailijskiego od zawsze miały wpływ góry. Dlatego relacje między człowiekiem a zaśnieżonymi szczytami wzbudzały tu spore zainteresowanie, poczynając od pierwszych wejść topografów, kończąc na współczesnych osiągnięciach sportowych. Podczas wielkiej wojny ojczyźnianej^[*] wyruszali stąd do walki o Kaukaz i Karpaty kursanci szkoły strzelców górskich Gorielnik. W te strony podążali szukający oświecenia fanatycy religijni, by następnie zniknąć bez śladu, zjawiali się też naukowcy, którzy badali ruchy lodowców i zjawiska astronomiczne. Artyści i poeci czerpali natchnienie z różnych odcieni wschodów i zachodów słońca.

Tujuk-Su od dawna był również nierozzerwalnie związany z alpinizmem. Miłośnicy górskiego powietrza wydeptywali tu własne ścieżki. Dziś region ma charakter międzynarodowy – zjeżdżają w te strony ludzie z całego

obszaru byłego Związku Radzieckiego oraz podróżnicy z o wiele odleglejszych stron. Sprawdzają wysokość tutejszego nieba, szukają swoich odbić w jeziorze, schładzają dłonie w wiecznym spokoju lodowca. Nikt nie pyta ich o paszport i nie każe pokazywać oświadczeń o zarobkach. Tu, na górskich zboczach, wszystko jest proste i wszyscy są sobie równi.

Tak samo równi są ludzie, których uwieczniono w miejscu pamięci ofiar gór. Pomnik to pionowa granitowa płyta, do której przymocowano owinięty liną czekan. Poniżej niczym rozsypane gwiazdy błyszczą szarotki – symbol niewinności i wiecznej młodości, przypomnienie o czystości. Pośród kamieni prastarej moreny, odłamków skał z niepamiętnych czasów, pod zawisłym nad ziemią cieniem bastionu groźnie zasłaniającym wyżyny niebios, piękno surowej przyrody ściska serce. Za każdym razem gdy stawałem w tym miejscu, myślałem o tym, co zdążyłem już zrobić i czego jeszcze chciałbym dokonać. Myślałem o wielkości i potędze. O sile, jaką dali światu ci, którzy stracili w górach życie, chcąc zaspokoić własne pragnienia.



Zima u podnóża Ałatau Zailijskiego

Pewnego zimowego poranka... Pod koniec grudnia 1999 roku, kiedy zmarznięte myśli można nawinąć na pięć niczym nici na szpulkę, na drodze przed pomnikiem działo się coś dziwnego. O tej porze, zwłaszcza w sobotę, mężczyzna zazwyczaj dopiero budził się w ciepłej pościeli. Po dziesięciu minutach błogiego leżenia szedł do kuchni. Robił kawę i z rozkoszą ją pił, stojąc przy zamarzniętej szybie. Narysowane przez lód krzywe wzory uparcie nie pozwalały jego myślom spotkać się w jednym punkcie, a puszyste od śniegu gałęzie drzew zmuszały oczy i mózg do obserwacji. Tuż po śnieżycach świat był nadzwyczaj przytulny. Panowały w nim piękno i cisza.

Tego ranka w wąwozie Tujuk-Su cisza powoli pęczniała. Nabierała nerwowego zabarwienia. Słyszałem ten dźwięk – namiętność wiatru albo raczej dotyk zimna. Człowiecza krzątanina rozsypana niczym koraliki. Słuch jeszcze dobrze

tego nie odbierał, ale coś zaczynało zawodzić – ciężko i jakby z głębi. Zewsząd docierało dzwonienie, dusza wibrowała do taktu wołania z próżni. Wokół drgały miriady śnieżynek, ich lodowate promyki błyszczały.

Zaczynał się bieg wspinaczkowy na szczyt Amangeldy. Dokładniej mówiąc – zawody. Nerwy ludzi gromadzących się pod gałęziami pobielonych jodeł drgały w takt skrzypienia śniegu. Podszedłem do linii startu i uklęknąłem na jedno kolano. Najstabilniejsza pozycja dla kogoś, kto nie potrafi opanować wewnętrznego drżenia, które spala siły i nerwy. Głos, który mnie tu przywiódł, nawet przez chwilę nie pozwalał zapomnieć o strachu.

Obok mnie przykucnął Nikołaj Czerwonenko.

- Den, wypiełeś za dużo? – zapytał jakby z głębi swojego wnętrza i się zaśmiał.

A ten, co? Niczym się nie przejmował? Nie znałem pozostałych uczestników biegu, miałem jednak pewność, że Czerwonenko był najsilniejszy. To twarde i nastawione wyłącznie na zwycięstwo. Potrafił zabić u innych pragnienie uczestnictwa i zdusić odwagę stanięcia na starcie. Był bardziej niebezpieczny niż dwudziestu pozostałych razem wziętych.

Pokręciłem głową i bezbarwnym obcym głosem szepnąłem:

- Witaj, Kola.

Zabrzmiało to tak, jakbym pozdrawiał sam siebie.

Przez półtora miesiąca przygotowywaliśmy się do tych zawodów niemalże wspólnie, spotykając się na szlaku podczas treningów. Nigdy nie pokonaliśmy razem żadnego fragmentu trasy. Baliśmy się pokazać jeden drugiemu swój potencjał albo raczej nie chcieliśmy wiedzieć, jak silny i mocny był przeciwnik. To też stanowiło formę wyścigu,

tylę że nerwów i charakterów. Krążyliśmy wokół siebie niczym wilki, oceniając i porównując szanse. Teraz to wszystko było nieważne. Teraz liczyła się siła i wola walki. Pragnienie zwycięstwa.

Poza Kolą nikt inny do mnie nie podszedł. Po tylu latach ludzie wiedzieli, że jestem zarazem porywczy i zamknięty w sobie. Często moje zachowanie trudno było wytłumaczyć, jakbym był pusty, gdy patrzono na mnie z zewnątrz, albo nie było wiadomo, co przeżywam. Ludzie po prostu woleli się do mnie nie zbliżać. Nawet moja przyjaciółka Galina Mulenkowa, dziennikarka, którą znałem od lat, teraz popatrzyła na mnie jakoś dziwnie, kilkakrotnie obróciła mikrofon w dłoni, chwilę podumała i zostawiła mnie w spokoju. Mrugnęła jednak porozumiewawczo, choć może mi się tylko zdawało.

Strach? Ki diabeł? Wszak ani mnie, ani światu nic by się nie stało, gdybym odrzucił na bok kijki i poszedł do baru na wino. Powrócił do przeszłości, przed którą próbowałem uciec. Na zewnątrz wszystko pozostałoby bez zmian, życie byłoby tak samo puste. Zdjąłbym buty, rzucił je gdzieś koło pieca, ogrzał ręce.

Staralem się nie myśleć o tych, którzy w wibrującym mroźnym powietrzu czekali na odliczanie „przed” i „po”.

- Uczestnicy, na linię startu! - wydał komendę sędzia zawodów.

Tego dnia nad przebiegiem rywalizacji czuwał Rinat Chajbullin, organizator i centralna postać całego przedsięwzięcia.

- Stan gotowości: jedna minuta! - Jego głos zaskrzypiał niczym przesterowany.

Nagle poczułem się tak, jakbym oglądał to wszystko spoza siebie. Powietrze drgało i błyszczało. Jak scena z niemego filmu odbijająca się na tafli wody lub odblask światła

migoczący na zaciągniętych zasłonach. Słońce, które nocowało po drugiej stronie świata, niechętnie wychodziło spod kołdry. Gdzieś daleko pulsował dzień, tam było jasno, ciepło i przytulnie. Nie dotyczyło to naszych podziębionych gór.

Rozpoczęły się zawody poświęcone pamięci Anatolija Bukriejewa, wybitnego wspinacza, który zginął w Himalajach, kiedy próbował udowodnić to, co było nie do udowodnienia. Zahartowany sportowiec o ogromnej sile woli, który potrafił wygrywać. Można było nazwać go fanatykiem. Do grona jego znajomych należał niegdyś Nikołaj Czerwonenko.

„Co będzie kosztować tysiące słów – śpiewał Wiktor Coj w błyskotliwej interpretacji – gdy zadecyduje siła i cios. Właśnie przyszedłeś na rzeki brzeg i wahasz się: płynąć czy nie?”^[**] Dla mnie ten brzeg oddalał się z prędkością światła, ginął na horyzoncie.

- Zostało dziewięć sekund.

Około dwudziestu osób na linii startu: w różnym wieku, mężczyźni i kobiety.

- Pięć sekund.

Zwarty krąg ludzi na zaśnieżonej drodze biegnącej w nieznane.

- Trzy...

Cicho wirujące śnieżynki w powietrzu.

- Dwa...

Kola zastygły w dążeniu do marzenia, od którego nie ma odwrotu.

- Jeden...

Napięte jak struna nerwy.

- Start!

Serce podskoczyło, jakby chciało się urwać z postronka tętnic i żył, rozlało krew. Na twarz wróciła przytomność. Chrząst przeżartego przez lodowaty oddech nocy śniegu. Piętami wciskałem go w ziemię, wydeptując twardą linię. Zapomnieć o wszystkim, skoncentrować się na walce. Pędzić przed siebie. Biec, ostatkiem sił, ale biec. Padając z przemęczenia. Dwieście metrów, trzysta... Na jednym oddechu.

Biegłem, jak nigdy wcześniej. Napierałem. Noga w przód, wybicie z czubka buta drugiej... Kijki do przodu, odepchnięcie, noga... Kijki do przodu, odepchnięcie, noga... Do przodu!

- Pierwszy, Czerwonenko! - przekazał ktoś z obsługi przez krótkofalówkę.

Byliśmy przy zakręcie. Nikołaj przemieszczał się jak robot. Niski i przysadzisty, z daleka przypominał cień przesuwający się nad zaśnieżoną trasą. Kula, a nie człowiek z krwi i kości. Od początku rwał przed siebie z całych sił. Odbił w ścieżkę, która ścinała zakręt - tam, gdzie było bardziej stromo. Chciałem utrzymać dobry oddech, nie przeforsować mięśni, wybrałem więc dłuższy, ale nieco łagodniejszy podbieg prowadzący zakosami. I tak było wystarczająco trudno.



Na starcie zawodów poświęconych pamięci Anatolija Bukrijewa

Kola dosłownie ciął przestrzeń, nie widać było u niego najmniejszych oznak słabości. Między nami wyrosła niewidzialna dziesięcio-metrowa bariera. Próbowałem przebić się przez ten przezroczysty gumowy mur. Byłem do granic możliwości skupiony, bezlitosny dla siebie, a mimo to nie miałem szans. Mojego skoncentrowanego przeciwnika napędzała zaciekłość – to nie ulegało wątpliwości. Na stromą ścieżkę pod bastionem Oktiabrionoka wspinał się tak, jakby chciał mnie wykończyć. Byłem wyczerpany, zgrzytałem zębami, próbowałem uspokoić serce, które podchodziło do gardła, gotowe z niego wyskoczyć.

Napierać! Noga w przód, wybicie z czubka buta drugiej... Kijki do przodu, odepchnięcie, noga... Kijki do przodu,

odepchnięcie, noga... Nie mogłem się wyrwać!

Żadnych myśli, tylko próba opanowania ciała, które słabło w niepohamowanej utracie sił. Kola z przodu! Ciągle przekłete dziesięć metrów przede mną. Chciałem zwalić się w śnieg i trząść w konwulsjach.

I znów: noga w przód, wybicie z czubka buta drugiej... Kijki do przodu, odepchnięcie, noga... Kijki do przodu, odepchnięcie, noga...

Stromy teren wymuszał przeskakiwanie z jednego dobrego punktu oparcia do drugiego. Trasa nie była równa, miejscami śliska, o niejednorodnej fakturze. Wystające spod śniegu tu i tam kamienie wyznaczały najlepsze miejsca do wybicia, zyskania odrobiny energii. Kto zdołał je wykorzystać jako oparcie, dokładnie trafić nogą, nie poślizgnąć się, mógł, utrzymując równowagę za pomocą kijków, z całych sił się odbijać.

I raz, i dwa, i znowu! Niemal w locie. Kijki do przodu, odepchnięcie, noga... I ponownie ta sama sekwencja... Kijki do przodu, odepchnięcie, noga... Nie można zaprzestać.

Ciągle przekłete dziesięć metrów między nami. Stromy fragment trasy był jak przekroczenie Rubikonu. Kto go pokonał za jednym zamachem, otrzymywał szansę na wygraną. Tego dnia nikt nie zamierzał ustąpić. Sunęliśmy nad ziemią, łapiąc mikrosekundy, które mogły przełożyć się na zwycięstwo. Zrozpaczony widziałem, jak Nikołaj szybko wybiega na kolejny odcinek. Neeee!

Teren stał się nieco bardziej połogi i skalisty. W mroźne dni zalegały tu zwały twardego śniegu. Wcześniej przeszło tędy wiele osób, wydeptali niedbałe ślady, powbijali piasek w zakręty wygładzonych linii, poluzowali kamienie. Droga, po której biegła zimowa trasa, przypominała łamigłówkę. Wymagała ogromnej koncentracji, doskonałej oceny odległości. Każdy źle postawiony krok oznaczał ułamek

sekundy podarowany przeciwnikowi. Gdyby mieć nadprzyrodzoną intuicję, można by orientować się w tej przestrzeni z zamkniętymi oczyma. Niestety, przychodząc na świat, otrzymywało się jej za mało.

Coś uległo jednak zmianie... Coś się wydarzyło, kiedy przeciążona świadomość wpadła w pułapkę. Myślałem tylko o tym, że optymalny tor biegu to jedyna nadzieja. Czułem, że zwykłe myślenie nie zdoła przeprowadzić mnie przez labirynt wskazówek i znaków w sposób perfekcyjny. Pojęcia „tu” i „teraz” krępowwały niczym kajdany. I właśnie wtedy, gdy spontaniczność ruchu spierała się z ograniczeniami rozsądku, coś zaskoczyło. Jakby w moim mózgu otworzyła się ukryta klapka pozwalająca zrozumieć prawdziwe powiązania przyczyn i skutków. Nagle wszystko złożyło się w całość, stało dostępne, podporządkowane. Cierpiałem, nerwami żywiłem otaczający mnie świat. Szczegóły zniknęły, zostały jedynie obrazy. Patrzyłem na nie jak na kółka rozchodzące się po wodzie, żonglowałem nimi niczym zajaczkami na ścianie.

Nieoczekiwanie... osiem metrów! Taki obrót sytuacji wlewa w człowieka ocean nadziei.

Pięć metrów! Tyle, co nic. Sekunda w niewyobrażalnym pędzie wieczności.

Kola nie widział tego, co ja. Biegł z przodu, musiał jednak czuć, że go ścigam. Napierałem! Noga w przód, wybicie z czubka buta drugiej... Kijki do przodu, odepchnięcie, noga... Kijki do przodu, odepchnięcie, noga... I znów to samo. Kola też dawał z siebie wszystko – tego wymagała chwila, tego wymagało bycie na granicy własnych możliwości.

Trzy metry!

Złam się! Ustąp! Odpuść! – charczały moje nerwy. Jeśli ty nie padniesz, padnę ja. Neeee! Kola przesłaniał mi świat:

góry i niebo. Stał się przeszkodą, rzeczywistą, nie wyimaginowaną. Musiałem go pokonać.

Rura na drodze - ominęliśmy ją. Skały po lewej - przemknęły z boku. Zakręt! Punkty, punkty, punkty.

Nadszedł kulminacyjny moment tej agonii.

Zrównaliśmy się, biegliśmy razem - ja z nim, on ze mną. Niczym wilki: ramię przy ramieniu. Stukanie kijków, oddech tego drugiego przy skroni, tętno krwi wyczuwalne gdzieś w gardle i dyszenie wydobywająca się z krtani - jego i mojej. Piekielna mieszanka, kakofonia dźwięków, która była niczym w porównaniu z uporczywym brzęczeniem napiętych jak struna nerwów. Zdawało się, że wibruje z nami cały wszechświat, gotowy upaść do naszych stóp.

Z mozołem przebijał się przez ten czasoprzestrzenny układ bez początku i końca. Napierać! Noga w przód, wybicie z czubka buta drugiej... Kijki do przodu, odepchnięcie, noga... Kijki do przodu, odepchnięcie, noga... I znów to samo. Nie można się wyrwać. Koła po lewej stronie, ja - po prawej.

Koniec! Nie dasz rady! Stop! - rzęziła każda komórka mojego ciała. Świadomość osunęła się do innego wymiaru. Połknęła ją ciemność. I nagle ponowne olśnienie. Zasłonięty metalowymi okiennicami świat znów się otworzył. Jeden metr. Załedwie jeden metr. Tyle że przed Kolą!

- Urubko pierwszy! - krzyknął ktoś w zachwycie.

Byliśmy za skalnym bastionem, na kolejnym punkcie kontrolnym.

Wiadomość przekazana przez krótkofalówkę wybrzmiała we mnie niczym gong. Nad wyraz intensywnie. Miałem poczucie, że znalazłem się u kresu sił - zarówno fizycznych, jak i psychicznych. Nie mogłem sobie nawet wyobrazić czegoś, co mogłoby istnieć poza takim zmęczeniem. Ale kto

wie? Nigdy nie przekroczymy kolejnej granicy, jeżeli nie podejmiemy próby dotarcia do niej. W końcu: „nie myli się tylko ten, kto nic nie robi”. Należało ryzykować. Jedynie w taki sposób, bez teoretyzowania, można rozstrzygać podobne kwestie, poznawać samego siebie. Zwycięzca brał wszystko.

Napierać! Noga w przód, wybicie z czubka buta drugiej... Kijki do przodu, odepchnięcie, noga... Kijki do przodu, odepchnięcie, noga... I znów od nowa. Kijki do przodu... Nie można się wyrwać. Przede mną jeszcze tysiąc takich szalonych kroków.

Za plecami słyszałem stukanie kijków Koli. Uderzały o wystające kamienie, wspierały ciało, pomagały utrzymać tempo, nie zgubić nici pościgu. Mówiąc obrazowo, wciąż nieugięty Kola wisiał u mych ramion. Wywierał presję swoim autorytetem, wsączał w mózgownicę dokonania radzieckiej szkoły alpinizmu. Jedynie mając to za nic, ignorując przeszłość, można było wyszczerzyć zęby w uśmiechu i rzucić wyzwanie takim mistrzom sportu, jak Bukriew, Chriszczatyj, Bałyberdin. Czułem strach, ale też upajałem się swoją odwagą i chamstwem. Teraz jestem tu – wybijało moje serce – teraz jest mój czas!

Gdybym chociaż na sekundę zwolnił, opadłbym z sił i potoczył pod nogi Czerwonenki. Rozdeptałby mnie bez zastanowienia. I miałby rację! Gdybym nie wytrzymał jednego, jedyne kroku – wszystkie psychiczne zagrania rozsądku zamieniłyby się w nicość. „Co będzie kosztować tysiące słów – śpiewał Coj – gdy zadecyduje siła i cios”. Tu o wszystkim decydowało bezpardonowe natarcie, od tysiącleci nic się nie zmieniało. Rację miał ten, kto zwyciężał. Zwycięzców się nie osądza.

Otoczający świat zamienił się w odtwarzany w zwolnionym tempie film. Wszechświat wyhamował. Odbierałem miliony impulsów, które wtłaczały moje ruchy w upływające

sekundy. Fotony wrażeń atakowały oczy. Wyminąłem turystów i wleciałem w zakręt trasy. Szlak wyrwał się z zaciśniętego przez skały wąwozu, wznosił w kierunku nieba. Dolina się poszerzała, osłabiając uścisk. Łukiem kładła się pod nogi. Przestronność terenu na sekundę wprawiała mózg w zakłopotanie – oszołomiony szybkością ruchu oraz tempem podejmowania kluczowych decyzji umysł radził sobie tylko w wąskim zakresie. Droga złagodniała i nieskrępowanie popędziła do punktu kontrolnego Mynżyłki. Należałem wyłącznie do niej.

Napięcie było tak duże, że odliczałem mikrosekundy. Nie mogłem się odwrócić, popatrzeć, kto próbuje mnie dogonić. Kierunek był tylko jeden: do przodu! Uchem wyłapywałem coś, co przypominało trzaskanie i stukanie. To grały obce kijki. Dźwięki wydawane przez grotę swojego sprzętu ignorowałem, zbyt rozpraszałyby moją uwagę. Nabierałem prędkości, a kiedy opuściłem łagodniejszy teren, dotarło do mnie, że i te obce odgłosy gdzieś się zagubiły.

Oznaczało to, że była szansa. „Nie zniosła jego dumna dusza... los się wypełnił pod ich wtór”^[***] – pisał Lermontow o Puszkynie, a ja myślałem o Koli. A więc noga w przód, wybicie z czubka buta drugiej... Kijki do przodu, odepchnięcie, noga... I od nowa. Nie można zaprzestać. Sapanie na granicy fanatyzmu i napięte pulsowanie krwi w oczach. Jakby jakaś gigantycznym nieznaną siłą zgniotła świat w kartkę papieru. Świdrujące w świadomości dzikie szeleszczenie miażdżonego wszechświata zamieniło trasę we wstęgę Möbiusa. Goniłem w nieskończoność.

Po kilku niedługich podbiegach znalazłem się naprzeciw stacji meteorologicznej Mynżyłki. Wiele lat temu w jej pobliżu na łagodnie nachylnym terenie wybudowano niewielką zaporę. Stanowiła pierwszy z kilku obiektów chroniących zabudowania Ałmatów przed rzeką niosącą z gór błoto i kamienie. Niewysoki obiekt nie mógłby sobie

poradzić z większym żywością, znajdował się jednak w miejscu, gdzie strumień dopiero się formował. Za zaporą koryto stawało się na tyle płaskie, że mogło tam następować osadzanie niesionego materiału.

Budynek stacji wraz ze sprzętem do badań posadowiono na podwyższeniu terenu. Oprócz nieskomplikowanego mierzenia temperatury powietrza wykonywano tu różnorodne pomiary z zakresu hydrologii i glaciologii. Zwykle jedynie przemykałem w jego pobliżu, witany i żegnany ujadaniem psów. W środku byłem tylko raz, kiedy wraz z przyjacielem robiłem zimowy trawers Tujuk-Su. Z powodu potwornego zmęczenia niewiele z tego pobytu zapamiętałem.

Teraz, tracąc oddech i napinając wszystkie mięśnie, gnałem, ile sił. Umysł szeptał, że skoro to Mynżyłki, należy dać z siebie wszystko, uciekać dopóty, dopóki nie było jeszcze bardzo stromo. Wkrótce trasa miała popędzić ostro w górę, stać się o wiele trudniejsza.

Betonowa płyta po lewej – minięta. Czarny kamień – już za mną! Jakieś rozgałęzienie ścieżek – przekroczone! Żeliwny syfon – zostawiony z tyłu. Mgła znanych obrazków. Połogie odcinki przeplatały się z krótkimi podbiegami. Jak fale. Na każdym z wypłaszczeń atakowałem. Na każdym wzniesieniu chciałem się położyć. Należało zamienić się w nicość, by stać się częścią wszystkiego.

Ktoś siedział mi na ogonie? Nie mogłem się odwrócić, żeby sprawdzić. Gdybym wiedział, ile wynosi moja przewaga, może mógłbym odrobinę zwolnić, nieco się odprężyć. Niewiedza wypalała mi duszę. Wciąż musiałem dawać z siebie wszystko. Organizm tracił oddech i błagał o przerwę, sekundę odpoczynku. Dajcie mi chwilę!

W mojej głowie tłukło się oszalałe pragnienie bycia liderem. A serce wypełniał głód zwycięstwa. To one pchały

leniwe ciało naprzód, do góry, w stronę nieba, do mety... Tam! Tam, gdzie nie było miejsca na podwójne standardy, gdzie wszystko wydawało się stałe. Tak stałe, jak stalowy charakter wroga - nieugięty i zasadniczy. Czyż nie takie było życie?

Zgromadzona publiczność obserwowała tę sportową farsę i zapewne za żadne skarby nie chciałyby w niej uczestniczyć. Zawody nieboszczyków, którzy nagle ożyli. Przywiodliśmy na myśl upiory. Niczym wampiry na głodzie pędziliśmy przed siebie z pianą na ustach i zwierzęcym spojrzeniem w oczach.

- Wody? Coś do picia? - krzyknął ktoś z boku i natychmiast z przerażeniem się cofnął.

Raczej szklanki krwi. Wypiłbym ją duszkiem. Doprowadzony do stanu ekstazy, zachłysnąłbym się nią, a następnie podrzynał gardła stojącym dookoła.

Minąłem zaporę i przyspieszyłem. Biegłem. Bezrozumnie, nastawiony tylko na cel. Byłem jak rakietka wystrzelona z wyrzutni przez żołnierzy idących do ataku. Jak rakietka, która nie wie, czym jest sens i nie ma odczuć - zna jedynie kurs. Prosty i określony. Przemknąłem obok twarzy ciekawskich, obok wykopu ze zwaloną doń stertą złomu. Wbiegłem na ścieżkę. Do góry! Pędziłem, jak pędzi zwierz podczas pełni księżyca. Napierałem. Noga w przód, wybicie z czubka buta drugiej... Kijki do przodu, odepchnięcie, noga... Kijki do przodu, odepchnięcie, noga... I od nowa.

Dyszałem.

Szczyt Amangeldy wznosi się w głębokiej dolinie rzeki Mała Ałmatynka. Jego wysokość nie oszałamia, bogowie poskromili mu również powabu, jeśli chodzi o skały. Jediną rzeczą, która do niego przyciąga, to mistyczna wysokość czterech tysięcy metrów. Stojąc na górze o wysokości 3999 metrów^[****], można uznać, że - po uniesieniu rąk i stanięciu

na palcach – górna część naszego ciała przekroczy znacznik czterech kilometrów. Jeśli się postaramy i podskoczymy, całkowicie zanurzymy się w czterotysięcznym powietrzu. Chętnych do takiego wyczynu jest jednak niewielu, widziałem w zamian poszukiwaczy mocnych wrażeń, którzy stawali jeden drugiemu na ramionach.



Alpengrad, wysokość 3400 m n.p.m.

Dla lubiących ekstremalne wyzwania wymyślono coś jeszcze bardziej podniecającego. Szczyt znajduje się o wiele bliżej miasta niż pozostałe czterotysięczniki Ałatau Zailijskiego, na zboczach wyznakowano więc trasę dla chcących pobawić się w zdobywanie. Ale żeby wrażenia były niezapomniane, należało robić to szybko. Kilka-dziesiąt lat temu niektórzy z najbardziej szalonych wyczynowców radzieckiego alpinizmu zaczęli ustanawiać tu rekordy, a następnie sami je bili. Zadanie było proste niczym

konstrukcja cepa: jak najszybciej dotrzeć do szczytowego bastionu Amangeldy. Tylko tyle. Wierzchołkowe skały zaczynały się na wysokości 3960 metrów, poniżej należało biec, ile sił w nogach. Był to sprawdzian umiejętności i próba przekraczania własnych limitów.

Oczywiście niemal natychmiast zaczęto dywagować, kiedy i skąd należy zaczynać wejście na Amangeldy. Wszyscy chcieli biec na szczyt, ale każdy - na swój sposób. Dla bardziej leniwych była to metoda oszukania miłości własnej. Ktoś chciał zaczynać z ośrodka narciarskiego Czimbułak, położonego na wysokości 2200 metrów nad poziomem morza - tam według niego znajdował się koniec cywilizowanego świata. Inny - od górnej granicy lasu, gdzie działała baza alpinistów. Byli też tacy, którzy pamiętając o latach trzydziestych XX wieku, proponowali bieg z dawnego obozu Gorielnik. I tak góra, której brakowało jednego metra do czterech tysięcy, stała się kamieniem niezgody.

Opodal stacji meteorologicznej Mynżyłki, przy znaku 3017 metrów, ścieżka odbijała w lewo i zaczynała się ostro pięć na grzbiet odwiecznej moreny. Właśnie w tym miejscu napinałem teraz mięśnie, czując się tak, jakbym udowadniał jeden z paradoksów Zenona z Elei. Lub jakbym był Syzyfem wykonującym absurdalną pracę. Dalej szlak wiódł przez wypłaszczenie Alpengradu, położone na wysokości 3450 metrów nad poziomem morza, następnie piargami obok charakterystycznej skały Parus, przypominającej - zgodnie z nazwą - żagiel, i wąskim zacienionym żlebem wypełnionym niestabilnymi głazami. W ten sposób docierało się pod szczytową kopułę Amangeldy.

Byłem otępiały, w niczym nie widziałem już sensu - ani w celu, ani w dążeniu do niego. Gdyby przyszło mi do głowy rozmyślać na tematy filozoficzne, stałbym się przypadkiem porażającego fiaska psychicznego i intelektualnego.

Prowadzony przez niezniszczalną energię kurażu przeleciałem tymczasem przez wyplaszczenie i wyrzucając ramiona tak daleko, jak mogłem, w ogłupiałym zapamiętaniu rzuciłem się wbijać kijki w zbocze. Działalem już tylko na zasadzie impulsu.

- Urubko pierwszy - rozległ się gdzieś obok spokojny głos. - Za nim Czerwonenko.

Na Alpengradzie dyżurowali ratownicy, dookoła rozstawionych namiotów zgromadziło się sporo publiczności: turystów i młodych, którzy tego dnia zamierzali wchodzić na szczyt Amangeldy. Nikt się nie spieszył; pito herbatę, podziwiano otoczenie. Odruchowo pozazdrościłem tym wszystkim ludziom spokoju.

„Oddajcie cesarowi, co należy do cesarza”. A co ze mną? Ślusarzowi to, co należy do ślusarza? Napierałem. Noga w przód, wybicie z czubka buta drugiej... Co mi zostało? Kijki do przodu, odepchnięcie, noga... Kijki do przodu, odepchnięcie, noga... I od nowa. Napierać! Noga w przód, wybicie z czubka buta drugiej... Nie można się zatrzymać. Tego wyścigu nie zamieniłbym na nic innego na świecie.

Zrobiło się bardzo stromo, wystarczyło lekko skłonić głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje w dole. Alpengrad zawłasczyła publiczność - spora grupa ludzi, ale na stoku majaczyła tylko jedna postać. Jakies sto pięćdziesiąt metrów poniżej mnie niestrudzenie parł naprzód Kola Czerwonenko. „Jak on daje radę? Skąd bierze siły?” - przebiegło mi przez myśl.

Teraz, gdy do mety brakowało niewiele, było jasne, że nikt nie mógł już z nami konkurować. Tego dnia wspinaczka na szczyt Amangeldy była wyścigiem nas dwóch. Na tym dystansie chyba nikt nigdy nie wspinał się w tak zacieklej walce. Niewykluczone, że tamtego dnia Czerwonenko zaprzedał duszę diabłu. Trudno znaleźć inne wytłumaczenie

jego nadnaturalnych sił i możliwości. Działać w ten sposób, wykonując każdy ruch na sto procent, niczym automat, mógł jedynie robot. Czując za plecami ten niezniszczalny mechanizm, traciłem oddech z przerażenia i zachwytu. Gra toczyła się o coś więcej niż zwycięstwo. Stawką była nieuchronność czasu. Istota całego alpinizmu – poszły na to moje lata, a miałem zamiar poświęcić temu życie. Wybacz, Nikolaju. Zwycięzca bierze wszystko.



Żleb pod szczytem Amangeldy

Żleb – pogromca próżności i nadmiernych ambicji – prowadził w stronę nieba. Idealna ostatnia prosta: stroma i śliska. Udowadnianie tu czegokolwiek nie miało sensu. W tym miejscu należało zacisnąć zęby i dotrwać. Nie pozwolić odlecieć sile woli. Utrzymać na wodzy nerwy, żeby nie daj Boże nie załamać się na ostatnich metrach. Żeby nie

upaść na śnieg i granit. Bezwolne i słabe ciało ciągnęło mnie w przepaść. Nie mogłem się poddać, musiałem wytrwać w swojej ambicji, nawet jeśli była bezużyteczna. Wytrzymać!

Noga w przód, wybicie z czubka buta drugiej... Kijki do przodu, odepchnięcie, noga... I od nowa. Spieniony oddech zastygał w zimnym powietrzu i rozpadał się na cienkie lodowate igiełki. Przecinał duszę niczym brzytwa. Zamieniałem się w szerniały ożóg. Zwęgląłem. Zmętniała świadomość przeskakiwała na drugą stronę życia. Umierałem. Na mecie stała kostucha; z radością szczyrzyła zęby i czekała na łatwy łup.



Nikołaj Czerwonko tuż przed metą

Czy to za sprawą marzeń, czy przecucia zwycięstwa, wciąż udawało mi się walczyć. Czuję się tak, jakby moja

dusza wciągnęła na maszt szkarłatne żagle^[*****]. Niosły mnie miłość i żądza, to, w co wierzyłem w młodości, co pozwalało dostrzegać piękno nawet w czerni. Romantyzm łapał wiatr i pozwalał płynąć dalej.

Wszystko przypominało marę. Moje przekrwione oczy zaszyły mgłą. Świat wydawał się dekoracją, a przecież istniał. Urywki obrazów, twarzy. Miriady diabłów bólu. Męczyła mnie ta przesadna reakcja uczuciowa. Moje ruchy stały się szarpane, ociążałe, pozbawione energii. Ostatnie metry. Nie wierzyłem, że nadejdzie kres tego wszystkiego. Od wieków tkwiłem w spalającym wysiłku. Spokój był tam, za linią mety. Chciałem już upaść na ziemię. Mrok i światło, ogień i lód. Pozostało pięć sekund. Trzy... Dwie... Jedna... Zero!

Wykalkulowawszy ostatni krok, wyciągnąwszy do przodu ręce, wyłożyłem się na śniegu. Palcami dotknąłem punktu końcowego.

Niech będzie przeklęta chwila zwycięstwa! Niech będę przeklęty ja, który wydarłem ją losowi! Ciało nie należało do mnie. Rozciągnięte na śniegu, nie czuło ani siebie, ani przestrzeni, ani dźwięków. W gardle tkwiła gula złożona ze szczęścia i piany adrenaliny. Wraz z pulsującym zachwytem oddechu wylatywały ze mnie obłoczki pary. Umierając, wracałem do życia. Teraz już żadne piekielne moce nie dałyby rady wydrzeć poczucia spełnienia z mego poharatanego ciała. Zapłaciłem wysoką cenę za pewność, że dam radę. Moje życie było od tej pory zależne tylko ode mnie. Nikt nie mógł odebrać mi drogi, którą pokonałem, ani zawrócić z tej, która jeszcze przede mną.



Jest! Punkt końcowy biegu

[*] Wielka wojna ojczyźniana – termin określający część II wojny światowej od 22 czerwca 1941 r. do 9 maja 1945 r., używany w ZSRR oraz współcześnie w Rosji.

[**] Fragment piosenki *Mamo, my oszaleliśmy* Wiktora Coja w tłumaczeniu Ryszarda Chłopka.

[***] Fragmenty wiersza *Śmierć* poety Michaiła Jurjewicza Lermontowa w przekładzie Anny Bednarczyk.

[****] Niektóre źródła i mapy podają inną wysokość szczytu – 4000 m n.p.m, a czasami nawet 4010 m n.p.m.

[*****] Nawiązanie do opowiadania *Szkarłatne żagle* Aleksandra Grina.



Góry pozwalają pozostać sobą. Prawdziwy alpinizm nie uznaje ograniczeń i uwarunkowań. Właśnie dlatego w sylwestrową noc kończącą XX wiek siedziałem w knajpie i nie wstydziłem się swoich grzesznych myśli. Pragnąłem miłości i wódki – tak dużo, żebym padł z nóg. W bliskiej przyszłości majaczyło i jedno, i drugie. W pomroce sali stała przede mną butelka koniaku. Przypominała kwokę – pod jej skrzydła zbiegły się szklaneczki. Do mojego ramienia tuliła się natomiast powabna dziewczyna. Przez ubranie wyczuwałem pobudzającą sprężystość jej piersi.

Wolność! Tego szukałem w życiu, a odnajdywałem w górach. We wspinaczce. Imprezy i dziewczyny – oto najmiłsza część egzystencji. To piękno było szczególnie dobrze widoczne właśnie teraz.

- Co pijesz, Denis?
- Koniak!
- Poczęstujesz?
- Pewnie!

Pod stołem czekały na swój czas jeszcze dwie butelki. Nie byłem skąpy.

Niech spłoną w ogniu wymuszone i napudrowane słowa, niech tłum pragnący czystości duchowej i oświecenia smaży się w piekle. Dziś byłem młody w najlepszym tego słowa znaczeniu – wypełniał mnie czysty egoizm. A może testosteron? Prawda przedstawiała się jeszcze inaczej – to była zasłużona nagroda. Skrajne celebrowanie duszy i ciała.

Mogło też być tak, jak w pewnym dowcipie: „W pańskiej adrenalinie, młody człowieku, nie znaleźliśmy krwi”. Taki stan byłby usprawiedliwiony. Gdy świat się rozpadał na atomy i wpadał w otchłań chaosu, działałem pod wpływem ognia duchowego i fizycznego, stawałem się bezduszną machiną, nieumęczoną pytaniami o sens życia i własne w nim miejsce. Dziś jednak moja psychika zaznawała spokoju i szczęścia. Świat wypełniała harmonia, a ja chciałem być beztroski i pijany.

Mówiłem już, że byłem po brzegi wypełniony egoizmem? Nastawiony na zaspokajanie własnych zachcianek? Kilka dni temu bez wstydu i zażenowania wbiłem swoje marzenia niczym gwoździe w drogę na szczyt Amangeldy. Miałem więc pełne prawo nie wstydzić się pragnień. Jak pirat po żywiołowym napadzie, niczego nie żałowałem, a zrabowane pieniądze chciałem roztrwonić na przyjemności ciała i duszy.

- Denis, będziesz dziś śpiewał przy akompaniamencie gitary? -przeciągle zamruczała dziewczyna, przerywając moje rozmyślenia. Mocniej oparła się piersią o moje przedramię.

Och! Życie było tego warte.

- Aniuto, poczekajmy, aż ludzie się uspokoją - wycodziłem przez zęby, jak przystało na brutalnego samca. Należało natychmiast wcielić w życie najskrytsze i największe pragnienia. - Pijesz wino - z zastanowieniem pokiwałem swoim odbiciem w jej oczach - czy przejdziesz do whisky?

- Whisky? - zachichotało cudo w lokach. - Czy to jest whisky?

- No dobrze, koniak.

- O la, la! - Moje marzenie zaśmiało się niczym anioł. - Wszystko jest takie pyszne! Teraz chce mi się koniak!

- Nagrodę do studia![*] - Uniosłem szklaneczkę. - Życzę wszystkim szczęśliwego Nowego Roku!

- Szczęśliwego Nowego Roku! - zawtórowało mi kilka wesołych głosów.

Przy stolikach było gwarno, wszędzie siedziały grupki przyjaciół. Tylko w jednym kącie panował względny spokój. Zaszył się tam jakiś obcokrajowiec ze swoją tłumaczką. Prawdę mówiąc, spokój to za duże słowo, sala była na tyle mała, że zgromadzeni w niej ludzie omalże dotykali się ramionami.

Obcokrajowiec wyglądał na inteligentnego gościa. I on, i jego towarzyszka chyba doceniali uczestnictwo w życiu lokalnej, czy raczej knajpianej społeczności. Większość zebranych była pijana co najmniej pół godziny przed nastaniem nowego tysiąclecia. Znałem ich wszystkich i mogłem sobie wyobrazić konsekwencje takiej imprezy. Adrenalina i testosteron musiały znaleźć ujście. Kilka lat temu ci pijani faceci postanowili pobawić się ze mną w kotka i myszkę. Wrzucali mnie w zaspy śnieżne, dopóki nie zeszytniałem z zimna. Rechotali przy tym jak opętani.

- Den, jest taka sprawa... - Do naszego stolika dosiadł się Nikołaj Czerwonenko.

Jego oddech był tak uduchowiony, że Aniuta odskoczyła.

- Nikołaju Wasiljewiczu, zagryzajcie, inaczej nie dożyjecie jutra - poradziłem.

- Den, czyżbyś mnie nie doceniał?

- To się rozumie samo przez się. Już to sprawdziliśmy - odparłem.

Kola dobrodusznie się uśmiechnął. Był kierownikiem tutejszego pensjonatu. Pod iglakami ustawiono trzy domki, w jednym z nich urządzono knajpkę, w której właśnie odbywała się impreza.

- Mam problem. W domkach trzeba wyłączyć ogrzewanie. Ty nie pijesz, więc... - Rzucił okiem w stronę butelki stojącej naprzeciw mnie. Nieufnie zmrużył oczy, patrząc na szklanki.

- Dużo nie piję, Nikołaju. - Kiwnąłem głową na znak zgody. - Ciebie jednak z radością poczęstuję.

- Nalewaj! - zgodził się ochoczo. Dostojnie przy tym machnął ręką, jakby był dyrygentem w teatrze Bolszoj. Stuknął się z nami i zadowolony roześmiał. - Chcę cię poprosić, żebyś wyłączył ogrzewanie, a potem rano znów je włączył. Inaczej rury szlag trafi.

- Dlaczego sam tego nie zrobisz?

- Obawiam się, że nie dotrzymam. Dziś chcę się napić! Dusza jęczy! Masz tu klucze od domków. Zrobisz to? Pomożesz?

- Pewnie! Obiecuję ci jak przyjacielowi, starszemu koledze. Wszystko będzie w porządku. - Mówiąc to, włożyłem komplet kluczy do kieszeni.

- No to dziękuję! - zakrzyknął Kola, a potem złapał butelkę koniaku, traktując ją jak upominek, i radośnie nas opuścił.

Poczułem się jak Batman: pozytywnie wpłynąłem na sytuację, pomogłem przyjacielowi, a przy okazji uratowałem świat przed zagładą. Co będzie dalej? No tak, pozostały alkohol należało spożyć w trybie pilnym. Ponownie nalałem koniaku Aniucie.

Noc sylwestrowa przypominała narastający przypływ. Nastrój pieńił się niczym grzebień na dziewiątej fali, pieńił się też strzelający w sufit szampan. Jeden po drugim wznoszono toasty. Rozbłyskiwały sztuczne ognie, dyskotekowe rytmy zachęcały do tańca. Trochę przerażone dziewczyny chichotały. Chłopcy niczym hazardziści

rozprawiali o planach na przyszłość i emocjonalnie rozstrzygali, kto miał rację. Od czasu do czasu Aniuta porywała mnie do wygibasów, przygniatała ciałem i nadstawiała usta do pocałunku. Nie odmawiałem. Dotykałem jej krągłych bioder. Było nadzwyczajnie! Pilnowałem, żeby szklaneczkę mojej piękności zawsze wypełniał koniak. Po miesiącach treningów niszczyłem swoją kondycję, pamiętałem jednak o obietnicy złożonej Czerwonce. Starłem się zachować rozsądek.



Sylwester 2000 roku

Kiedy zegar wybił północ, szalejąca na parkiecie młodzież zapragnęła nowych rozrywek. Nie minęło nawet pół godziny od nastania nowego tysiąclecia, gdy w barze

rozpętała się bójka. Nie bardzo rozumiałem, kto i o co się bije. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia, zwłaszcza dla tych, którzy chcieli sprawić sobie manto. Towarzystwo podzieliło się na dwie grupy - chłopcy szalejący w pijackim widzie pośrodku sali na parkiecie oraz ściśnięte przy ścianie dziewczyny wraz ze mną i przestraszonym obcokrajowcem. Przekleństwa i trzask łamanych mebli, brzęk tłuczonych naczyń, piski kobiet i wołanie o pomoc.

- Do mnie, z pięściami?! A masz! A tak! Spadaj! Stój! Do diabła!

Każdy, kto kiedykolwiek brał udział w pijackiej rozróbie, wie, jak się to toczy. Z tłumu dolatywały krzyki i pogrożki, w półmroku błyszcząły twarze, fruwały pięści, czyjeś mocno wysportowane ciało uderzyło o ścianę, inne spadło na stół wprost przed cudzoziemcem. Ten próbował wtopić się w ścianę; mimo mroku widziałem jego okrągłe ze strachu oczy. Strwożona tłumaczka, łapiąc okazję, mocno uczepiła się jego szyi. Musiałem coś zrobić, kolejny „egzemplarz” mógł wylądować na mnie.

Wyrwawszy się z objęć Aniuty, zanurkowałem pod najbliższy stolik, dokąd potoczył się jakiś zamroczony mężczyzna. Jak się okazało, był to Sierioga Brodski. Mamrocząc, gramolił się z posadzki i znów na nią upadał. Złapałem jego szczupłe ciało pod łokcie, wysunąłem spod stolika i niczym z tarczą ruszyłem do ataku.

- Chłopaki, chłopaki! Spokojnie! - apelowałem głośno do sumienia znajomych.

- A po jaką cholere?! Wal się!

Warto było spróbować. Ech! Sierioga dostał parę razy w tułów i zaczął się wyrywać. Dotarło do mnie, że muszę pilnie poszukać wyjścia z sytuacji, inaczej też oberwę, i to od wszystkich naraz.

- Sajgon! - wrzasnałem, bo przypomniałem sobie, że to zwykle on był prowodyrem i najaktywniejszym uczestnikiem bijatyk. - Tu są baby! Wypad na dwór!

- Zaraz ty wylecisz na dwór. Powrzucamy cię do zasp śnieżnych, jak kiedyś!

- Luzuj chłopie! Dla was jest tu za mało miejsca! Wynocha!

Na moje szczęście któryś z chłopaków, tak samo aktywny jak Sajgon, pojął, że pod drzewami rzeczywiście będzie łatwiej wyjaśnić pewne sprawy.

- Paszoł won, ty potworze! - Usłyszałem głos Mołgaczowa. - Poturbujemy dziewczyny!

- Zaraz ci pokażę, kto jest potworem! Biegiem!

- Podejdź no do mnie, ty cyklopie! Dawać ich, chłopcy! Dawać! - ryczał Damir.

- Bydlaki! Tchórze!

Drzwi otworzyły się na oścież i horda wojowniczo nastawionej alpinistycznej braci wypadła na zewnątrz. Po chwili z dworu zaczęły dochodzić wściekłe wrzaski oraz odgłosy ciosów. Muszę przyznać, że nie miałem najmniejszych chęci oglądać kto kogo i dlaczego. Popchnąłem Sieriołę, żeby nabrał przyspieszenia, i wysłałem go w ślad za towarzystwem. Chciałem już zamknąć drzwi, kiedy znów pojawił się Sajgon.

- Urubko, zaczekaj! - zawołał. - Dasz się napić?

Zmierzyłem go wzrokiem. Hm, co będę dobremu człowiekowi żałował. Sam nie mogłem już chlać.

Dałem nura pod stół i wyciągnąłem flaszkę koniaku. Ostatnią.

- Biorę całą, nasze zapasy już poszły - mruknął pod nosem Sajgon, jakby przepraszając. Był potężnym facetem. Tak

naprawdę nazywał się Aleksandr Koczetow, ale minęło już tyle lat, odkąd nikt go tak nie tytułował, że wszyscy o tym zapomnieli. - Dzięki!

- A bierz! - odparłem. - Na zdrowie!

- Szczęśliwego Nowego Roku! - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Złapawszy kilka szklanek, zniknął za drzwiami.

Rozejrzałem się. Zdaje się, że wszystko było w porządku. Na bufecie spoczywała głowa Nikołaja Czerwonienki. O nim zapomniano. Doczepiony do tej głowy tułów ledwie trzymał się na stołku barowym; chłop był nieprzytomny. Dziewczyny stały pod ścianą. Doprowadzały się do ładu i o czymś żywo rozmawiały. Aniuta rzuciła mi spojrzenie pełne ognia i pożądania. Uff, zdaje się, że burza przeszła bokiem.

- Młodzieńcze! - zawołała tłumaczka - Dziękuję panu!

- Dziękuję, dziękuję! - Pokiwał głową obcokrajowiec. Szepnął coś na ucho kobiecie.

- Może zechciałby się pan do nas przysiąść? - spytała. - Jesteśmy tu sami.

Cóż! Podszedłem do Aniuty i objąłem ją w talii.

- Czy ty mnie kochasz? - Zalotnie odchyliła głowę do tyłu.

- Do szaleństwa! - przytaknąłem, całując ją w szyję i dekolt. - Chodź, pogadamy z ludźmi.

- Ale po co z ludźmi. - Zachichotała. - Nie chcę z ludźmi. Chcę... chcę ciebie!

- Gwiazdko moja! Dziś będę należeć do ciebie. Ale posiedzmy jeszcze chwilę.

Podniosłem ją i zaniósłem do stolika. Usadziłem na krześle.

- To jest Anna - przedstawiłem dziewczynę. - A ja mam na imię Denis.

- Tania. - Skinęła głową tłumaczka. - I mój przyjaciel Mustafa. Przyjechał z Turcji.

- Jak się tu znalazł?

- Pra... pracuję w Ałmatach - powiedział Turek niezłą ruszczyzną. - Możesz mnie pytać.

Dobrze! Chłop nie potrzebował tłumaczki, ja również. Mogliśmy obejść się bez pomocy.

- Ooo - uniosłem w górę kciuk - nieźle gadasz! Jak znalazłeś się w Tujuk-Su? Nie wyglądasz na szaleńca.

Tatiana i Aniuta wybuchnęły śmiechem. Mustafa też się zaśmiał. Wyglądało na to, że dobrze rozumiał po rosyjsku.

- Czego się napijesz? - zapytał.

- A ty na co masz ochotę, moja miła? - zwróciłem się do Aniuty. - Whisky? Tak, chcemy whisky!

- Doskonale! Whisky! - Mustafa machnął ręką w stronę bufetu. - Poprosimy.

Facet wyglądał na czterdzieści pięć lat. Miał ciemną karnację, jak wszyscy Turcy, i przenikliwe spojrzenie. Do tego był gładko ogolony. Pedant! Ubrany z europejską elegancją, roztaczał wokół siebie atmosferę szacunku do innych i samego siebie. Mógł być kimkolwiek: stomatologiem albo menedżerem spółki naftowej.

- Jestem przyjacielem Rinata Chajbullina - oświadczył, jakby czytał w moich myślach.

- Aha! - odparłem. - Masz szczęście.

- Oj mamy, mamy - odezwała się Tatiana. - Rinat nas tu zaprosił i przywiózł samochodem, wczoraj wieczorem. To wspaniały człowiek!

- Czym się zajmujesz? - spytałem.

- Jestem archeologiem.

- Co? - Cicho się zaśmiałem, Aniuta natomiast, doceniając komizm sytuacji, delikatnie się uśmiechnęła. - Po raz pierwszy w życiu spotykam prawdziwego archeologa. W dodatku w górach. To ciekawa sytuacja, możesz mi wierzyć.

- Oczywiście. - Mustafa spokojnie skinął głową. Wyglądało na to, że dobrze się bawił. - Zajmuję się nie tylko archeologią. - Nauka to, że tak powiem, sprawa dla ducha. Podstawa to biznes.

- Tak? A co badasz?

- W biznesie?

- Na cholerę mi twój biznes! Co badasz w archeologii?

- Hm... - Próbował znaleźć słowa. - Rozumiesz, Etruskowie, oni zamieszkiwali...

- Masz na myśli lud z Półwyspu Apenińskiego?

- Tak. Trzy tysiące lat temu.

Okazało się, że całe swoje dorosłe życie Mustafa poświęcił badaniu kultury Etrusków. Poszukiwania zaprowadziły go do północnych Włoch, które przejechał wzdłuż i wszerz. Dotarł też do Bułgarii i granic dzisiejszej Francji.

- To było bardzo ciekawe. Tyle zagadek i tajemnic wiąże się z tą kulturą.

- Powiedzmy, że - pokiwałem mądrze głową - nawet ich pochodzenie otacza tajemnica.

- Właśnie - zgodził się mój nowy kumpel. - Etruskowie nie pozostawili po sobie piśmiennictwa, dlatego tak mało mamy danych. A te, którymi dysponujemy, to interpretacje, na przykład Herodota lub innych Greków.

- Rzymianie też się nie krępowali! - zareagowałem gniewnie. - Całą historię Etrusków spisali tak, jak im było

wygodniej. - Uderzyłem pięścią w stół szczerze oburzony brakiem zasad staruszków Rzymian.

- Dokładnie! Dobrze mówisz. - Pokiwał głową Mustafa. - Etruskowie byli mistrzami w obróbce brązu, nauczyli tego cały region Morza Śródziemnego. Podczas wykopalisk można znaleźć mnóstwo ciekawych rzeczy. Na przykład takie naczynia.

- Siódmy wiek przed naszą erą - wyrwało się z moich ust. - Ceramika bucchero nero.

- Słucham? Ależ tak! - Turek niemal zakrztusił się z podziwu. - Ty to wiesz?!

Czy wiedziałem? Dobre pytanie. Sam byłem cholernie zaskoczony tym, co mówię.

- Ta ceramika - kontynuowałem - była w specjalny sposób wypalana, tak by tlenki żelaza...

Aniuta ukradkiem spojrzała na mnie z nabożnym podziwem.

- No właśnie! - wykrzyknął zachwycony Mustafa. - Chodzi o to...

- Że orbity elektronów nie pokrywają się z geograficznymi, no nie. - Puściłem do niego oko.

- Denis, czy możemy już iść? - szepnęła mi do ucha moja miła.

- Poczekaj jeszcze chwilę - wymamrotałem. - Mam klucze do domków, tam ciepło, łóżko. - Potem zwróciłem się do Mustafy: - Nalewaj, dojdziemy, o co w tym wszystkim chodzi! Sporo tu niejasności.



Ałatau Zailijski, dolina Tujuk-Su

Potomek janczarów z godnością uniósł butelkę whisky, zgrabnie ją otworzył i z upojeniem wymalowanym na twarzy rozlał trunek do szklaneczek. Noc dopiero się rozkręcała.

Etruskowie. Co o nich wiedzieliśmy? Jakies trzy i pół tysiąca lat temu ci potomkowie kromaniończyków stworzyli własną kulturę. Żyli sobie raczej szczęśliwie. Gardząc potrzebami ludzi z XX wieku, nie tracili czasu na budowanie piramid, pomników i monumentalnych rzeźb w typie Buddy lub Sfinksa. Spokojnie spełniali to, co inni szumnie nazywali odgrywaniem historycznej roli. U wybrzeży Półwyspu Apenińskiego sprzyjały im okoliczności. Italia, moje dziecię!

Wyciągnąłem dłoń po szklaneczkę. Drugą ręką objąłem Anię w tali i ucałowałem w skroń. Ukryłem twarz w jej jedwabistych włosach. Ten zapach upajał mnie bardziej niż

alkohol, przechowywał tajemnice wszechświata. Był kwintesencją młodości. Prawdziwym życiem.

Według mitów i literackich przekazów założycielem Etrurii był Eneasze, uciekinier ze spalonej Troi. W XI wieku przed naszą erą, po zniszczeniu miasta przez Greków, zebrał ocalałych Trojan, wsadził na okręty i popłynął wraz z nimi tam, gdzie oczy poniosą. Bogowie wskazali mu właściwą drogę i zaoferowali najlepsze miejsce do życia. Zasymilowawszy się z miejscową ludnością Italii, Trojanie dali początek kulturze etruskiej, która istniała przez tysiąc lat. Tyle mity, które, jak się wydaje, mogą zawierać w sobie echa historycznych wydarzeń. Wiadomo, że Etruskowie stworzyli wysoko rozwinięte społeczeństwo, w którym panowała bogata klasa arystokratów. Ich kultura została wchłonięta przez Rzymian.

„Zjecie tam swoje stoły” - brzmiało proroctwo określające miejsce założenia nowej ojczyzny. Przetrwawszy setki nieszczęść i przygód, płynąc wzdłuż wybrzeża, okręty Trojan dotarły w pobliże ujścia rzeki Albula, zwanej później Tybrem. Eneasze nakazał przybić do brzegu i rozbić obóz. Teren był dziki, a wody rzeki mętne, ale po przybyciu Trojan z ziemi wytrysnęło czyste źródło. W dowód wdzięczności postanowiono złożyć tam ofiarę. Przyszykowano uroczysty, choć skromny posiłek, jedzenie ułożono na upieczonych podpłomykach. Po zjedzeniu potraw również placki zostały rozdzielone między ludzi. Jeden z synów Eneasza zaśmiał się wówczas i powiedział: „Zjedliśmy swoje stoły”. Nikt nie zwrócił uwagi na ten żart. Tylko Eneasze pojął, jak ważne są te słowa. Poderwał się z ziemi, wznosił ręce ku niebu i zawołał: „Witaj, nieznana kraino! To ty zostałeś przeznaczona nam przez bogów! Spełniła się starożytna przepowiednia: »Głód zaprowadzi was na nieznany brzeg. Tam

pozjadacie swoje stoły». Nasza tułaczka dobiegła kresu!”.

Eneasza nakazał złożenie kolejnej ofiary. Jedno z przeznaczonych na rzeź zwierząt wyrwało się z obozowiska i pobiegło w głąb lądu. Zrozumiawszy, że bogowie dają im kolejny znak, ruszono za nim w pościg. Przebiegłszy dwadzieścia cztery stadiony, zwierzę opadło z sił, wlaźło na pagórek i ułożyło się do odpoczynku. W tym właśnie miejscu Trojanie założyli swoją pierwszą osadę. Tak zaczęła się historia Rzymu.

Od tamtego czasu minęły trzy tysiąclecia i nad ziemią budził się kolejny poranek. W samym środku Azji - nad wyraz daleko od ruin Troi i jeszcze dalej od błogosławionej Italii - dobiegło końca noworoczne świętowanie. Świat położony na nizinach szykował się do snu, a latarnie w Ałmatach powoli gasły. W tym samym czasie w jednym z zaśnieżonych wąwozów można było zaobserwować romantyczny obrazek. Młody mężczyzna, wielce pobudzony po wypiciu dużej ilości whisky, tonął w objęciach sympatycznej dziewczyny. Stali przed drzwiami domku, chłopak z całych sił próbował trafić kluczem do zamka. Panienska chichotała. Była pijana, obłapiała swojego absztyfikanta, dotykając różnych części jego ciała, on zaś mrucał z zadowolenia. Dookoła szumiały zaśnieżone stuletnie jodły, brzask muskał ich srebrzyste łapy. Szczyty gór, niczym święci tytani, tonęły w poblasku. Poradziwszy sobie wreszcie z zamkiem, chłopak otworzył drzwi do ciepłego pomieszczenia. Spragniona niezapomnianych emocji i przeżyć para wślizgnęła się do środka. Rozpoczęło się nowe tysiąclecie.

[*] Zwrot, który pochodzi z popularnego w ZSRR, a potem w Rosji telewizyjnego show „Pole cudów” (odpowiednik naszego „Koła fortuny”).



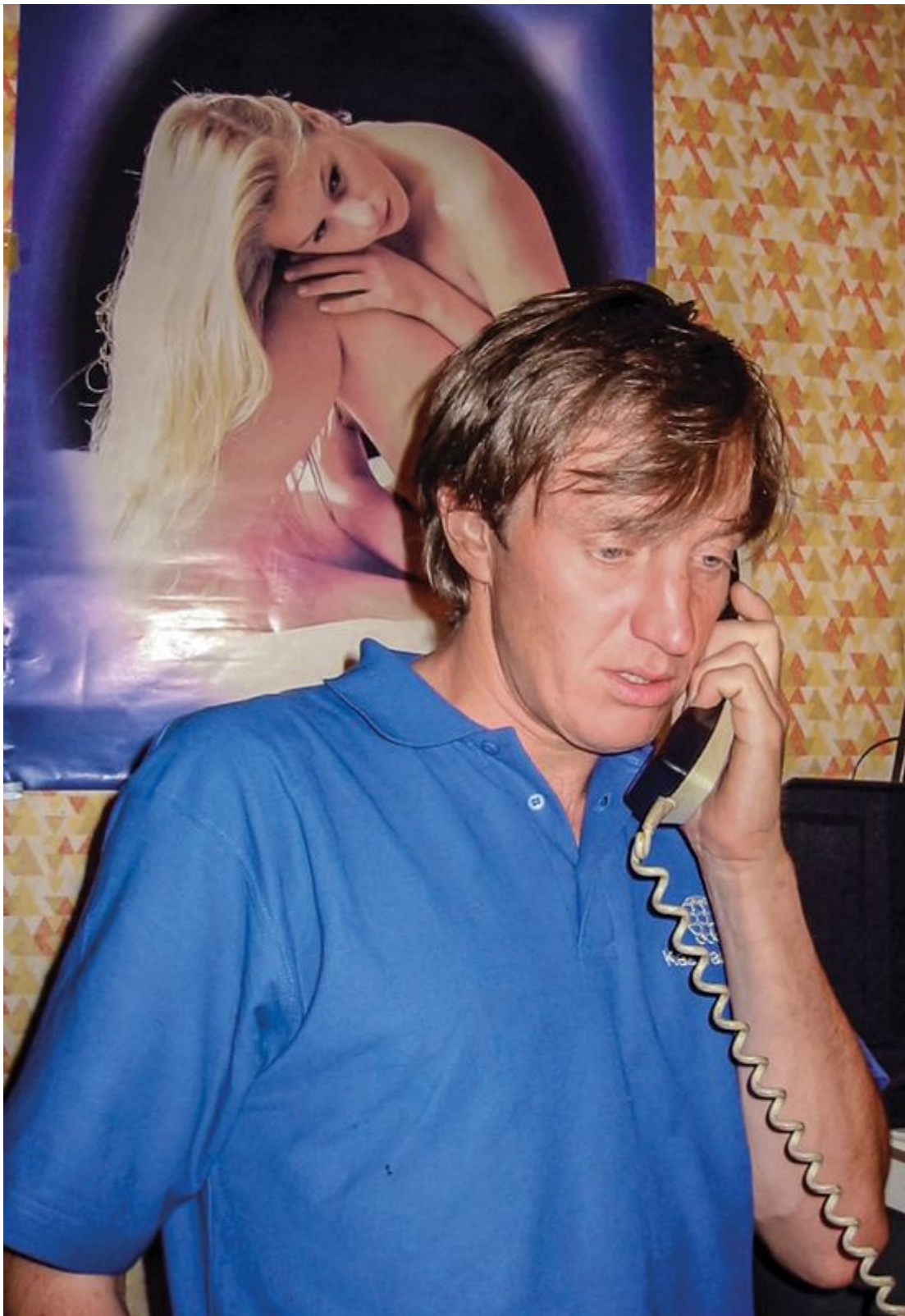
Rinat Chajbullin zatelefonował po Nowym Roku i jego mrozach. Nie dodzwonił się do mnie, tylko do żołnierza dyżurującego w koszarach. Ten, włożywszy oficjalny strój, czyli szynel, zagruchotał zimowymi butami po korytarzu i zapukał do drzwi mojej komórki.

- Den, ten, tego. Rinat telefonuje do ciebie.

W tamtym czasie zajmowałem malutki pokój w oddziale Centralnego Sportowego Klubu Armii Kazachskiej (CSKA). Ulicą Żarokowa jeździły tramwaje, a kadeci ze szkoły raketników zabawiali całą okolicę. Jedno i drugie powodowało wstrząsy nietrwałych ścian baraku. Mieszkało w nim kilku szeregowców i jeden chorąży z sekcji alpinistycznej. Moja rezydencja miała wymiary dwa na dwa metry. Koledzy dziwili się, jak się w niej mieszczę, w dodatku ze wszystkimi skarbami! Na ścianie wisiał plakat długowłosej blondyny o ładnych piersiach. Przypominał o sensie życia i o tym, że na świecie można znaleźć niesamowicie urodziwe dziewczyny. Wszystkich ich pragnął samotny chorąży. Puściwszy oko do dziewczoi, wyszedłem na ganek, gdzie znajdował się posterunek dyżurnego.

- Tak, Rinat? Witaj. I szczęśliwego Nowego Roku! - zatrajkotałem do słuchawki.

- Cześć, Denis - zaskrzypiał w odpowiedzi znajomy głos. - Co u ciebie?



Przyszeli taki czas, ze dorobitem sie telefonu w swoim pokoju

- W porządku. - No, no, Chajbullin interesował się, co u mnie. Trzeba było ten sukces natychmiast przypieczętować. Zapytałem więc: - A u ciebie? Wszystko dobrze?

- Tak, jestem w biurze. - Rinat milczał przez kilka sekund. Wyglądało na to, że moja grzeczność zbiła go z pantałyku. - Chce się z tobą spotkać jedna osoba. Dasz radę przyjechać?

Wow! Robiło się coraz ciekawiej.

- No pewnie! Do twojego biura?

Po drugiej stronie kabla usłyszałem cichy śmiech.

- Nieee. Po co masz do mnie jechać? Nie zapytałeś nawet, kto chce się z tobą spotkać.

- Tak? - Teraz ja się uśmiechnąłem. - Czy to ważne?

Chajbullin westchnął. Może zaklął w myślach.

- Pamiętasz Mustafę? - zapytał.

- Mustafę... Mustafę... - Zrobiło mi się głupio. Szperałem w pamięci, ale...

- Poznaliście się w noc sylwestrową.

Przed oczami stanął mi turecki profil wlewający w siebie szklaneczkę whisky. Widziałem go w blasku świec i otoczce noworocznych włosów anielskich.

- No, pewnie! - zawołałem rozbawiony.

- Notuj adres i telefon. - Rinat cmoknął z przyganą. - Masz coś do pisania pod ręką?

Nieźle słownictwo w ustach szefa! Coś do pisania pod ręką. Rozejrzałem się dookoła, podniosłem aparat telefoniczny oraz stos czasopism z krzyżówkami i gołymi panienkami. Potem rzuciłem w stronę żołnierza dyżurnego:

- Jest tu coś do pisania?

Dobrodusznie wyszczerzył zęby, zaprzeczył ruchem głowy. Pomyślał chwilę, a potem wyciągnął spod podszybia szynela pudełko zapalek i podał mi spaloną. W ten sposób, wprost na udzie piękności z czasopisma wysmarowałem osmoloną częścią tak niezbędne informacje.

Po obiedzie wyruszyłem we wskazanym kierunku. Do samego Mustafy nie zdołałem się dodzwonić, nie było go w biurze. Ale oprócz tłumaczki Turek miał też sekretarkę, która głośno i wyraźnie poinformowała mnie, że pan Anił będzie na mnie czekał pod podanym adresem. Oczekujemy pana o godzinie szesnastej zero zero. Czy pan zanotował? Tak, wszystko się zgadza. Wobec tego dziękuję za telefon.

Oczekują mnie? Mówią per pan. Wzruszyłem ramionami. Głos sekretarki sprawiał miłe wrażenie. Kiedy otworzyłem drzwi biura, byłem jeszcze bardziej zaskoczony. Potraktowano mnie ciepło i serdecznie. W tamtych czasach należało to naprawdę do rzadkości. Sowiecki system kontrolowania ludzi, gdzie nikt nikomu nie ufał, pozostawił w nas niezatarty ślad i przyzwyczał do nieufności.

Kobieta usadziła mnie w fotelu i zapytała:

- Napije się pan kawy?

Zgłupiałem do tego stopnia, że nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Czy należało pić kawę?

- A może herbaty? - Uśmiechnęła się.

- Czy... - Kaszlnąłem, próbując niezgrabnie ukryć zmieszanie.

- Kawę - poradziła łagodnie. I dodała: - Może pan odwiesić kurtkę o... tam.

Mustafa wyszedł z gabinetu punkt szesnasta. Być może miał ukrytą kamerę i wiedział, że czekam w sekretariacie,

albo sekretarka w jakiś sposób poinformowała go o moim przybyciu.

- O! Dzień dobry, Denis - przywitał się.

Miał na sobie ciemny garnitur, z górnej kieszonki wystawała ozdobna chusteczka. Przypominał działacza politycznego. Niewysoki, zdawał się osobą, która nigdy się nie spieszy. Jednocześnie roztaczał wokół siebie aureę zdecydowania. Jak wyglądałem w jego oczach ja - wojskowy w sportowych ciuchach? Właśnie skończyłem pić kawę, byłem w świetnym nastroju, nie przejmowałem się więc tą kwestią. Moją głowę zaprzętało inne pytanie: „Czego on ode mnie chce?”. Może zamierzał się wspinać i myślał o wynajęciu mnie w charakterze instruktora? Hm, byłoby nieźle, zarobiłbym trochę forsy.

Mustafa otworzył szeroko drzwi i gestem zaprosił do gabinetu. Skinął przy tym na sekretarkę, prosząc, by zrobiła jeszcze po filiżance kawy.

- Nie masz nic przeciwko? - Pytająco uniósł brwi.

Byłem bardzo „nic przeciwko”. Byłem nawet „za”, skoro mogłem mieć to za darmo.

Niewielki gabinet sprawiał przytulne wrażenie. Pasował do gospodarza. Urządzony z prostotą w biznesowym stylu, miał w sobie indywidualny rys: piękną dużą lampę podłogową. I zadbane kwiaty doniczkowe, których zieleń cieszyła oczy. Posadziwszy mnie na kanapie, Mustafa przysunął sobie fotel. Pomiedzy nami znajdował się niewielki kawowy stolik wykonany z matowego szkła.

- Jak tam? Co u ciebie? - zapytał gościnnie.

Hm! Znów kogoś interesowały moje sprawy. W Kazachstanie działo się coś dziwnego. Zmiana pogody? A może klimatu?

- W porządku - odparłem zgodnie z zasadami dobrego wychowania. - A jak pan się ma?

Skrzywił się, jakby połknął coś kwaśnego.

- Przecież byliśmy na „ty”! No tam. - Zawadiacko machnął ręką w kierunku gór.

- No tak, racja. No więc, jak leci?

- Wspaniale. - Uśmiechnął się. - Nowy Rok był znakomity! Roześmiałem się szczerze i serdecznie.

- Dla mnie też był to jeden z najlepszych sylwestrów - powiedziałem.

- Raz jeszcze dziękuję za interwencję. Ta bójka... - Wykonał przed twarzą palcami jakiś nieokreślony gest.

- Nic się nie stało. - Wzruszyłem ramionami. - To byli moi znajomi. Dobre chłopcy, tyle że popili.

Mustafa kiwnął głową. Potem założył ręce na piersi, odchylił się na oparcie fotela i oceniająco na mnie spojrzał.

- Czyli jesteś alpinistą. Rinat Chajbullin ma o tobie bardzo dobre zdanie.

Do gabinetu weszła sekretarka. W eleganckim kostiumie wyglądała tak poważnie jak właściciel tego biura. Postawiła tacę na stoliku, uroczo się uśmiechnęła i wyszła. Mój gospodarz patrzył na mnie, jakbym wygrał los na loterii.

- Może Chajbullin żartował? - Roześmiałem się. - Pewnie trochę przesadził. Ale, skoro tak mówił, to... to miło z jego strony.

- Podobno zwyciężyłeś w zawodach.

Mustafa wciąż nie sięgał po swoją filiżankę, co wprawiało mnie w zakłopotanie. Kawa była gorąca, podobnie jak mleko, w cukiernicy czekały zgrabnie ułożone w kształt

stożka kostki. Jeśli będziemy rozmawiali zbyt długo, wszystko wystygnie.

- No tak, zwyciężyłem. - Skinąłem głową. - Kilka dni przed sylwestrem.

- Słyszałem, słyszałem. - Mustafa znów się uśmiechnął. - Biegi i szybka, jakże to...

- Wspinaczka - odpowiedziałem.

- O, właśnie! I jaki miałeś czas?

- Godzina, piętnaście minut, czterdzieści dwie sekundy. - Nie odrywałem oczu od filiżanek.

Gospodarz tego interesu w końcu zauważył mój wlepiony wzrok i zamachał rękoma.

- Częstuj się! - zawołał, a widząc, jak złapałem cukiernicę i włożyłem do filiżanki cztery, nie, pięć kostek cukru, roześmiał się przyjaźnie. Wytwornie ujął swoją filiżankę, dodał jedną kostkę i zgrabnie zamieszał kawę.

- Masz ładny gabinet. - Rozejrzałem się na znak pochwały. Zmrużyłem oczy i wskazałem głową na półki z kwiatami. - Ładnie wyglądają. Moja siostra jest botanikiem.

- Naprawdę? - W głosie biznesmena wyczułem szacunek. - Hoduje kwiaty?

- Bada je - odrzekłem, dumnie prostując plecy. - Moja siostra Ludmiła pracuje w ogrodzie botanicznym. Jest naukowcem. Bada kwiaty tak jak ty kulturę Etrusków.

- No proszę. - Mustafa się ożywił. - Pamiętam! Przegadaliśmy o Etruskach pół nocy!

- Cóż - rzekłem trochę skrepowany - o czymś gadaliśmy, tak.

- Dużo wiesz. Interesowałeś się tym tematem?

- A i owszem. Za młodu sporo czytałem. Wówczas wszystko mnie interesowało. Nie to, żeby Etruskowie jakoś specjalnie, tak wyszło.

- To znaczy?

Poczułem się dziwnie. Jakbym znalazł się na celowniku. Niby nic strasznego, ale nie rozumiałem, skąd brało się to zainteresowanie moją osobą. Fascynację etruską kulturą pojmowałem, ale mną? No dobra, kawa była smaczna, Turek dobroduszny, jego gabinet emanował powagą, za oknem puszczał do nas oko dwudziesty pierwszy wiek, więc...

- To wina matki i ojca. - Uśmiechnąłem się. - Tak wyszło, że nauczyli mnie czytać, kiedy miałem pięć lat. Układałem razem z tatą klocki, na których były litery. Z liter powstawały słowa. To było wciągające. Potem mama kilka razy zmusiła mnie do przeczytania ciekawych książek. I poszło. W domu mieliśmy regały z książkami, sięgały sufitu. Puszkina, Tolstoj, Wells, Twain, Paustowski.

- No, no. Ale ci się, jak to mówią, poszczęściło.

- A poszczęściło - zgodziłem się. - Mieliśmy w czym wybierać. W bibliotece były też książki o starożytnych Grekach i Etruskach. Nie to, że jakoś specjalnie mnie interesowały. Tak po prostu wyszło.

- W każdym razie sporo wiesz - podsumował Mustafa. - Widać, że cię to ciekawiło.

Uznaje się, że początek istnienia Etrurii przypada na X wiek przed naszą erą. Zbiegł się on ze schyłkiem italskiej kultury protowillanowiańskiej (XII-X wieku przed naszą erą). Niewiele wiadomo o tej epoce, w niej jednak należy szukać korzeni Etrusków. Zmianie uległy wtedy obrządki grzebalne. Zmarłych palono, prochy chowano w charakterystycznej urnie z gliny

i umieszczano w grobowcach rodzinnych lub publicznych.

Specyfikę myślenia Etrusków dobrze oddaje ich pismo. Etruskowie zapisywali kolejne wiersze tekstu na przemian: od lewej do prawej, potem od prawej do lewej, a następnie ponownie od lewej do prawej i tak dalej. Taką metodę zapisu zwano bustrofedonem, co obrazowo oddawało kierunek pisania - „tak jak wół orze pole”. Ten sposób zapisu był stosowany na starożytnej Krecie, w języku hetyckim, staroaramejskim i starogreckim.

Etruskowie używali alfabetu podobnego do greckiego. Fragmenty tekstów, które zostały po Etruskach, możemy przeczytać, ale są one niezrozumiałe. Nie udało się odszyfrować znaczenia większości słów i napisów zachowanych na ścianach grobowców i wyrobach ceramicznych. W średniowieczu uważano, że odszyfrowano znaczenie około pięciuset etruskich słów, obecnie uznaje się, że jedynie dwustu. Etruska literatura, która według przekazów starożytnych Rzymian była bogata, nie przetrwała do naszych czasów.

Po półgodzinnej rozmowie o kulturze willanowiańskiej, braku władz centralnych u Etrusków i wchłonięciu tej kultury przez republikę rzymską, zaczęliśmy się żegnać. Wyszliśmy do sekretariatu, narzuciłem na ramiona kurtkę.

- Dziękuję za kawę. - Skłoniłem się w stronę sekretarki siedzącej przed monitorem komputera. Uśmiechnęła się dyplomatycznie. Potem odwróciłem się do Mustafy. - A w ogóle to zgadzam się z badaczami, którzy twierdzą, że Etruskowie dali początek słowiańskim plemionom na północy Apeninów i Bałkanów.

- Tak. Ale wiesz... - Nagle źrenice jego oczu się rozszerzyły, klepnął się dłonią w czoło. - Zaczekaj!

- Coś się stało?

- Zapomniałem o najważniejszym. Przecież dlatego cię zaprosiłem.

- A myślałem, że na kawę - zażartowałem.

Mustafa szeroko się uśmiechał. Gestem osoby nieznoszącej sprzeciwu wskazał mi jeden z foteli w sekretariacie, sam rozsiadł się w drugim.

- Nasza rozmowa była tak ciekawa, że zupełnie mi to z głowy... - umilkł. - Jak to się mówi?

- Wyleciało.

- Właśnie! Wyleciało.

- Nic się nie stało. - Wzruszyłem ramionami. - Jak będziesz gotowy, daj znać. - Zaśmiałem się.

- Chciałem porozmawiać. Rinat Chajbullin mówił mi, że chcesz jechać w dalekie góry. No, w te, jak im tam...

Stop! Nagle świat zastygł w miejscu, wszystko wokół przestało istnieć. Czas skurczył się do tu i teraz. Tak jak wtedy, podczas wspinaczki na szczyt Amangeldy.

- Himalaje - wydusiłem z zastygłych ust.

- Tak, tak! Himalaje. Wybierasz się tam?

Kompletnie nic nie rozumiałem. Co mieli wspólnego Etruskowie z Himalajami?

- Wybieram, to za duże słowo. Taki wyjazd kosztuje.

- To znaczy?

- Nie mam tylu pieniędzy. - Skrzywiłem się. - Gdybym je miał, już dawno bym tam pojechał.

Mustafa poprawił swoją ozdobną chusteczkę w kieszonce marynarki, odkaslnął i oświadczył:

- Mógłbym pomóc finansowo. Zapłacić za tę, jak to mówią, wy... wy... wy...

- Wyprawę - wymamrotałem machinalnie.

- Właśnie. Za wyprawę.

Poczułem się tak, jakby epoki nagle się połączyły; z przeszłości wkroczyłem w przyszłość. Trwało to ułamek sekundy. Zastygłem w połowie wstawania z fotela. Dobrotliwie uśmiechający się Eneasz, korowód tajemniczych Etrusków, okruchy ceramiki bucchero nero, dym ceremonii pogrzebowych i głuchoe odgłosy bębnów. Wyraźnie je słyszałem. Czyżby tak tętniła krew w żyłach? W moim sercu zapłonął ogień.



W Ałmatach trwała noc. Zgodnie z prawami natury: wiosenna i ciepła, jak to w pierwszych dniach kwietnia na południu Kazachstanu. Ruszaliśmy do akcji.

- Szybciej, Den! - Zdyszana Galina Mulkowa otwierała samochód. - Wrzucaj plecak i wskakuj!

Dwa razy nie kazałem się prosić. Gala miała w sobie temperament, chciałem dotrzymać jej kroku. Spełniać polecenia z prędkością światła lub przynajmniej dźwięku. Była ponętna, ta diablica! Odpowiednio mocny makijaż, brązowa skórzana kurtka, dżinsowa spódnica i buty na obcasie. Zza zasłony na czwartym piętrze sączyła się słaba poświata. Galina zapomniała wyłączyć światło. Opadłem na przednie siedzenie niwy, zatrzasnąłem drzwi i zapiąłem pasy.

- Gotowy!

- Tylko gdzie są kluczyki? Cholera! Nie widziałeś ich, Den?

- Ja? Skądże. - Zaczerwieniłem się.

Pogrzebała w torebce i rzuciła mi ją na kolana.

- Są! W kieszeni.

Silnik odpalił za pierwszym razem. Szarpnąwszy do przodu, Galina cofnęła samochód, a potem dodała gazu i ruszyła w górę ulicy Auezowa. Mrugały tu żółte światła. Zaskrzypiawszy amortyzatorami na wirażu przed budami spółki Atakent, niwa skręciła w lewo. Podporządkowując się twardej ręce Galiny, potoczyliśmy się w stronę centrum.



Kiedy Galina Mulenkowa opowiada lub śpiewa, łatwo uwierzyć w szczęście

- Galu - odezwałem się nieśmiało - zapomniałaś zgasić światło w domu.

- Nie przejmuj się! - Machnęła ręką. - Córka zgasi.

Koszary, w których mieszkałem, znajdowały się niedaleko domu Galiny. Wystarczyło przejść kilkanaście przecznic, żeby znaleźć się pod jej oknami. Była głęboka noc lub wczesny poranek, zależy, jak kto lubi. Dla mnie, przyzwyczajonego do wojskowego życia i z alpinistycznymi nawykami, był to poranek. Dla Galiny, dziennikarki najwyższej rangi, uczestniczki spotkań rządowych - noc. Zgoda na wylot przyszła ledwie trzy dni temu. Ale Galina, kiedy do niej zadzwoniłem, tylko się zaśmiała i powiedziała, żebym się nie przejmował, bo wszystko będzie dobrze.

- Moja hakuna matata jest niezastąpiona. Najwyższy standard!

Hakuną matatą nazywała swoją czerwoną niwę z wymalowanymi po bokach rumiankami. Jeden żółto-biały kwiatek tkwił nawet na masce. Całość wyglądała rozrzewniająco kobieco. Galina o wyglądzie Joanny d'Arc z czasów rozbicia Anglików pod Orleanem tworzyła z samochodem zgrany zespół.

Miasto od kilku dni kipiało niespokojną energią, typową dla wiosny. Budziło się ze stanu hibernacji, powolnie upływających dni, zredukowanej percepcji. Zimą wszystko stawało się ograniczone. Człowiekowi nie chciało się przecinać ani myślą, ani ciałem mroźnej przestrzeni. Kiedy przychodziło ciepło, Almaty otwierały się jak spragnione słonecznego ciepła romantyczne tulipany. Zaczynały kipieć siłą i młodością, aktywnością.

Sam też poddawałem się tej atmosferze. Wiosenne miasto wzywało tam-tamami, burzyło krew: rozbrzmiewało w świadomości i niekontrolowanie wciągało w ogień. Ciepło budziło marzenia o pięknie i wędrówkach. Chciało się rozsunąć zasłonę powszedniości, ujrzeć za rogiem bajeczne pałace, zrobić krok ku przygodzie. A ja chciałem być szczęśliwy i dawać radość innym, szczególnie dziewczynom.

Teraz jednak omijałem wzrokiem kolana Galiny przy desce rozdzielczej. Głowę skierowałem w stronę gór. Na południowych obrzeżach miasta bieleł się grzebień szczytów. Rejestrowałem je niczym fotograf utrwalający obrazy na zdjęciu. Ten widok znałem na pamięć, wypalił się w mojej pamięci niczym na światłoczułej kliszy. Ale paradoksalnie, choć wszystkie tutejsze żleby i przełęcze znałem jak własną kieszeń, a w tych górach czułem się jak w domu, będąc tam, wciąż czułem emanującą od nich tajemnicę stworzenia.

Jeśli masz wyobraźnię, możesz całkowicie zanurzyć się w alpinizmie. Wszystkie życiowe drobiazgi, sprawy dobrobytu i pieniędzy, schodzą wówczas na drugi plan. Żyje się dla siebie, w harmonii z przeznaczeniem, nie myśli o bogactwie i unormowanej codzienności. Ważne staje się realizowanie kolejnych projektów, rozwój własnych umiejętności. W Ałmatach myślałem tylko o wspinaczce. Nieważne, czy samotnie, czy z przyjacielem, czy w zespole. Każda zrobiona droga otwierała nowe możliwości. Wyzwania stawały się coraz trudniejsze, pozwalały poznawać nowe zakątki górzystej krainy. Przypominało to kalejdoskop: nawet niewielki ruch powodował, że pojawiały się w nim kolejne wzory i figury. Góry potrafiły być i surowe, i gościnne, wyrastały nad miastem, zasłaniając horyzont. Niekiedy przypominały chmury unoszące się w stanie nieważkości nad zielenią sadów, czasami tworzyły mur, od którego odbijały się grzmoty wyładowań atmosferycznych; spoglądały wtedy złowrogo na ludzkie mrowisko u swoich podnóży. Przyciągały i hipnotyzowały.

Takie były te nasze góry.

- Den, wszystko w porządku? - zainteresowała się Galina.
- Śpisz?

- Marzę, Galu - westchnąłem i wynurzyłem się z mistycznego stanu. - W żaden sposób nie mogę uwierzyć, że lecę w Himalaje.

- Nic dziwnego. Nie tchórzcie, chorąży, dacie radę! - Spoważniała. - Dopiero jak wsiądziesz do samolotu, możesz uznać, że ci się udało. Masz, odpukaj w niemalowane drewno. - Nachyliła się i wyciągnęła ze schowka drewniany grzebień. - Zawsze go wożę ze sobą. - Puściła do mnie oko. - Specjalnie dla takich ludzi jak ty.

- Dzięki, Galu. - Roześmiałem się. - Nie jestem zabobonny.

- Czego się szczerzysz! Nie wierzysz w zabobony. Owszem, to głupota, ja też nie wierzę. Ale - Gala westchnęła - pamiętasz tę opowiastkę o dzieciach, którym kazano pokazać figę i wołać w stronę nieba: „Boga nie ma! Boga nie ma!”? Jedno z nich odmówiło. Pamiętasz, co powiedziało? Jeżeli Boga nie ma, to po co pokazywać figę? A jeżeli Bóg istnieje, po co psuć sobie z nim relacje.

Był 3 kwietnia 2000 roku. Wyruszałem na swoją pierwszą zagraniczną wyprawę, a wraz ze mną Andriej Starkow, artysta, który w poszukiwaniu nowych wrażeń zamierzał dotrzeć do bazy pod Everestem. Przeleciawszy przez śpiące miasto, mrugnawszy w stronę gmachu rządu Republiki Kazachstanu na placu Centralnym, skręciliśmy do parku Kultury i Wypoczynku, minęliśmy ośrodek leczenia narkomanów i wjechaliśmy w wąską uliczkę, przy której znajdował się dom Starkowa. Ten zdążył już wyjść nam na spotkanie.

- Cześć, Galu! - Andriej przyjaźnie pomachał ręką przy bocznej szybie. - Otworzysz bagażnik?

- Szkoda zachodu, wrzucaj plecak na tylne siedzenie.

- Usiądę z tyłu. - Rozpiąłem pas i wyskoczyłem z samochodu. - Cześć, Andriej. - Uścisnąłem dłoń koledze.

- Mistrzu, artystyczna naturo, jak mam tu zawrócić?! - zawołała Mulenkowa. - Nie mogliśmy się spotkać w lepszym miejscu?

- Przecież szedłem. - Andriej się uśmiechnął. - Kto by pomyślał, że będziesz taka szybka.

- Dobra, migiem do środka!

Wepchnąłem się na tylne siedzenie. Starkow podał mi plecak i wskoczył na przód. Galina triumfalnie dodała gazu. Samochód zawył, a potem wyskoczył tyłem z zaułka.

- Co ty tam masz? - burknąłem do Andrieja, kiedy na zakręcie jego plecak przygniółł mnie swoim ciężarem. - Trochę waży.

- Pieniądze - zakpił.

- To po co wyjeżdżacie? - roześmiała się Galina. - Zostańcie w domu, hulaj dusza, piekła nie ma!

Przejechaliśmy opodal linii tramwajowej i zaczęliśmy się przebijać przez uliczki, o których istnieniu nawet nie wiedziałem. Było jeszcze bardzo wcześnie, królowała pustka i cisza. Pokonując labirynty kolejnych uliczek, dotarliśmy do dworca autobusowego. Tu skręciliśmy, by znaleźć się w dolnej części miasta. W okolicy rosło sporo drzew, zdawało się wręcz, że jedziemy przez las. Światła samochodu powoli blakły na tle wschodu słońca. Mimo to przed naszymi oczyma długo jeszcze tańczyły żółte zajaczki.

- Właściwie, Den - odezwała się znad kierownicy Galina - skąd wytrzasnąłeś pieniądze? Jeszcze tego nie zdradziłeś.

- No właśnie! - ożywił się Starkow. - Też jestem ciekaw.

- Nie uwierzycie - zachichotałem ze swojego miejsca, przyciśnięty przez plecak - zdobyłem je w bójce!

- Gadaj zdrów! - Na twarzy Galiny malował się kpiący uśmiech.

- Naprawdę, Galu! Pewien Turek, któremu hotel Regent Ałmaty był dłużny pieniądze, poprosił, żeby ów hotel został moim sponsorem.

- Rzeczywiście, Regent Ałmaty należy do Turków - zgodziła się ze mną nasza dobrze poinformowana dziennikarka telewizji Chabar. Siedziba stacji znajdowała się naprzeciw hotelu, po drugiej stronie jezdni. - Na taką forszę trzeba by tyrać pół życia - dodała.

- Farciarz, jednym słowem - podsumował Starkow.

- I owszem, bez tych pieniędzy nigdzie bym nie pojechał - przyznałem radośnie. - Simone zgodził się pokryć część wydatków za zezwolenie na wejście na Lhotse^[*].

- Lhotse? - Galina spojrzała w lusterko wsteczne. - Będziesz się wspinał na Lhotse?

- Lhotse? - Starkow obrócił się w moją stronę. - Będziesz wchodził na Lhotse?

- Tak! - potwierdziłem rozradowany. - Na czwarty co do wysokości szczyt świata.

Ujrawszy znak „50”, Galina grzecznie zwolniła. Samochód buczał, jak na kontroli technicznej, mówił: „mogę, ale trochę pokokietuję”. Według naszej koleżanki zwykle tu stali. Miała rację! Pod krzewem, niczym partyzant wysadzający z ukrycia pociągi wroga, krył się policjant z drogówki. Wyglądał na głodnego i obrażonego: nie dał rady przyłapać niwy w rumiankach na ekscesach o świcie.

- Świetnie. - Galina płynnie dodała gazu, a hakuna matata posłusznie przyspieszyła. Policjant odprowadził ją złym spojrzeniem.

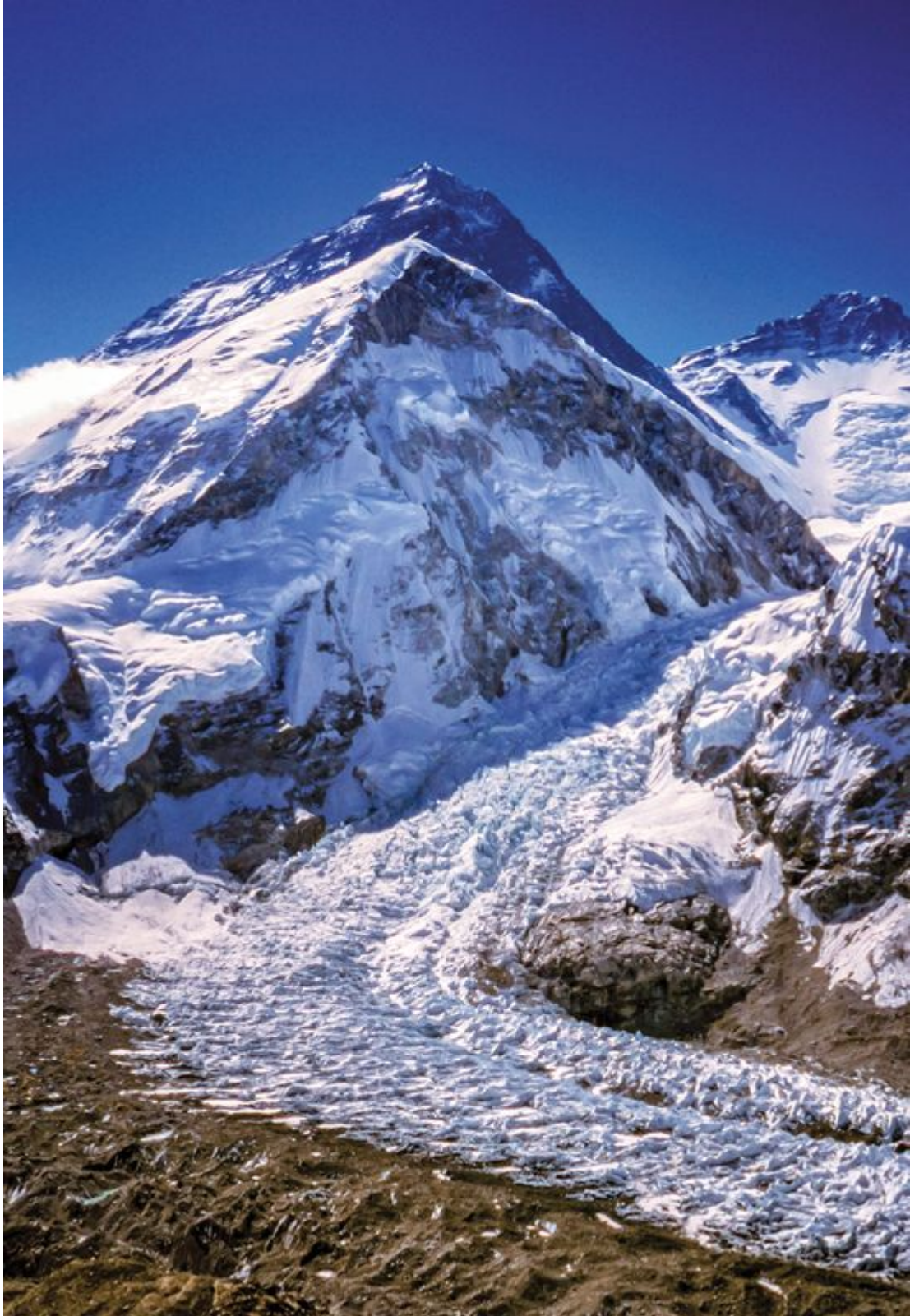
Pomyślałem, że w naszym mieście nie dałoby się przeżyć bez przyjaciół. Wschód to delikatna sprawa^[**]. W Ameryce wartość człowieka ustala portfel. U nas można było nie mieć pieniędzy, ale mieć mnóstwo przyjaciół. To oni oraz ich wsparcie było najważniejsze. Choć wiadomo, że z kasą zawsze w życiu łatwiej, a i przyjaciołom milej. Uśmiechnąłem się.

Galina zatrzymała się przy wjeździe na teren lotniska. Nie chciała się przepychać pod samo wejście do budynku.

- Pora trenować, panie chorąży! - Puściła do mnie oko. - Dobra, może ty nie musisz. Ale temu artyście spacer z plecakiem nie zaszkodzi.

Wyciągnęliśmy bagaże. Mulenkowa podeszła do mnie i szybko pocałowała w policzek. Zastygła na kilka sekund, uważnie patrząc mi w oczy. Poczułem jej zdenerwowanie. Nieustępliwa i stanowcza, stawiała wokół siebie zasieki. Ale jednocześnie potrafiła być dobra i życzliwa.

- Trzymaj się, Den! - Klepnęła mnie po ramieniu. - Uda ci się. Uważaj na siebie!



Z tej perspektywy wydają się niepozorne: Everest, w głębi po prawej
Lhotse

Wskoczyła do samochodu i trzasnęła drzwiami. Energicznie na nas zatrąbiła, gwałtownie ruszyła z miejsca i płynnie weszła w zakręt. Jej hakuna matata przecięła drogę wjeżdżającej na skrzyżowanie ciężarówce. Zdawało mi się, że słyszę, jak kierowca zaczyna przeproszać, kaja się, choć w niczym nie zawinił. Niesiony przez wiatr samochód w rumianki pomknął w dal. Łagodny poszum silnika ucichł pod obnażonymi gałęziami drzew.

Świat się uspokoił. Starkow, przytrzymując swój plecak, chrząknął pod nosem.

- Mnie nie pocałowała! - zauważył wesoło. - Dobra, pędzimy.

Nasza podróż miała trwać długo, z międzylądowaniem w Lahaur. Potem stolica Indii, Delhi. Lecieliśmy samolotem pakistańskich linii lotniczych, maszyna rozpoczęła swoją trasę daleko przed Ałmatami. Wyleciała z Karaczi, miała postój w Taszkencie, następnie lądowała u nas, by znów wznieść się w przestworza i dotrzeć do Lahaur.

Na lotnisku panowały ciasnota i harmider. W tamtym czasie loty stawały się coraz popularniejsze, ale nie miało to wpływu na infrastrukturę samych portów lotniczych. Wciąż były reliktem przeszłości, przedstawicielem sowieckiej prowincji, choć była stolica Kazachstanu wymagała czegoś bardziej nowoczesnego. Jakoś udało nam się połapać w lotniskowym porannym chaosie. Oddaliśmy bagaż i ruszyliśmy do odprawy paszportowej.

W owym czasie, żeby móc opuścić Kazachstan, wybrać się za granicę, należało otrzymać wizę wyjazdową. Wydawał ją Wydział do spraw Wiz i Rejestracji Cudzoziemców. Prawdziwy koszmar w życiu zwykłego człowieka. Ścisk w kolejce oraz możliwość odmowy wyjazdu powodowały

zrozumiałą nerwowość. Sprawę pogarszała arbitralność podejmowanych decyzji. We wszystkich sferach administracyjnych panowała samowola. Należałem do jednej z najbiedniejszych i najbardziej bezosobowych warstw społecznych, byłem więc całkowicie zdany na kaprysy niedorozwiniętej demokracji. Co innego z wizą pakistańską. Tę otrzymywało się bez komplikacji i zbędnych pytań. Jakby człowiek znalazł się w innym świecie, tam, gdzie panowały dobre duchy.

Nic dziwnego, że martwiłem się, jak pójdzie odprawa na lotnisku w Ałmatach. Jak potraktują mnie „swoi”: pogranicznicy i celnicy. Człowiek postsowiecki wciąż czuł się najgorzej we własnym kraju. Tu różnego rodzaju urzędnicy, kierownicy, włodarze i gospodarze patrzyli na niego jak na robaka. Wdeptywali w ziemię z byle powodu. A ja nie miałem pieniędzy na łapówki.

Tym razem się udało. Za punktem odpraw czekał na mnie zadowolony Andriej. Przed formalnościami paszportowymi udawał chojraka, ale widać było, że dopiero teraz mu ulżyło. Znalazł się na ziemi niczyjej.

- Galina przestrzegała - rzuciłem z poważną miną - że zanim samolot nie wzbije się w powietrze, nie można być pewnym sukcesu.

Nie wiem, czy to zadziałał grzebień Gali, w który popukałem jak w niemalowane drewno, czy może już dość wycierpiałem w życiu, ale wbrew logice wszystko ułożyło się pomyślnie. Na pasie startowym, kiedy staliśmy w kolejce przy trapie przed wejściem do samolotu, pojąłem, że taka sytuacja może się więcej nie powtórzyć. Tyle lat o tym marzyłem, dążyłem do tego. Nadeszła chwila prawdy! Miałem ją w garści. A może ona mnie? Obróciłem się. Dotarło do mnie, że po raz pierwszy od wielu lat opuszczam Azję Środkową, zostawiam swoje góry, wkraczam do świata, w którym panowały inne wartości.

Tego ranka blady świt przeciął szczyty Ałatau Zailijskiego na pół. Błękit nieba był czarowny, ciągnął w górę. Unosił duszę w kierunku chmur, które kołysały się w niebieskości niczym kłaczki puchu. Chciałem krążyć w tym oceanie powietrza razem z ptakami - być wolny i silny. Nadszedł czas spełnienia. Słońce oblewało świat blaskiem i radością. Samolot wznosił się coraz wyżej - równo i mocno.

Patrzyłem na chmury płynące pod skrzydłami. Ech, życie! Szczęście drogi. Początek ruchu ku nieskończoności. Dobrze, kiedy karmią, poją. Ale co, jeśli się uda i wejdę na osiem tysięcy metrów? Przede mną były Nepal, Himalaje, przestrzeń. Szansa na sprawdzenie własnych sił na prawdziwej wysokości. Ach, wiedzieć, jak to wszystko się zakończy!

[*] Denis Urubko poznał Simone Moro w 1999 roku. Wspinał się z nim podczas realizowania przez Włocha projektu Śnieżnej Pantery - zdobycia pięciu siedmiotysięczników znajdujących się na terenie byłego ZSRR. Moro zamierzał wejść na nie w ciągu jednego sezonu, mniej więcej w dwa miesiące. Włoch zdobył cztery z pięciu szczytów, Urubko - wszystkie pięć.

[**] Cytat z kultowego w Związku Radzieckim filmu *Białe słońce pustyni* w reżyserii Władimira Motyla. Film rozgrywa się w Turkmenistanie na początku lat 20. XX wieku i opowiada o przygodach czerwonoarmisty Suchowa. Wiele powiedzeń z filmu weszło do potocznego języka rosyjskiego.



Dwa lata temu Andriej Starkow był już w Nepalu, podjął się więc pełnić obowiązki przewodnika. Nie miałem ani doświadczenia, ani wiedzy, jedynie chęci, z nim mogłem jednak wyruszyć w drogę! W boeingu spróbowałem

wybrać od stewardessy kubek w charakterze pamiątki. Otrzymałem uprzejmą, profesjonalnie wyrażoną odmowę. Pożałowałem swojej uczciwości: trzeba było schować kubek bez pytania, po cichu.

Lahaur przywitał nas zmianą czasu i dwugodzinnym spóźnieniem w stosunku do Ałmatów. Personel linii lotniczych odwiózł nas wraz z bagażami do hotelu. Czarne narzuty i pościel – to wbiło się w moją pamięć. Tak samo jak uprzejme traktowanie przez pracowników linii. Ludzie byli serdeczni, emanowali spokojem, szacunkiem do innych. Czułem się w tym zagubiony. Dobrze pamiętałem traktowanie z góry przez urzędników i wymuszanie łapówek w byłym Sojuszu. Tutejsze realia wprawiały mnie w zakłopotanie. Dlaczego pakistańskie linie okazały się tak przyjazne i usłużne? To nie było dla mnie jasne. Z jakiego powodu w cenę biletu, i bez tego niezbyt wygórowaną, wliczono także nocleg między przesiadkami? Kiedy wieczorem wylądowaliśmy na pakistańskiej ziemi, gościnnie wsadzono nas do taksówki i bez pytania o wizy oraz inne głupoty odwieziono do hotelu Sara Continental.

Czarne narzuty uznałem za lokalny koloryt.

- Jeżeli podadzą kolację – odezwał się Andriej tonem znawcy – uznam to za szczyt azjatyckiej dbałości o klienta.

Ledwie skończył, rozległo się pukanie do drzwi. Na progu kłaniał się młody mężczyzna w tradycyjnej kurcie. Jego głowę zdobiła czapka z daszkiem, z napisem wskazującym na fana krykieta. W rękach trzymał niewielką tacę. Na niej stały czajniczek z herbatą, cukiernica i dwa kubki.

- No! – Radośnie zatarł ręce Andriej. – To rozumiem!

- Jestem za granicą! – Uszczypnąłem się w ucho. – Mamusi kochana! Za granicą!

- Rany! – zachnął się Starkow. – Za granicą! I co z tego?

Nalaliśmy sobie herbaty. Była czarna i mocna, uderzała do głowy. Wymieszawszy cukier na dnie kubka, delikatnie otworzyłem skrzypiące drzwi na klatkę schodową. Wiła się nad ciasnym podwórkiem. Dookoła panowały ciemności, tylko przy bramie mrok przecinało żółte światło lampy. Spod niej uważnie, ale życzliwie patrzyły na mnie czyjeś oczy i wąsaty zapalony papieros. Pewnie ochroniarz - domyśliłem się. Przez chwilę słuchałem szumu piętnastomilionowego miasta, po czym, nie chcąc wystawiać na próbę cierpliwości ochroniarza, wróciłem do pokoju. Starkow spał, błogo wyciągnięty na czarnej pościeli.

„Jestem za granicą” - skandowałem w głowie. Ta myśl wywoływała mój zachwyty. Ach, żeby tylko to nie był sen! A jeśli to senne marzenie, nie chcę się z niego nigdy obudzić! Odpłynąłem w ciemność ze zmęczenia.



Pierwszy raz za granicą

W południe zabrano nas jeepem z powrotem na lotnisko. Z powodu napiętych relacji między Pakistanem a Indiami kontrola celna i paszportowa okazały się drobiazgowe. W poczekalni siedzieliśmy przez trzy godziny, ale nuda nam nie groziła. Dookoła wszystko było nowe, wciąż wypytywałem o coś Starkowa. W końcu znaleźliśmy się samolocie i pomyślnie dotarliśmy do Delhi. Pierwsze wrażenie: Indie wydały mi się bliźniaczo podobne do Pakistanu. Jakbyśmy w ogóle nie opuścili Lahaur. Zmieniło się tylko jedno: światło. Przenikało wszystko, nasycalo blaskiem powietrze. I palmy! Obok punktu odpraw paszportowych rosła jedna z nich. A ponieważ pierwszy raz w życiu mogłem dotknąć żywej palmy, ruszyłem w jej

stronę. Zatrzymała mnie policja. Z tej pierwszej krótkiej wizyty zapamiętałem Indie jako kraj zakazów.

Miałem bardzo mało pieniędzy, nie podzielałem więc sybaryckich nastrojów Andrieja. Kiedy zaproponował, by kupić coś „po okazyjnej cenie”, odmówiłem, udając, że niczego nie potrzebuję. Działalem według standardowego programu oszczędzania. Żeby jeszcze te hamburgery na jednym ze stoisk nie wyglądały tak smakowicie, a kawa kupowana w automacie przez Hindusów tak mocno nie pachniała.

Zostawiłem Andrieja w poczekalni z bagażami, a sam udałem się niby do toalety. Tak naprawdę wyruszyłem na polowanie w międzynarodowej strefie przylotów. Przenikliwym wzrokiem taksowałem zagraniczników, poszukując osób, które po pierwsze nie spieszyły się do wyjścia, po drugie wyglądały przyjaźnie.

Miałem plan, należało wcielić go w życie. Zamierzałem udawać fanatycznego numizmatyka – mówić o pieniądzach oraz pragnieniu ich posiadania jak o czymś szlachetnym, zbliżonym do sztuki.

- Hej, z jakiego jesteś kraju? - Przeszedłem do ataku.

- Z Ameryki.

- Wow! - Zrobiłem okrągłe oczy. - Tam, gdzie znajduje się Statua Wolności? Szczęściarz!

- A ty skąd jesteś?

- Och, z Kazachstanu. Podróżuję oraz gromadzę pamiątki. A ty coś zbierasz?

- Kto? Ja?

- No tak! Ja, na przykład, zbieram monety. To bardzo ciekawe. Ty pewnie też coś zbierasz. Super cię poznać!

Nie zdążywszy dobrze pojąć sensu słowa „Kazachstan”, Amerykanin wpadał w stupor. Zawieszał się niczym komputer przekopujący archiwa pamięci. Nie nadążał za moim tokiem rozumowania wyrażanym niechlujnym łamanym angielskim. Był ugotowany. Wyciągałem wtedy z kieszeni kilka kazachskich monet i układałem je na dłoni tak, by było widać godło. Niektóre z nich zdobiły wschodnie ornamenty. Wyglądały, jak to się mówi, skromnie, ale gustownie.

Mój rozmówca stał zazwyczaj jak zahipnotyzowany, potem wkładał rękę do kieszeni i wyciągał kilkadziesiąt centów, czasem dolara.

- Niczego sobie! - zachwycąłem się. - To z USA? - Mój głos zniżał się do szeptu uwielbienia. Pomagając sobie gestami, pytałem: - Wymienimy się?

Wróciłem do Andrieja, kiedy właśnie zaczynał się niepokoić moją długą nieobecnością. W jego oczach wyczytałem nieme pytanie, czy wszystko w porządku.

- No, niestety, złapało mnie. Pewnie z powodu pakistańskiego jedzenia, nie jestem do niego przyzwyczajony. Ledwie zdążyłem dobiec do toalety - ściemniłem.

Udało mi się zdobyć dziesięć dolarów. Mogłem patrzeć na Hindusów płacących za kawę ze spokojem: też miałem pieniądze! Nie zamierzałem ich jednak wydawać, nie chciałem, by znów stały się cudze. Wy, głupcy, jeśli chcecie - kupujcie! Ja wytrzymam bez tego czarnego napoju, w zamian zatrzymam monety w kieszeni.

Port lotniczy w Delhi zapamiętałem jako miejsce ciągłych kontroli. Sprawdzano tu wszystko i przeszukiwano wszystkich. Pogranicznicy wsadzali nos w nie swoje sprawy, niektórych Pakistańczyków poddawano rewizji osobistej. Wieczorem z niewiadomych powodów nie zostaliśmy

wpuszczeni do samolotu. Nie mogliśmy zrozumieć, w czym tkwił problem. Nikt tu nie mówił po rosyjsku, czuliśmy się całkowicie zagubieni. Udało nam się wydusić z Hindusów jedno zrozumiałe dla nas słowo: „tumorrow”, jutro. Czekaliśmy noc na krzesłach w poczekalni i towarzystwo złośliwych komarów. Atakowały zajadle, wyczuwszy krew. Walka z nimi była przerażająca.

Poznałem Andrieja Starkowa dopiero co: w grudniu, na otwarciu wystawy obrazów poświęconych górą. Był osobą niezwykle kreatywną, wielkoduszną, mężczyzną pełnym uroku, malarzem dojrzałym. Nie pociągał go styl życia cyganerii artystycznej. Miał łagodne spojrzenie i wykazywał troskę o innych. Nie nosił jaskrawych ubrań, w jego włosach nie tańczyły drobinki farb, a uśmiech nie błyszczał olśniewającą bielą. W zamian w oczach z niesamowitą głębią odbijały się wszystkie obrazy świata. Wzrok Andrieja wydawał się ciemną matrycą snów, magnesem przyciągającym detale życia. Burzowe jesienne wiatry, w których tkwił u szczytu twórczości, niosły go w jednym kierunku: ukazywania na płótnie groteski, tak jak ją pojmował. Malował martwe natury, ale również akty kobiece.



Artysta Andriej Starkow i chorąży Denis Urubko

Ta ostatnia okoliczność była ważna, choć w żaden sposób nie wiązała się z moim światem. Wiedziałem jednak, że te obrazy są dobre. Była we mnie także zazdrość. Zazdrość o to, że ten mężczyzna rozbierał kobiety, kiedy chciał, o dowolnej porze dnia i nocy. A one leciały do niego niczym ćmy do lampy, pragnąc uchronić swoje piękno przed upływającym czasem. Obrazy i zdjęcia, aspirujące do bycia dziełami sztuki, uwieczniały zastygły kobiecy wdzięk.

Andriej Starkow lubił również - i doskonale potrafił - malować góry. W moich oczach, które niejedne już szczyty widziały, nie było to Bóg wie jaką zaletą. Ale góry Andrieja miały w sobie coś niedokończonego, kryły jakąś tajemnicę.

Pociągały. A to miało wartość. Naiwnie sądziłem, że potrafię wytłumaczyć temu oryginałowi sens owej tajemnicy.

Przez noc uzupełniłem swój skarbiec o kilkadziesiąt dolarów oraz kilka innych monetowych drobiazgów: jeny, rupie, riale i franki. Byłem pełen szacunku dla hojnej ręki nieznanym mi osób. Powszechne zrozumienie dla kolekcjonowania pieniędzy pozwoliło mi swobodniej odetchnąć i pewniej spojrzeć w przyszłość. Na kazachskich drobniakach miałem od pięćdziesięciu do dwustu procent przebiccia. Biznes dobrze się kręcił. Gdy zabrakło mi monet, poprosiłem o kilka Starkowa. Rola kolekcjonera tak bardzo mnie pochłonęła, że zaczynałem coraz bardziej się rozkręcać. Wspominałem rozmówcom o kłopotach gospodarki postsowieckiej, napomykałem o realiach rozpadu Związku Radzieckiego, przedstawiałem najważniejsze fakty z historii i geografii nieistniejącego już kraju. Wszystko w ciągu kilku minut, opowiadane głównie za pomocą gestów i pojedynczych słów. Staruszkowie oraz młode dziewczyny szeroko otwierali oczy ze zdumienia i kiwali głową ze zrozumieniem. Na zdrowy rozum mógłbym tu pozostać na zawsze; sposób na otrzymywanie drobniaków od turystów okazał się prosty i bezstresowy. To mogło być całkiem przyjemne.

Starkow niczego nie podejrzewał, myślał, że wciąż męczą mnie dolegliwości trawienne. Bez szemrania pilnował bagaży ułożonych na krzesłach. Kiedy wracałem ze swoich wypraw, z bólem wznosiłem oczy ku niebu i wymownie trzymałem się za brzuch.

- Boli? - pytał troskliwie.

- Tak - odpowiadałem bez wyrzutów sumienia. - Ale się załatwiłem! Wszystko z powodu tego przekłętego pakistańskiego żarcia.

- Dobrze, że mnie ominęło - wzdychał. - Nie daj Boże!

Załamany na zewnątrz, a wewnątrz całkiem z siebie zadowolony, spuszczałem oczy i cicho mruczałem. Dotykając drobniaków w kieszeniach, wyobrażałem sobie, że jestem Krezusem. Planowałem, jak wydać tak łatwą zdobycz.

Tymczasem czekały na mnie góry. Wyruszyliśmy do podnóży Himalajów. Rano nasz samolot wzniósł się z delikatnym furkotem skrzydeł i poleciał na południowy wschód. Do ziemi obiecaną tych, co spragnieni byli prawdziwych gór. Do Nepalu - królestwa najwyższych szczytów na świecie. Przez wiele lat snułem plany, czekałem i szykowałem się na ten moment, żyłem marzeniami o takiej wyprawie. Byłem gotów dać wiele za łyk powietrza na wysokości ośmiu tysięcy metrów! A jeszcze więcej za możliwość wejścia na jeden z nepalskich świętych szczytów. Nie przeżyłem tych lat na darmo. Marzenie o ośmiotysięcznikach wypełniało żagle mojego życia, a popędzana przez piękne sny dusza goniła za chimera. Teraz te wyobrażenia przybierały realne kształty. Miałem je pod skrzydłami samolotu. To były te góry. Himalaje!

- Patrz, Dhaulagiri - powiedziałem jak uczeń, który zobaczył znane słowo. Przycisnąłem palec do okna samolotu.

Starkow z respektem wykrzywił usta, patrząc na zaśnieżony szczyt sięgający niemalże kadłuba. Zaczął się wiercić. Ukazała się Annapurna. Wtedy zmrużył oczy i mocno zaparł się plecami o fotel. W jego głowie musiały się kłębić smutne myśli. Widać było, że mocije się ze wspomnieniami. Westchnął, jakby chciał się od czegoś odciąć. Dwa lata temu był pod Annapurną wraz z Dimitrijem Sobolewym, Anatolijem Bukriejewem i Simone Moro. Była to wyprawa zimowa. Dimitrij i Anatolij zginęli, porwani przez lawinę.

Andriej się smucił i oddawał wspomnieniom, a ja rozstrzygałem niewielki problem. Pamiętacie kubek tak niefortunnie stracony przeze mnie w pakistańskim samolocie? Bardzo chciałem mieć takie malutkie plastikowe naczynie z symbolem linii lotniczych. Na pamiątkę, że byłem zagranicą, że było mnie stać na lot boeingiem. Moje szare komórki pracowały szybciej niż zwykle. Lot nie trwał długo, ale stewardessy roznosiły jedzenie – prawdziwe wschodnie rarytasy. Na oczach zdumionych sąsiadów pochłonałem porcję ryżu z dodatkiem wspaniałego mięsa i wyczyściłem talerz sałatką z ketchupem. Zabrałem kubek ze stoliczka przede mną i wsadziłem go do kieszeni na tyle głęboko, by nie wystawał.



Starkow, Sobolew, Bukriejew, Moro i Purba, kucharz wyprawy;
Annapurna, 1997 rok

- Nie będę pił - zachichotałem.

Hindus siedzący przy przejściu kaszlnął głośno i z podziwem. A potem udawał, że interesuje go wyłącznie zawartość własnego talerza. Starkow podrapał się po nosie i spojrzął na mnie zaskoczony. Dumał przez pół minuty, aż w końcu zapytał:

- Wszystko zjadłeś? Nie rozumiem. Czy nie bolał cię brzuch?

- Słucham?

- No, zjadłeś mięso, ketchup! Nie boisz się, że całkiem padniesz? Tak cię skręci, że nie dasz rady się wspinać na Lhotse. A wówczas: witaj, miły Kazachstanie! Wrócimy razem za jakiś tydzień.

Niech to diabli! Dotarło do mnie, że wpadłem jak śliwka w kompot. Natychmiast złapałem się za brzuch, a przy okazji także za serce. Trzymałem dłonie na ciele i unosiłem głowę z wyrazem cierpienia na twarzy.

- Oj, boli, boli! Czuję się kiepsko - jęknąłem.

- To jak dałeś radę to wszystko zjeść?

- No, widzisz - zacząłem szukać usprawiedliwienia - zmusiłem się. Nie mogę przecież zdechnąć z głodu.

- No pewnie, że nie. - Andriej wzruszył ramionami. - Jedz, jedz. Tylko uprzedź mnie, jeśli się poczujesz gorzej, dobrze? Chciałbym zdążyć zawołać kogoś z obsługi.

Przyleciawszy do Katmandu, znaleźliśmy się w cudownie innej rzeczywistości. Od ręki, jeszcze na lotnisku, otrzymaliśmy wizę nepalską. Łatwość jej uzyskania wprawiła mnie w zachwyt. To było jak serdeczne zaproszenie: nasz kraj żyje z turystyki, jesteście tu mile widziani, bawcie się dobrze, wydawajcie pieniądze, czujcie się, jak u siebie! Nie było kontroli ani ograniczeń, tak powszechnych w sąsiednich krajach. Podobno czterdzieści

lat temu Katmandu stanowiło mekkę hipisów, ruch ten wiele czerpał z buddyzmu.

Lokalna swoboda uderzyła do głowy także Andriejowi. Chciał mi pokazać, że zna tutejsze zwyczaje. Targował się z takim rozmachem, że udało nam się pojechać taksówką do turystycznego centrum miasta, dzielnicy Thamel, za dwieście rupii. Jazda wymagała od tutejszych cwanych kierowców niezwykłych umiejętności: musieli się wykazać niebywałą wręcz zręcznością, by nie najechać na jakiegoś pieszego lub nie potrącić rowerzysty. Ruch na drodze przypominał jedno wielkie kłębowisko, orientacja była możliwa chyba tylko dzięki intuicji. Palmy, akacje i święte krowy. Te ostatnie bezczelnie włóczyły się po ulicach i odpędzały psy od zwałów śmieci. Wgapialiśmy się w tutejsze cuda i nawet nie zauważyliśmy, kiedy dotarliśmy do centrum. Cóż, prawdę mówiąc słowo „centrum” niezbyt do tego miejsca pasowało.

Andriej nalegał, żebyśmy zamieszkali w hotelu Star; nocował w nim podczas swojego pierwszego pobytu. Wynajęty przez nas pokój był malutki, ale i tak większy od mojej klitki w koszarach. Dobę przebywania w tym rajku wyceniono na sześć dolarów za dwie osoby. W wystroju królował minimalizm. Około południa w hotelu pojawili się ludzie znający cel naszej podróży. Wziąłem ich za podejrzanych handlarzy haszyszem, szybko się jednak wyjaśniło, że pracują w agencji obsługującej wyprawę Simone Moro. Przekonali do siebie Starkowa, a jeśli chodzi o mnie, wystarczyło imię Simone, żebym otworzył się na współpracę.

Po obiedzie postanowiliśmy się przejść na jedno ze wzgórz nieopodal Thamelu. Starkow opowiadał, że jest tam coś w rodzaju parku, z pomnikami oraz innymi atrakcjami, łącznie z panoramicznym widokiem na Katmandu. Do celu poprowadził nas labirynt uliczek. W drodze trzeba było

przejsć przez most na rzece. Dookoła panował niemiłosierny smród. Koryto, którym powinna płynąć rzeka, po brzegi zawały śmieci. Gromadzono je chyba od stuleci, a może nawet tysiącleci. W odpadach grzebały świnie i szczury. Zachodziłem w głowę, jak można mieszkać w pobliżu takiej kloaki. Wokół tętniło życie, ludzie spieszyli się do swoich spraw, po moście toczyły się samochody ze szczelnie zamkniętymi szybami.

Na szczycie porośłego lasem wzgórza wznosiła się stupa Swajambhunath. Miejsce zwano również, o czym dowiedziałem się później, świątynią małp. Rzeczywiście wszędzie biegały stada tych zwierząt. Były nachalne i brudne. Koczkodany, czyż nie? Ogłuszająco się wydzierały, rzucając gównem w stronę przechodzących obok ludzi. Udało nam się jakoś wyrwać tym potworom. Na wzniesienie prowadziły schody, na ostatnim odcinku ostro pnące się w stronę świątynnego kompleksu. Patrząc z góry na zamgloną panoramę Katmandu u swoich stóp, w błogiej radości otworzyłem ramiona. Stało się! Jestem w swojej mekke!

Z pamiętnika Andrieja Starkowa:

Wreszcie swołocz z Delhi wsadza nas do samolotu i odlatujemy do Katmandu. Po przybyciu taksówką za trzy dolary docieramy do hotelu Star. Dowiadujemy się, że Simone Moro nie czekał na nas i rankiem 5 kwietnia wyleciał do Lukli. Nazajutrz w Katmandu będą strajkować. Nikt nie zamierza pracować, nasz samolot wystartuje dopiero 7 kwietnia. Idziemy spacerować się po mieście. Obiad jemy w restauracji Jak. Dwa lata temu bywałem tam z Dimą Sobolewym. Dziękuję ci Dima za to, że pokazałeś mi Katmandu i podzieliłeś się wiedzą o tym mieście. Wieczorem kupujemy z Denisem owoce i jemy kolację w hotelu. Noc mija spokojnie, wspaniale się wysypiamy.

Rano udaliśmy się do agencji Asian Trekking; adres podano nam przez telefon, a portier wytłumaczył na migi, jak do niej dotrzeć. Na szczęście agencja znajdowała się niedaleko, kilka ulic dalej. Przedarliśmy się przez wschodnie twarze i barwy, okrzyki rikszarzy i zapach wonności panujący na ulicach. Przed biurem spotkaliśmy ładną dziewczynę - Monę. Uśmiechała się i puszczała oko, nie wiadomo tylko - do mnie, czy do Starkowa. W tych dniach liczyło się zresztą jedno: wejście na ośmiotysięcznik. I tyle. A przynajmniej tak mi się wydawało.

Zorganizowanie wyprawy w Nepalu niemal zawsze wymaga pośrednika - lokalnej agencji, która troskliwie zajmie się obcą walutą, a przy okazji załatwi formalności papierkowo-administracyjne oraz ogarnie logistykę dotarcia do bazy wspinaczy, ich bagaży i jedzenia. Nepal to kraj nastawiony na turystykę, od dawna funkcjonują w nim reguły, dzięki którym miejscowi mają zapewnioną pracę. Znaczący to, że tutejsi ludzie znają tysiąc i jeden legalnych i mniej legalnych sposobów na przejęcie pieniędzy z rąk przybywających wspinaczy.



W Katmandu przed wylotem do Lukli

W agencji wypełnialiśmy jakieś formularze. Potrzebne były też zdjęcia, studio fotograficzne znajdowało się tuż obok. Nie rozumiałem prawie nic z rozmów i wyjaśnień, których nam udzielano. Starkow, co początkowo nawet mnie bawiło, pojmował jeszcze mniej. Dworowałem sobie z niego. Do czasu. Wkrótce przedstawiono nam rachunki, które należało opłacić.

Rozstanie z pieniędzmi nie przyszło mi łatwo, wykonywałem jednak instrukcje Simone. Wyciągnąłem z torby banknoty i położyłem na stole. Potem, w ramach pożegnania, przeliczyłem je z pięć razy. Tyle forsy zupełnie dobrowolnie oddawanej obcym ludziom.

Byłem zdenerwowany. Właściwie nie mówiłem po angielsku i z trudem kojarzyłem, za co właściwie płacę. Głębokie i ciemne oczy Nepalczyków przekonywały: „Tak

trzeba". Giętkie palce w kolorze kawy błyskawicznie chowały pieniądze, które pojawiały się na stole. Próbowałem walczyć. Oddawałem gotówkę w ściśle określonych kwotach, punkt po punkcie, i wymagałem wyjaśnień. Nepalczycy tłumaczyli dużo i chętnie, opowiadali ze szczegółami „dlaczego” i „za co”. Ach, gdybym wiedział, o czym mówili. Starkow siedział obok i również nic nie rozumiał.

Podliczyłem wydatki na skrawku papieru i w myślach pogratulowałem sobie, że na wyprawę wydałem tylko lub aż siedemset dolarów. Osobistych dolarów, swoich własnych, nie od sponsorów. Pieniądzy, które ciężko zarobiłem. Jak zdołałem je zaoszczędzić, pozostawało dla mnie zagadką. Wiedziałem jedno: obecnie zostałem bez grosza przy duszy.

- Skąd wytrzasnąłeś pieniądze? No, tak zwaną forszę na życie. - Andrieja też nurtowało to pytanie.

Westchnąłem. W owym czasie wynagrodzenie wojskowego wynosiło pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Przeżycie za te pieniądze należało do gatunku science fiction. Nie miałem aż tak bujnej wyobraźni. W dodatku lubiłem kupować kwiaty dziewczynom; chciałem być romantyczny i chociaż w ten sposób rekompensować im brak prezentów. Cóż, życie pokazało, że romantyzm to niezbyt mocna waluta. Ale przed wyprawą zdarzył się w moim życiu jeszcze jeden cud.

- Pewna osoba, były alpinista Wadim Grigoriew - zacząłem wyjaśniać Andriejowi - obecnie biznesmen...

- Tak? - zainteresował się Starkow. - Czym się zajmuje?

- Budową. Alpinizm przemysłowy. To człowiek przez duże C!

- No i?

- Przed samą wyprawą - zażenowany podrapałem się po głowie - podarował mi dwieście dolarów. Powiedział, że

mam się najść i wydać te pieniądze wyłącznie na żywność.

Starkow zaczął rzeć.

- Dokarmianie dla dobra sprawy. - Szczyrzył zęby jak u wampira. - Zuch Grigoriew!

- No, tak - fuknąłem niezadowolony. - Mogłem codziennie zjeść obiad. Gotowałem sobie sam, a nie chodziłem po obcych ludziach, prosząc o kromkę chleba.

- Dobrze, już, dobrze. - Andriej zrozumiał, że dotknął mnie do żywego. - Powiedz lepiej, za co będziesz dalej żyć?

Koniec końców Starkow zgodził się pożyczyć mi pewną sumę. Oczywiście niewielką, ale i tak byłem rad. Nie mogłem prosić o więcej, ponieważ nie miałbym z czego oddać. Poczuję jednak ulgę, inaczej musiałbym chyba pójść do pracy w Katmandu jako ładowacz. Zamiast tego zacząłem żyć na konto kazachskiej sztuki. Niech żyją artyści Kazachstanu!

Z rozmów z pracownikami Asian Trekking wynikało, że dzień wcześniej Simone wyleciał do Lukli. To stamtąd wyrusza się do bazy pod Everestem. Do miejscowości można było dotrzeć samolotem w ciągu godziny; inna opcja to samochód i trzy dni marszu. Dobrze obrazowało to skalę tutejszych gór. Otrzymaliśmy bilety na samolot; wylatywaliśmy w piątek rano. Idąc z prądem wydarzeń, machnęliśmy ręką na wszystko i poszliśmy zwiedzać miasto. Długo chodziliśmy ulicami, przyglądając się towarom i posągom. Wszędzie szczyrzyły zęby buddyjskie bóstwa - miały zły wyraz twarzy, ale jednocześnie wydawały się nieszkodliwe. Wyglądały na załęcznione niczym przestraszone lemury. Na ladach leżały owoce we wszystkich możliwych kolorach i rozmiarach. Niektóre z nich jadłem już wcześniej. Nasłuchawszy się o wspaniałości mango, kupiłem jedno na spróbowanie. Wybierałem i targowałem się, aby potem żałować wydanych

pieniędzy. Przez tyle lat w mojej głowie brzęczało, że to delicje. Okazało się, że mango smakuje gorzej niż szare mydło. Paskudztwo.

Rękawice polartec, których w Ałmatach ze świecą szukać, kosztowały w Katmandu trzysta rupii. Przyjechawszy z krainy niedostatku i drożyzny, dziwiłem się, dlaczego tak mało. Pewnie krył się za tym jakiś podstęp, ale nie udało mi się dojść jaki. Z radości kupiłem dwie pary, choć wolałbym cztery. Ulice przypominały ogromne targowisko specjalizujące się w sprzęcie turystycznym i himalaistycznym; a wszystko w narodowo-religijnej otoczce. Miedziane miseczki, noże kukri i figurki bóstw sąsiadowały z czekanami, górskimi butami w różnych kolorach, czołówkami, karimatami, namiotami. Było tego tak dużo, że rozbolały mnie oczy. Szybko się pogubiłem w tym rozgardiaszu.

Kiedy dla odmiany na jednym ze skrzyżowań wpatrywałem się w nepalską piękność, Andriej, zachwycony splotem kabli telefonicznych na słupie, zawołał pełen entuzjazmu:

- Denis, zobacz, ile kabli!

Obróciłem się gwałtownie i... poleciałem.

No tak, w Katmandu dobrze poznaje się sens zwrotu „święta krowa”. Zwierzęta te chyba uważały się za pełnoprawnych obywateli miasta, opiekunów Nepalczyków. Głupie snujące się po ulicach bydła irytowały arogancją. Jakby wiedziały, że hinduizm obdarzył je bezkarnością. Korzystały z niej do woli i dotyczyło to również obs-rywania ulic.



Ogromne targowisko w narodowo-religijnej otoczce

Do tej pory krowi placek i ja egzystowaliśmy oddzielnie. Żyliśmy sobie, cieszyliśmy się, patrząc na otaczający nas świat, i nie szukaliśmy kontaktu. Niestety w tych kwietniowych dniach los skierował nas ku sobie. Ja przyleciałem z Kazachstanu, krowi placek, hm, był wyrobem lokalnym.

- Aaa! - rozdarłem się.

Trafiłem prosto w TO. Miałem na nogach sandały, więc bosa stopa natychmiast pojechała do przodu. Padając, usłyszałem głośny chrzęst, przypominający łamanie się gałęzi drzewa. Wydarłem się jeszcze głośniej:

- Aaa!!!

Czułem ostry ból w stopie. Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Starkow podbiegł do mnie i pomógł się podnieść.

- Co się stało?!
- Co, co? W gówno wdepnąłem!
- E, nic strasznego. To głupstwo!
- Ale nie mój palec!

Wyprosiliśmy u jednej z handlarek kubek wody. Obmyłem stopę. Szkody były widoczne gołym okiem - z każdą minutą duży palec coraz bardziej siniał i nabrzmiwał. Starkow ze współczuciem chrząkał, zapewniał, że to drobiazg i niedługo mi przejdzie. Próbował odciągnąć moją uwagę.

- Spójrz jakie mają kable i przewody na słupach. Zwróciłeś na to uwagę? - dopytywał.

- Raz zwróciłem! - Moje słowa miały zabrzmieć szyderczo. - Wielkie dzięki! Jak wejść na Lhotse?

Zdaje się, że dopiero teraz Andriej przypomniał sobie, że nasz wyjazd do Nepalu nie miał na celu spacerów po Katmandu i podziwiania słupów linii telefonicznej.

Wieczorem wyjaśniło się, że nepalscy handlarze, tak samo jak nepalski proletariat, ogłosili strajk bezterminowy. Większość sklepów zamknięto. Mogliśmy oglądać inne oblicze Katmandu, które spodobało mi się znacznie bardziej. Nie było w nim wszędobylskiego handlu i tłoku na ulicach, a sprzedawane na każdym kroku towary nie raziły w oczy.

Niestety pojawił się mały problem: musiałem wyszyc na materiale nazwę sponsora - firmy Adani, a sklepy i kramy pozamykano. W ciemnościach, kulejąc i starając się nie obciążać kontuzjowanej stopy, w jednym z zaułków odnalazłem wraz z Andriejem tylne drzwi, za którymi stukała maszyna do szycia. Trafiliśmy do czegoś w rodzaju

nielegalnej pracowni zajmującej się wyrabianiem logo The North Face – widniało wszędzie. Gdy poprosiłem o wyszcycie na kawałku niebieskiej tkaniny potrzebnego mi napisu, Nepalczyk długo nie chciał się zgodzić. Dopiero kiedy zrozumiał, że „dawanie jest łatwiejsze niż odmowa”, w trzy minuty po mistrzowsku wykonał pięć liter.

- Może nie zapłacimy? - Zawiesiłem w powietrzu marzenie skąpca. Szkoda mi było pięćdziesięciu rupii, których starczyłoby na dobre śniadanie. W dodatku leczenia mógł się domagać mój palec.

- Nie rznij głupa - uciął Andriej. - Za chwilę zwoła tu całą bandę i odbiorą nam ostatnie pieniądze.

Nepalczyk z niepokojem obserwował naszą wymianę zdań. Wymamrotaliśmy więc: „Dannebad, dannebad”, co miało znaczyć „dziękuję”, i wyszliśmy.

Trawiłem utratę kolejnego dolara i martwiłem się o palec, ale mimo to z zachwytem patrzyłem na odcienie lampionów migoczących na ulicach. Wlekliśmy się w kierunku hotelu. Nagle z mroku wyłoniło się kilku olbrzymów. Zakłócili spokój wieczoru wesołym i hucznym rosyjskim. Odsunąłem się nieco na bok, nie chciałem stanąć na ich drodze, ale gdy przechodziłem obok, grzecznie ich pozdrowiłem.

- Stój! - wrzasnął jeden z nich, najwyższy, wyglądający niczym byczysko.

Pierwsza myśl, która pojawiła się w mojej głowie, to, w którą stronę uciekać. Druga, że można przystanąć i dowiedzieć się, czego chce - był zbyt masywny, by mnie dogonić.

- Skąd jesteś? - zapytał.

- Z Kazachstanu. Przyjechałem na Lhotse - odrzekłem z godnością, choć nieśmiało.

- A my z Rosji i też na Lhotse! Nazywam się Jelagin! -
Poklepał mnie po ramieniu olbrzymią dłonią, aż przysiadłem, a następnie zniknął w ciemnościach. Wraz z nim reszta wesołego towarzystwa.

No, no! Wasilij Jelagin - zgrzytnąłem zębami. Nepal, kraina najlepszych wspinaczy - to rozumiem! Byłem pod coraz większym wrażeniem tego miejsca. Himalaizm był w tym kraju na widoku. Każdy przybywający zza granicy miał w tym swój udział, stawał się częścią tego otoczenia. Nie mogłem wyjść z podziwu, jak wiele spraw kręci się w Nepalu wokół Himalajów. Chyba w żadnym innym kraju tak duża społeczność nie otrzymuje tak wielu informacji na temat wspinaczki górskiej. Ale też nigdzie na świecie nie można spotkać naraz aż tylu zapaleńców wysokogórskiego świata.

Dlaczego tu przyjechałem? Ja również byłem częścią tej społeczności, jednym z tych, którzy koncentrowali swoje zainteresowania i wysiłki w punkcie zwanym wspinaczką górską. Chciałem wszystkiego naraz. W takich chwilach lubiłem odwoływać się do prawdziwej klasyki. Starożytni Etruskowie i Grecy nadal niepokoiли moją wyobraźnię. Gdzieś na szczytach Olimpu znajdowali się bogowie, a w otchłani Hadesu - na innych szczytach - ci, którzy walczyli z ich wolą, którzy mieli odwagę i czelność się im przeciwstawić. Próbowałem zrozumieć, wyjaśnić samemu sobie, kto potrzebuje tych naszych wysiłków. Co i dlaczego każe nam, wbrew wszystkiemu, dążyć do wyznaczonego celu?



Wojna i pokój na ulicach Katmandu

Z pamiętnika Andrieja Starkowa:

Pech z tym strajkiem. Na ulicach pełno policjantów, wszyscy są uzbrojeni, choć trzeba przyznać, w co popadnie. Jeden trzyma w ręku sowiecką pepeszę z czasów drugiej wojny światowej, inny - stary karabin, kolejny - w ogóle nie wiadomo co, ale na pewno to coś wyprodukowano ponad pół wieku temu. Wydaje mi się, że mieszkańcy Nepalu traktują strajk niczym święto: ładnie odziani spacerują ulicami. Obcokrajowców natomiast nie widać. Jednym słowem nie rozumiemy, dlaczego i przeciwko czemu strajkują.

Na śniadanie idziemy do restauracji w hotelu, który teraz zwie się Gaya. Opowiadam Denisowi, jak spotkałem tu Anatolija Bukriejewa w grudniu 1997 roku. Potem pytamy na portierni, czy możemy obejrzeć jego pokój - numer 101. Minęły ponad dwa lata, ale wciąż go tu pamiętają.

Przez cały dzień włączymy się po mieście. Odwiedzamy Durbar Square. Zaskakujący widok: nie ma żywego ducha, chociaż zwykle przewalają się tu tłumy. Młodzież gra w coś, co przypomina europejskiego palanta. Wieczorem, około 22.00 zostają otwarte niektóre sklepy. Kupuję (co prawda nie w sklepie, a w restauracyjce, gdzie pijemy herbatę) butelkę czerwonego wytrawnego wina - zamierzam uczcić nią spotkanie z Simone.

W księgarniach zauważam mnóstwo pięknych albumów z górskimi widokami. Na półce stoi też książka Anatolija. Widziałem ją też w księgarniach Lipska i Drezna. Denis martwi się o swój palec u nogi - podejrzewa złamanie. Poślizgnął się na krowim placku. Upadając, omal nie zabił trzech przechodniów. Staram się go uspokoić, mówiąc, że gówna na drodze przynosi szczęście.



To, co najczęściej uważamy za absurdalną logikę, wcale nią nie jest. W najczystszej, skrajnej wersji można zapisać to następująco: jeśli A równa się B, a B równa się C, to A niekoniecznie równa się C. Z taką nierównością często mamy do czynienia w rozbudowanych i skomplikowanych układach, w życiu. Weźmy na przykład mit Syzyfa w interpretacji Alberta Camusa. Moim zdaniem Camus wpadł w pułapkę, którą sam zastawił dla fanów klasycznej logiki.

W czystej postaci mit jest perfekcyjny. I w świetle rozważań filo-zoficznych musimy przedstawić sytuację w takiej idealnej formie, biorąc pod uwagę wzajemne oddziaływanie na siebie osób, przedmiotów i zjawisk. Ważne jest wyłącznie „pojęcie”.

Wyobraźmy więc sobie mit o Syzyfie jako zbiór abstrakcji:

1. Siła pchająca głaz – Syzyf.
2. Siła przeciwdziałania – wola bogów.
3. Początek drogi – podnóże góry.
4. Cel ruchu – wierzchołek jako punkt końcowy, odrzucenie paradoksu nieskończoności.
5. Motywacja ruchu – wolność, zburzenie systemu, przerwanie nieskończoności.

Spójrzmy na samą ideę – Syzyf, głaz, droga podzielona na etapy: „prawie” na wierzchołek i z powrotem; w nieskończoność, ale z nadzieją, że ruch wreszcie dobiegnie końca. Co napędza Syzyfa? Mit idealny nie odpowiada na to pytanie. Pcha on głaz „z woli bogów”.

Wydaje się jednak mało prawdopodobne, aby buntownik, który rozmawiał z bogami jak równy z równym, robił to tylko z takiego powodu.

Szyf musi mieć jakąś wewnętrzną motywację. Ideę, która przesądza o ruchu. To ona powoduje, że Syf wciąż na nowo podejmuje działanie. Musi wierzyć, mieć nadzieję, że wbrew woli bogów dotrze na szczyt i dokona tego, co nie jest jego przeznaczeniem. Można uznać, że ostatecznym sensem syfowej pracy jest zdobycie wolności. Z całą pewnością Syf próbuje się wyzwolić. Gdyby do tego nie dążył, zapewne nie kiwnąłby palcem, by spełniać ową „wolę bogów”. Trwałby jedynie, niczym idealny buntownik, u podnóża góry.

Według Camusa los Syfa „jest jego własnością”. Ale jeśli spojrzeć na sytuację obiektywnie, łatwo zauważyć, że NIE zależy od niego. Znajduje się w rękach bogów. Za wszystko, co czynił na ziemi, Syf wcześniej czy później musi zapłacić. Zaprowadzi go to do głazu i na zbocze góry. Z tego powodu Camusowska interpretacja mitu Syfa wydaje się niezwykła. Jest wpisaniem pewnej zasady w autorytarną ideę ABSURDU. Camus wysuwa wnioski, kierując się jedynie celem, i do niego dopasowuje konstrukcję kategorii moralnych. Przed nim Nietzsche nazwał to moralnym porządkiem świata. Właśnie tę moralność chce zaprezentować Camus. I w tym kryje się pułapka.

Wielu ludzi postrzega teorię prawdopodobieństwa zgodnie ze schematem: przypadkowość w połączeniu z nieskończonością oznacza nieuniknioną. Z takim założeniem, że „w ciągu nieskończonego czasu w bezkresnej przestrzeni WSZYSTKO może się zdarzyć”. Przypadkowość ma to do siebie, że jest zmienna, zawsze istnieją jej warianty. „Coś” się wydarzy albo nie lub stanie się coś przeciwnego. Stąd pewnik: „wszystko może się zdarzyć” jest sam w sobie absurdem.

Moglibyśmy uznać Syzyfa za kowala własnego losu, gdyby jego historia potoczyła się wbrew woli bogów. Ciekawe wydaje się tu pytanie: czy byłby szczęśliwy, gdyby bogowie sami uwolnili go od kamienia? Wątpię, czułby wówczas, że zmarnował mnóstwo czasu, wykonując bezsensowną i niepotrzebną pracę, a co gorsza pod-porządkowując się i zawdzięczając wszystko sile wyższej. Dla Syzyfa, idealnego buntownika nieuznającego żadnych autorytetów, byłoby to kolejną karą. On potrzebował wolności uzyskanej wbrew temu, co zapisał mu los.

Camus sformułował tezę, że Syzyf odnalazł szczęście w terażniejszości, w toczeniu kamienia. Tak naprawdę jest on szczęśliwy w przyszłości, w tym, co się stanie, gdy głaz wreszcie zostanie na wierzchołku. W tym, że wbrew woli bogów wygra walkę o swój los. Z myślą o „nieuniknionym” dokłada wysiłków w dążeniu do osiągnięcia sukcesu. Szczęściem jest walka o swoje szczęście. Tak działali Che Guevara, Marat, Attyła, Achilles oraz tylu innych - idealni bohaterowie: szczęśliwi nie w terażniejszości, ale w wyobrażonej przyszłości.

Czy Syzyf toczący kamień ma czas na zastanawianie się nad swoją sytuacją? Jest w tym wolny. Ogranicza go przestrzeń, ale nie czas. Tego ostatniego ma pod dostatkiem. Co zrobilibyśmy sami na miejscu bohatera starożytnej legendy? Gdybyśmy mieli do dyspozycji wieczność i niewielką przestrzeń, setki razy wytyczalibyśmy nowe linie działania. Z pauzami, przystankami, długimi odpoczynkami spowodowanymi rozpaczą i zmaganiem z głazem.

Być może w tym kryje się równowaga. Wtaczający kamień Syzyf znajduje się w określonym punkcie w przestrzeni, ale w bezkresie czasu. W innych okolicznościach, jak każdy z ludzi, przebywałby w bezkresie świata, ale w ściśle określonym czasie.

Tu w Katmandu łapałem się na myśli: „Tak, bracie, wolność da się odnaleźć wszędzie, ponieważ nosimy ją w sobie - to możliwość działania. To, co chcemy osiągnąć - to właśnie szczęście. Nawet jeśli dotyczy tylko iluzorycznej przyszłości”.



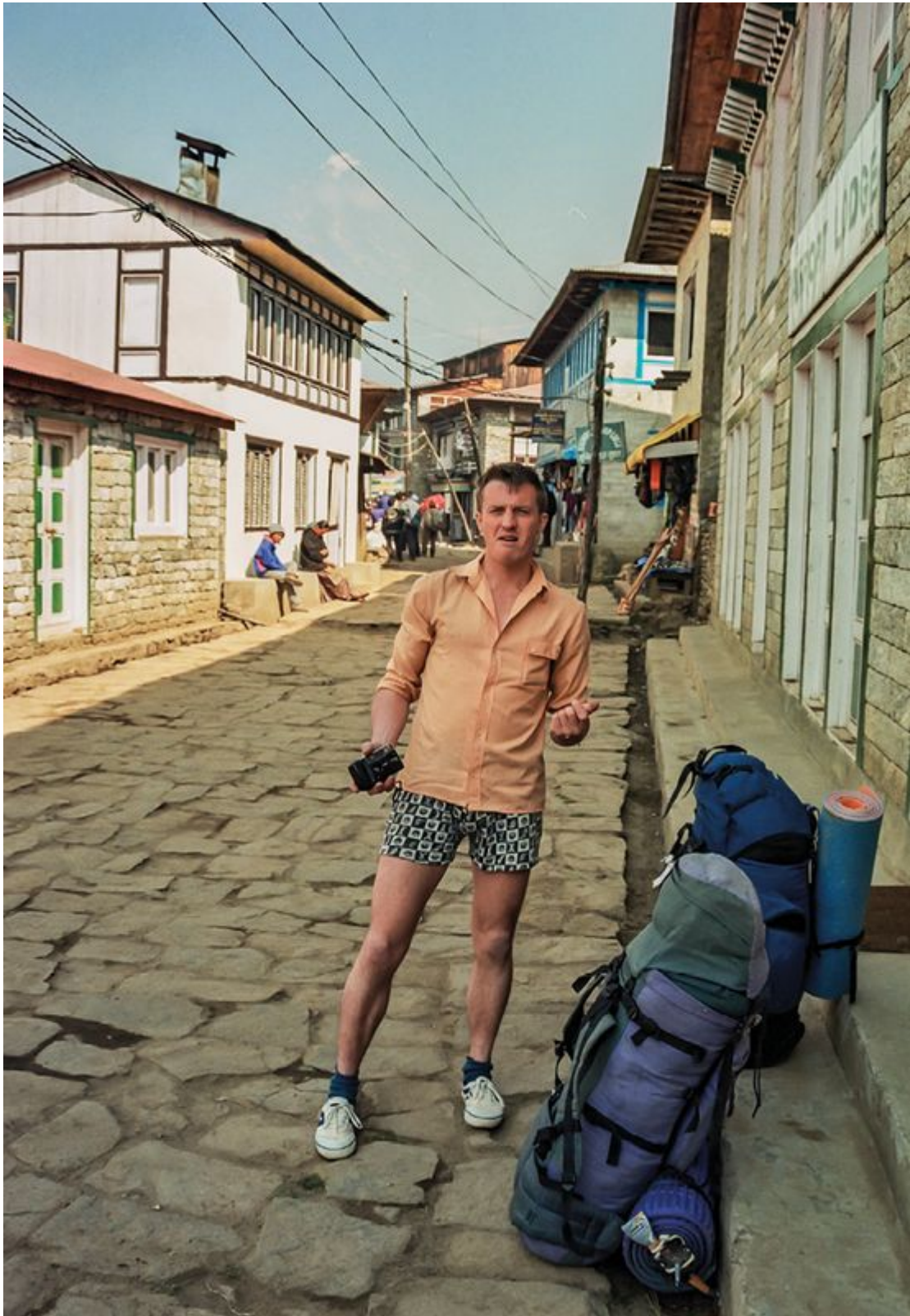
Skoro świt do hotelu wpadł Bikał, jeden z managerów agencji. Wymachując rękoma, długo i z oburzeniem o czymś perorował. Oprócz tego, że mamy się natychmiast pakować, niczego więcej nie zrozumiałem. Przed hotelem czekała na nas taksówka. Pojechaliśmy na lotnisko, nie tam, gdzie wylądowaliśmy dwa dni wcześniej, ale na terminal Domestic. Może nazwano go tak na cześć jakiegoś lokalnego radży? Ponownie odarto nas z pieniędzy: zapłaciliśmy po pięćset rupii opłat lotniskowych. W poczekalni kłębił się tłum oczekujący na wszystkie loty oprócz naszego. Nie mogliśmy się zorientować, skąd będzie startował samolot do Lukli. Na szczęście udało nam się odczytać na biletach nazwę przewoźnika, a otyły wojskowy wskazał drogę do maszyny.

- Ile zapłaciliśmy za bilet do Lukli? - zainteresował się Andriej. Wyciągał właśnie kamerę wideo na pasie startowym.

- Dziewięćdziesiąt pięć dolarów. - Przewróciłem oczami. - Od osoby!

- Ciekawe, czy dolecimy tym małym samolocikiem.

Andriej pilnie kręcił swoją kamerą otoczenie. Sprzęt wyraźnie nie chciał go słuchać, co i rusz kierował się w stronę ładnych dziewcząt, które z wdziękiem wsiadały do naszej latającej betoniarki. Dziewczyny nie zwracały na nas uwagi, jakby w ogóle nie były nami zainteresowane. I zapewne tak było. Starkow zdążył się jednak nabawić zeza.



Lukla, początek trekkingu pod Everest

Wystartowaliśmy. Lot okazał się niezapomniany. Samolot trząsał się w powietrzu tak, że wewnątrz rzucało nami, jakbyśmy byli kostkami do gry. Ze dwadzieścia razy myślałem, że zaraz spadniemy. Na horyzoncie płynęły góry. Próbowałem dojrzeć Everest, ale nadaremnie. Lądowisko w Lukli przypominało te, które oglądałem na filmach o wielkiej wojnie ojczyźnianej. Krótki pas wyznaczony na zboczu góry bardziej przypominał wiejską drogę niż miejsce do lądowania i startowania jakichkolwiek samolotów. Byliśmy na wysokości 2800 metrów.

Zabudowa Lukli stylem przypominała tę w Katmandu, tyle że domki były skromniejsze i przylepione do zbocza. Nie przewidziano ruchu samochodowego, z osady prowadziła niewielka ścieżka. Wyglądało na to, że wszystko tu – zarówno pieszy trakt, jak i pas na lotnisku – wybudowano w jednym standardzie. Nasze bagaże to tylko dwa plecaki, zarzuciliśmy je na ramiona i ruszyliśmy w drogę. Na jednym z zakrętów przeżyła się strzałka z napisem „Everest”. Poszliśmy w kierunku, który wskazywała.

Z powodu obolałego palucha nie mogłem zbyt szybko gnać, ale Andriej i tak nie nadążał; na zakrętach często musiałem na niego czekać. Trzymał się jednak, próbując zachować dobry nastrój. Dbałem, by ten nie zniknął. Tak człapaliśmy razem. W porze obiadowej minęliśmy posterunek kontrolny Parku Narodowego Sagarmatha. Ściągnięto z nas jeszcze po tysiąc rupii.

Dookoła zadbane wioski, a między nimi – tarasowe pola. Na nich coś się zieleniło, widać było wschodzące rośliny. Wkrótce po raz kolejny przekroczyliśmy rzekę po wiszącym moście. Ścieżka prowadząca do Namcze Bazar zaczęła się ostro pięć. Zbocze było naprawdę strome, upadek z bagażem mógł się skończyć skreńceniem karku. Nie robiło to wrażenia na tubylcach, którzy żwawo maszerowali i w górę, i w dół, obarczeni ogromnymi tobołami. Na

plecach mieli kosze na rzemieniach, niektórzy transportowali deski i pudła. Na oko wyglądało, że ładunki ważą jakieś 50-60 kilogramów. Jak dawali radę?

Przed Namcze Bazar zdecydowałem się poczekać na Andrieja i przysiadłem koło miejscowych. Dla zabawy postanowiłem spróbować, jak to jest, gdy się niesie ten ich tobolek. Założyłem ramię na czoło i ledwie dałem radę wstać. Szerpa natomiast z trudem uniósł mój plecak. Długo się śmiał; nie rozumiał, jak jestem w stanie wędrować z czymś takim na plecach. Jak to się mówi: trening czyni mistrza.

Zwykle w koszach transportowano artykuły spożywcze i rzeczy potrzebne do domu. Za którymś zakrętem spotkałem jednak młodego mężczyznę, który niósł w koszu staruszkę, pewnie swoją matkę. Zdarzały się jeszcze dziwniejsze obrazki. Raz napotkałem mężczyznę w średnim wieku taszczącego na plecach... kanapę. Tak, tak, prawdziwą miejską kanapę o różowo-niebieskiej tapicerce. Ileż kilometrów przebyła na ramionach szczęśliwego właściciela? Jeśli chłop targał ją z Jiri, gdzie kończyła się jezdna droga, wyprawa musiała mu zająć co najmniej kilka dni. Ale czego się nie robi dla kanapy. Zdobycze cywilizacji w postaci samochodu i dróg potrafią ułatwiać życie. Tutaj na nowo zaczyna się doceniać rzeczy, do których zdążyliśmy już przywyknąć.

Wyglądało na to, że Andriej dotkliwie uświadomił sobie, jak przyjemne było życie w mieście. Przygnieciony ciężarem plecaka dotarł do punktu krytycznego. Widziałem, że ledwie zipie. Nie skarżył się, ale krok miał chwiejny. Dotarcie z Lukli do Namcze Bazar zajęło nam sześć godzin. Wioska leżała na górskim tarasie, wysoko na zboczu zwróconym na południe. Natura stworzyła tu naturalne schronienie przed wiatrem, rodzaj amfiteatru, dzięki czemu zawsze było w niej nieco cieplej niż w okolicy. Osada tętniła życiem.

Robotnicy przynosili kamienie, stukali młotkami, chałupniczo wyrabiali cegły. Niewielkie targowisko proponowało mydło i powidło: trampki i rzodkiewki, krakersy i gwoździe, taśmę izolacyjną i worki mąki. Wszyscy czymś się zajmowali, o czymś rozmawiali. Nie spieszo się, ale też widać było, że życie nie stoi w miejscu. Od razu poczuliśmy, że w Namcze Bazar jesteśmy „u siebie”.



Namcze Bazar

Byliśmy potwornie zmęczeni. Rozboliła mnie noga, a Starkow twierdził, że bolą go obie, we wszystkich miejscach naraz. W jakiś cudowny sposób dowlokłem się do centrum. A tam na środku ulicy czekał na mnie Simone. Co za spotkanie! Miałem mistyczne wrażenie, że świetnie

wiedział, kiedy pojawimy się w wiosce, i przyszedł popatrzeć na nasze ledwo powłóczące nogi. Ten uśmiech i optymistyczne spojrzenie!

- No, jesteś! - zawołał, kiedy w końcu pojawił się też Andriej. A potem najczystsza ruszczyzną rzucił: - *Priviet!* Cześć!

- Nie pytaj nawet jak! - zażartował Andriej w zawołany sposób.

- Jak? - Simone nie dał się prosić.

- Nie można za tobą nadążyć. Wszędzie mówią: „Był tu wczoraj”.

Simone poruszał się w chaosie wąskich uliczek niczym ryba w wodzie. Zaprowadził nas do dużego i komfortowego hotelu, lepszego niż się spodziewaliśmy. Szyld nad wejściem głosił: Thamserku View Lodge. Kręciło się tu kilku trekkerów. Ich rzucające się w oczy namioty, przypominające kolorowe kołdry, były rozstawione w pobliżu. Wyglądało na to, że taras, na którym wcześniej znajdował się ogródek, przekształcono w płatny kemping. Rośliny pokrywał kurz, a wyslizganymi w glinie ścieżkami spacerowały kury i plątały się pod nogami.

- W Katmandu mieszkaliśmy w hotelu Star - opowiadałem wieczorem. - Kosztował sześć dolarów za dwie osoby.

- Płaciłeś za hotel? Dlaczego?! Pobył w hotelu był wliczony w sumę, którą przekazałeś Asian Trekking. To samo dotyczyło transferu taksówką na lotnisko.

- A opłata za wejście do parku narodowego?

- Też była wliczona. Dałeś pieniądze agencji i to ona powinna się wszystkim zająć. - Simone zamilkł na kilka minut. Następnie dodał z kwaśną miną: - Powinni również zapłacić za wasze wyżywienie tu, w dolinie Khumbu.

Spojrzelismy z Andriejem po sobie ze smutkiem, choć Simone zapewniał, że w Katmandu wszystko nam zwróca. No cóż, zapłaciliśmy frycowe. To rezultat naszej niewiedzy, zdobywania doświadczenia. Wiedzieliśmy już, że musimy podszkolić się w angielskim, bez niego trudno o dobre porozumienie.

Z Simone było kilku jego włoskich przyjaciół. Jeden z nich - niewysoki Alessandro - gadał jak nakręcony, szybciej niż Simone, chociaż wcześniej wydawało mi się to niemożliwe. Mieszkał gdzieś na północy Włoch, był kierowcą tira i jeździł po Europie.

Spojrząwszy na umęczoną twarz Andrieja, Simone, nasz włoski dowódca, wziął do rąk jego plecak i pokręcił głową. Przez chwilę oceniał, ile dodatkowo może ważyć sprzęt fotograficzny Starkowa.

- Twój bagaż jest za ciężki - zawyrokował.

- To prawda. Dziś dałem radę, ale jutro tak obładowany nie pociągnę. - Andriej pokornie skinął głową. - Może odpoczniemy jeden dzień? - Popatrzył na mnie wyczekująco.

- W żadnym wypadku! - oburzyłem się pełen młodzieńczego zapału. Gdy wyobraziłem sobie, że odnaleziony z takim trudem Simone znów zniknie, przeraziłem się nie na żarty. W niezrozumiałym dla mnie świecie turystów wysokogórskich i Szerpów Włoch był jedyną stałą, oparciem. - Idziemy ze wszystkimi - zdecydowałem.

Simone, który uchwycił smutny wzrok Andrieja, dobrodusznie pokiwał głową.

- Jest wyjście z tej sytuacji - zauważył.

- Jakie?! - zawołałem jednocześnie z Andriejem. W moim pytaniu brzmiała podejrziwość, w jego - rezygnacja.

- Musimy nająć tragarza. - Roześmiany Simone przypominał nauczyciela, który wyjawia uczniom coś oczywistego.

Z pamiętnika Andrieja Starkowa:

O piątej rano zrywamy się na dźwięk budzika. Ktoś puka do drzwi, czeka taksówka. Kosztuje 50 rupii. O szóstej znajdujemy się na lotnisku. Załatwiamy formalności, wsiadamy do niepozornego samolociku - ogółem zabiera zaledwie ośmiu pasażerów - i startujemy do Lukli. Lot trwa 45 minut. Na dole wszystko we mgle. Po lewej stronie pojawiają się góry. Piękny widok!

Nagle niespodziewanie wlatujemy do wąskiej doliny i zaczyna nami potwornie trząść. Koszmar. Przez głowę przelatują myśli, że to koniec. Den opowiada później, że wielokrotnie latał małymi samolotami, ale czegoś podobnego nigdy nie przeżył. Na szczęście udaje nam się pomyślnie wylądować na pasie ubitej ziemi i żwiru. Tłum turystów czeka już, żeby odlecieć do Katmandu.

Natychmiast, o 9.45, wychodzimy na trasę. Denis zachowuje się tak, jakby był tu już wielokrotnie - od razu się orientuje, którądy wiedzie nasz szlak. Pogoda jest piękna, kwitną niezapominajki i ogromne rododendrony. Spotykamy jaki, turystów i Szerpów, którzy taszczą pakunki. Wszyscy, którzy idą pod górę, mają radosny wyraz twarzy, ci, którzy schodzą, z jakiegoś powodu są zgaszeni.

Dziś naszym celem jest Namcze Bazar. Denis emocjonuje się, chce jak najszybciej dogonić Simone. Dolina jest ładna, a jej rozmiar - ogromny. Po południu zaczynam czuć się zmęczony. Denis prze do przodu jak czołg, jest daleko przede mną, co jakiś czas na mnie czeka. Kiedy dochodzę do niego, doradza, gdzie lepiej

odpocząć, a gdzie przeciwnie - należałoby przyspieszyć. Próbuję się usprawiedliwiać, przez ostatni rok prowadziłem spokojny tryb życia i nie chodziłem po górach.

O 18.00 doczołguję się do Namcze Bazar. Przystaję u wylotu wąskiej uliczki. Wypełnia ją tłum ludzi. Denis każe mi zaczekać, odpocząć. Sam idzie poszukać noclegu. Po pięciu minutach wraca w skowronkach: spotkał Simone. Pogania: „Chodź szybciej, czeka na nas”. Stoję zgarbiony, zesztyniały. Nie mogę ani zgiąć, ani wyprostować nóg; złapał mnie skurcz w udach. Na moje pojękiwania Den odpowiada: „Andriej, nie płacz!”. A mnie bierze śmiech, że nie mogę zrobić kroku. Oto cena za nieodpowiedzialne podejście do aklimatyzacji i kondycji, a właściwie za ich całkowity brak. Do hoteliku, gdzie zatrzymał się Simone, mamy sto metrów, mój plecak dociera tam na ramionach Denisa.

To mi przypomina zabawny epizod, który wydarzył się w bazie pod Annapurną w grudniu 1997 roku. Któregoś ranka Simone, Dima i Anatolij poszli przez lodowiec na zwiady. Wieczorem zaczął sypać śnieg, a oni nie wracali. Wyszedłem, żeby poczekać na nich na morenie. Późnym wieczorem ujrzałem na lodowcu światła ich czołówek. Pierwszy pojawił się Simone. Mówię do niego: „Daj plecak, pomogę ci”. Podziękował, zdjął plecak i dwadzieścia kroków do namiotu kuchennego przeszedł bez bagażu. Wróciłem na morenę i spotkałem Dimę. Mówię: „Dawaj plecak”. A ten oburzony, że należy do sportowego klubu armii i nie będzie oddawał plecaka jakiemuś turyście, jakim prawem myślę, że on... i że ja... Wtedy z ciemności wynurzył się Bukrijew. Dobra, pomyślałem, buzia na kłódkę, bo ten mnie zabije.

Teraz wraz z Simone przyjechało pięć osób, jego włoscy przyjaciele. W ramach trekkingu chcieli wraz z nim jako przewodnikiem dotrzeć do bazy pod Everestem. Wieczorem podczas wspólnej kolacji wypijamy przyniesioną przeze mnie butelkę wina. Jest wspaniale. Zostaję zakwaterowany w dużym pokoju na drugim piętrze. Gospodyni, która ma na imię Pemba, mówi, że to pokój prywatny, prosi, żeby nie robić w nim zdjęć. Ciekawe miejsce. W rogu znajduje się duży ołtarz: za przeszklonymi drzwiczkami ustawiono trzy połączone posążki Buddy. W ich ręce, nie wiem dlaczego, włożono banknoty. Przed drzwiczkami, na półce, umieszczono czternaście srebrnych miseczek z czystą wodą. Są pogrupowane w pary: jedna zwykła, druga zdobiona ornamentem. Przed ołtarzem, który wygląda jak szafka, stoi szklana skrzynia, w środku pali się oliwna lampka. Wszędzie jest bardzo czysto. Na ścianach wiszą buddyjskie obrazy - znam je dzięki książce Lwa Gumilowa „Malarstwo buriackie”. Wzdłuż ścian ustawiono ławki przykryte narzutami oraz wąskie i długie stoły. Pemba przygotowała mi poślanie w kącie przy wejściu. Nad nim pod sufitem wisi ogromny bęben. Przed kolacją wraz z Denisem słyszymy, jak Szerpowie modlą się w tym pokoju.

Rano, gdy jeszcze było chłodno, opuściliśmy hotel. Po wymagającym marszu poprzedniego dnia mój palec u nogi mocno bolał. Tuż po wstaniu trudno mi było chodzić. Ledwie dokuśtykałem na śniadanie, czym wystraszyłem Simone. Musiałem długo tłumaczyć, że wszystko będzie dobrze i ten ból minie, kiedy stopa rozgrzeje się w czasie ruchu. Podczas marszu za Andriejem szedł zasępiony i poważny młody Nepalczyk. Dźwigał na plecach kosz. Odnależliśmy go w gąszczu chat wieczorem poprzedniego dnia. Odmówił niesienia plecaka po naszymu, wepchnął

całe barachło Starkowa na dno plecionej kosza, a rzemyk nałożył na czoło.

Chmury, które po nocy kłębiły się nad doliną, gwałtownie się rozwiały. Pojawił się głęboki błękit nieba. Himalaje! Zachwycony przymknąłem oczy; chłonałem ostatnie chwile przed wyjściem na trasę. Zapowiadał się ciekawy dzień. Opuściliśmy Namcze Bazar, szlak prowadził trawersem po zboczu, niemal nie zdobywając wysokości. Szliśmy nad doliną, głęboko w dole szumiała i bulgotała rzeka Dudhkosi. Za jednym z zakrętów, ponad niewielkim trawiastym wzgórzem, majaczyło to, o czym marzyłem długie lata – majestatyczny szczyt Everestu. Przystanąłem i długo się w niego wpatrywałem. W mojej głowie kłębiło się mnóstwo myśli. Naprawdę tu jestem? Pod najwyższą górą świata? Uda mi się? Nadszedł Starkow i zaczął robić zdjęcia. To zmusiło mnie do powrotu na ziemię, poskromienia emocji. Andriej interesował się wszystkim w inny sposób: artystyczny.

Dolina rzeki Imja odchodziła na północny wschód. Dolne tarasy były zielone, wyższe żółte od zeszłorocznej wyblakłej trawy. Panowało miłe ciepło, gałęzie sosen kołysały się na lekkim wiatku. Czuć było powab lata, które miało dopiero nadejść. Wraz z wysokością urodzajne zbocza przechodziły w skalne urwiska. Posiwała trawa, która pojawiała się między nimi, zlewała się w końcu ze śniegiem. Szczyty pięły się wysoko; tak wysoko, że miało się wrażenie, iż dla nieba nie zostanie już miejsca. Przypominający umieszczony na krokwiach błękitny dach utrzymywał się jednak tam, gdzie powinien.



Everest wyłaniający się zza innych szczytów

Odległe góry na wschodzie tworzyły niewiarygodne skalne i lodowe ściany z wyciosanymi przyporami. Na twardym tle mieszało się białe z czarnym. Trudno było pojąć, w jaki sposób to wszystko trwa, jak utknęło na sklepieniu nieba. Pionowe ściany oświetlało słońce, lecz one nie odbijały ich promieni. Nie! Raczej rodziły własną fantasmagorię światła - kolorów i ognia. Zwracały na siebie uwagę; były jaśniejsze od słońca.

Skalny szaniec w oddali był koronką wierzchołków Nuptse. Grzebień osiągał wysokość prawie ośmiu tysięcy metrów. Zrozumiałem, co czuli himalaiści różnych narodów i czasów, kiedy zbliżali się do tego boskiego tronu. Zdawałoby się, że wyżej już się nie da! Tymczasem zza korony szczytów sterczała bezlitosna, przytłaczająca bryła. Czarna, strzelająca w niebo baszta. Było jasne, że to kolejne tysiąc metrów do pokonania. Takiego czegoś nie powinno być w naturze. A jednak! To dźwigał się Everest.

„Ptak, który wznosi się ponad wszystkie inne” - mówił o Evereście Tenzing. W sanskrycie imię najwyższej góry świata brzmi Sagarmatha, co w tłumaczeniu oznacza „Czoło Niebios”, Tybetańczycy nazywają ją natomiast Czomolungma - „Matka Bogów”. Nie wiem, jak półtora wieku temu można się było mylić, kłócić, obliczać. Tutaj, po południowej stronie Himalajów, chyba każdy podróżnik musiał pojmować, że ma do czynienia z czymś najwyższym. Góra była tak potężna, że przekreślała wszelkie wątpliwości. Piękność!

Mój wzrok powędrował bardziej w prawo. Tam, nad czarnym trójkątem ściany biła w niebo ostrym szczytem Lhotse. Czwartą co do wysokości góra na naszej planecie. Właśnie na jej szczyt miałem dotrzeć. A więc: poznajmy się!



W drodze do Tengboche: Alessandro, Simone i ja

Przez kilka minut patrzyliśmy na himalajskie szczyty jak zaczarowani. Nasze rozmowy kręciły się wokół Everestu. W tym dniu wędrowałem razem z Simone. Sporo gadaliśmy. Mój włoski przyjaciel głośno trajkotał, jego gwałtowny i skrzypiący głos odbijał się echem po okolicy. Było nas słychać na sporą odległość. Turyści odwracali się w naszą stronę, witali, próbowali się wtrącać do rozmowy. Na szlaku panował tłok. Trekkerzy, tragarze. Z oddali musieliśmy wyglądać jak kolorowe paciorki, które ktoś z nieznanych przyczyn nanizał na żyłkę rozciągniętą wzdłuż zbocza i przesuwiał to w dół, to w górę. Nad nami panoszył się jaskrawy bezkres radosnego błękitu. A na niewyobrażalnej wysokości, niczym krawędź diamentu w niebie, tkwił Everest. On był tam, a my tu, ale odległość między nami z każdym krokiem malała.

Doszliśmy do kolejnej wioski. Za nią szlak zanurzał się w sosnowy las. Słońce lało żar na zakurzoną ścieżkę, wierzchołki drzew odświeżał wiaterek o korzennym zapachu. Szło się lekko, mimo zmęczenia spowodowanego wcześniejszym ciężkim dniem. Schodziliśmy w głęboką dolinę. Potem wiszącym mostem przeprawiliśmy się na drugi brzeg rzeki i zaczęliśmy ponownie zdobywać wysokość.

- Przypomnij mi, żebym dał ci kije - odezwał się Simone.
- Skąd je weźmiesz? - zapytałem.
- Są w moim bagażu. Tragarze przyniosą wieczorem.

Skinąłem głową. Szliśmy stromo pod górę i nie da się ukryć, że czułem już różnicę między organizmem wypoczętym a zmęczonym. Z kijkami byłoby o wiele łatwiej. Ale była na to rada. Znalazłem w krzakach jakąś gałąź, nadawała się na kostur. Dzięki niej mogłem część ciężaru przerzucić na ręce. Ten łajdak, czyli plecak, mocno obciążał moje ramiona; podczas odprawy na lotnisku okazało się, że waży niemal trzydzieści kilogramów. Pocieszałem się, że w trakcie ciężkiej pracy organizm łatwiej się dostosowuje do wysokości. Aklimatyzacja - ważna rzecz, może więc chociaż trochę rekompensowało to moją głupotę.

- Do bazy pod Everestem masz zapewnionych dwóch tragarzy. - Simone patrzył na mnie ze zdziwieniem, nieco zmartwiony tym, co widział.

- Gdzie to jest zapewnione? - zdumiałem się.
- W umowie z agencją. Po co taszczysz to wszystko?
- Ach, hm... - zrobiłem dobrą minę do złej gry - po prostu trenuję, Simone! To ważne, żeby się szybko aklimatyzować.
- *Russian style*. - Mój przyjaciel skinął głową z niejakim podziwem. - Super! Czy Andriej Starkow również trenuje w tym samym stylu?

Otaczały nas zimozielone drzewa. Zieleń była nasycona i żywa, taka, jakiej potrzebujemy, żeby odczuć piękno świata. Ponad koronami trwał szczyt nazwany przez Simone Kangtegą. Miało się wrażenie, że świeci od środka niczym pałac z lodu. Jakby wisiał w powietrzu i płynął w nieważkości. Harmonię między niebem a ziemią podkreślały intensywnie kolorowe kwiaty na drzewach. Simone, jak zwykle wykazał się erudycją i objaśnił mi, że drzewa te to rododendrony. Kiście kwiatów – purpurowe, czerwono-bordowe lub różowe – wzbudzały romantyczne odczucia. Chciało się być godnym tej krasoty. Myślałem o doskonałości świata i o prawdziwości wszystkiego, co tworzy naturę.



Kobiety też zarabiają, nosząc towary

Nad górami powoli zaczynały się gromadzić chmury. Ale nim zaczęło padać, zdążyliśmy dotrzeć do hotelu w Tengboche. Wioska słynie z buddyjskiego męskiego klasztoru. Diabli wiedzą, co ludzie mieliby tu robić poza kontemplacją, trudno bowiem zaprzeczyć, że Tengboche znajduje się w niezwykle urokliwym miejscu. Z woli natury powstał tu taras nad doliną, z pięknym panoramicznym widokiem na Himalaje. Według legendy jakieś czterysta lat temu z Tybetu do Nepalu wędrował znany lama. Tu zastały go ciemności. Padał rześisty deszcz, lama wdrapał się na skałę, owinął kocem i zasnął snem sprawiedliwego. W nocy przyszło objawienie: powinien pozostać w tym miejscu, tu bowiem znajduje się brama do królestwa Szambala. Rano okazało się, że podczas snu lama odcisnął w skale wgłębienie, które przypominało kształtem ludzkie ciało. Uznał to za znak, a wiadomo, że ze znakami się nie dyskutuje. Duchowny zgromadził więc braci w wierze i nakazał im zbudować gompe. W ten sposób Szerpowie zamieszkali w Solukhumbu.



Jaki od początku budziły moją nieufność

Pod wieczór Simone zaczął nalegać, żebyśmy poszli do klasztoru. Udało się porobić zdjęcia i nakręcić film, choć wszędzie widniały zakazy. Potem zostaliśmy zaprowadzeni do rinpocze, by poprosić o błogosławieństwo na dalszą drogę. Odmawiał mantry, żartował i miło z nami gawędził, a potem zawiązał nam na szyi żółte sznureczki na szczęście. Jak zawsze chłonałem wszystko, co się wokół mnie działo, i mało brakowało, a buddyzm zawładnąłby mną całkowicie. Było to jednak ulotna wizja, jedno z tych wyobrażeń, które składały się na powiew młodości. A może uciekałem przed samym sobą?

Kiedy zapadł wieczór, nad górami bliżej dolnej części wąwozu zaczęło się błyskać. Szła burza. Zasnąłem. Odgłosy grzmotów i stukanie kropel deszczu o dach wybijały we śnie moje wątpliwości. Zwykle kumulowały się one i dawały o sobie znać w jednej - najważniejszej - chwili, gdy trzeba

było szarpać się na granicy sił i możliwości. A nawet poza tą granicą.



Wraz z Simone w klasztorze w Tengboche

Z pamiętnika Andrieja Starkowa:

Wyspałem się doskonale. Na śniadanie ryż z jakimś sosem oraz dwa kubki herbaty z mlekiem. Ruszamy. Nie dźwigam żadnych bagaży, wszystkie moje rzeczy niesie tragarz. Przez pierwsze pół godziny trasa pnie się nieznacznie w górę, potem kolejną godzinę spokojnie trawersujemy zbocze, a na koniec długo pokonujemy strome podejście. Kiedy idziemy pod górę, nieco wyprzedzam Simone i Denisa. Słyszę ich głosy nawet z daleka. Rozmawiają ze sobą, wrzeszcząc. Według mnie mają podobne temperamenty. Do Tengboche (3864 m n.p.m.) docieramy o 12.30. Nieco

wcześniej, zanim zaczęliśmy na dobre podchodzić, mijamy obracane przez wodę młynki modlitewne z wyrytymi na powierzchni mantrami. Coś podobnego widziałem pod Annapurną w 1997 roku, ale tam były to młyny, obracały się modlitewne kamienie.

Jemy posiłek, a potem idziemy pospacerować po terenie klasztoru. O 16.00 Simone i Denis idą do jakiegoś pomieszczenia, gdzie przyjmuje rinpocze. Otrzymują błogosławieństwo na wejście na szczyt. W klasztorze kupuję na pamiątkę czapkę z daszkiem zdobioną napisem „Teng-boche” oraz rzeźbiony kamyczek w haftowanej torebce. Słońce zachodzi za górę i natychmiast robi się zimno. Otaczające wioskę szczyty wraz z Ama Dablam są niewidoczne, kryją się we mgle. Ciekawe, jak wyjdą zdjęcia. Wszędzie mnóstwo ludzi – Szerpów, turystów i równie dużo rozstawionych namiotów.

Siedzę przed naszym hotelikiem, nieopodal znajduje się niewielki plac wyłożony kamieniami, za dnia lądował tam helikopter. Naprzeciw mnie przysiada jeden z przyjaciół Simone. Mówię do niego, że jest zimno, on wyciąga rękę z zegarkiem, który mierzy również temperaturę: wskazuje 13°C. Z hoteliku dociera zapach dymu, w pobliżu na ziemi drzemie ogromny jak, biegają dzieci, przechodzi Szerpa, mamrocząc coś pod nosem.



Obudziły nas niskie, buczące dźwięki trąb. Były tak donośne, że mogłyby wskrzesić nieboszczyka. Klasztor informował wszechświat o swoim istnieniu i wkraczał w nowy dzień. Pogoda nastrajała do marszu, szybko więc wypiliśmy herbatę i wyruszyliśmy na spotkanie słońcu. Ognista kula była jeszcze nisko, ale już oblewała przeciwległe zbocza doliny swoim światłem. Robiło się coraz cieplej. Z Tengboche początkowo trasa wiodła przez las. Z obrosłych mchem i porostami starych drzew zwisały jakieś rośliny. Kiedy przeprawiliśmy się mostem na przeciwległy brzeg rzeki, zrobiło się naprawdę gorąco. Towarzyszyła nam charakterystyczna wspaniała sylwetka Ama Dablam.

Podczas wędrówki często mijaliśmy karawany jaków. Od początku zwierzęta te wzbudzały moją nieufność. Ich łagodny krowi wygląd kłócił się z niewiarygodną liczbą pakunków, które dźwigały. Było w tym zestawieniu coś niepokojącego. Przyznam, że wręcz się ich bałem i omijałem z daleka, jeśli tylko się dało.

Moje odczucia potwierdziło zdarzenie w jednej z wiosek. Kilku Szerpów próbowało pochwycić ogromnego samca. Początkowo stał spokojnie, beznamietnie coś przeżuwał, patrzył na wszystko obojętnym wzrokiem. Jego ospały wygląd nie zwiódł Szerpów, zbliżali się doń powoli, z ostrożnością. Gdy tylko jak pojął, że te podchody dotyczą jego, wstąpił w niego diabeł. Zaczął się rzucać na wszystkie strony, bódł, gdzie popadnie; jego rogi przecinały powietrze ze świstem i przywodziły na myśl szable. Trach! Bach! W końcu zwierzę podskoczyło, pochyliło głowę do ziemi, co śmiertelnie przestraszyło Szerpów, i pognało na drugi

koniec poletka. Czym zakończyły się zmagania ludzi z jakim, nie zobaczyliśmy, nasze nogi poniosły nas już dalej. Do tej pory nie rozumiem jednak, jakim cudem ten byk nie okaleczył żadnego z Szerpów. To zdarzenie uświadomiło mi także, jaka siła tkwiła w tych zwierzętach. W jednej sekundzie dobroduszny zwierz mógł się zamienić w potwora, a potem równie szybko nałożyć fałszywą maskę pokory i posłuszeństwa. „Kierowcy jaków”, którzy tak dobrze dawali sobie z nimi radę, zasługiwali na szacunek.

U północnego podnóża Ama Dablam leżała wioska Dingboche. Dotarliśmy do niej po niecałych trzech godzinach marszu, nabrawszy wysokości i pokonawszy trochę kilometrów. Tutejsze poletka otaczały kamienne murki, które chroniły skrawki ziemi przed działaniem zimnego wiatru. Wewnątrz tworzył się swoisty mikroklimat, dzięki czemu warzywa dojrzewały nawet na wysokości ponad 4000 metrów. Zacząłem odczuwać brak powietrza, nie aż tak, jak w środkowym Tien-szanie, ale na tyle wyraźnie, by poczuć kruchość człowieczego istnienia w Kosmosie. Zatrzymaliśmy się tu na nocleg.

Na jednym z niewykorzystanych pod uprawę poletek kilku Szerpów grało w siatkówkę. Po obiedzie wraz z Simone dołączyliśmy do nich, rzucając się do walki. Było wesoło, oddech się rwał, skoki wychodziły niezgrabnie, ale aklimatyzacja wciąż postępowała. Pół godziny wystarczyło, żebyśmy poczuli obezwładniające zmęczenie. Nic tylko się położyć i umrzeć, właśnie tu, w pobliżu najwyższych gór, w szczęśliwości i błogim spokoju.

Jeśli porównać moje wrażenia z pobytu w Himalajach z opisami licznych trekkerów, można uznać, że niewiele widziałem. Bo rzeczywiście gnałem przed siebie obarczony ciężkim plecakiem i nie w głowie były mi turystyczne przyjemności. Czyż mogło być inaczej? Miałem swój cel i zadanie, to one były najważniejsze. Nie przyjechałem

w Himalaje, by podziwiać piękne widoki i dbać o dobre samopoczucie. Krajobrazem mógł się zachwycić nasz artysta, niestety nie było mu dane. Starkow cierpiał bardziej niż pozostali. W Dingboche na wysokości 4300 metrów poczuł się zupełnie źle. Prawie cały poprzedni wieczór spędził w łóżku, na śniadanie przyczłapał smutny i bez sił. Postanowił spędzić w Dingboche jeszcze jedną noc.

My ruszyliśmy do Lobuche. Andriej odprowadził nas i zyskał pięćdziesiąt metrów wysokości. Potem zawrócił. Cóż, zobaczymy się w bazie! Simone dorzucił mi do niesienia statyw fotograficzny i akumulator. Same w sobie nie ważyły Bóg wie ile, ale razem z plecakiem dawały już spory ciężar. Próbowałem nie dać tego po sobie poznać. Słońce grzało, wiatr sprawiał, że szumiało w głowie, wysokość ograniczała percepcję. Dzień był piękny, otoczenie efektowne. W ciągu dwóch godzin minęliśmy Lobuche i dotarliśmy do dziwnego miejsca, zwanego Piramidą. Kilka lat temu Włosi wybudowali niewielką stację, w której chcieli badać kataklizmy natury. Miejsce wybrano nieprzypadkowo: znajdowaliśmy się prawie 5000 metrów nad poziomem morza, gdzie powietrzna kołderka stawała się już cienka. Stacja znajdowała się na uboczu, poza szlakiem, dojście było słabo oznakowane. Po obiedzie wraz z Simone poszliśmy szukać naszych towarzyszy wędrówki. Nie szli w grupie, tylko pojedynczo, każdy z osobna. Oczywiście ominęli Piramidę.

W Himalajach pięć tysięcy metrów daje w kość tak, jak cztery tysiące w Tien-szanie. Było to i dziwne, i ciekawe. Wyglądało na to, że w trakcie dalszej wspinaczki nie będzie źle. Kolejnego dnia przespacerowałem się na wysokość 5300 metrów. Poczułem, że jestem w swoim żywiole. Gdy schodziłem, zaczął padać śnieg. Później siedziałem przy oknie Piramidy z kubkiem gorącej herbaty w dłoniach i zachwyciałem się spadającymi z nieba dużymi płatkami śniegu. Himalaje!



Miejscowe dzieci są ufne i ciekawskie

Szerpowie, którzy przyszli z dołu, powiedzieli, że Starkow dotarł do Lobuche. Bez tragarza musiało być mu bardzo ciężko. Przed wieczorem zjawił się on sam. Długo popijał herbatę w naszym schronisku na skraju lodowca. Powiedział nam, że jutro w południe Nepalczycy będą obchodzić Nowy Rok - 2057. Patrzyłem na Andrieja i myślałem, że najchętniej nie wracałbym do życia w dolinach. Moje miejsce było tutaj. Czułem to. Na tych wysokościach. Miałem oczywiście zobowiązania wobec rodziców i dzieci, ale tak naprawdę byłem potrzebny tylko samemu sobie.

Z pamiętnika Andrieja Starkowa:

Rano budzą mnie dźwięki dochodzące z klasztoru. To grają bębny i trąby. Ruszamy do Dingboche. Droga nie jest zbyt wymagająca: najpierw idziemy niemal po płaskim, później szlak łagodnie wznosi się do góry. Obiad jest wspaniały: na pierwsze danie francuska zupa cebulowa, na drugie - momo, czyli pierożki z mięsem, na koniec - herbata z cytryną.

Gramy z miejscowymi chłopcami w siatkówkę. Po pięciu minutach czuję, że pęka mi głowa. Ot, niedostateczna aklimatyzacja. Powinienem pomyśleć o swojej kondycji jeszcze w Ałmatach. Ostatnie miesiące, spędzone w idiotyczny sposób, właśnie odbijają mi się czkawką. Tak samo, jak alkohol, po którym zostało na moim balkonie kilka worków pustych flaszek. Wyniósł je ostatnio mój braciszek Sierioża, budujący na swojej działce jakiś egotyczny mur.

Zostaję w wiosce jeszcze jeden dzień, żeby odpocząć. Wciąż boli mnie głowa. Odprowadzam ekipę do stupy. Oni idą do Lobuche, a dokładniej do Piramidy, ja dla rozgrzewki i treningu wchodzę na najbliższe wzniesienie. Czuję się paskudnie, ledwie daję radę. Spotykam po drodze Jackie, mieszkamy w tym samym

hoteliku. Że też matki nie boją się puszczać takich ładnych dziewczyn samotnie w góry. Później przesypiam cały dzień. O szóstej po południu, kiedy się budzę, świat na zewnątrz skrywa mgła. Wkładam wszystkie T-shirty i podkoszulki, jakie mam, a i tak jest mi zimno. Będę musiał spać w kurtce puchowej.

Podczas kolacji poznaję dwóch Włochów - Pietra i Alessandra. Dzień wcześniej posprzeczali się z ludźmi Simone, dziś jednak siedzimy razem i gawędzimy. Po angielsku. Szkoda, że inni tego nie widzą; Włosi znają angielski tak samo słabo jak ja. Pomagamy sobie mimiką i gestykulacją. Alessandro opowiada o trekkingu pod Annapurnę, który odbył w 1998 roku. Następnego dnia chcemy razem wyruszyć do Lobuche. Proponuję wyjście o siódmej, ale staję na dziewiątej. Czuję zresztą, że rano na wczesną pobudkę i tak zabrakłoby mi sił.

Na śniadanie jest to samo, co na kolację: omlet z cebulą - 110 rupii oraz zupa z kurczaka - 85 rupii. Jackie rusza o wpół do ósmej, moi włoscy przyjaciele jeszcze się grzebią. Za dziesięć dziewiąta postanawiam podejść do stupy i tam na nich poczekać. Czekam i czekam, aż w końcu zniecierpliwiony ruszam na szlak. Po godzinie dociera do mnie, że z plecakiem na barkach nie dam rady dojść do Lobuche. Na szczęście mijam jakiegoś Szerpę i dogaduję się z nim, że poniesie mój bagaż. Płacę mu 300 rupii. Nawet bez obciążenia ledwo idę, co dziesięć minut przystaję i dwie kolejne odpoczywam. Spotykam Guida, jednego z przyjaciół Simone, tego od wspaniałego sprzętu fotograficznego marki Nikon. Skarży się na silne przeziębienie. Schodzi aż do Tengboche. Trochę daleko.

W porze obiadu docieram do Lobuche. Kwateruję się w jednym z hotelików - jest tu przestronna jadalnia i 24

miejsca do spania. W wiosce nie ma nikogo z ekipy Simone, spotykam natomiast Jackie i kilku Rosjan. Jeden, całkiem słaby, musiał opuścić bazę pod Everestem. Podczas obiadu dosiada się do mnie Gruzin. Beno Kaszakaszwili, przedstawia się. Mówi po rosyjsku z lekko wyczuwalnym akcentem. Jego ekipa wspina się na Lhotse. Jest przeziębiony i na dwa, trzy dni schodzi, żeby podreperować zdrowie. Częstuje mnie figami, są, jak zapewnia, moskiewskie. Zaprasza do gruzińskiego obozu w bazie, ich namioty znajdują się najbardziej na prawo. Zawsze się cieszą, kiedy odwiedzają ich znajomi. Słyszał o Urubce. Gruzin wygląda potężnie, o takich mówi się „kawał chłopca”. Przekazuje pozdrowienia dla Rinata Chajbullina.

Wychodzę na spacer dookoła hotelu. Skoro głowa nie boli - myślę - pójdę pomalutku i poszukam drogi do Piramidy. Jest zimno, mam na sobie kurtkę puchową. Niepostrzeżenie, w ciągu 45 minut, docieram do stacji. Spotykam Denisa i Simone - cieszą się na mój widok, ja również jestem rad, samemu nudno się wędruje. Wracam do Lobuche, zajmuje mi to 25 minut. Zejście na dół jest tak samo trudne jak marsz pod górę. Znowu boli mnie głowa. Siedzę w jadalni. Nie będę jadł kolacji, zamówiłem cały termos herbaty z mlekiem. Mam zamiar szybko się położyć.

W jadalni jest kilka grupek turystów. W kącie grają w karty trzy osoby; mają słowiańskie rysy twarzy, dziewczyna jest bardzo ładna. Obok rozmawiają po angielsku (osiem osób). Zachowują się jak burżuje: głośno się drą i rechoczą w obrzydliwy sposób. Po lewej ode mnie siedzą Czesi. Chyba Czesi, ci po prawej tak ryczą, że nie mogę dojsć, w jakim języku rozmawiają. Grają w kości. W jadalni jest jeszcze dwóch panów w wieku dojrzałym. Jeden z nich uśmiecha się do mnie;

w dzień ucieliśmy sobie pogawędkę. To Bułgar, uczestniczy w wyprawie na Lhotse, słyszał o Simone.

Na środku stoi piecyk z rurą, grzeją się przy nim mężczyzna i kobieta. Rozmawiają spokojnie po angielsku. No, proszę, można się zachowywać jak ludzie. Dziwne, że w pomieszczeniu pali się, słabe, bo słabe, światło elektryczne. Gra muzyka. Nie wiem jeszcze, czy rano pójdę do Piramidy z jakimś Szerpą czy sam. Biorę tabletki i idę spać.

Czas mijał szybko. Myśmy działali jeszcze szybciej. Przy śniadaniu pożegnaliśmy się z przyjaciółmi Simone. Oni szli w dół, my - w górę. Droga do bazy pod Everestem prowadziła po morenie lodowca Khumbu. Dotarliśmy do niej po dwóch i pół godzinie. Ta liczba - 2,5 - bardzo mi się spodobała. Miałem wrażenie, że w takim czasie wszystkiego można dokonać. Tyle mniej więcej zajmowały nam dotychczasowe przejścia.

W bazie - prawdziwy kwiat rosyjskiego alpinizmu. Perszyn, Winogradzki i wielu innych. Widziałem też Jelagina. W biały dzień wyglądał bardziej dobrodusznie niż na ciemnej ulicy. Była również ekipa rosyjsko-gruzińska pod kierownictwem Bena Kaszakaszwilego. Wieczorem poszedłem ich odwiedzić. Skromnie usiadłem w kąciku, by przejrzeć gazety. Chłopcy rozmawiali o obcych krajach, gdzie kto był.

Następnego ranka zaczęło się świętowanie - Simone wyciągnął sprzęt. Dał mi co nieco do wykorzystania.

- Wiem, jak tam u was z wyposażeniem i wiem, jak stoisz z pieniędzmi - zaśmiał się. - Przywiozłem wszystko dla dwóch.

„Wszystko” obejmowało naprawdę sporo rzeczy. Kije, jumary, raki i wiele innego szpeju. Od kilku lat sponsorem

Simone była firma CAMP. Wyglądało na to, że ja również załąpałem się do zespołu.

Szykowaliśmy się do wyjścia w górę. Trzy doby - na tyle miałem zabrać żywności i gazu. Jeśli coś zostanie, zrobimy depozyt. Wyjście aklimatyzacyjne. Co będzie dalej, czas pokaże.

- Od razu idziemy na sześć osiemset? - W moim głosie pobrzmiwała nieufność.

- No pewnie - prychnął Simone. - Po co marnować czas?

- Myślisz, że damy radę? - Wciąż nie dowierzałem.

- Nie myślę, wiem! Zaufaj mi. Wchodziłem na ośmiotysięczniki, mam doświadczenie.

Sam w dziedzinie ośmiu tysięcy metrów byłem kompletnym zerem. Chciałem się jak najwięcej nauczyć, na wszystko musiał jednak przyjąć odpowiedni czas. Najważniejsze, żeby te osławione osiem tysięcy metrów pozwoliło się zdobyć. Rozwijałem się i to było cenne. Poznawałem zarówno własne możliwości, jak i nowy dla mnie świat. Doświadczałem czegoś, co wykraczało poza podstawowe ludzkie potrzeby.



Everest Base Camp

Po obiedzie Simone poznał mnie z niektórymi sąsiadami: poszliśmy do obozu Amerykanów. W ich ekipie wyróżniała się dziewczyna o europejskiej urodzie – Kim Gattone. Po włosku *gattone* oznacza kotkę. Siedzieliśmy w jadalni Amerykanów do wieczora, popijając herbatę. Właściwie nie uczestniczyłem w rozmowie, natomiast Simone gadał jak nakręcony. Samo przysłuchiwanie się też było pożyteczne. Niekiedy udawało mi się wyłapać znane słowa. Były to punkty wyznaczające kierunek rozmowy. Pojmowałem, o czym mowa, ale gdyby zapytano mnie o konkrety, miałbym kłopot z odpowiedzią. Wieczorem, kiedy kładłem się spać, w mojej głowie mieszały się – niczym jarzyny w sałatce winegret – włoskie, rosyjskie i angielskie słowa. Przy czym coraz mniej rozumiałem ojczystą mowę.

Czternastego kwietnia wstaliśmy tuż po wschodzie słońca. Czekano na nas śniadanie przyrządzone przez kucharza Tsakata. Zjedzenie omleta z serem oraz wypicie herbaty z różnymi dodatkami zajęło nam kwadrans. Potem ruszyliśmy do góry. Taka wspinaczka mi się podobała. Nie trzeba samemu gotować, nosić wody, zmywać garów. Plecaki okazały się niezbyt ciężkie, szliśmy bez nadmiernego wysiłku. Początkowo trasa prowadziła po gruzowisku moreny w stronę lodospadu. Dostyc nudne podejście z pokonywaniem pęknięć i rozpadlin zamieniło się w trawers stromego lodowo-śnieżnego labiryntu.



Drabiny nad szczelinami straszą chybotliwością

Tu po raz pierwszy ujrzałem przerzucony nad głęboką szczeliną mostek. To cudo techniki było niczym innym jak położoną nad przepaścią aluminiową drabiną o długości

pięciu-siedmiu metrów, przymocowaną do podłoża kotwami śnieżnymi. Odstępy między szczeblami wynosiły około dwudziestu pięciu centymetrów, za prowizoryczne poręcze służyły linki. Myśl, że mam na coś takiego wejść, wzbudziła mój niepokój. Nie miałem jednak czasu na zastanowienie. Simone szybko pokonał drabinę, miał doświadczenie z poprzednich wypraw. Ruszyłem za nim. Chwyciłem linki, nogi same trafiły na szczeble. Przednie ząbki raków ułożyły się dokładnie tam, gdzie powinny. Zanim się spostrzegłem, byłem po drugiej stronie. Simone nawet nie spojrzał w moim kierunku, był pewien, że bez trudu sobie poradzę.

Drogę wskazywał wydeptany ślad. W poprzednich dniach przeszło tędy wielu klientów i Szerpów. Im dalej, tym więcej pojawiało się szczelin, szlak kluczył między ogromnymi serakami. Lodospad nie okazał się aż tak przerażający, jak opisywano go w literaturze. Wymagał jednak dużego skupienia i szybkości w pokonywaniu kolejnych przeszkód.



Lodospad Khumbu - labirynt z własnymi regułami gry

Z książki Johna Hunta *Zdobycie Mount Everestu*^[*]:

Po odbyciu długiej poziomej drogi od niewidocznych szczytów Lhotse, szczytowa grań Nuptse opada nagle niespodziewanym skokiem ku wyższej dolinie Khumbu, w istocie zaś ku miejscu, w którym stoimy, tuż ponad obozem-bazą. Jednakże nie udaje się jej osiągnąć dna doliny, jakiś kataklizm oderwał ją bowiem o 600 metrów powyżej. Nie pozostało nic poza nagą przepaścią z nawisającymi strzępami niebieskiego lodu - często ponad trzydziestometrowej długości - które każdego dnia odrywają się i spadają co chwila masywnymi bryłami. Skraj tego filaru, kiedy zwrócimy się do niego twarzą, stanowi prawe ograniczenie lodospadu. Lewym jest zachodnia grań Everestu, nie

mniej imponująca, która szerokimi i gładkimi płytami opada ku Lho La, widocznej teraz nad naszym lewym ramieniem. Ściśnięty pomiędzy grzędami Everestu i Nuptse, lód przypomina gigantyczną kaskadę, walącą się ku nam rozpędzonymi falami i wirami okalającymi zatopione głązy. Chciałoby się niemal słyszeć ryk tej olbrzymiej masy spienionych wód, które dopłynąwszy spokojnie do skraju urwiska w górze, rzucają się teraz w dół z przeraźliwą siłą. Lecz wielki chłód opanował wody, zmroził kaskadę, unieruchomił, uczynił ją milczącą i uwięził jej siłę. Niezupełnie jednak: ten labirynt potrzaskanego lodu rusza się bowiem – jego powierzchnia ulega zmianom – jeśli nie tak szybko jak powierzchnia wody, to jednak wystarczająco szybko, by uczynić przejście lodospadu rzeczą niebezpieczną.

Kiedy się na to spojrzy bardziej obeznanym okiem wspinacza, widać, że problem rozpada się w sposób naturalny na dwie części. Istnieje tu stroma dolna partia, pokryta lodem, który wyraźnie uległ znacznym i świeżym zmianom, duża przestrzeń pokryta jest bowiem rumowiskiem olbrzymich lodowych głązów. Nad tym potężnym stopniem, na wysokości co najmniej 300 metrów, stok kładzie się na chwilę rodzajem półki, po czym spiętrza się ponownie ku krawędzi Western Cwm. Ta górna partia widoczna jest w znacznym skrócie i częściowo zasłonięta niższym stopniem, jednak nawet i stąd odnosi się wrażenie, że jest ona mniej potrzaskana i że jej pęknięcia przebiegają wyraźniej i w większej skali. Po obu bokach lodospadu znajdują się szczeliny, które same w sobie mogłyby stanowić możliwe do przejścia drogi, ale tak są narażone na lawiny lodowe z sąsiednich zboczy, że korzystanie z nich równałoby się samobójstwu. Trzeba więc szukać drogi przez sam środek, poprzez rejony,

w których lód najbardziej jest zniekształcony i chaotyczny.

Wątpię, czy ktokolwiek mógłby lepiej opisać lodospad Khumbu niż pionierzy. Oczywiście cały ten teren wygląda teraz inaczej niż w trakcie wyprawy Johna Hunta. Z linami ubezpieczającymi jest łatwiejszy do pokonania. Pierwsi zdobywcy czuli zapewne grozę pośród stanowiących ogromne zagrożenie potężnych seraków, lodowych głazów i bezdennych otchłani szczelin. Dziś doświadczeni wysokogórscy trekkerzy są zaznajomieni z tego typu niebezpieczeństwami. Mimo wielu ofiar oraz incydentów przejście przez *icefall* to dla wielu atrakcja.

Tego ranka w górę szło mnóstwo osób. Brawurowo wyprzedzaliśmy ich wraz z Simone; czułem, że mamy mnóstwo sił. Wielu patrzyło na nas z zazdrością. Znalazłem sposób na szybsze przechodzenie drabin. Należało stawać na szczeble śródstopiem i pokonywać je po dwa, trzy za jednym zamachem. Tak było zabawniej i odważniej, chociaż ryzykowniej.

Po dwóch i pół godziny dotarliśmy do obozu pierwszego. Zrzuciliśmy plecaki i usiedliśmy, żeby kilka minut odpocząć. Dalej lodowiec wznosił się już łagodniej. Przecinało go kilka szczelin, droga prowadziła trochę bardziej w prawo, wzdłuż zbocza Nuptse.

- Po co w ogóle urządzać tu obóz? - zdziwiłem się.
- Dla wielu osób dotarcie do tego miejsca jest problemem - odparł Simone.
- Te dwie i pół godziny wspinaczki? Żartujesz!
- Ludzie płacą ogromne pieniądze nie po to, żeby się tak umęczyć jak ty i ja! Większość to klienci agencji.

Patrzyłem na długą kolumnę ludzi ledwie powłóczącą nogami. Byli związani liną, opiekowali się nimi Szerpowie.

To również była wspinaczka!

- Simone, może tak popracujemy? Ile oni płacą? -
zażartowałem.

Mój przyjaciel skrzywił usta.

- Nie potrzebuję takiej pracy - rzucił przed siebie, nie
zwracając się konkretnie do mnie.

Na błękitnym niebie świeciło słońce i bezlitośnie nas
oślepiało. Świat zamienił się w gigantyczną kryształową
soczewkę, błyszcząły promienie. Przed kolejną drabiną
przerzuconą nad szczeliną Simone przystanął, by zdjąć
niepotrzebne ubrania i posmarować się kremem
ochronnym. Nie chciałem tracić czasu, pogałem dalej.
Przedemną wspinał się postawny Szerpa, niósł kilka butli
z tlenem. Jego bagaż ważył pewnie tyle samo, co mój.
Ujrzawszy, że idzie za nim zachodni wspinacz, dosłownie
pękał ze złości. Widać uraziłem jego dumę. Pogardliwie
spojrzawszy w moją stronę, przyspieszył.

Chyba nigdy wcześniej nie byłem tak podekscytowany jak
tu - na wysokości sześciu tysięcy metrów. Szlak z łatwością
układał się pod nogami. Serce współpracowało z oddechem
i mięśniami. Zwiększyłem tempo i wkrótce wyprzedziłem
przedstawiciela ludu regionu Solukhumbu. Mój krok był
dziarski i precyzyjny. Zaraz potem Szerpa zwolnił i wkrótce
został gdzieś za kolejnym olbrzymim lodowym blokiem.



Simone na lodospadzie Khumbu w drodze do obozu pierwszego

Widziałem już namioty w kotle lodowca. To, zgodnie z opisami w górskiej literaturze, musiał być obóz drugi. Dokładnie pod ścianą Everestu. Uniosłem głowę i podążyłem w myślach za linią wytyczoną na tej wysokiej i niedostępnej ścianie przez radziecką wyprawę w 1982 roku^[**]. Nieźle! Doszedłem do namiotów. Przysiadłem przy ścieżce i czekałem na Simone. Ożywiony i jak zawsze uśmiechnięty dotarł po kilkunastu minutach.

Zaczęliśmy rozstawiać nasz górski dom. Znalazłem zardzewiałą zapalniczkę, którą przez swoje przyrodzone skąpstwo schowałem do kieszeni. Wkrótce okazało się, że żaden z nas nie zabrał z bazy zapalek i nie mamy czym zapalić palnika. Cóż, trzeba było trochę pogłówkować, ale stara zapalniczka zaskoczyła. Mogliśmy uraczyć się ciepłym jedzeniem.

Simone miał nieodpartą potrzebę nawiązywania łączności radiowej z całym światem. Trafił też na częstotliwość kobiecej ekipy z Nepalu. Udało mu się nawet porozmawiać z jakąś dziewczyną. Przed snem w naturalny sposób wypłynął więc ten najbardziej palący i interesujący temat – kobiety.

Niech mnie diabli! Ranek, światło, himalajskie giganty. Nad głową ściana Everestu! Widok naturalny i niemalże już zwyczajny. Myślałem, że nigdy nie zobaczę tych gór na żywo. A jednak... Szkoda jedynie, że droga na Everest – tak bliska, była jednocześnie dla mnie zamknięta. Mogłem tylko próbować wejść na Lhotse. Ale to również było wspaniałe! Takie szanse zdarzają się raz w życiu.

- Hej, Simone! – zawołałem.

- Taaak... – Mój towarzysz otrząsał się ze snu.

- Dostyc już tych marzeń! Wszystkie dziewczyny są daleko. A pogoda jak na zamówienie.

Simone rozmarzony drapał się w zarost na brodzie.

- Kapszagaj! Tam właśnie są.

- O tak. – Teraz i ja westchnąłem. – Piękne dziewczyny w bikini grają na plaży w siatkówkę.

Wypiliśmy herbatę i zaczęliśmy schodzić do bazy. Moją sugestią, by spakować sprzęt i go schować, Simone zignorował. Oświadczył, że niczego tu nie ukradną. Nie podzielałem jego optymizmu, ale nie miałem wyjścia – to on miał doświadczenie. Ślady wcześniejszej ludzkiej działalności na lodowcu przykrył śnieg. Przez chwilę błądziliśmy, na szczęście przebieg trasy był w zasadzie jasny. Niepokój budziła świadomość, że pod śniegiem mogą się znajdować szczeliny. Udało się żadnej nie zaliczyć i po trzech godzinach byliśmy na dole.

Tak się złożyło, że tego dnia w bazie zebrała się cała międzynarodowa wyprawa, w ramach której działaliśmy. Był więc Dojczin Wasilew z Bułgarii, Gonzalez Velez z Portugalii i Piotr Pustelnik z Polski. Piotr w dokumentach nepalskiego ministerstwa turystyki figurował jako kierownik naszej ekipy.

Każdy z nas postawił na stole butelkę alkoholu ze swojej ojczyzny. Wyszedł niezłe zaopatrzone barek. Postanowiłem, że dopiero po wszystkim napiję się grappy. Koniak, który przywiozłem z Kazachstanu, spodobał się natomiast Dojczinowi. Bułgar okazał się specjalistą od wypraw w Pamir i Tien-szan. Wychyliwszy szklaneczkę, opowiedział w dobrym rosyjskim, że czterokrotnie zdobył Szczyt Komunistów, trzykrotnie - Szczyt Korzeniewskiej i Szczyt Lenina oraz raz - Chan Tengri. W gwarze rozmów dosłyszałem też, że Pustelnik miał na swoim koncie osiem ośmiotysięczników. No proszę, co za ludzie dookoła!

Piotrowi, jako kierownikowi, przekazano informację, że oficer łącznikowy przydzielony do wyprawy wyruszył w stronę bazy.

- Szerpowie mówią, że jest w Tukli. - Nasz kucharz Tsakat nie wyglądał na zadowolonego.

- Czyli zjawi się tu za dwa dni - podsumował kwaśno kierownik. - Niedobrze.

- Dlaczego nie może siedzieć w Katmandu? - Simone zarżał. - Sprzęt został wydany, pieniądze przyznane, wszystkie dokumenty podpisane.

Pozwólcie, że wyjaśnię tym, którzy jeszcze tego nie wiedzą, jaką funkcję pełni oficer łącznikowy na wyprawie. To wojskowy przydzielany do każdej ekspedycji. Ma rozstrzygać problemy, które mogą się pojawić między obcokrajowcami a ludnością miejscową, czuwać, by ekspedycja przestrzegała wszystkich zasad

organizacyjnych, dbać o ochronę środowiska, odnotować dotarcie na szczyt poszczególnych osób z ekipy, a na koniec zadbać, by zostały usunięte ślady pobytu ludzi w górach wysokich.

Być może dawniej oficer łącznikowy był rzeczywiście potrzebny. Obecnie, gdy wyprawy wysokogórskie w Nepalu są czymś powszechnym, a sprawami organizacyjnymi zajmują się specjalistyczne agencje, jego wsparcie jest zbędne. Współcześnie każdy krok w najwyższych górach świata został poprzedzony i zweryfikowany przez wieloletnie doświadczenie organizacyjne. Wiadomo, co i jak robić. Tymczasem oficer towarzyszący wyprawie musi otrzymać odpowiednie wyposażenie, trzeba mu opłacić przejazd, pokryć „wydatki delegacyjne”, a także zapewnić wyżywienie w bazie. To dodatkowe koszty: około 2500 dolarów. Oficer dostaje te pieniądze za nic, właściwie bez powodu. Całą konieczną pracę i tak wykonują osoby zatrudnione w agencji.

Co gorsza, ten miłośnik życia na koszt innych lubi wsadzać nos w nie swoje sprawy i doszukiwać się najmniejszych uchybień organizacyjnych. W takich sytuacjach bujnie kwitnie korupcja. Niewielka łapówka sprawia, że oficer z ciężkim bólem serca - pracuje przecież dla dobra Ojczyzny - przymyka oko na nieścistości i odchylenia w działaniu wyprawy. Po tym, co napisałem, łatwo zrozumieć, że kierownicy ekip nie przepadają za przebywaniem oficerów łącznikowych w bazie.

Ranek następnego dnia uraczył nas piękną pogodą. Obudziłem się skoro świt i wygramoliłem z namiotu. Wszystko zamarło w chłodzie. Pod nogami chrzęścił śnieg, który napadał w nocy. Przed wschodem słońca ściał go mróz. Włożyłem stare zniszczone tenisówki, których nie było szkoda na morenę, i wyszedłem zwiedzać okolicę.

Skoro nie mogłem spać, postanowiłem zobaczyć, jak początek dnia wygląda u innych.

Wszystkie obozy w bazie były do siebie podobne, różniły się jedynie kolorami, rozmiarami i modelami namiotów. Nic dziwnego, zasady działania takich tymczasowych schronień i ich funkcjonalność dopracowywano przez dziesiątki lat. Obóz miał przede wszystkim gwarantować spokój wspinaczom oraz zapewniać wygodę personelowi. Wspinacze musieli mieć bezpieczne miejsce odpoczynku, kiedy schodzili z gór, nepalscy kucharze natomiast możliwość takiej pracy, która ten odpoczynek zapewni. I to zarówno alpinistom, jak i im samym.

Zwykle sercem obozu jest mesa, czyli jadalnio-świetlica, inaczej mówiąc duży namiot główny. Wspinacze i odwiedzający mogą w nim usiąść przy stole: zjeść, pogadać, poczytać. W mesie znajdują się przedmioty wspólnego użytku, jest ekspres do kawy, termos z wrzątkiem, składane krzesła, gniazdka, jeśli jest agregat prądotwórczy.



Nasz ekipa kucharzy; w środku szef kuchni - Tsakat

W pobliżu mesy znajduje się namiot kuchenny urządzony zgodnie z lokalną tradycją. Urzędują w nim szerpańscy kucharze. Palnik podłączony do butli, półki i półeczki, różne przedmioty rozrzucone bez składu i ładu. Szerpowie odnajdują się w tym chaosie bez problemu. Dla nich noże, garnki, łyżki, deski do krojenia i wałki znajdują się dokładnie tam, gdzie powinny. I trzeba przyznać, że wbrew pozornemu nieładowi kuchnia zazwyczaj działa bez zarzutu.

Kilka kroków od kuchni zwykle rozstawia się namiot przeznaczony na magazyn. Przechowuje się w nim nie tylko zapasy żywności, lecz także dodatkowe wyposażenie wspinaczy. Zwykle królują w nim zimno i bałagan. Liny sąsiadują z burakami, a kiełbasy wabią miejscowych

pożeraczy. Przy załamaniu pogody to właśnie ten namiot najszybciej pada ofiarą wiatru lub śnieżycy: jeśli chodzi o ochronę, znajduje się na końcu listy.

Nieodłącznym atrybutem obozu jest stupa, prosta buddyjska budowla sakralna. Tu pod Everestem buduje się ją z kamieni, których pełno na morenie lodowca. Taka stupa może mieć nawet trzy metry wysokości: jej podstawa jest kwadratowa, w górze przyjmuje bardziej kopulasty kształt. Na szczycie umieszcza się maszt o odpowiedniej długości z odchodzącymi od niego sznurami z kolorowymi flagami modlitewnymi. Mają one przynosić powodzenie i odganiać wszelkie zagrożenia. Stupy stawiane w szybkim tempie w wysokogórskich bazach nie są oczywiście tak dopracowane, jak te wznoszone w miejscach ogólnodostępnych. W swojej klasycznej formie buddyjska stupa przypomina z wyglądu duży odwrócony kociołek zwieńczony budką-wieżyczką z iglicą.

Szedłem między namiotami innych wypraw i rozmyślałem o biz-nesie oraz komercji w himalaizmie, o tym, jak krzyżują się historia z religią i sportem. Nad górami wschodziło słońce, przysłonięte ścianami Lhotse i Nuptse. Romantyczno-filozoficzny nastrój rozpływał się w promieniach coraz bardziej rozkręcającego się poranka. Róż płynnie przechodził w złoto, wszystko wokół jaśniało przebite kryształową wysokością. Piękno przyrody było natchnieniem do... Nie wiedziałem do czego, dawało mi jednak poczucie szczęścia.

Na grzbiecie moreny, nad jednym z miasteczek namiotowych, zobaczyłem wątłą postać. Dziecko? - zdziwiłem się, by po chwili dostrzec, że to młoda dziewczyna. Powoli szliśmy sobie na spotkanie, każde z nas zanurzone we własnym oceanie szczęścia. Kiedy dziewczyna była już bardzo blisko, wszystkie moje myśli uleciały. Patrzyłem na nią urzeczony, była niezwykle piękna.

Mógłbym się nawet zgodzić, że tego ranka była największym cudem natury. Harmonijnie łączyła w sobie najlepsze barwy nieba, skał, śniegu i lodu. Była stworzona z górskiego wiatru, namiętności ognia i spokoju nocy.

- Cześć - pozdrowiłem ją niepewnie.

- *Namaste* - odparła jakby mimochodem.

- Co tu robisz? - spytałem. Zabrzmiało to wyjątkowo głupio.

Nie przystanęła przy mnie, uśmiechnęła się tylko i przeszła obok. A potem, jakby coś sobie przypomniała, odwróciła się w moją stronę i powiedziała:

- Zachwyam się wschodem słońca. I robię zdjęcia. -
Zaśmiała się i wyjęła dłonie z kieszeni kurtki. W jednej trzymała aparat foto-graficzny.

Jej uroda była uderzająca, w typie hinduskim. W delikatnej twarzy błyszcząły głęboko osadzone ciemne oczy. Zwykle tak piękne kobiety występują w reklamach albo filmach. Ta miała jednak w sobie coś osobliwego. Jej uśmiech fascynował i przyciągał; niejeden dałby sobie palec uciąć, by go często oglądać. Oczy jednak pozostawały nieprzeniknione. Przypominały zimne odmęty. Połączenie namiętności z lodem zaskakiwało.

- Jestem Denis - powiedziałem. - I też się zachwyam wschodem słońca.

- Karizma. - Skinęła głową. - Miłego spaceru - dodała i poszła dalej.

Skierowałem się w stronę naszych namiotów. Piękno wschodu słońca nad Himalajami już nie było dla mnie pociągające. Wszystko przyćmiła dziewczyna, której na imię Karizma. Dziwiłem się, że ktoś taki jak ona znalazł się w tym miejscu. Taka piękność, klejnot. Ukradkiem

patrzyłem za nią, śledziłem jej sylwetkę na tle lodospadu Khumbu.

Ten ranek przyniósł jeszcze jedno miłe spotkanie. Z góry zeszła ekipa rosyjsko-gruzińska. Codziennosc w bazie stala się ciekawsza. Z tymi chłopakami mogłem rozmawiać na każdy temat, ta sama mentalność robila swoje. W ich obozie czułem się jak u siebie. Próbowałem obserwować tych, którzy mieli największe doświadczenie, i jednocześnie przyswajałem szczegóły życia na wyprawach. Po raz pierwszy jadłem u nich ciekawą w smaku bladoróżową jagodę pozbawioną skórki. Nepalczycy nazywali ją „lola”, wygladało na to, że była to daleka krewna naszej wiśni.

Pchany natchnieniem, a może pod wpływem dziwnego smaku lokalnych owoców, ruszyłem po posiłku do obozu nepalskiej ekipy kobiecej. Jej namioty stały całkiem niedaleko. Dziewczyny niemal nic nie wiedziały o wspinaczce i himalaizmie. Coś im tam pokazałem. Pokręciłem liną przed oczyma wschodnich piękności, pobawiłem się karabinkami. Potem pomogłem w organizacji pudży.

Pudża to rodzaj ceremonii ofiarnej. Opowiadałem już, że każda wyprawa wznosi niewielką stupę w swoim obozie. Szerpowie, a i niektórzy wspinacze, wierzą, że przed rozpoczęciem zdobywania szczytu należy obłaskawić tutejszych bogów, oddać im należytą cześć i poprosić o pozwolenie wejścia na ich śnieżne trony. Bo góry to siedziba bogów, ludzie natomiast swoją obecnością burzą harmonię świata. Czasem podczas pudży to któryś z Szerpów intonuje modlitwy, zwykle jednak na ceremonię przybywa lama. Podczas nabożeństwa czyta modlitwy ze starych ksiąg, święci dary ułożone na ołtarzu i zgromadzone obok przedmioty wspinaczy. Następnie za odpowiednią opłatą śpiewnie i nieco zawodząco recytuje niezrozumiałe dla ludzi Zachodu słowa, a jego pomocnik

gra na bębenku; wokół dymią kadzidła. Trzeba przyznać, że to wszystko przyciągało uwagę. Pod koniec pudży stawia się maszt i doczepia do niego chorągiewki z tekstami mantr.



Pudża w obozie nepalskiej ekipy kobiecej

Posiedziawszy w trakcie ceremonii pośród nepalskich dziewcząt, poczułem się trochę jak człowiek stąd. W czarno-białym pejzażu kolorowe flagi modlitewne wyglądały niezwykle malowniczo. Czerwone, żółte i zielone skrawki materiału trzepotały na wietrze. Radowały oczy i tworzyły wyjątkową atmosferę. Ku swojej radości zauważyłem wśród osób przyglądających się ceremonii spotkaną rano dziewczynę. Stała nieco z boku, nie biorąc udziału w samej pudży. Od czasu do czasu robiła zdjęcie lub odzywała się do któregoś z Szerpów. Gdy wszyscy wypili po łyku czangu - tradycyjnego lokalnego piwa, a atmosfera

zrobiła się mniej podniosła, skorzystałem z okazji i do niej podszedłem.

- Cześć! Znów robisz zdjęcia i podziwiasz piękno natury? - zagailem.

- O, cześć! Podoba mi się tu. - Zachichotała wesoło.

Któryś ze stojących obok chłopców dolał jej piwa. Dziewczyna urzekała. Jej smukła sylwetka i uśmiech rozpałały we mnie ogień. Oczy pozostawały jednak ciemne i chłodne. Za każdym razem, gdy jej powab przyciągał mnie zbyt mocno, spojrzawszy w te oczy, trzeźwiałem. Chciałem wiedzieć, co robi w gronie kobiet uczestniczących w wyprawie na Everest. Jak się okazało, nie wchodziła w skład ekipy. Była tu gościnnie. Kariszma nie chodziła po górach, pod Everestem znalazła się z ciekawości.

- Po prostu zachciało mi się przygód - powiedziała. - Tylu obco-krajowców przyjeżdża tu na trekking, a my siedzimy w domu. Pomyślałam, że może warto zobaczyć, jak to jest.

- Wam to dobrze - westchnąłem. - Obcokrajowiec, żeby dotrzeć do Nepalu, musi mieć sporo pieniędzy.

- A ja wzięłam w pracy urlop i oto jestem - zakpiła.

Zauważyłem, że stojący obok Szerpowie nerwowo się kręcą. Moja obecność wyraźnie im nie pasowała; dawali mi to odczuć. Niby przypadkiem jeden z nich sprzedał mi kuksańca w bok, inny przez nieuwagę poślizgnął się i wylał na mnie piwo, kolejny objął dziewczynę w talii. Byli trochę na gazie, a ja nie chciałem mieć kłopotów. Pożegnałem się więc i poszedłem do domu, czyli do namiotów mojego międzynarodowego zespołu.

Zanim odszedłem, Kariszma pięknie się uśmiechnęła, jakby rozumiała, co się ze mną dzieje, i niepostrzeżenie puściła do mnie oko. Jej ciemnobrązowe oczy dotknęły mojego serca. Poczulem w duszy zamęt. Chciałem marzyć

o pięknie świata w ogólności, a o kobiecym powabie w szczególności.

Tak jakoś wyszło, że do swojego obozu dotarłem, gdy niebieskawy zmierzch pełzył nad doliną. Simone już zaczął się o mnie martwić. Obok kuchni trajkotał agregat prądotwórczy. W mesie mój przyjaciel podłączył do gniazdek mnóstwo ładowarek i w świetle lampki czytał książkę.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Tak. Przepraszam, że nie zdążyłem ci pomóc przy tych wszystkich sprawach. - Potoczyłem wzrokiem dookoła.

- E, tam. Poradziłem sobie. Wystarczyło włączyć agregat i dojść do tego, który przewód do czego służy. Ale gdzie się podziewałeś tyle czasu?

- Byłem u dziewczyn z Nepalu. - Pociągnąłem nosem. - Podziwiałem pudzę. Coś takiego widziałem po raz pierwszy w życiu.

- I co, było ciekawie? - Simone uśmiechnął się nieco zaskoczony, że interesują mnie takie rzeczy.

- Wspaniale! - odparłem szczerze, chociaż wcale nie miałem na myśli pudzy.

W nocy rozboleło mnie ucho. Rezultat stania przez parę godzin na wietrze. Rano postanowiłem zastosować ludowy sposób: oblałem kłębek waty grappą i zatkałem sobie tym korkiem ucho. Podobno pomaga. Rzeczywiście do wieczora ten mało delikatny środek zadziałał. Szkoda było jedynie grappy.

Przez cały dzień wypoczywałem, nie ruszając się z namiotu. Po obiedzie zaczęliśmy budować dla naszego obozu stupę, podobną do tej, którą mieli nasi sąsiedzi. Nie powiem, trochę się przy tym zgrzaliśmy. „Może odpocząłbym od gór - myślałem, turlając kamienie na

wysokości 5300 metrów – tak totalnie, całkowicie?”. Byłoby dobrze, gdybym na parę lat zapomniał o istnieniu szczytów i prowadzących na nie dróg. Być może w moim życiu pojawiłyby się wtedy inne wartości. Bo na razie moja praca i codzienność były przesiąknięte wspinaczką. Nie miałem żadnej odskoczni. Może to i dobrze, gdy poświęcasz czas tylko temu, co cię kręci. Czasami bywa to jednak przygnębiające – nie poznajesz innej strony medalu zwanego egzystencją.

Życie w bazie było monotonne. Główną rozrywkę stanowiło jedzenie. Śniadanie, obiad i kolacja – oto najciekawszy czas w naszym uniwersum. Kucharz Tsakat okazał się towarzyski, a co najważniejsze smacznie i szybko gotował. Robota paliła mu się rękach. Za młodu Tsakat pracował jako tragarz. Pewnego dnia w jakiejś wiosce napadli go miejscowi: pobili i okradli. Postanowił się zemścić: naostrzył kukri, wrócił i pociął kilka osób. Trafił do więzienia, siedział kilka lat. Po wyjściu podjął decyzję, że nie będzie już tragarzem. Przekwalifikował się i został kucharzem.

Tego wieczoru siedzieliśmy we dwoje przed kuchennym namiotem: Tsakat wprost na kamieniach, ja na jednej z butli z gazem. Mówiłem przecież, że życie w górach jest monotonne. Zmęczone prażeniem świata słońce szybko traciło wysokość. Nadal było jednak ciepło i pogodnie. W ciągu dnia na niebie pojawiło się zaledwie kilka obłoków, co było dość niezwykle. Późnym popołudniem chmury często pojawiały się w górach i jak kurtyna opadały na scenę, czyli na lodowiec. Oznaczało to koniec działalności dziennej.

Milczeliśmy. Tsakat, zmęczony po robocie w kuchni, dochodził do siebie. Oparł się o ścianę namiotu, zapalił papierosa i zaciągnął się dymem. Byłem w kontemplacyjnym nastroju. Nie paliłem. Mój umysł tonął

w mgle romantyzmu. Nagle usłyszałem dźwięk toczących się kamyków. Dotykane lekkimi butami, chrobotąły. Leniwie mrużąc oczy, wpatrywałem się sylwetkę, która mogła należeć tylko do kobiety. Delikatnej i zwiewnej.

Z kijem w dłoni i plecakiem na ramionach zbliżała się do nas dziewczyna, która zrobiła na mnie takie wrażenie. Porażająca pięknem Kariszma. Jej uśmiech był samą dobrocią, jej oczy - zimnem. Zaskakujące i trudne do zrozumienia zestawienie. Może z jej strony była to gra, w której po prostu nie potrafiłem się odnaleźć? I nie wiedząc, co czynić, zrejterowałem? Teraz postanowiłem przejąć inicjatywę, wyglądać przy tym jak najbardziej nonszalancko, niczym kowboj na banerze reklamowym.

- Hej! - zawołałem i zamachałem swobodnie ręką.

- *Namaste* - odpowiedziała.

- Dokąd idziesz?

- Do Gorak Shep. Potem do Lukli i Jiri. Pora wracać do domu.

Tsakat wypuścił kłęb dymu.

- Nie jest za późno? - odezwał się.

- Zdążę. Czekają na mnie. Dziś muszę być w hotelu.

- Czy wycieczka okazała się interesująca? - spytałem. - Szukałaś przygód.

Zmrużyła chłodne oczy, jakby czytała mi w myślach. Potem przeciągając słowa, odparła spokojnie:

- Owszem, szukałam. I wydaje mi się, że się udało.

Od tych słów dostałem gęsiej skórki. Moje ramiona same się wyprostowały, a pierś wypięła do przodu.

- Miło było cię poznać - wymamrotałem.

Dziewczyna spojrzała w stronę kucharza i o coś go zapytała. Uśmiechnął się krzywo, niczym bandyta, zaciągnął papierosem i niespiesznie odpowiedział. Przez chwilę trwała cisza, Kariszma wyglądała na zmieszaną, wydeła pogardliwie usta i zwięźle zaprzeczyła. Reakcją Tsakata był śmiech. Potem wykonał niewyraźny gest ręką w powietrzu i wypowiedział kilka słów. Twarz dziewczyny gwałtownie się zmieniła, jej spojrzenie stało się drapieżne. Z pogardliwym, gniewnym uśmiechem rzuciła mu kilka niemiłych słów. Następnie odwróciła się w moją stronę i spojrzawszy na mnie ciemnymi oczyma, powiedziała:

- Do zobaczenia, Denis.

Poszła, daleko od Everestu, w stronę ciepłych dolin, cedrów himalajskich i marzeń o pięknie.

Patrząc za oddalającą się dziewczyną, Tsakat wycedził:

- Czeka ją tam na nią! W hotelu! Niektórym to się powodzi!

Zaśmiał się gardłowo, a ja posmutniałem. Odprowadzałem Kariszme spojrzeniem i zachwyciałem się jej płynnymi ruchami i zgrabną figurą. Na tle złotego nieba przypominała anioła zstępującego z drzewa poznania dobra i zła. Zdawało mi się, że zachęca, żebym poszedł za nią. Była tajemnicą, której dotknięcie uczyniło mnie przez chwilę szczęśliwym. Komuś innemu przyjdzie się tym szczęściem cieszyć dłużej. Sam musiałem jeszcze wiele znieść na stokach Himalajów, by móc myśleć o takiej radości. Czy aby na pewno? Może owe stoki były właśnie pogonią za szczęściem?

Wraz z Simone znów ruszyliśmy w górę. Rutyna: pobudka w ciemnościach, śniadanie o brzasku, przebieżka przez bazę w promieniach wschodzącego słońca. Z jakiegoś powodu tego dnia Simone wspinał się niemrawo. Nikogo nie wyprzedzaliśmy, jak wszyscy szliśmy spokojnym

tempem w wyznaczonym kierunku. Gdy po minięciu obozu pierwszego mój przyjaciel całkowicie zwolnił, umówiliśmy się, że zaczekam na niego w dwójce. Kiedy tam dotarłem, pojawił się mały problem - trzeba było przenieść nasz namiot trochę dalej. Cóż, co mogłem, spakowałem do plecaka, a namiot przeciągnąłem bliżej ściany Everestu. Nie spodobało się to jednemu z Szerpów. Przyskoczył do mnie i kłótliwie oświadczył, że miejsce, które wybrałem, jest zarezerwowane, wprawdzie nie dla jego zespołu, ale dla przyjaciół, którzy pracują przy wyprawach komercyjnych. Początkowo próbowałem ignorować jego krzyki, ale się nie poddawał. W końcu posłałem go do diabła, a gdy zaczął nadmiernie się denerwować, przygotowałem się do starcia. Do cholery, nigdzie nie jest napisane, że ktoś posiada na własność kawałek lodowca albo może decydować, kto ma rozbić namioty, w którym miejscu. Mój agresywny upór sprawił, że Szerpa się wycofał, ale na dnię duszy pozostał niesmak.

Zanim wyrównałem miejsce i ustawiłem namiot, dotarł do mnie zmęczony Simone. Uśmiechał się jak zwykle, a jego głowę wciąż zaprzętały kobiety. Szybko postawiłem diagnozę: zdrowy!

- Simone, *come stai*? Jak się masz? - spytałem.

- *Tutto bene*, w porządku - odparł. - Spotkałem po drodze tę dziewczynę z amerykańskiej ekipy.

- No i...

- Odpuściła. Wróciła do bazy, żeby odpocząć. Od dawna jesteś?



Na lodospadzie Khumbu

- Nie. Była tu mała awantura.

- A! Słyszałem, rozmawiają o tym poniżej. Wszystko w porządku?

Spochmurniałem, ale w duszy czułem radość. Życie to walka o miejsce pod słońcem.

Po nocy, która minęła spokojnie, równie spokojnie wystartowaliśmy. Nastawialiśmy się, że wyjdziemy jak najwcześniej, przed wszystkimi, kiedy jednak doszliśmy do poręczówek, wisiało już na nich kilku Szerpów. Lodowe błyszczące plamy odbijały błękit porannego nieba. Ogromna płaszczyzna przypominała przeszkloną wystawę, po której powoli i wytrwale pełżyły owady. W górę, wzdłuż ściany Lhotse.

Udało nam się wyprzedzić wszystkich klientów, którzy w spowolnionym rytmie walczyka kierowali się w stronę szczeliny brzeżnej. Do lin dotarliśmy przed nimi. Tym samym uniknęliśmy problemów z przepinaniem, co na stromej ścianie byłoby zajęciem co najmniej niewdzięcznym. Wspinający się chłopcy przywodzili na myśl lancknechtów szturmujących już obleżoną stodołę. Szli w kolumnie, sypiąc odłamkami lodu. Byli jak taran chcący złamać betonową ścianę, tyle że poruszali się na zwolnionych obrotach, emanując rezygnacją i przygnębieniem.

My również nie tryskaliśmy optymizmem, nasza aklimatyzacja pozostawiała trochę do życzenia. Chciałem się położyć i spać, najpierw jednak trzeba było ostatecznie się doczołgać na wysokość 7200 metrów, do dolnej półki obozu trzeciego. Nie najlepsze to miejsce na odpoczynek, ale, jak nas poinformowano rano, wyższe tarasy były już zajęte. Dlatego zdecydowaliśmy się przenocować właśnie tu. Wydeptaliśmy platformę w głębokim śniegu

i rozstawiliśmy nasz rudy namiot – wszystko pod serakiem, wielotonową bryłą lodu.

Simone kontynuował swoją zabawę nawiązywania łączności radiowej ze światem. Przez cały dzień i wieczór dobijał się do Piramidy przy Lobuche. Tam byli Włosi, z którymi mógł gadać i gadać. By poprawić sygnał, przywiązał do anteny widelce, jumary i czekany, a potem całe to ustrojstwo podwiesił pod tropikiem namiotu. Krzykliwie powtarzał niczym robot: „Jean Pietro! Jean Pietro! Mi senti?”.

Ta fraza – „słyszysz mnie?” – na wiele lat wbiła się do mojej głowy. Później, podczas innych wspinaczek z Simone, często ją wspominałem. Na wyprawie pod Everestem miałem spore braki lingwistyczne, byłem marnym rozmówcą, co innego Jean Pietro – z nim Simone mógł gadać godzinami: o swoich problemach lub problemach innych, o wyprawowej codzienności, pilnych sprawach. Mógł otworzyć duszę, nawiązać prawdziwy kontakt.

Ogólnie czuliśmy się dobrze. Było nam jedynie gorąco, bo obłoki pędzone przez wiatr odpłynęły gdzieś dalej, a namiot natychmiast się nagrzał w promieniach słońca. Kiedy po obiedzie niebo zasnuło się chmurami, szybko pożałowaliśmy naszych narzekań na wysoką temperaturę. Nikt jak dotąd nie znalazł usmażonych himalaistów, natomiast zamrożonych – owszem, i to sporo! To miała być jak do tej pory najwyżej spędzona noc w moim życiu. Patrzcie no, gdzie się wdrapałem! Z tak miłymi myślami zapadłem w sen.

O piątej obudził mnie cierpiętniczy głos Simone. Niczym duch chrypiał i prosił o wodę. Mój wewnętrzny leń sprzeciwiał się otworzeniu oczu. Przecież może sam podgrzać sobie wodę – zrzędziła dusza. Szybko jednak zrobiło mi się szkoda przyjaciela. Wstałem. Nagarnąłem do naczynia trochę śniegu, zapaliłem palnik.

- Nie śpię od trzech godzin - westchnął Simone. -
Strasznie mi zimno.

Po wypiciu ciepłego mojemu Włochowi trochę się polepszyło, zasnął. A ja zacząłem się szykować do wyjścia. Zgodnie z regułami trzeba trochę popracować z rana, żeby rozruszać zastałą krew. Zdobyć nieco wysokości, by polepszyć aklimatyzację. Wcielenie w życie tej idei to niewdzięczna robota. O świcie wyjście ze śpiwora jest już wyczynem, a ruszenie w górę z wiedzą, że za chwilę i tak trzeba będzie wracać, wydaje się czymś bezsensownym. Zbędną torturą.

A jednak się udało. Zanim Simone porzucił przytulne ciepło i zaczął się zbierać, zdążyłem dotrzeć na wysokość 7300 metrów. Znalazłem się powyżej obozu Rosjan. Rozgrzany, zadowolony ze swojego wyczynu, wróciłem do Simone. Był już gotów do wyjścia, złożyliśmy więc namiot i przykryliśmy go śniegiem wraz z innymi rzeczami, tak by podczas niepogody i silnego wiatru nic się nie porwało ani nie odleciało.

Potem rażno pogalopowaliśmy w dół. Około jedenastej byliśmy już w bazie. Rosyjskie powiedzenie mówi: „Z górki nawet świnia biegnie kłusem”. Rozpierała mnie radość, że udało nam się przenocować tak wysoko. A poczucie spełnienia podbijało zadowolenie z tego, że wracamy do ciepła i wygod.

Niestety w bazie z naszego podniosłego nastroju nic nie zostało. Bo kiedy Simone zanurkował do swojego namiotu, wszystko się zmieniło. Najpierw usłyszałem jego wrzaski: „Mamma mia! Cane! Che bastardi, canaglia!”, a potem włosy stanęły mi dęba. Przez moją głowę przeleciała myśl, że musiało się mu przytrafić coś złego. Ale nie, z Simone wszystko było w porządku. „Łajdak”, „sukinsyn”, „kanalia” odnosiły się do złodzieja. Namiot Simone wyczyszczono z drogich sprzętów, skradziono mu między innymi aparat

fotograficzny, śpiwór, plecak i telefon. Chciało się płakać. Dobrze, że kamera od kilku dni leżała w moim namiocie, inaczej ona także trafiłaby w ręce przedstawicieli tutejszego ludu.

Wieczorem zajrzałem do obozu przyjaźni rosyjsko-gruzińskiej. Narzekałem na nasze kłopoty. Beno opowiedział mi wtedy zabawno-straszną historię. Pewnego dnia w Katmandu zatrzymano pijanego Rosjanina; wdał się w bójkę z nepalską policją. W areszcie oznajmił, że jego żona w Moskwie kilka dni temu wysłała go do sklepu, żeby kupić chleb. „Idę sobie ulicą - tłumaczył się przerażony - a tu nie wiadomo dlaczego sami Hindusi! I dawaj mnie łapać!” Powiedzieli mu, że nie są Hindusami, lecz Nepalczykami, ale nie zrozumiał. „Jest jakaś różnica?!” - krzyknął i poprosił o pieniądze na zakup proszku do prania. Nie udało się wyjaśnić, jakim cudem trafił z Moskwy do Katmandu.



Mistyczna noc w najwyższych górach świata

My wróciliśmy z wypadu aklimatyzacyjnego, inni z naszej ekipy ruszyli w górę. Dojczin, Gonzalez i Piotr poszli łapać wysokogórskie powietrze, a raczej - jego brak. Żeby nie było im za dobrze, tego dnia, gdy opuścili bazę, zaczął prószyć śnieg. Chociaż, co kto woli. Los podarował mnie i Simone kilka dni jasnego nieba, teraz mężnie patrzyliśmy z namiotów na ścielące się nad światem chmury. Odwagi mogły nam pozazdrościć dinozaury, które tak czy inaczej nie rozumiały, że przyjdzie im wymrzeć. Z dolin od południowego zachodu nacierał potężny front niosący złą pogodę, wieczorem gdzieś daleko niebo przecinały błyskawice. Ich błyski były tak silne, że odbijały się w żebrach Nuptse. Nadchodziły niedobre wiadomości. Od tybetańskiej strony na Evereście zginął Szerpa.



Lodospad najlepiej przechodzić wczesnym rankiem, kiedy jest zimno, i jak najszybciej

Jedno pytanie od dawna nie dawało mi spokoju: czy warto ryzykować życie dla pieniędzy? Zapewne znalazłyby się prostsze i bezpieczniejsze sposoby zarabiania. Górnik, marynarz, tragarz wysokościowy – te zawody budziły mój smutek i współczucie. Ludzie, którzy tak pracowali, codziennie narażali własne życie dla zaspokojenia potrzeb obcych ludzi. Jeden wypychał kieszenie forszą, inny płacił własną krwią. Nigdy nie poszedłbym pracować pod ziemią ani na statku pływającym po Oceanie Północnym. W radiu i telewizji ciągle słyszało się o tym, że „górnicy utknęli w kopalni z powodu awarii sprzętu” albo „zginęli w wyniku wybuchu, ponieważ nie zakupiono nowych urządzeń wentylacyjnych”. Nie mówiąc o nieszczęśnikach, którzy tonęli w ładowniach z powodu czyjegoś niedbalstwa i lenistwa. Do diabła z taką robotą!

Nie mieliśmy wieści od naszej ekipy. Było jasne, że schodzą, ale Pustelnik utknął gdzieś w Kotle Zachodnim. Dobrą wiadomość miał natomiast Tsakat.

- Oficer łącznikowy jednak nie zjawi się w bazie - oznajmił przy śniadaniu.

- Hm! A to dlaczego? - z przekąsem zapytał Simone. - Sumienie go ruszyło?

- Zachorował. Wczoraj zabrali go z Gorak Shep na dół.

Jak się okazało, przydzielony nam oficer, którego potrzebowaliśmy jak piątego koła u wozu, złapał w ostatniej wiosce przed bazą zapalenie płuc, obrzęk mózgu, wirusa Ebola, AIDS i jeszcze jakieś cholerstwo. Po krótkotrwałej walce, którą stoczył rozdarty między poczuciem obowiązku a pragnieniem pozostania przy życiu, zawołał na pomoc Szerpów i kazał przetransportować swoje obolałe ciało w dolinę. Co było robić, zawinięto go jak tobołek i zniesiono. Na plecach - tak Szerpowie znoszą wszystkie bezduszne ciężary.

- No cóż, Piotr się zapewne ucieszy, kiedy wróci do bazy - podsumowałem.

Z pamiętnika Andrieja Starkowa:

Noc koszmarna. Cały czas boli mnie głowa, nie pomagają ani pyralgina, ani aspiryna. Dochodzę do siebie pół dnia. Ponieważ jest ładnie, postanawiam pójść do Piramidy bez tragarza. Znam drogę. Zajmuje to zaledwie 30 minut, chociaż maszeruję z plecakiem. Spotykam Alessandra i Pietra. Wczoraj nie dotarli do Lobuche i nocowali w Tukli. Dziś wspólnie pokonujemy trasę. Szlak jest zatłoczony, głównie przez szerpańskich tragarzy. Mniej więcej co 10 minut mijamy karawany jaków, idą zarówno w górę, jak i w dół. Aż dziw, jakie to spokojne zwierzęta. Gdy przyglądam im się podczas wypasu, widzę, że mają mądre oczy.

Pod wieczór znów boli mnie głowa. Piszę te banialuki i muszę co chwila robić przerwę. Opieram się wtedy plecami o ścianę, zamykam oczy i odpoczywam przez kilka minut. Piramida oferuje komfortowe warunki. Pokoje w stacji są dwuosobowe, jest prąd - na budynku umieszczono kolektory słoneczne. Na wyposażeniu mam nawet grzejnik, ale włącza się zaledwie na 30 sekund, daje więc niewiele ciepłego powietrza. Pewnie jak ja cierpi na objawy choroby wysokościowej. Mieszkam z Kanadyjczykiem w podeszłym wieku. Pokazuje mi świeżą bliznę na brzuchu: miesiąc temu usunięto mu przepuklinę. Bohater - biega po Himalajach i zmienia tylko opatrunki. Wykłada psychologię na uniwersytecie, przyjechał tu na wakacje.

Za oknem lekko prószy śnieg. Ależ mnie boli głowa! Niestety, do bazy jest stąd jeszcze sześćset metrów pod górę.

Wieczorem muszę wyglądać bardzo źle. Gospodarz Dawa Szerpa woła lekarza. Ten mierzy mi tętno i wsadza do komory ciśnieniowej. To taki nadmuchiwany worek z tkaniny oklejonej w środku, za pomocą pompy wytwarzane jest w nim odpowiednie ciśnienie, niewykluczone, że podłącza się też tlen. Od razu czuję się lepiej. Dają mi przyrząd pomiarowy. W ciągu pięciu minut moje tętno spada ze 130 do 87 uderzeń na minutę, głowa też przestaje boleć. Leżę w worku godzinę, potem idę do pokoju i zasypiam. Rano znów mam atak bólu głowy. Zmuszam się do wstania z łóżka, ale chodzić już nie mogę. Siedzę na łóżku. Kanadyjczyk skarży się na nudności: zjadł śniadanie i zwymiotował. Znów przychodzi lekarz, ten sam, co wczoraj: dotyka mnie tu i tam, coś tam mierzy i znów każe do komory. Porozumiał się przez radio z Simone, że trzeba ratować rosyjskiego malarza.

Zajmą się mną i rano, i wieczorem. Tętno – tabletki – tlen. Leżę i dumam, ile to wszystko będzie kosztowało.

Ponownie ten sam worek w kształcie kielbasy. Ciekawscy zaglądają przez szybkę. Mój sąsiad opowiada chętnym, kim jestem: rosyjski malarz, który... i tak dalej, i tak dalej. Dzień wcześniej podarowałem mu angielską wersję czasopisma „Energia Kazachstanu”, w której zamieszczono o mnie artykuł. Stąd wszystko o mnie wie. Można umrzeć ze śmiechu: leżę w tej kielbasie i po raz setny słucham opowieści o samym sobie, wokół tłum, błyskają flesze. Pukam w szybkę: „Zróbcie mi fotkę moim aparatem, proszę!”. Doktor woła: „Crazy people!”. Chyba ogarnia mnie maligna, bo słyszę, jak Kanadyjczyk mówi: „Tu leży wybitny malarz rosyjski”. Znow podchodzi doktor (przypomina mi postać z kreskówki), pyta przez zapocone okienko: „Good? Okay? Control?”. Przykładam przyrząd do okienka, żeby zobaczył moje tętno. Potem słyszę szepty: „Relaks! Spać! Odpoczywać!”. Kobięce głosy i znow Kanadyjczyk: „Proszę państwa, oto mumia Roericha, opłata za jej oglądanie wynosi pięć dolarów”.



Komora ciśnieniowa, czyli nadmuchiwany worek w kształcie kiełbasy

W końcu wychodzę z worka. Gadam z Denisem przez radio, żegnamy się. Mówię, że jest mi bardzo przykro, że się nie spotkamy w bazie, mają wracać cali i zdrowi. Odpowiada, że skoro nie dojdę do niego, zje ostatniego snickersa. Nie ma sprawy, do zobaczenia wkrótce! Mój plecak jest już spakowany. Dziękuję doktorowi za opiekę, on zaś prosi, żeby namalować dla niego obraz. Proszę go o adres, ale mówi, że da mi go Simone. Jak ma na imię? Pietro. Robimy pamiątkowe zdjęcie.

Krótko mówiąc: wracam na dół. Mój plecak niesie młody Szerpa. Idę na trzęsących się nogach, moje usta i ręce są odrętwiałe. Po trzech godzinach docieram do Pheriche. Jest zimno, przez całą drogę wieje, czuję

jednak, że ze mną wszystko w porządku. Po raz pierwszy od czterech dni dobrze śpię, głowa nie boli.

Następnego ranka pakuję plecak i schodzę do klasztoru Tengboche. Pogoda trochę lepsza niż dzień wcześniej, ale wciąż mocno wieje. Na moście zrywa mi z głowy czapkę, muszę po nią zawrócić. Dochodzę do wniosku, że to zły znak. Krzyżuję palce środkowy i wskazujący i spluwam, życząc w myślach powodzenia wspinaczom.

*Przed obiadem docieram do Tengboche. W samą porę: zaczyna padać grad, a potem śnieg. Idę do pokoju, drzemię. Leżę w ciemności i zimnie, a mój nastrój nie jest najlepszy. Pewnie to reakcja organizmu na to, co przeszedłem w ostatnich dniach. Przypominam sobie słowa piosenki Wysockiego: „Kiedy wody światowego potopu wróciły znowu w doliny rzek”^[***]. Rozbrzmiewa we mnie głos barda. Myślę o tej, jakże ją zwą... Miłości. Myślę o tych wszystkich kobietach, które mnie zdradziły. Jestem gotów im wybaczyć, potem jednak się rozmyślam. Nie idę na kolację. Wchodzę do śpiwora i zasypiam.*

[*] John Hunt, *Zdobycie Mount Everestu*, tłum. Jan Szczepański, Warszawa 1956, s. 122-124.

[**] Mowa o drodze centralnym filarem południowo-zachodniej ściany.

[***] Fragment *Ballady o miłości* Włodzimierza Wysockiego.



Lhotse znajduje się w głównej grani Himalajów Centralnych. Poszarpanym wąskim grzbietem wznosi się nad kotłami lodowcowymi. Rozciąga się ze wschodu na zachód, jego boczna ostroga odchodzi w stronę Nuptse. Potężny mur skalny ma długość niemal piętnastu kilometrów i wysokość względną około trzech kilometrów. Robi imponujące wrażenie. Bezkompromisowa gigantyczna południowa ściana opada niemal pionowo w stronę lodowca. Od strony północnej sytuacja jest bardziej skomplikowana. Z Lhotse główna grań Himalajów gwałtownie się załamuje i skręca ku Everestowi. Na północnym wschodzie lodowo-skalne urwiska schodzą ku lodowcowi Kangshung, na północnym zachodzie – do Kotła Zachodniego stanowiącego najwyższe piętro lodowca Khumbu.

Góra zawdzięcza nazwę swojemu groźnemu sąsiadowi. Ponieważ wznosi się na południe od Everestu nazwano ją Lhotse, co po tybetańsku oznacza „południowy szczyt”. Alpiniści długo nie zwracali na nią uwagi, zapatrzeni w Czomolungmę. W 1956 roku wspinający się na najwyższy szczyt Ziemi Szwajcarzy postanowili zdobyć również i ją. Udało się: 18 maja Ernst Reiss i Fritz Luchsinger, pokonawszy śnieżno-lodowy kuluar w zachodniej flance, dokonali pierwszego wejścia na główny wierzchołek. Od tamtej pory na szczyt Lhotse poprowadzono tylko jedną nową drogę, i to po ekstremalnie trudnej południowej ścianie. Nadludzkim wysiłkiem dokonała tego rosyjska wyprawa jesienią 1990 roku. Ekipa wspinała się linią w centrum urwiska, niemalże direttissimą. Było to jedno

z najwybitniejszych osiągnięć w historii światowego himalaizmu.

Po trzech dniach naszego przebywania w bazie pogoda odrobinę się poprawiła. Śnieg, który napadał w tym czasie, schodził lawinami ze szczytów. Z gigantycznych białych mas oczyszczał się też pobliski siedmiotysięcznik Pumori – podmuchy wiatru niosły pył lodowcowy aż do Gorak Shep. Na lodospadzie Khumbu również zaszły duże zmiany. Szerpowie musieli w niektórych miejscach na nowo wytyczyć drogę przejścia, w innych porozwieszać zerwane poręczówki i przerzucić drabiny przez nowo utworzone szczeliny. To była niebezpieczna praca.

Któregoś ranka, kiedy słońce trochę ogrzało zmarznięte miasteczko pod Everestem, nie mogłem usiedzieć w miejscu. Żeby nieco się rozerwać, poszedłem do sąsiednich namiotów, zobaczyć, jakie panują tam nastroje. W jednym z obozowisk poznałem miłe towarzystwo: ekipę kierowaną przez Kanadyjczyka Byrona Smitha. Chłopcy wesoło popijali whisky i brzdąkali na gitarze proste melodie.

Przykucnąłem przy kamiennym murku. Obok z piersiówką w ręku kołysał się z uśmiechem na ustach szczupły mężczyzna. Na oko miał czterdziestkę. Było widać, że jest pod wpływem.

- Skąd jesteś? - zapytał bezceremonialnie. Ani „cześć”, ani „jak się masz?”.

- Z Kazachstanu - odparłem.

- O! - wydobył z siebie facet o wyglądzie hipisa. Potem wskazał palcem na sąsiada i dorzucił: - A to nasz przyjaciel z Pakistanu.

Ów przyjaciel wystawiał właśnie twarz do słońca. Jego gęste włosy przypominały nieco czuprynę młodego

Michaela Jacksona, uśmiech przywodził na myśl Ronalda Reagana. Jednym słowem – proamerykański typ.

- Tak, z Pakistanu. To niedaleko stąd – oznajmił. – Jestem Nazir Sabir. I chcę wejść na Everest.

- Też chciałbym – westchnąłem. – Niestety nie mogę.

- Dlaczego? – zainteresował się hipis.

- Nie mam pieniędzy.

- Co więc tu robisz? – zapytał.

- Wspinam się na Lhotse.

- Też niczego sobie. – Hipis pokiwał głową. – Powodzenia!

Poczułem zazdrość. Brak odpowiednio wysokiej ekscytacji w jego głosie zabolął. Co to miało znaczyć: „Też niczego sobie”? Przecież to ośmiotysięcznik! Wyciągnąłem rękę po gitarę.

- Mogę? – zapytałem raczej z grzeczności.

Chłopcy się ożywili. Zaczęli głośno rozprawiać o tym, co zagram. Zacząłem od rock and rolla. I od razu zrobiło się wesoło. Słońce, które w minionych dniach skąpiło swojego blasku, teraz rozrzutnie nim szafowało. W rozgrzanym i rozrzedzonym powietrzu unosił się aromat whisky, aura najwyższego szczytu świata sprawiała, że wszystko nabierało szczególnego znaczenia. Tkwiliśmy w centrum wszechświata. Jeśli ktoś jest spragniony takiego odczucia, niech kupi bilet do Nepalu, przespaceruje się pod Everest i łyknie tam trochę alkoholu. Wrażenia niezapomniane.

Sam wprawdzie nie piłem, ale udzielił mi się nastrój ogólnego odurzenia.

- Świetne! – Szczupły alpinista z piersiówką w dłoni był wyraźnie rozbawiony. – Po jakiemu to?

- Po rosyjsku – odparłem.

- Aha. Ja jestem z Austrii.

Ech, po co kontynuować tę nudną wymianę zdań. Przejechałem palcami po strunach i zacząłem śpiewać rosyjską balladę. Chciałem zmniejszyć intensywność nieumotywowanej niczym radości, abyśmy mogli odczuć piękno i grozę otaczającej nas przyrody.



Namiotowe miasteczko pod Everestem

- Tak - mój sąsiad uśmiechał się od ucha do ucha - to też ładne.

Gitara znów trafiła w ręce ekipy Kanadyjczyka. Chłopcy próbowali zagrać coś równie emocjonującego. Dziewczyny na znak poparcia klaskały i wołały: „Allez, śmiało”. Poczułem, że pora wracać. Za chwilę mogłem zacząć

żałować, że nie piję alkoholu, a dziewczyny nie są w mojej ekipie.

Wstałem.

- Poznajmy się! - Hipis wyciągnął do mnie dłoń. - Jak masz na imię?

- Denis... Urubko.

- Super! Ja jestem Peter Habeler.

- Aha...

Zrobiłem dwa kroki. Zaraz, co on powiedział? Zatrzymałem się i odwróciłem. Przede mną stał facet, który jako pierwszy na świecie wszedł na Everest bez wspomaganie się tlenem. Ten, który jako pierwszy w historii zdobył ośmiotysięcznik w stylu alpejskim.

Spostrzegłszy moje zdumienie, Habeler niewymuszenie się roześmiał.

- Miło było cię poznać - powiedział i skinął głową niczym do dobrego znajomego. - Przychodź częściej w odwiedziny.

Rozpierała mnie duma. Oto, co może wyniknąć z gadki z hipisem! Poznałem bohatera opowieści i legend. Byłem w dobrym nastroju, postanowiłem więc jeszcze odwiedzić Gruzinów. Ich kucharz doniósł mi, że gdzieś w dolinie pytało o mnie dwóch Rosjan. Kim są? Po co jestem im potrzebny?

- To co, Den - zagał wieczorem Simone - ruszamy do góry?

- Obowiązkowo! Wszystko w porządku?

- Jak najbardziej. Może spróbujemy dotrzeć do trójki w ciągu jednego dnia?

Spuściłem wzrok i milczałem. Znałem już charakter Simone. Gdy zaczynał się niecierpliwić, wszystkie morza

wydawały mu się za płytkie, a wszystkie góry - za niskie. Rozpierała go energia. Do czasu. Wieczorem, kiedy podekscytowany kręcił się wokół namiotu, źle stąpnął i skręcił nogę. W dodatku przeziębził się. W nocy słyszałem jego ciężki oddech i męczący kaszel. O świcie przyszedł jednak na śniadanie w całym wysokogórskim rynsztunku. Nalegał, żebyśmy szli. Był urodzonym optymistą.

Co robić. Pokiwałem głową z szacunkiem, ale gdy dotarliśmy do końca bazy, postanowiłem być twardy; nie owijać prawdy w bawełnę. Trudno było patrzeć na Simone, który z ledwością oddychał, a kuśtykał tak, jakby był kaleką. Zatrzymałem się przy ostatnim namiocie, odchrząknąłem i zdecydowanym głosem oznajmiłem:

- Dobra, Simone! Uznajmy, że ten dzisiejszy start nam nie wyszedł. Tak bywa.

- Że co?

- Wracamy! - zakomenderowałem. - Jeszcze będzie czas na bohaterstwo.

- A nasz plan?

- Jeden dzień góra bez nas wytrzyma. Chodzisz w taki sposób, że w mieście zabraliby cię na policję lub do szpitala, uznawszy, że jesteś nietrzeźwy.

Ten dzień spędziliśmy w spokoju w bazie, wygrzewając się w słońcu i z upojeniem popijając sok z ananasa. Nasz kucharz Tsakat wygrał go w karty. Grywał na pieniądze i, co ciekawe, zawsze pokonywał przeciwników. Jakim sposobem? Po prostu miał talent, skurczybyk! Gdy kucharz ekipy kanadyjskiej przegrał wszystkie swoje pieniądze, zastawił skrzynkę soku z ananasa. Oczywiście Tsakat wygrał i ją. Teraz częstował sokiem całą ekipę. Taki pracownik to prawdziwy skarb!

Niestety, choć otrzymaliśmy dodatkową dawkę witamin z owoców, odpoczynek nie postawił na nogi Simone. Kolejnego dnia nadal czuł się okropnie, zdecydował jednak, że tym razem wyruszamy na dobre. Większość zespołów wychodziło z bazy jeszcze w ciemnościach, my – godzinę lub półtorej po nich. Nie miało sensu łązić po ciemku po kamieniach moreny; łatwo skręcić tam nogę lub zrobić sobie inne kuku. Problem pojawiał się później, przy poręczówkach, kiedy musieliśmy wyprzedzać długą kolumnę ludzi. Trzeba było iść wówczas obok lin – i to jak najszybciej. Wiu-u-u!

Kiedy śmigiałem przez lodowe bariery niemal na jednym oddechu, wszyscy patrzyli na mnie jak na ufoludka. Niestety tego dnia Simone nie dotrzymywał mi kroku, szedł znacznie wolniej. Ta wiosna najwyraźniej nie należała do niego. Los wciąż rzucał mu kłody po nogi i wymierzał ciosy. Tu, na lodospadzie, ja również czułem się słaby na ciele i umyśle, mimo to udawało mi się trzymać dobre tempo. Do obozu drugiego doszedłem bez żadnego odpoczynku. W oczekiwaniu na przyjaciela, zacząłem przyrządzać posiłek. Kiedy Simone dotarł, zupa i herbata były już gotowe. Na drugie przyrządziłem mięso; jagnięcina z makaronem smakowały wyśmienicie. Tego dnia nie mieliśmy szans dotrzeć do obozu trzeciego.

Po ciężkim dniu, jakby w nagrodę, przyśniły mi się dziewczyny. Nagie i piękne, wyłącznie dla mnie. Rano unikałem wzroku Simone. Nie było to trudne, mój przyjaciel patrzył tylko w górę. Poranny mróz zrodził w nas myśl, że warto poczekać na słońce. Mogliśmy jeszcze z godzinę lub dwie poleżeć w śpiworach. Tym bardziej że widzieliśmy Szerpów wspinających się po poręczówkach. Nie warto było ich gonić.

- Umęczymy się podczas przepinania – zauważyłem.

- Poczekajmy. - Simone głośno wypowiedział myśl, która od przebudzenia wisiała w rozrzedzonym powietrzu.

Rzuciłem w jego kierunku podejrzliwie spojrzenie. Czyżby on również śnił o kobietach tańczących na stołach pośród potłuczonych naczyń?

Kiedy w końcu ruszyliśmy w górę, poczułem, że nie da się nas złamać. Proszę, należało tylko jeść mięso i się wysypiać. Simone był w uderzeniu. Niemal biegiem dotarliśmy do szczeliny brzeżnej, a za nią dziarsko zaatakowaliśmy ścianę. Nad Lhotse pojawiła się właśnie jaskrawa i radosna kula słońca. Flirtując z mrokiem, rozlewała ciepło nad zimnymi połaciami gór. W bladych promieniach migotały miriady iskier, które wylatywały wraz z okruchami lodu spod butów osób idących z przodu. Zęby raków wbijały się w kryształowy pancerz, pył spływał wzdłuż stoku perłowym blaskiem. Szelest kryształowych drobinek wprawiał mnie w zachwyt. Wystarczyło przyłożyć rękę do lodu, by malutką kaskadą drobinki wystrzeliwały w górę. Od razu robiło się weselej na duszy.

- Cześć, Denis! - To witał się ze mną Jewgienij Winogradski, który schodził właśnie do bazy.

- Hej! Jak leci? - zapytałem.

- W porządku! A u ciebie? - Winogradski pytająco uniósł brwi. - Gdzie Włoch?

- Gdzieś z tyłu - odpowiedziałem machinalnie. - Tak mi się wydaje.

- Nie trać go z oczu. - Jewgienij chrząknął. - Musicie współpracować. To ważne. Zawsze może się zdarzyć coś nieprzewidzianego.

Jakby w odpowiedzi z dołu dotarły do nas krzyki Simone. Wrzeszczał, choć był przeziębiony i nie za bardzo miał czym oddychać. Skonfundowany spuściłem wzrok. Jakoś nie

układało się nam to wyjście. Sądząc po okrzykach, mój przyjaciel czuł się dobrze, chciał jednak wracać do bazy. Trzeba było schodzić. Kiedy wyłoniłem się z załomu, ujrzałem jak Simone oddala się od szczeliny brzeżnej i pędzi w stronę obozu drugiego. *Allez, do namiotów!*

- Simone, co się dzieje?! - zawołałem, próbując dowiedzieć się, w czym tkwi problem. W odwiedzi dotarł do mnie jego radosny krzyk:

- Wracamy, Den!

Cóż było robić. Trzeba słuchać dowódcy zespołu i truchtać za nim. Wiadomo: dyscyplina ważna rzecz. Ważniejsza nawet niż zrobienie planu i zaliczenie odpowiedniej wysokości. Do bazy dotarliśmy w trzy godziny. Pozostało tylko jedno pytanie: po jaką cholere zawróciliśmy, skoro wszystko szło dobrze? A niech tam! Widać szefostwo wie lepiej, co i jak robić podczas zdobywania himalajskich ośmiotysięczników.

Żeby uchronić się przed infekcją, w kolejnych dniach nie żałowałem sobie znanego leczniczego przysmaku - cebuli z miodem. Wszystkie wyprawy pod Everestem borykały się z infekcjami górnych dróg oddechowych, ale moja niezbilansowana pod względem wartości odżywczych cebulowa dieta okazała się niezawodna. Zabijałem zarazki samym oddechem. W naszej ekipie też znaleźli się nieszczęśliwcy, których męczył rozdzierający kaszel, aż drżały ścianki namiotów. Przede wszystkim dotyczyło to Dojczina, a wtórował mu Simone.

- Może zejdziemy do którejś wioski? - rzucił w przestrzeń mój przyjaciel, kiedy po wieczornym posiłku wszyscy razem popijaliśmy herbatę.

- Po jakie lichy? - zapytał Bułgar.

- Niżej jest więcej tlenu. Człowiek lepiej się regeneruje. Najlepiej zejść na dwa, trzy dni, na przykład do Deboche -

wyjaśnił Simone.

Dojczin nie wydawał się przekonany.

- To daleko - powiedział. - Wolę zostać w bazie, też odpocznę.

- A ty, Den? - Simone spojrzał na mnie pytająco. - Pójdiesz ze mną do Deboche?

- Zgadza się na wszystko oprócz głodówki - zażartowałem. Prawdę mówiąc, miałem ogromną ochotę znów zobaczyć zielen, oderwać się od terytorium zimnych skał. - Na jaką wysokość zejdziemy? - zapytałem.

- Trzy tysiące siedemset metrów. W Deboche lubił odpoczywać Toli.

Toli, czyli Anatolij Bukriejew... Przypomniałem sobie bieg na szczyt Amangeldy poświęcony jego pamięci. Toli nie żył, ale los wciąż spletał nasze górskie ścieżki. Łączył nas niczym lufę pistoletu i cel.

A więc postanowione: wraz z Simone ruszamy w dół. Rano, po śniadaniu, ubrani niczym wczasowicze, statecznym krokiem opuściliśmy bazę. Na niebie świeciło słońce, było jednak wietrznie i zimno. Szczyty szczyrzyły do nas swoje granie. Kpiły: „Czekamy na was. Moglibyście wchodzić na osiem tysięcy metrów, a tymczasem leżecie do jakiejś wioski”. Cieszyliśmy się z czekającego nas odpoczynku, ale mimo to woleliśmy nie patrzeć za siebie.

W Pheriche znajdował się malutki szpitalik. Dowiedzieliśmy się, że to do niego zniesiono naszego oficera łącznikowego. Ponieważ stan jego zdrowia nie poprawił się, po dwóch dniach został ewakuowany helikopterem do Lukli. Człowiek do śmierci uczy się rozumu, jak mówi przysłowie. Nasz służbista nie słuchał mądrych ludzi. Myślał, że wysokie góry lubią wybrańców i arogantów, a teraz... dobrze, że żyje.



Tragarz na szlaku do bazy pod Everestem

Otoczona rododendronowym lasem wioska Deboche znajdowała się między Pangboche a Tengboche. Była korzystnie położona: zajmowała niewielką osłoniętą nieckę, dzięki czemu było w niej cieplej niż w innych pobliskich osadach. Dotarliśmy do niej po pięciu godzinach przemierzania kamienistych ścieżek. Na nocleg postanowiliśmy zatrzymać się w Ama Dablam Garden Lodge.

Tuż przed wejściem do hoteliku Simone nieco podniosło przypominał mi:

- To tu przed szturmem na Everest odpoczywał niezapomniany Anatolij Bukriejew.

- Niezapomniany. To prawda. - Skinąłem głową. - Bukriejew.

Kiedy stanęliśmy na progu jasnej jadalni, miałem wrażenie powrotu do cywilizacji. Ocean ciepła! I morze tlenu, w którym można się pławić do woli! Kobiety: jedna piękniejsza od drugiej. Stoliki okupowali trekkerzy: trawili pokarm fizyczny i duchowy. Jedli i dzielili się swoimi wrażeniami. Panujący wokół szum i gwar szybko mnie przytłoczyły. Moje emocje opadły. To było coś instynktownego, jakiś mechanizm obronny. Zamknąłem się w sobie, przestałem reagować na otoczenie.

Hotel prowadził Mingma Szerpa. Z wyglądu bardziej przypominał Gruzina niż autochtona: był szczupły, jego wąską twarz zdobił nieco garbaty nos, a okalały ciemne kręcone włosy. Wschodnie pochodzenie zdradzały jedynie oczy. Mingma był niezwykle zwinny, za szybkimi ruchami jego rąk wręcz trudno było nadążyć. A może po prostu skutecznie odwracał od tych rąk uwagę? Do gości zwracał się w dziwny sposób, zazwyczaj używając słowa „monsignore”. Skąd je wziął, pozostało dla mnie tajemnicą. Uśmiechał się przy tym tak, że natychmiast wzbudzał

sympatię. Zdawało się, że z jego wesołych lekko zmrużonych oczu wylatują iskierki śmiechu.

Simone zajął się załatwianiem noclegu u Mingmy. Niestety wolnych pokoi już nie było, turyści zrobili swoje. Jednakże, jeżeli *monsignore* zechce... a *monsignore* na pewno zechce... zostało kilka wolnych miejsc na poddaszu. Najlepsze dla *monsignore* i jego przyjaciela. I jaka dobra cena - tylko 50 rupii za noc. Zmęczony przysiadłem na ławce tuż przy wejściu do jadalni. Machinalnie zdjąłem mokre tenisówki, zamknąłem oczy. Moje skarpety niemiłosiernie śmierdziały.

Właśnie wtedy do pomieszczenia wcisnął się mężczyzna o jakże znanych mi z codziennego życia rysach twarzy. Kątem oka zauważyłem, że przystanął obok.

- Jesteś Rosjaninem? - spytał, a właściwie stwierdził, bo pytanie zadał po rosyjsku.

Ze wstydu - te cuchnące skarpety! - chciałem się zapaść pod ziemię.

- No tak, Rosjaninem - odparłem. W moim głosie brzmiała niechęć. Chciałem uciąć tę rozmowę, zanim się rozkręci. Mężczyzna jednak nie dał się zbyć.

- Z Ałmatów? Z Kazachstanu? - dopytywał z entuzjazmem.

- Owszem, z Kazachstanu. Jak zgadłeś?

- Masz na kurtce napis „Regent Ałmaty”.

- Racja - przytaknąłem. Zdążyłem pozbyć się skarpety z prawej stopy i zastanawiałem się, czy wypada zająć się teraz lewą nogą.

- Co tu robisz? - drażył tymczasem mój rozmówca. Był rozemocjonowany i radosny. Zarażał pozytywną energią.

Niepostrzeżenie jego wesoły nastrój udzielił się także mnie. Zrobiło się ciekawie.

- Zamierzam wejść na Lhotse - odpowiedziałem. - Z nim. -
Wskazałem głową na Simone, który właśnie rozpychał się
wśród trekkerów. Próbował wymusić więcej miejsca przy
stole.



Nie dość, że zmęczony, to jeszcze zirytowany podartymi skarpetkami

- O rany! A kto to?

- Włoch, Simone. Chce zrobić trawers Everest-Lhotse.

Pytania i odpowiedzi padały z szybkością tykania sekundnika w zegarku. Odmierzały czas w odwrotnym kierunku: do punktu odniesienia, do punktu wyjścia, do najważniejszej chwili. Wówczas jeszcze o tym nie wiedziałem. Wówczas jedynie odpowiadałem na zadawane mi pytania.

- On będzie się wspinał na Everest, a ty nie? Dlaczego? - Facet wciąż stał nade mną, nieco pochylając się do przodu.

- Nie mam pieniędzy. - Wzruszyłem ramionami.

- A ile to kosztuje?

- Nie wiem. Ale dużo, bardzo dużo.

W końcu mężczyzna usiadł koło mnie i się przedstawił. Był z Rosji, miał na imię Michaił. Podróżował z przyjaciółmi.

- Twój Włoch teraz z nimi rozmawia. - Skinął głową w kierunku pobliskiego stołu.

- Skąd oni są? - zapytałem.

- Ze Szwajcarii. Jesteśmy tu od tygodnia - Michaił się uśmiechnął - i jesteś pierwszym Rosjaninem, którego spotykam. Mam w Kazachstanie wielu przyjaciół, robię tam interesy.

Cóż, w tamtej chwili martwiła mnie przede wszystkim lewa noga. Bolała w miejscu starego złamania i czuć ją było zgnilizną. Chciałem ściągnąć z niej skarpetę i usiąść bliżej pieca, który wabił ciepłem z drugiego kąta sali. Czułem się głupio bez skarpetki na prawej stopie. W niej bolał mnie palec.

- Zamierzasz nocować w tym miejscu? - Michaił przerwał moje rozmyślenia.

- Tak. Zeszliśmy z bazy na dwa dni. Odpoczywamy przed próbą wejścia na szczyt.

- Świetnie! - W oczach mojego rozmówcy ujrzałem błysk. Klepnął mnie po ramieniu i poszedł do stołu, przy którym siedział Simone.

Ja też się ruszyłem. Usiadłem koło pieca. Kilka minut później, gdy ciepło rozlało się już po moim ciele, zauważyłem, że przy stole trwa ożywiona rozmowa. Naprzeciw Simone siedział mój nowy znajomy i nadawał w języku włoskim. Mój przyjaciel od czasu do czasu rzucał jedno, dwa słowa. Im dłużej trwała rozmowa, tym bardziej pociągła stawała się szczupła twarz Simone. Wreszcie Rosjanin odwrócił się do mnie i oznajmił:

- Opłacę ci pozwolenie na Everest.

- Nie żartuj!

- Nie żartuję!

W pierwszej chwili nie wziąłem tych słów na poważnie. Brzmiały po prostu zbyt niewiarygodnie. Równie dobrze mógłbym usłyszeć, że następnego dnia dostanę kilogram diamentów z samego środka Słońca. To było nierealne! Dwie minuty później moje serce oszalało, jak podczas biegu na szczyt Amangeldy. A potem zacząłem gorączkowo rozmyślać, co robić. W mojej głowie tłukły się podejrzliwe pytania. Coś szeptało: „to niemożliwe” oraz „co będę winien?”. W tym czasie Michaił zamówił dla mnie i Simone obiad: zupę i makaron z mięsem oraz termos herbaty i butelkę coli.

- Czego oczekujesz w zamian? - Musiałem zadać to pytanie.

- Od ciebie? Masz się wspinać na Everest. Tyle.

- Zaraz, zaraz! W życiu tak prosto nie ma! Pozwolenie kosztuje, i to dużo.

- Forsa to mój problem - odparował Michaił. - Nie robię tego dla ciebie. Dbam, żeby państwo nie traciło[*].

No proszę, zaczyna się! Miał słownictwo... wielkorosyjskie, a i to za mało powiedziane. „Dbam, żeby państwo nie traciło!”. Gdzie ono, owo państwo? Skrzywiłem się i zmrużyłem oczy. Próbowałem pojąć, w czym tkwił podstęp.

Michaił okazał się interesującą osobą. Siedzieliśmy przy stole, a on jednocześnie rozmawiał ze swoimi przyjaciółmi ze Szwajcarii, wypytywał Simone o interesy i naprowadzał mnie na właściwą drogę. Okazało się, że biegle posługuje się pięcioma językami, ukończył Uniwersytet Harvarda. Mieszkał w Moskwie, ale interesy prowadził na całym świecie, w tym - na moje szczęście - także w Kazachstanie. Sponsorował Puchar Kremla i drużynę hokejową Mietałłurg z Nowokuźniecka. Teraz na jego drodze stanął ubogi i głodny chorąży.

- Może chociaż zdradzisz swoje nazwisko? - Wciąż pozostawałem nieufny.

Kto ich tam zna, tych współczesnych oligarchów. Może wolał pozostać w cieniu. Mieliśmy takiego jednego w Ałmatach. Rinata Chajbullina. Trzymał się na nim cały alpinizm, choć nikt o tym nie wiedział.

- Niekricz. - Uśmiechnął się w odpowiedzi. - Michaił Niekricz.

Machnąłem na wszystko ręką. Zdecydowałem się poddać wydarzeniom. Po co się gorączkować? Ten Michaił wiedział przecież, co robi i na co wydaje pieniądze. Podobno przysłowia są mądrością narodu. Znałem takie jedno: „Jak dają, to bierz, jak biją, to uciekaj”. Nie zamierzałem strugać wariata lub wychodzić na idiotę.

Wieczorem w hotelu panował niesamowity rwetes; było wesoło i przyjemnie. Królowała niewymuszona atmosfera, tak charakterystyczna w rozjazdach albo na skrzyżowaniach cywilizacji; w miejscach, gdzie wszyscy są sobie równi i nikt nikomu nic nie zawdzięcza. Z magnetofonu leciały ogniste piosenki Boney M., siedziałem przy ciepłym piecu i mrużyłem oczy, sunąc leniwym spojrzeniem za kręcącymi się po jadalni dziewczynami. Niektóre zerkały na mnie z zaciekawieniem, bo też musiałem przedstawiać dziwny widok: zapatrzony w głąb siebie facet z błogim uśmiechem na twarzy. Kobięce uroki były mi obojętne, nie przejmowałem się również problemami ludzkości w rodzaju niszczenia warstwy ozonowej lub eksplozji demograficznej. Po nas choćby potop, lubią mawiać egoiści. Tego dnia całkowicie się z nimi zgadzałem.

Liczyło się jedno: będę się wspinał na EVEREST!

Oczywiście do realizacji tego zamierzenia było jeszcze daleko - jak do Pekinu, kiedy się jedzie jelenim zaprzęgiem... Należało zgrać ze sobą mnóstwo elementów, co gorsza, na większość z nich nie miałem wpływu. Ale tu, w sercu Eurazji, na zbitych z desek ławach zasiedli naprzeciw siebie Michaił Niekricz i Simone Moro. Skupieni niczym szachiści, decydowali o tym, co należy zrobić w najbliższej przyszłości. Omawiali strategię, by była ona korzystna dla mnie. Oznaczało to, że pojawiła się nie tyle jakaś szansa, ile wielka SZANSA! Byłbym ostatnim głupcem, gdybym z niej nie skorzystał.

„Ze Szwajcarii... na telefon też pieniądze... a ministerstwo?... dwadzieścia tysięcy... z nim w porządku... tylko do Kanadyjczyków... konto zanotowałem...” - dolatywały do mnie strzępy zdań. Tyle dałem radę rozszyfrować. Przez całą noc słowa te rozbrzmiewały w mojej głowie. Wirowały, opadały

i z cichym szumem ześlizgiwały się w głąb mnie, jak płatki śniegu po zeszywniałym od mrozu namiocie. Pragnąłem tylko, by moje marzenie się ziściło.

Poddasze było przestronne, mieliśmy czym oddychać. Kilka czystych materacy leżało wzdłuż spadu dachu, przez małe okienko przenikało światło księżyca. Było srebrzyste i łagodne, wciągało w romantykę i tajemnicę życia. Simone już dawno zasnął, ja ciągle leżałem, nie mogąc zmrużyć oka. Myślałem i marzyłem o przyszłości. Mojej świadomości nie zaburzały nawet zmęczenie i noga, która bolała w miejscu dawnego złamania. Przysnąłem. Na krótko. Obudziłem się przerażony. Co, jeśli spotkanie z Michałem Niekriczem było tylko nocną marą? Wyciągnąłem rękę, dotknąłem butelki coli, którą Rosjanin kupił dla mnie i Simone na kolację. To nie był sen!

Skoro świt mój darczyńca, niczym ar-Raszid z bagdadzkiego kalifatu, poderwał swoją francusko- i niemieckojęzyczną drużynę. Zawołał Simone, krótko coś z nim omówił, następnie przez pięć minut rozmawiał z agencją Asian Trekking z Katmandu, by ostatecznie skryć się we mgle otulającej rododendrony. Rozpuścił się w szarej nicości, skąd dzień wcześniej wychynął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Niedaleko Ama Dablam Garden Lodge płynął strumień. Wystarczyło podejść jakieś trzysta metrów w stronę Tengboche. Po śniadaniu postanowiliśmy wraz z Simone przeprać w nim skarpetki i bieliznę. Wzięliśmy również ręczniki, chcieliśmy zanurzyć swoje zmęczone, niedotlenione ciała w pokaźnej ilości H₂O. Oczywiście w hotelu był prysznic: betonowa komórka z wodą ledwie kapiącą z rurki pod sufitem. Woleliśmy jednak kąpiel na łonie natury.

Na brzegu strumienia siedziały dwie miejscowe dziewczyny. Prały bluzki i spódnice, a przy okazji myły

głowę. Ich długie piękne włosy opadały falami na ramiona i wilgotne koszulki, spływały wzdłuż piersi. Tutejsza zmysłowość harmonijnie współgrała z chochlikami w czarnych oczach. Zwykle Nepalki nie robiły na mnie wrażenia, ich uroda była zbyt azjatycka. Osobisty, niczym nieuzasadniony punkt widzenia. Czasem bywa jednak, że na naszej drodze staje wcielenie piękna. To niezapomniana chwila, wywołująca szybsze bicie serca. Tak było tym razem. Czułem się jak w bajce. I przypomniałem sobie Karisznę.

Na szczęście był przy mnie Simone, który bez ceregieli wyrwał mnie z romantycznych rozmyślań.

- Masz - powiedział i wyciągnął z kieszeni portfel. - Michaił zostawił to dla ciebie.

Zaskoczony zajrzałem do środka: były tam najprawdziwsze dolary amerykańskie. Zamurowało mnie. Cóż z tym zrobić? W pierwszej chwili omal nie wypuściłem portfela z rąk, potem pomyślałem, że nie mogę tego przyjąć. Jeżeli cokolwiek miało dużą wartość, a ktoś mi to dawał, ot tak, automatycznie doszukiwałem się w tym przekrętu. Nigdy w życiu nie miałem takiej sumy pieniędzy. Tysiąc dolarów. Z banknotów spoglądał na mnie z zakłopotanym uśmiechem Benjamin Franklin. Pytał: „I co teraz poczniesz?”.



Pamiętkowe zdjęcie: Michaił Niekricz pierwszy z prawej w górnym rzędzie

Jeżeli Niekricz chciał mnie zaskoczyć, udało mu się. Stałem jak głupi, by wreszcie z trudem oderwać wzrok od pieniędzy i spojrzeć przed siebie. Simone prał podkoszulek, dziewczyny z ciekawością patrzyły to na mnie, to na dolary, które trzymałem w dłoni. No więc, co z tym fantem zrobisz? Co zrobię? Nic nie zrobię! Tej nocy dotarło do mnie, że nie zamierzam płynąć pod prąd. Skoro znalazłem się w dziwnej sytuacji, należy się do niej dostosować, wykorzystać to, co zgotował los. „Jak dają, to bierz, jak biją, to uciekaj”. Wyglądało na to, że nikt nie miał zamiaru mnie bić.

Kiedy wróciliśmy do hotelu, Simone położył przede mną torbę sportową Niekricza.

- Miałem ci ją przekazać - wyjaśnił. - Michaił mówił, że już tego nie potrzebuje. Wraca do Szwajcarii.

- Co w niej jest? - zapytałem, z ciekawością patrząc na kolejny upominek. - Mam nadzieję, że nie pieniądze. Przy takiej ich ilości, zostanę okradziony jeszcze dzisiejszej nocy.

- Nie - zaśmiał się Simone - to rzeczy.

Rzeczywiście w torbie znajdowały się ubrania oraz buty trekkingowe, a także kilka rolek filmu. Michaił musiał zauważyć nędzę mojego ekwipunku: rozdeptane chińskie tenisówki, w których człapałem, wyświechtane T-shirty... Z prawdziwą przyjemnością przebrałem się w nowe ciuchy. Ach, życie! Od dawna nie czułem się tak wspaniale. Od wkroczenia do doliny nie minęła nawet doba, a po przygnębieniu, które uwierało niczym odcisk, nie pozostał ślad. Świat jaśniał barwami, tworzył dekoracje odpowiadające mojemu nastrojowi.

Tego dnia wśród wędrowców, którzy przyszli z dołu, znaleźli się też znajomi Simone: magnat i handlarz kawą, a zarazem milioner, Francesco Illy z rodziną. Jego syn Ernesto wyglądał i zachowywał się tak, jak przystało na nowobogacką młodzież, córka Vittoria zachowała czar dziecka, którego życie w luksusie jeszcze nie zepsuło. Wraz z nimi przybyło kilka innych osób. Na widok hoteliku wszyscy nieufnie się nastroszyli, dopiero spotkanie z moim przyjacielem poprawiło im nastrój.

Simone stał na ganku w pozie młodego Garibaldiiego. Pobłaźliwie odbierał hołdy wielbicieli wyrażane z powodu wyprawy na Everest. Pozostawiłem go, by do woli pławił się w promieniach sławy, i poszedłem zwiedzać okolicę. Wieczorem znów siedziałem przy piecu, w ciepłe, i słuchałem Boney M. Mingma rozmawiał z jedną z dziewczyn, które widziałem rano przy strumyku. Potem zaproponował nam pokój, choć hotel był przepełniony. Protekcyjnie przyjęliśmy jego ofertę, jak przystało na osoby obracające się wśród milionerów.

- Den, posłuchaj - Simone po przyjacielsku położył mi dłoń na ramieniu - dobrze ci się spało na poddaszu?

- Pewnie. Nie było duszno i nikt nie chrapał mi nad uchem.

- To świetnie! Mam do ciebie prośbę: mógłbyś tam przenocować także tej nocy?

- O! - zawołałem. - Bo?

Simone uśmiechnął się jak lis. Tak potrafił tylko on. Za tym uśmiechem kryła się nie jakaś prawda, ile wielka PRAWDA! Rzucił ukradkowe spojrzenie w stronę stołu, przy którym siedziała grupa trekkerów. Westchnął:

- Poznałem dziewczynę.

Mówiąc krótko: tę noc znów spędziłem na materacu pod blaszanym dachem. Półmrok rozplynął się w fioletowym świetle księżyca. Było cicho, jedynie od strony klasztoru dochodziło szczekanie psów. Słyszałem też jaki, które kręciły się po obejściu, dzwoniąc dzwoneczkami zawieszonymi u szyi.

Potem zaczął padać śnieg. Księżyc zniknął w mrocznej mgle, wiatr trzaskał okiennicami i blachą. Pogoda się zepsuła, przyszedł kolejny potężny front. Trawa i karki jaków, spacerujących między krzewami rododendronów, okryły się srebrną skorupą szronu. Zaskoczona takim obrotem sprawy natura nie mogła się zdecydować, jaką mamy porę roku. Rano, patrząc dookoła, czułem zimę - z całą jej pustką i surowością. W smutnych spojrzeniach zwierząt widziałem wyrzut, jakbym to ja zawinił, że nadeszły chłody. Jeżeli tak źle było na wysokości 3700 metrów, co działo się na ośmiotysięcznikach?

Tymczasem niczym wczorowi trekkerzy wraz z całą zgrają przyjaciół Simone i pod jego nieustraszoną dowództwem ruszyliśmy w górę doliny, znaną nam szlakiem. Lodowaty

wiatr przenikał do szpiku kości i dopiero pod wieczór dotarliśmy do Dingboche. Osobiście czułem się jak nowo narodzony. W butach od Niekricza i z pieniędzmi za pazuchą nic nie było mi straszne. Znajomi Simone wyglądali jednak znacznie gorzej; uszła z nich cała para. Ich siły i pokłady optymizmu całkowicie się wyczerpały. Następnego dnia dotelepaliliśmy się z nimi do Pheriche, skąd helikopter zabrał ich do Katmandu. Za całą tę przyjemność zapłacili okrągłą sumkę, mniej więcej tyle, ile kosztowała mnie caluśka ekspedycja.



Zbieram siły przy kamiennych tablicach z wykutymi na nich mantrami
Zrzuciwszy z ramion obowiązki, po obiedzie wraz z Simone z radością ruszyliśmy w stronę bazy. Miałem się

wspinać na Everest, a to rodziło pewne komplikacje. Pierwsza polegała na tym, że pieniądze, z których miały być opłacone wszystkie sprawy administracyjne, najpierw trzeba było przelać na konto Simone. Zajęło to trochę czasu. Potem tę forszę należało rozdzielić między odpowiednie nepalskie urzędy; począwszy od wydatków oficjalnych, na łapówkach kończąc. Nie bardzo chciałem o tym myśleć, zresztą nie znałem szczegółów. Wszystko ogarniał Simone i niestety przyprawiało go to o ból głowy. Codziennie wielokrotnie wyciągał z plecaka telefon satelitarny. Prowadził długie dyskusje, a to ze swoim bratem Matteo we Włoszech, a to z Asian Trekking. Ang Tsering, szef agencji, użył wszystkich swoich wpływów, by przepchnąć sprawę tam, gdzie trzeba.

Kiedy więc dotarliśmy do Gorak Shep, a ja ujrzałem siedzącą samotnie na murku dziewczynę o znajomej twarzy, zrozumiałem, że Simone potrzebuje trochę czasu dla siebie. To z powodu Helen, bo tak się nazywała, nocowałem na poddaszu. Jakie emocje przywiodły ją do owiewanej przez himalajskiej wiatry wioski, pozostało dla mnie tajemnicą. Mogłem jedynie docenić jej kobiecą intuicję.

Pozostałą trasę do bazy pokonałem w samotności. Simone został w Gorak Shep. Nawijał coś o elektryczności, o baterii telefonu satelitarnego na zerowym poziomie, konieczności wykonania kilku rozmów z lokalnego aparatu i innych mniej ważnych sprawach. A dziewczyna, niczym dzika kotka, w milczeniu siedziała na murku. W jej oczach migotały ogniki. Potrzeba bliskości.

Gdy musisz wybierać między pożądanym a obowiązkiem, zawsze zwycięża to pierwsze. Wieczorem więc, kiedy Simone nawiązywał kontakty ze światem w Gorak Shep, ja odgrywałem rolę gościnnego gospodarza w bazie. Wyglądało to tak: siedziałem samiuteńki w jadalni naszego obozu. W tych dniach wszyscy członkowie naszej ekspedycji

gdzieś się rozeszli. Tsakat, zadowolony, że nie musi gotować posiłków, grał w karty w którymś z sąsiednich namiotów. Zostawił na posterunku pomocnika kuchennego, ten zaś postawił przede mną na stole ogromny talerz makaronu z mięsem i wrócił do kuchni, by zatopić się w dźwiękach radia. Nepalskie melodie miały dziwną właściwość: godziły człowieka z rzeczywistością, pozbawiając rozumu. Nie miałem nic do roboty, przesuwalem po stole butelki alkoholu niczym pionki szachowe. Byłem bezrozumny na swój sposób. Pić i tak nie mogłem.

Nagle za płachtą namiotu usłyszałem kobiece głosy i śmiech. Był późny wieczór. Kto o tej porze spacerowałby po morenie lodowca Khumbu? Zastygłem z butelką koniaku w dłoni. Sekundę później w szczelinie namiotowej płachty pojawiły się trzy twarze. Dziewczyny z nepalskiej kobiecej wyprawy. Ujrawszy ilość alkoholu na stole, radośnie zachichotały.

- O, rosyjski styl aklimatyzacji! - zakpiła najbystrzejsza z nich, Lakpa. W słabym świetle lampy gazowej mrugnęła w stronę butelki i zapytała: - Jesteś sam? Możemy się przysiąść?

- Pewnie, wchodźcie! - Z zachwytu aż zaparło mi dech w piersiach. Zawołałem w kierunku kuchni: - Hej, jest tam kto! Mingma... albo Pemba, przyniesiesz kubki i wrzątek?

Dziewczyny z ciekawością oglądały tonącą w mroku jadalnię. Wystrój był surowy, a tym samym niezbyt romantyczny. Nie miało to znaczenia! Przynajmniej dla mnie. To dziewczyny były prawdziwą ozdobą każdego miejsca. Z radiem na ramieniu z kuchni wyszedł Mingma (czy też Pemba). Na widok tak niespodziewanych gości zamarł osłupiały.

Dziewczyny w lot zrozumiały, że muszą wziąć sprawę w swoje ręce. Wesoło pokrzykując, rzuciły się w stronę

kuchcika. Pięć minut później na stole pojawiła się skromna kolacja. I trochę nepalskich słodyczy: kruche ciasteczka oraz rozpływające się w ustach kulki nasączone brązowym syropem. Wspominałem już, że jedna z dziewczyn miała na imię Lakpa. Druga złożyła dłonie do tradycyjnego powitania: „Namaste” i przedstawiła się jako Misu. Trzeciej było na imię Zita.

Zwykle nadmiar kobiecego wdzięku wzbudzał mój niepokój. Próbowałem się od niego dystansować, zaszywając w kącie i zamykając w sobie. Teraz jednak, jak się to mówi, byłem w natarciu. Nie znałem nepalskiego, ale od czego spuścizna Anglosasów, mowa ciała, mimika twarzy, modulacja dźwięków.

- Jak będziecie na trasie, zapraszamy do nas - powiedziała Lakpa. - Potrzebujemy pomocy, mamy małe doświadczenie, właściwie żadne - westchnęła.

Odgrywając rolę gościnnego gospodarza, ustawiłem kubki i do każdego nalałem nieco koniaku, bardziej dla zapachu niż picia.

- Za urodę! - zawołałem.

- Jesteś sam? Gdzie Simone? - zapytała Lakpa.

- W Gorak Shep. Załatwia sprawy.

- A cóż tam można załatwić? - zaśmiała się.

- Telefon. Musi zadzwonić tu i tam.

Świerzbił mnie język, by opowiedzieć o rosyjskim milionerze, który postanowił zapłacić za moje pozwolenie wejścia na Everest. Uznałem jednak, że na razie rozsądniej będzie o tym nie wspominać. W zamian długo gadałem o naszej wyprawie do strefy lasu i Deboche.

- Jakie tam rosną rododendrony! Ooo takie! - Rozstawiłem szeroko ręce. Na mojej twarzy wykwitł równie szeroki

uśmiech.

- No nie - chórkiem zapiszczały dziewczęta - i nie przyniosłeś nam kwiatów!

- Wybaczcie, dziewczyny, moja wina.

- W takim razie zrobisz to jutro!

- Jutro nie dam rady - westchnąłem. - Jutro wraca Simone, musimy pracować. Ale później tak, później przyniosę wam kwiaty.

- Trzymamy za słowo! - Lakpa klepnęła mnie po ramieniu. - Będziemy czekać.

Ciemność od dawna wzywała do śpiwora; należało iść spać. Szczęściem czy nieszczęściem Nepalki nie czuły się zbyt komfortowo w towarzystwie samotnego mężczyzny, nie licząc kuchcika. Pożegnały się po półgodzinie. Mingma (lub Pemba) sprzątał stół i głośno cmokał z podziwu. Uśmiechał się przy tym jakoś po tutejszemu i o czymś po swojemu nawijał.

- Diabli wiedzą, co gadasz! - wymamrotałem. Potrząsnąłem głową, odganiając znużenie, i poszedłem do namiotu.

Po wspaniałym wieczorze spędzonym w towarzystwie trzech nimf w nocy przyśnił mi się zaskakująco zły sen. Wraz z przyjacielem robiliśmy nową drogę na południowo-zachodniej ścianie Everestu. Do szczytu pozostały nam trzy, cztery dni wspinaczki i setki metrów nadzwyczajnych skał. I wtedy przyszło załamanie pogody. Liny pofrunęły do podnóża ściany. Nasze życie wisiało na jednej śrubie lodowej. Ta nie wytrzymała ciężaru i wyskoczyła z kruchego lodu. Próbowałem wkręcić drugą, w dół spadały malutkie kryształowe opiłki przypominające kształtem soczewki, ale pod niewielką warstwą lodu znajdowały się kamienie, którym śruba nie dawała rady. Spróbowałem w innym

miejscu, i w kolejnym... Koszmarne poczucie bezsilności, paraliżująca niemożność wpłynięcia na sytuację. Nagle poczułem, że wpadam w otchłań. Poleciałem...

Odpadnięcie od ściany wyrwało mnie ze snu. Leżałem, drżąc i ciężko dysząc. Gdzie byłem? Namiot. Zmarzłem. Śpiwór przesunął się na bok. Cisza. Samotność. Everest. A niech go cholera weźmie! Nepalska wyprawa kobieca. Dziewczyny, nie wybierajcie się na tę górę. Znów odpląnąłem w sen. Tym razem nie dręczyły mnie już żadne koszmary.

Simone zjawił się w bazie tuż po śniadaniu. Od razu pognał do Byrona Smitha z ekipy kanadyjskiej. Było koło dziesiątej. Słońce patrzyło na nasze miasteczko znad Nuptse. Błękitu nieba nie zakłócała ani jedna chmurka. W nocy wiatr zmęczył się targaniem namiotów i rankiem pozwalał górcom na spokojną refleksję.

- Dogadałem się z Byronem - oznajmił Simone po powrocie od Kanadyjczyków. - Teraz wszystko zależy od tego, jak sprawa zostanie załatwiona w Katmandu.

- Świetnie - ucieszyłem się. - Czyli działały na razie tak, jak zakładaliśmy wcześniej. Dokąd pójdę ostatecznie, to się okaże.

Zaczęliśmy się pakować. Znów ruszaliśmy w górę. Do moich zadań należało określenie, ile będziemy potrzebowali gazu, żywności i innych rzeczy podczas każdego wyjścia, przy czym musiałem pamiętać o depozytach, które mieliśmy już na stoku. Pokombinowa-wszy, policzywszy i westchnąwszy, dałem nura do worów z wysokogórkim zaopatrzeniem. Mieliśmy duży zapas jedzenia - moglibyśmy nakarmić ze dwie ekipy - a to cieszyło. Nie musiałem oszczędzać na smakołykach, zabrałem więc ich sporo. Cały czas pamiętałem jednak, że plecaki nie mogą być zbyt ciężkie.

Na niebezpiecznym lodospadzie znaleźliśmy się późno, gdy wszyscy mądrzy ludzie już dawno go pokonali. Całą naszą nadzieję pokładaliśmy w szybkości. Tego dnia Simone był w dobrej formie. Uśmiechał się marząco i od czasu do czasu przeciągle wzdychał. W odpowiedzi zaczynałem głośno narzekać, a to na źle umocowaną poręczówkę, a to na lenistwo Szerpów. Wtedy Simone wzdychał jeszcze głośniejsze i jeszcze bardziej romantycznie.

Nie zatrzymując się ani razu, dosłownie przebiegliśmy przez lodowe kaskady. Trzy i pół godziny później byliśmy w obozie drugim. Na szczęście, bo kiedy zbliżaliśmy się do namiotów rozstawionych w kotle, w tył naszych głów uderzył zimny wiatr, a z nieba zaczęły spadać śnieżne kulki. Ledwie zdążyliśmy zasunąć wejście do namiotu, gdy rozszalała się śnieżycą. Widoczność spadła do zaledwie kilku metrów.

Nad ranem niebo trochę się przetało. Próbowaliśmy na nosa, z zapachu wiatru, przewidzieć, jak pod względem pogody rozwinie się nadchodzący dzień. Postanowiliśmy zaryzykować i ruszyć dalej. Choć śniegu nie było aż tak dużo, utrudniał wędrówkę. Nikt oprócz nas nie zamierzał iść w górę. Wkrótce i my pożałowaliśmy tej decyzji. Ten poranek w niczym nie przypominał poprzedniego. W okolicy szczeliny brzeżnej pod ścianą Lhotse świat nawiedził kataklizm w postaci śnieżnej zawieruchy. Jakby to miejsce czymś zgrzeszyło i przyszło mu za to odpokutować w kosmicznej zamieci. Okręcając poręczówkę wokół nadgarstka, żeby się nie ślizgała, czułem, jak moje rękawice nabierają wody. Do obozu trzeciego dotarłem na wskroś przemoczony i zmarznięty na kość.



Przy złej pogodzie stok Everestu zamienia się w lodowe piekło

Marzyłem o zanurzeniu się w ciepłe. Ale ostatnim razem, nie chcąc łamać zasad i przytulać się do cudzych namiotów, rozbiliśmy swój przenośny górski schron w oddaleniu od innych. Teraz musieliśmy odkopać nasz depozyt, rozstawić namiot, a dopiero potem wślizgnąć się do środka. I zachować wiarę, że damy radę odpalić palnik.

Odtwarzając w myślach kształt seraka, pod którym ukryliśmy nasz majątek, ruszyłem na poszukiwania. Wciąż sypało. Ogromna bryła lodu stała tam, gdzie według mnie stać powinna, ale u jej podstawy było ze trzy razy więcej śniegu niż tydzień wcześniej. Najwidoczniej nie obyło się bez zejścia lawiny, a nawet kilku.

Cóż było robić, łopata w dłoń i do roboty. Godzinę później pojawił się Simone. Przypominał Świętego Mikołaja, tyle że bez brody. Na jego ramionach i plecaku utworzyły się

niewielkie zaspy śniegu. Tymczasem z nieba, niczym z ogromnej rozprutej pierzyny, nieprzerwanie padało. Tam w górze nikogo nie obchodzili wysokogórscy wspinacze. Ważniejsi byli zwykli ludzie, którzy w dolinach uprawiali poletka i wychowywali dzieci. Oni musieli mieć dużo wody, by bez problemu nawadniać zasiewy.

Simone ledwo mnie dostrzegł za ścianą śniegu. Tym bardziej że znajdowałem się w czymś, co przypominało niewielki okop dla lekkiego czołgu lub lej po uderzeniu bomby lotniczej. Zdażyłem się już nieźle zmachać, czekałem więc na niego, by przejął łopatę i kontynuował moje dzieło.

- Dawaj, Simone! - wychrypiałem.

- Nic nie znalazłeś - potwierdził to, co widać było nawet w zadymce. Że sytuacja jest beznadziejna, rozumiał bez słów.

- Diabli wiedzą, gdzie się to podziało! Przekopałem wszystko wokół.

- Dobra, teraz ja! - Wyglądało na to, że Simone próbuje dodać i sobie, i mnie otuchy. Raźnie zabrał się do roboty, by po pięciu minutach jeszcze raźniej ją porzucić. - To nie ma sensu - oznajmił.

- Pokopmy jeszcze trochę. - Nie chciałem się tak łatwo poddawać.

- Za chwilę zmiecie nas lawina. Popatrz, ile tu śniegu!

To prawda, sytuacja wyglądała beznadziejnie, wszystko wokół wywoływało przygnębienie, ale czy były to wystarczające powody, by rezygnować?

- Może to tam? - Jeszcze próbowałem.

- A może metr w lewo?

- A jeśli...

Skończyło się tym, że jeszcze przez jakiś czas męczyliśmy sami siebie. Choć wiedzieliśmy, że nasza robota przypomina szukanie igły w stogu siana, dłubaliśmy w śniegu kolejne pół godziny. W końcu cierpliwość Simone się wyczerpała.

- Pieprzyć to! - zaklął. - Do diabła z taką robotą!

- Podejdźmy sto metrów. Tam są namioty innych ekip - zaproponowałem.

- A co zrobimy jutro?

- Przyjdziemy i odkopimy nasz namiot. Najważniejsze to przeczekać noc.

Ale Simone miał dość.

- To bez sensu - oznajmił. - Idę w dół. - Odwrócił się i bez pożegnania zniknął za ścianą złej pogody.

To mnie... zdenerwowało. Dłubałem w tym śniegowym piekle jeszcze przez godzinę. Wreszcie musiałem się pogodzić z rzeczywistością. Pokiwawszy z niedowierzaniem głową i ciągle nie rozumiejąc, gdzie popełniliśmy błąd, zacząłem powoli schodzić, mając nadzieję, że nie dogonię Włocha.

Najtrudniejsze okazało się odnalezienie samego obozu drugiego. Nie wiem, jak to zrobił Simone. Być może pomogła mu wcześniejsza znajomość trasy. Błądziłem po kotle z godzinę. Gubiłem ślady, wpadałem w niewielkie szczeliny, przeskakiwałem inne... Nic nie przypominało mi ściany Lhotse, raz natknąłem się na jakiś stary traser. Do naszego namiotu dotarłem od zupełnie innej strony - jakbym zszedł z południowo-zachodniej ściany Everestu. Oczyściłem raki ze śniegu, strząsałem zaspę z ramion, głowy i plecaka.

- Simone, jesteś?! - zawołałem.

- Tak, Den. Dobrze, że zszedłeś.

- Jak tam?

- W porządku! Jestem już gotowy. Nie włącz, pędzimy od razu w dół.

- Jak to, w dół? - Byłem zdezorientowany.

- Do bazy!

- Ale przecież mieliśmy iść na Przełęcz Południową.

- Nie jestem szalony! - wychrypiął Simone. - Patrz na pogodę!

- A jeśli jutro się poprawi?

- Nie! - Mój przyjaciel bezapelacyjnie uciął dyskusję. - To nie ma sensu! Spadamy na dół.

Wyszło więc tak, że pod wieczór siedzieliśmy w naszej jadalni w bazie i słuchaliśmy kuchennej krzątaniny. Sącząc gorącą herbatę, rozmyślałem o przyczynach naszych niepowodzeń i celu, który miał mi dać szczęście. Najważniejsze, to zachować buddyjski spokój. Jeśli dotarcie do Everestu okaże się niemożliwe, może w zamian dam radę osiągnąć stan nirwany?

[*] Cytat z filmu *Białe słońce pustyni*.



Najwyższy szczyt Ziemi został odkryty dla świata w połowie XIX wieku. Wcześniej rozmaite inne góry uchodziły za najwyższe: od Orizaby przez Dhaulagiri do Kanczendzongi. Kiedy w urzędzie pomiarowym w Kalkucie obliczono, że szczyt oznaczany dotąd przez topografów jako Peak XV ma niespotykane dużą wysokość, brytyjscy geodeci, nie wiedząc, jak ów wierzchołek zwie lokalna ludność, nazwali go po swojemu – Mount Everest, od nazwiska inicjatora pomiarów himalajskich, pułkownika George’a Everesta.

Główny grzbiet Himalajów nie stanowi działu wodnego. Przedziera się przez niego kilka rzek. Najwyższa góra świata znajduje się w regionie Solukhumbu, należy do grupy górskiej Mahalangur Himal, zwanej inaczej Khumbu Himal. Ma kształt trójgraniastej piramidy, która niczym miernik wysokości góruje nad otaczającymi ją szczytami. Jej wysokość obliczano kilka razy. Wyniki, w zależności od zastosowanej metody, nieco się różniły. Kilka metrów więcej lub mniej jak dla mnie nie mają większego znaczenia. Obecnie zazwyczaj podaje się, że wysokość dachu świata wynosi 8848 metrów.

Everest ma trzy granie główne i tym samym trzy ściany. Północno-wschodnia grań ciągnie się ku przełęczy Lhakpa. Północna ściana opada stąd niemal bez przeszkód na tybetańską stronę, w kierunku lodowca Rongbuk, ściana wschodnia natomiast potężnym obrywem schodzi do lodowca Kangshung – przewaga wiatrów zachodnich sprawia, że jest ona całkowicie pokryta śniegiem i lodem. Południowa grań biegnie ze szczytu w kierunku przełęczy oddzielającej Everest od Lhotse, zachodnia zaś zbiega do przełęczy Khumbu. Między tymi dwoma granami ciągną się

strome skalne bastiony ściany południowo-zachodniej. Jej podstawa wspiera się o lodowiec Khumbu, co ułatwia drogę na szczyt. Właśnie tym lodowcem szli pierwsi zdobywcy najwyższego szczytu świata.



Himalajskie giganty widziane ze szlaku do bazy pod Everestem

Każdy rozumie, dlaczego od ponad 150 lat Everest przyciąga uwagę tylu osób; przedrostkowi „naj” niewiele jest się w stanie oprzeć. Potęga góry, jej oddalenie i polityczne zawirowania sprawiły, że przez długi czas pod najwyższy szczyt świata nie docierali europejscy alpinści. Dopiero rozwój komunikacji oraz nagromadzenie informacji o okolicznych terenach spowodowały, że w te strony wyruszyła pierwsza prawdziwa wyprawa. Było to w 1921 roku. Ekspedycję skromnie nazwano rekonesansową. Po niej odbyło się z dziesięć kolejnych. Żadna wprawdzie nie osiągnęła szczytu, ale od strony północnej himalaiści doszli

na wysokość 8560 metrów, a od południowej - na 8600 metrów. Jak wszyscy wiemy, zdobywcza brytyjska ekspedycja wyruszyła pod Everest w 1953 roku; 29 maja dwóch jej uczestników - Nowozelandczyk Edmund Percival Hillary oraz Sierpa Tenzing Norgay - zrealizowało marzenie wielu i stanęło na dachu świata. Dookolna panorama roztaczająca się poniżej ich stóp oznaczała zwycięstwo.

Od tamtego dnia na Evereście wytyczono kilka innych dróg. Aureola tajemnicy, która otaczała górę przez lata, zniknęła. Więcej, pojawiły się nieetyczne zachowania, pomówienia, skandale i tragedie. Oczywiście góra nie stała się z tego powodu niższa ani mniej pożądana. Każdy wspinacz wysokogórski chciał oddać jej pokłon. Nie byłem wyjątkiem.

Kolejne dni w bazie upłynęły nam w rutynowy sposób. Śniadanie, golenie, obiad, odwiedziny u innych ekip... Poszedłem też do dziewczyn z nepalskiej wyprawy, ale działały w górze. Wydawało się, że większość osób znajduje się gdzieś w wyższych obozach.

Poczynania naszego zespołu wydawały mi się chaotyczne, do niczego nie prowadziły. Jak długo można wchodzić i schodzić? Oczywiście, ile trzeba, tyle można, podjąłem jednak decyzję, że jeśli nic się w tej materii nie zmieni, a czas będzie mnie gonił, spróbuję wejść na Everest w trybie przyspieszonym: w ciągu jednego dnia, samotnie.

Uświadomiłem sobie, że mój bojowy nastrój zbiegł się z Dniem Zwycięstwa - był 9 maja^[*].

Obaj moi dziadkowie walczyli w wielkiej wojnie ojczyźnianej. Wiktor Nikołajewicz Urubko przeszedł przez całą Europę jako zwykły żołnierz piechoty, potem na dwa i pół roku trafił do niewoli, a po wyswobodzeniu znów chwycił za broń i ruszył na Berlin. W 1947 roku urodził się

mu syn Wiktor, mój ojciec. Paweł Dmitrijewicz Kolesnikow, dziadek od strony matki, z Rumunii wraz z wycofującym się wojskiem trafił pod Stalingrad. Zakończył wojnę w Pradze, w stopniu majora. Obaj dziadkowie byli ranni niemal tyle razy, ile orderów później dostali. Na froncie przeżyli prawdziwy koszmar. A co robiłem ja, ich wnuk? Szukałem problemów tam, gdzie ich nie było.



Z dziadkiem Wiktorem Urubko; 1977 rok

Dziadkowie nie lubili opowiadać o wojnie: ani o ranach, ani o medalach. Do końca swoich dni pozostali pełni wigoru, jak przystało na mieszkańców kaukaskiego przedgórza. Dziadek Paweł palił papierosy i pił szatańsko mocną herbatę zaparzaną z torebki. Tak go zapamiętałem. W dzieciństwie lubiłem się bawić karabinem, który trzymał w domu. Natomiast z okien mieszkania dziadka Wiktora,

które znajdowało się na trzecim piętrze, wraz z siostrą zrzucaliśmy torebki foliowe wypełnione wodą. Z hukiem pękały na asfalcie i pozostawiały ciemne nieregularne plamy. Kiedy zakwitąły bzy, dużą kompanią szliśmy na pochody, najpierw pierwszomajowy, a kilka dni później na ten z okazji Dnia Zwycięstwa. Dziadkowie wkładali wtedy garnitury, przyczepiali do klap medale, wypinali pierś przed żonami i wypijali co nieco. Świętowaliśmy tak, jak należało.



Dziadek Paweł Kolesnikow, moja siostra Ludmiła i ja; 1978 rok

W czerwcu nad domami i szkołą, w której niegdyś uczyli się rodzice, unosił się biały topolowy puch. Było ciepło, a my czuliśmy się beztrosko, wolni jak Kozacy. Dacza Wiktora Nikołajewicza znajdowała się w pobliżu jeziora pełnego karasi - tam ojciec nauczył mnie łowić ryby. Natomiast z działki Pawieła Dmitrijewicza nieraz szło się do

miasta na piechotę, wzdłuż torów pociągów elektrycznych relacji Mineralne Wody - Niewinomyssk. Teraz, gdy minęło tyle lat, chętnie dowiedziałbym się więcej o swoich dziadkach, o tym, co przeżyli. Niestety, czas był bezlitosny. Obaj zmarli, gdy byłem jeszcze zbyt młody, by interesować się starymi historiami. Pozostało we mnie przekonanie o ich sile i niezawodności, poczucie, że można było na nich polegać. I wspomnienie ich bezgranicznej łagodności i cierpliwości.

Następnego ranka Simone wysłał mnie do obozu drugiego, żebym sprawdził, czy nasz namiot jeszcze stoi lub nie wymaga odkopania. Miałem tam zanoć i poczekać na niego. On sam musiał jeszcze jeden dzień zostać w bazie, żeby do końca załatwić formalności związane z moim pozwoleniem wejścia na Everest. Na lodospadzie spotkałem Rosjan. Schodzili z nietęgimi minami. W nocy w trójce ich namiot przysypała lawina. Mieli szczęście - Jewgienij Winogradski akurat znajdował się na zewnątrz i zdołał odkopać pozostałych: Saszę Fojgta i Gleba Sokołowa. Pogratulowałem im wszystkim nowych narodzin.

W górach często tak bywa: kostucha wyskakuje nie wiadomo skąd. Szedłem i myślałem, że obóz trzeci stwarza tylko problemy. Sam najchętniej wszedłbym na Przełęcz Południową w ciągu jednego dnia. Kusiło mnie wyruszenie bez niepotrzebnego marnowania energii. Należało znaleźć w sobie odwagę, a potem już by poszło.

Podchodziłem do dwójki i obserwowałem działającą tu kobiecą ekspedycję. Właściwie określenie „kobieca” nie odpowiadało prawdzie: dziewczynom pomagało sporo mężczyzn, było ich nawet dwukrotnie więcej niż samych kobiet. Chłopcy ubezpieczali je i wspierali we wszystkich działaniach. Cała grupa powoli posuwała się w górę związana liną w systemie chłopak - dziewczyna. Szybko ich dogoniłem. Dwie z Nepalek nie miały kijków, niepewnie

stawiały kroki, jedna nawet się przewróciła. Pozostałym szło nieco lepiej. Mężczyźni kijków z zasady nie używali, wspinali się na himalajskie szczyty już wielokrotnie i mieli doświadczenie.

Puściłem oko do Lakpy, którą rozpoznałem po fladze na kombinezonie, i zaproponowałem kijki jej koleżankom.

- Sam ich nie potrzebuję - zapewniłem. - Oddacie w bazie.

- *Dhanyabad, dhanyabad* - promiennie podziękowały Nepalki.

Potem leżałem w otwartym namiocie i obserwowałem ślamazarnie poruszające się po lodowcu postacie. Zastanawiałem się, skąd w dziewczynach bierze się potrzeba wchodzenia na najwyższy szczyt świata. U mężczyzn wydawało się to oczywiste: zostali stworzeni do walki, także o przetrwanie. Ale kobiety? Natura przewidziała dla nich inne zadania. Oto filozofowanie na wysokościach, w rozrzedzonym powietrzu.

Przed oczami stanęła mi Kariszma. Tak realna, że aż się wzdrygnąłem. Te czarujące wydatne usta, jak u małej dziewczynki, te głębokie spojrzenie czarnych oczu. Hipnotyzujące piękno, ideał. Nie mogłem o niej zapomnieć. Role się odwróciły: ona była myśliwym, ja zdobywcą. Kariszma... Zamknąłem oczy i oddałem się wspomnieniom.

Kiedy następnego dnia przyszedł Simone, wciąż leżałem w namiocie, tym razem gapiąc się na Szerpów, którzy w blasku słońca, obarczeni ładunkami, mozolnie przemieszczali się w kierunku obozu trzeciego. Trasa wspinała się lodową ścianą, a oni mieli jeszcze kawał drogi przed sobą.

- Hej, Den, widzę, że się nudzisz - wesoło przywitał mnie przyjaciel. - Co słychać?

- Patrzę i kombinuję, jak działać. Może by tak w ciągu jednego dnia dotrzeć na wysokość ośmiu tysięcy metrów? Jak myślisz?

- Głupcy nie myślą. - Simone się roześmiał. - Miałem zaproponować ci to samo.

- Wow! - Poderwałem się ze śpiwora. - A więc jutro?

Włoch pokręcił głową, jakby chciał wyczuć pogodę i to, co się działo na górze.

- Jutro, jutro... - pociągnął nosem - a dziś dostanę herbatę?

- Specjalnie nie wypilem całej, zostawiłem. Czekałem na ciebie.

Wlałem do kubka gorący płyn, wrzuciłem cukier i podałem kubek przyjacielowi. Ten uniósł go w zamyśleniu, jakby wznosił toast, i zawołał:

- Wypijmy!

- Za co? - zdziwiłem się.

- Za twoją wspinaczkę na Everest! - Simone szeroko się uśmiechał. - Moje gratulacje!

- Naprawdę? - Boso wypadłem z namiotu. - Dziękuję, przyjacielu! Dziękuję! - Rzuciłem się, by go uściskać.

Ach, cóż to była za wygrana, jedna szansa na milion. Dzięki niesamowitemu zbiegowi okoliczności oraz wytrwałości Simone wszystko ułożyło się z korzyścią dla mnie. Teraz pozostała ostatnia prosta: wspinaczka! Musiałem wynieść swoje ciało na niewyobrażalną do tej pory wysokość. Ale przecież znałem tę robotę. Przygotowywałem się do tego całe swoje dorosłe życie.

- Czyli załatwiłeś to! - Rozpierała mnie radość.

- Tak, udało się.

- Zostawiamy wszystko, co niepotrzebne, i jutro ruszamy.
- Tak, jutro.
- Wielki Boże! Bitwa, walka! To lubię. Simone, nie bierzmy ze sobą śpiworów.
- Zwariowałeś! - Włoch spojrział na mnie z osłupieniem.
- Tę jedną noc damy radę przetrwać bez nich! - wykrzyknąłem.

Byłem tak podekscytowany, że wieczorem długo nie mogłem zasnąć. Leżałem i myślałem o cudzie, który mnie spotkał. Byłem niewiarygodnie szczęśliwy. Teraz należało dać z siebie wszystko, pocisnąć, nie wycofać się na żadnym etapie, i zwyciężyć.

Następny dzień okazał się prawdziwą wysokogórką ucztą. Wspinaczkowym przeżyciem. Już od dawna nie czułem tyle radości, niemal zapomniałem, jak wiele można osiągnąć dzięki skoordynowanym działaniom. Ze śpiworów wypełziliśmy o trzeciej w nocy. Godzinę później, w całkowitych ciemnościach, zamknęliśmy namiot i ruszyliśmy w górę. Raki zgrzytały na firnie przemieszanej z niedawno spadłym śniegiem. Wkrótce doszliśmy do lin poręczowych. Nad nami migotały gwiazdy; były jak dzwoneczki przypominające o marzeniach i nadziei.

Tego ranka szarpańscy tragarze wysokogórscy, ucieszeni, że ktoś przetrze im drogę, wyruszyli za nami. Niektórzy starali się nas dogonić, tak by wpiąć się w poręczówki jako pierwsi. Byliśmy jednak niezwyciężeni. Nie miałem pojęcia, skąd czerpaliśmy siły. Bezcelnie pędziliśmy przed siebie, nie myśląc o konsekwencjach, nie dbając o przyszłość.

Dotarliśmy do skał, zwanych z angielska Yellow Band, Żółtą Wstęgą. Znajdowały się mniej więcej w połowie drogi na Przełęcz Południową. Nasze tempo było tak dobre, że przyszło nam wyprzedzać Szerpów, którzy tego dnia

wystartowali z obozu trzeciego. Simone szedł jak nakręcony. Nieco pobłażliwie poklepywał tragarzy po ramionach, uśmiechał się jednak tak przyjacielsko, że trudno było żywić do niego urazę. Szerpowie naprawdę mieli ciężko; większość z nich dźwigała na plecach wiele kilogramów. Z mozołem przesuwali się wzdłuż poręczówek, próbując utrzymać równomierny oddech. Niemal przebiegaliśmy obok nich na stromych fragmentach trasy, przepinając się i ryzykując. Nepalskie ministerstwo zdrowia zapewne ostrzegało, że wykonywanie takich akrobacji zagraża życiu lub zdrowiu. Tego dnia zawroty głowy były jednak spowodowane czymś innym: naszą werwą.

Wreszcie doszliśmy do Żebra Genewczyków, a stamtąd do Przełęczy Południowej. Końcowy odcinek był już ciężki, zabrakło nam pary. W mocno rozrzedzonym powietrzu straciliśmy cały nasz męzny entuzjazm. Nogi pracowały same, niczym automaty, niemal bez udziału woli. Co kilka kroków musieliśmy odpoczywać. Wlekliśmy się, dyszeliśmy, ale uparcie zdążaliśmy ku wysokości ośmiu tysięcy metrów.



Skłon pod Przełęczą Południową wygląda na niezbyt trudny

Na przełęczy hulał wiatr. Trudno sobie wyobrazić bardziej niegościnne miejsce niż to Koloseum na zawrotnej wysokości. Pusto i goło. Przestrzeń pozbawiona życia. Zdawało się, że słoneczna kula płonie wprost nad naszymi ramionami. Miałem ochotę ją zdmuchnąć, tak jak się odgania uprzykrzonego owada lub motyla. Wyrzuciwszy z plecaka namiot, w zwolnionym tempie rozłożyliśmy go pośród zmrożonych śmieci. Miejsce obozu czwartego nasuwało myśl o pobojuwisku. Na wieki wmarzły tu połamane stelaże, a podarte płachty furgotały miotane wiatrem.

Wystarczyło podnieść głowę, by o tym wszystkim zapomnieć. Piramida najwyższej góry świata majestatycznie celowała w otchłań nieba. Nic nie mogło się z nią równać. Everest, Czomolungma, Sagarmatha. Zbiorowisko skalnych żeber i uskoków, śnieżnych kulu-arów. Jak można było

przetrwać na takiej wysokości i na takiej górze? Przypomniałem sobie Petera Habelera. Dwadzieścia lat temu wszedł na Everest bez wspomagania się tlenem.

- Simone, jak się czujesz? - wydyszałem. Właśnie zalegliśmy przed wejściem do namiotu i zbieraliśmy siły, by wgramolić się do środka.

- W porządku - mruknął. - Można przeżyć.

- Po raz pierwszy będziesz nocował tak wysoko? - Każde wypowiedziane przeze mnie słowo poprzedzała pauza.

- Nocował? Tak. Nigdy nie rozstawiałem namiotu tak wysoko.

Nie tyle rozmawialiśmy, co cedziliśmy słowa, przerywając je ciężkimi oddechami. Inaczej się nie dało, nie mieliśmy czym oddychać. W końcu Simone się ruszył; wlaźł do środka i obróciwszy głowę w stronę wejścia, długo kaszlał. Postanowiłem również podjąć jakąś aktywność. Podniosłem ze śniegu czekan, następnie pokrowiec od namiotu, wreszcie dźwignąłem się na kolana. Potem dałem radę stanąć na nogach.

Wokół kołysały się góry. I niebo. Jakieś dziesięć metrów ode mnie błyszczała wypolerowana przez wiatr biała połać. Najbliższe miejsce, skąd można było nabrać firnu, by stopić go na wodę do picia. Ruszyłem w tamtym kierunku. Jeden krok, drugi, trzeci, kolejny... Przyklęknąłem, moje serce łomotało, spazmatycznie łapałem oddech. Co się dzieje? Przed moimi oczami wszystko wirowało. Jakby ktoś dla żartu wsadził na karuzelę pijaka.

Czułem się słaby. Niezdarnie nazbierałem do pokrowca lodu. Wyczerpany, ale zadowolony, że wykonałem zadanie, powoli zawróciłem do Simone. Uniosłem głowę, by wyrwać wiatrowi dodatkową cząsteczkę tlenu. I wtedy go zobaczyłem. Wszedł z pobliskiego namiotu i - co przeczyło zdrowemu rozsądkowi, a nawet wydawało się niemożliwe -

niemal biegł w naszym kierunku. Byłem zszokowany. Wstrząśnięty. Wyprowadzony z równowagi.

Oto wspinacz heros. Sylvester Stallone, Michael Jordan i James Bond w jednej osobie! Poruszał się tak energicznie, niczym diabełek, który wyskoczył z tabakiery, że poczułem się bezwartościowym słabeuszem. Młodzieniaszek dobiegł do naszego namiotu i emanując zadowoleniem, wychrypiął: „Czołem, chłopaki! Jak się macie?”. Wypisz wymaluj napompowany hormonami stały bywalec dyskotek, przyzwyczajony do poruszania się tanecznym krokiem. Bez wysiłku nawijał o czymś z Simone. Ten, równie półżywy co i ja, z wytrzeszczonymi oczami i szeroko otwartymi ustami, próbował zachować twarz. Bez powodzenia. Nasz gość z gracją machał rękoma, a potem, niczym magik wyciągnął zza pazuchy niewielką maskę tlenową, przyłożył ją do twarzy na pół minuty, pożegnał się z nami i pognął do siebie. Wciąż tym swoim sprężystym mocnym krokiem.

Ależ mi ulżyło! Chwilę wcześniej, patrząc na tego supermena, myślałem, że nie dorastamy mu do pięt. Że coś z nami nie tak. Oto, co znaczy tlen na dużej wysokości! Wyglądało na to, że siedząc w namiocie, stale się nim wzmacniał, a jego bagaże wnieśli na górę Szerpowie.

Zostawiłem Simone gotującego wodę, a sam poszedłem przez skamieniałe plateau jeszcze nieco w górę. Za wszelką cenę chciałem przekroczyć osiem tysięcy, przełęcz znajdowała się poniżej tej granicy. Moje ciało musiało się pogodzić z nieuchronnym udręczaniem, zaakceptować to, że na tej wysokości spędzi noc. Zmącona świadomość nie przeszkodziła mu ruszyć w stronę Lhotse po stromym firnowym stoku, skąd - po krótkim podziwianiu zmarzniętych czubków butów - ono i ja zawróciliśmy do namiotu.

Simone się wyłączył. Kuchenka szumiała, niemal połowa wody zdążyła już wyparować. Dorzuciłem kilka kawałków

lodzie ze śniegiem, potem napiłem się i zmusiłem przyjaciela, by również przełknął trochę płynu. Ponownie zacząłem topić lód. Zupełnie nie chciało mi się jeść, jedynie pić, choć nie aż tak, jak opisywano to w książkach.

Wieczorem ogarnęło mnie przygnębienie. Towarzyszył temu ból głowy. Coś takiego zdarzyło mi się pierwszy raz w życiu. Było to dla mnie tak nieoczekiwane, że początkowo nie rozumiałem, co się ze mną dzieje. Ledwie zauważalne napięcie i ciężar w skroniach. Ból był znośny, ale objawy przypominały te opisywane w literaturze. Próbowałem głębiej oddychać i wykonywać zamarzniętymi rękoma zamaszyste ruchy. Powoli ból głowy przycichł, a później minął i już nie powrócił.



W spokojny poranek z wysokości 8000 metrów, wydaje się, że można zobaczyć drugi koniec świata

Położyliśmy się spać około dwudziestej. „Położyliśmy się” to zresztą złe określenie, od dawna zalegaliśmy w pozycji horyzontalnej. Nie wzięliśmy śpiworów, noc zapowiadała się więc mroźno. Zewnętrzne buty podłożyliśmy pod głowę, stopy wsunęliśmy w łapawice, botki oraz plecak i w końcu odpłynęliśmy w sen. Gdyby nie przejmujące zimno, spałbym doskonale.

W tych dniach na Przełęczy Południowej panował spory ruch. Skuszeni niezłą pogodą liderzy wypraw komercyjnych wysyłali swoich Szerpów wyżej, żeby zabezpieczyli trasę, zanim ruszą na nią klienci. W nocy niektóre grupy zdecydowały się na atak szczytowy, z nadzieją, że uwieńczą go sukcesem i będą mogły wrócić do domu.

Przez sen słyszałem nawoływania ludzi i trzepotanie namiotowych płacht. O świcie ponownie obudziły nas głosy. Uniósłszy się na łokciach, Simone nasłuchiwał toczonych rozmów.

- Co tam? - zapytałem z niepokojem.

- Śnieg jest głęboki. Nad Balkonem zalega gruba warstwa, która pochłania mnóstwo sił - relacjonował. - Nie dali rady.

Wszyscy wrócili, to najważniejsze. Ponownie zapadliśmy w somnambuliczny stan. Przypominaliśmy dwie przemrożone salamandry, które choćby chciały, nie były w stanie się ruszyć. Na dobre obudziłem się, gdy było już jasno. Dokładniej ze snu wyrwał mnie przyjacielski kuksaniec. Otworzyłem oczy i ujrzałem uśmiechniętą fizjonomię Simone. Coś ciepłego do picia, suszone morele z rodzynkami do przekąszenia, a potem w dół.

Tego dnia było wręcz gorąco, schodziłem w samym polarze i lekkich spodniach. Nawet na Żebrze Genewczyków wiatr był ledwie wyczuwalny.

Simone przemieszczał się ociężale. Żebyśmy zdążyli zejść do bazy za dnia, zabrałem mu plecak. Mimo to powoli

opuszczał się wzdłuż poręczówek. Po drodze spotkaliśmy brawurowo nastawionych chłopaków – dwóch Hiszpanów, którzy natchnieni wspaniałą pogodą zamierzali dotrzeć na przełęcz, a następnego dnia zaatakować szczyt. Życzyliśmy im powodzenia.

W Kotle Zachodnim złapaliśmy drugi oddech. Simone zdjął ciężki kombinezon puchowy i już na lekko ruszył w dół. Nieco dalej natknęliśmy się na kierownika naszej ekipy Piotra Pustelnika. Jak zwykle promiennie się uśmiechał. Poklepał mnie po ramieniu, po czym rzekł, że spróbuje przetorować trasę na Lhotse, więc żebym nie tkwił zbyt długo w bazie. Natychmiast poczułem przyływ sił. Życie wydało mi się wspaniałe, pociągające, otaczało mnie tyle przyjaznych dusz.

O piętnastej siedzieliśmy już z Simone w mesie naszego obozu. Zajadaliśmy się omлетem z serem, a do mnie docierało, że piękno Himalajów najlepiej odczuwa się, patrząc na ośnieżone szczyty z pewnego oddalenia, na przykład z okna ciepłego hoteliku. Widok jest jeszcze bardziej spektakularny, gdy ma się pod ręką szklaneczkę wina. Przez pryzmat szkła wszystko jawi się w złotym świetle. Wydajesz się sam sobie znacznie mężniejszy, niż kiedy spoglądasz po prostu w lustro. W cieple i wygodzie wszyscy stajemy się silniejsi od naszych słabości, jakże inaczej niż w prawdziwych sytuacjach życiowych.

- Może zejdziemy do strefy lasu? - zaproponował Simone następnego ranka. Niedbale kiwał przy tym nogą.

- Może być - odparłem w tym samym tonie, nonszalancko wodząc wzrokiem wokół.

Rozparci na krzesłach odpoczywaliśmy przy wejściu do jadalni. Jaskrawe słońce rozgrzewało nasze przemarznięte mózgownice. Zapewne to ciepło sprawiło, że Simone wpadł na błyskotliwy pomysł ponownego odwiedzenia doliny.

Przed nami lśnił lodowiec Khumbu. Sunęło po nim mrowie ludzi. Marność nad marnościami i wszystko marność. Byliśmy ponad te zwyczajne ludzkie dążenia.

- To co, wyruszamy? - Uśmiechnął się mój przyjaciel.

- Ama Dablam Garden Lodge. - Wyszczrzyłem zęby w odpowiedzi.

Dotarliśmy na wysokość ośmiu tysięcy metrów, proces naszej aklimatyzacji dobiegł końca. Teraz potrzebowaliśmy już tylko odrobiny szczęścia. Tymczasem krzewy rododendronów wabiły kolorami, a aromaty lasu przyciągały niczym narkotyk. Niżej powietrze kipiało od życia. Na trasie można było spotkać piękne kobiety, zadziwiająco często wędrujące bez męskiej obstawy. Karizma wciąż wdzierała się do moich snów. W bazie nie mieliśmy nic do roboty.

Ech, sybaryci! Nauczycie świat cierpieć z powodu niedomiaru szczęścia. Nauczycie ludzi, że najlepiej jest w ciepłe i komfortowych warunkach. No więc? Mingma (czy też Pemba), kawy dla dwóch chojraków w nagrodę za świetnie wykonaną pracę! Było nam tak dobrze, że dopiero o wpół do pierwszej daliśmy radę oderwać się od stołu i potoczyć nasze ciała w dół. Dwa nafaszerowane paszteciki, które ledwie nadały z pstrykaniem zdjęć. Bo tego dnia na trasie widzieliśmy mnóstwo zwierząt, najwyraźniej przyzwyczajonych do dokarmiania przez turystów. Ułary, piżmowce czy zajęczaki podchodziły na odległość dziesięciu metrów, wcale się nie bojąc.

Dumałem o tym, jak łatwą pracę mają tutejsi przewodnicy. Nieskomplikowana, pozbawiona przestępczości trasa do bazy pod Everestem, podczas której mijało się sporo ciekawych miejsc. Turystyczny samograj. Przejście od jednego hoteliku do drugiego trwało zaledwie kilka godzin, w obiektach obsługa i serwis stały na niezłym poziomie.

Przewodnicy dostawali dwadzieścia dolarów dziennie, tragarze - około pięciu dolarów. Wyspecjalizowani wysokogórscy Szerpowie zarabiali co sezon dwa, trzy tysiące dolarów.

Tego dnia królowała piękna pogoda; prawdziwy prezent dla zmęczonych młodych nicponi, którzy postanowili zaspokoić ambicje tam, gdzie zwykle starczą zachwyty nad pięknymi widokami. Nad doliną górowały szczyty opromienione słońcem, w lesie ścieliły się romantyczne cienie. Jakbyśmy znaleźli się w znanej rosyjskiej bajce - na drzewach wisiały strzępy mchu, sowy wybałuszały swoje żółte oczy, a Alonuszka wędrowała leśnymi ścieżkami, szukając swojego brata Iwanuszki.

- Simone - odezwałem się, kiedy raźnie stawialiśmy kroki na kamienistej ścieżce - co dalej?

- To znaczy?

- Odpoczniemy, wrócimy do bazy i co dalej?

- Przecież idziemy na trawers.

- Idziemy na trawers. - W moim głosie pobrzmiwały zachwyty i zdziwienie. - No tak, od trzech dni mogę myśleć o trawersie!

- Szykuj się. - Simone energicznie skinął głową.

- Od którego szczytu zaczniemy? - drążyłem.

- Oczywiście, że od Everestu. - Mój przyjaciel nie miał żadnych wątpliwości. To było zrozumiałe samo przez się. -

Potem znów zejdziemy na Przełęcz Południową, przenocujemy i wzdłuż grani zaatakujemy Lhotse.

- Everest, Przełęcz Południowa, Lhotse. - Rozmarzyłem się, wdychając powietrze przesiąknięte zapachem rododendronów.

Wciąż miewałem chwile, że trudno mi było w to wszystko uwierzyć. W to, że znajdowałem się w Nepalu w otoczeniu ośmiotysięczników, że nie tylko na nie patrzyłem i wypowiadałem ich nazwy, ale też próbowałem na nie wejść. Wydarzenia ostatniego roku wydawały się czymś nierealnym, jakbym trafił do starodawnej opowieści, gdzie z za zakrętu ścieżki wyłania się piękna nimfa i nagradza rycerza pocałunkiem.

Teraźniejszość za zakrętem przywitała nas jednak skromnymi zabudowaniami klasztoru żeńskiego. Najwyraźniej moja księżniczka marnowała życie tam, gdzie nie mieli wstępu zwykli śmiertelnicy. Cóż, należało pozostać wiernym rycerzem snów.

Minęliśmy kamienne ogrodzenie klasztoru i wyszliśmy na rozległą polanę. Po prawej stronie znajdował się Ama Dablam Garden Lodge. W promieniach zachodzącego słońca budynek emanował ciepłem i przytulnością. Z okien sączyło się pomarańczowe światło, nad dachem snuł delikatny dym, zdradzający, że w kuchni pracowano. Natychmiast zapomniałem o księżniczce i klasztorze, w którym ją uwięziono.



Rest. Czy nie mówiłem, że najlepiej jest w ciepłe i komfortowych warunkach

Tuż przed wejściem do hoteliku Simone zatrzymał się i jak tydzień wcześniej z powagą oznajmił:

- To tu przed szturmem na Everest odpoczywał niezapomniany Anatolij Bukriew.

- Niezapomniany. - Ja też ponownie skinąłem głową. - Bukriew.

Weszliśmy do środka. Mingma przywitał się z nami jak z dobrymi znajomymi. Od naszej ostatniej wizyty nic się nie zmieniło: gwar, ciekawskie spojrzenia, muzyka sącząca się z magnetofonu ustawionego na półce. I podobny tłum trekkerów. Miejsce wciąż miało w sobie jakąś magiczną

aure. W przestronnej jadalni wyczuwało się dobry nastrój. Toczyło się zwykłe życie.

Zamówiliśmy ryż z kurczakiem i usiedliśmy nieco z boku. Ogarnęła mnie błogość, wewnętrzny stan spokoju, kiedy wiesz, że przed tobą kilka dni odpoczynku. Wszyscy ci trekkerzy, skauci prowadzeni przez przewodników, grupy znajomych i ich tłumacze rano opuszczą to miejsce, rozpląną się w nicości, znikną jak duchy. Pozostaniemy sami, nie szkodzi, że na krótko - władcy rajy wśród rododendronów.

W tutejszych przydrożnych hotelikach poranek rozpoczynał się zwykle od trzaskania drzwi i skrzypienia desek podłogowych. Niespokojne głosy pytały, czy śniadanie gotowe, kto ostatni do toalety, jaka jest pogoda. Słychać było szum wody, z pokoi dochodziły odgłosy przesuwanych bagaży, komuś zawsze wypadał z ręki kubek i toczył się po podłodze. Z dworu dolatywał wesoły gwar - to rozmawiali tragarze. Dźwięki wydawały się przytłumione, aż jakiś śmiałek lub raczej gbur podnosił głos i oczarowanie porankiem zniknęło. Zaczynała się zwykła codzienna krzątania.

Tym razem nigdzie się nie spieszyliśmy. Po przebudzeniu wyciągnąłem się więc w śpiworze i przewróciłem na drugi bok. Na sąsiednim łóżku szczyrzył zęby Simone. Jego też obudził poranny gwar. Ale podobnie jak ja nie spieszył się z rozpoczęciem działań bojowych.

- *Ciao*, Den! - wychrypiał. - Jak tam?

- Świetnie. Możemy poleniuchować.

- O tak. - Simone wyglądał na bezgranicznie szczęśliwego. - Poczekamy, aż wszyscy zjedzą śniadanie i sobie pójda.

Kiedy w budynku zapanowała cisza, a słońce dotknęło okapu, postanowiliśmy porzucić legowisko. Simone

podskoczył na łóżku, szybko się zebrał, a kiedy wychodził, zapytał:

- Coś ci zamówić? Chcesz omlet?

- Tak! Z serem. I tosty z dżemem!

Nabrałem takiego apetytu, że aż mi ślinka pociekła. Duże wysokości powodują szybkie wyniszczenie. W warunkach niedoboru tlenu wchłanianie przez przewód pokarmowy substancji odżywczych jest zaburzone; organizm, by mieć energię, zaczyna zjadać własne mięśnie. Kiedy więc obniżyliśmy loty i znaleźliśmy się w strefie życia, ciało zaczęło domagać się jedzenia i picia. Organizm się dotlenił, a ja poczułem się wściekle głodny.

Zszedłszy do jadalni, spostrzegłem, że nie byliśmy sami. Na miękkiej sofie przy oknie siedziała dziewczyna. Miała podciągnięte nogi, a w rękach trzymała książkę. Nie czytała jednak, jej uwagę pochłaniał Simone, który wydawał z siebie słowicze trele, opisując piękno wspinaczki wysokogórskiej i nasz bohaterski nocleg na Przełęczy Południowej.

- Naprawdę? - Oczy dziewczyny robiły się coraz większe. W zachwycie patrzyła na mojego przyjaciela. - Jak wam się udało tam przeżyć?

- Wraz z Denisem podpieraliśmy płachtę namiotową swoimi ciałami. Na szczęście koło północy huragan odszedł na południe. - Simone się rozkręcał. - Tamtej nocy na zboczu Everestu zginęło wiele osób. Kilka uratowaliśmy.

- Niemożliwe! Jesteście bohaterami.

- Nie przesadzajmy - skromnie odparł mój przyjaciel. Kiedy mnie dostrzegł, radośnie zamachał rękoma. - To Denis, tworzymy zespół. Den, poznaj Lindę, jest ze Stanów Zjednoczonych.

- Bardzo mi miło. - Uśmiechnąłem się. - A gdzie śniadanie?

- O rany, zapomniałem. Jadłaś już? - Simone zwrócił się do Amerykanki.

- Nie - westchnęła, jakby ciągle przeżywała to, co usłyszała.

- To zapraszam. - Simone natychmiast wszedł w rolę supermena, który w dodatku galopuje na białym koniu. - Den, zawołaj gospodarza.

Okazało się, że dziewczyna została w hotelu z powodu choroby. Do Nepalu przybyła z grupą studentów. Mieli poznawać specyfikę ekonomiczną tego górzystego kraju. Chcieli określić, co tutejsi mieszkańcy przynoszą z dolin i znoszą w dół, oraz dowiedzieć się, jak i z czego żyją na tej wysokości.

- To jak zajęcia z logistyki - szczebiotała wesoło przy śniadaniu. - Siadamy na poboczu i liczymy, ilu tragarzy i ile jaków mija nas w ciągu godziny, czy idą w dół, czy w górę. Określamy też, ile ładunków dźwiga każdy jak oraz każdy tragarz.

- I jakie są wyniki? - zapytał Simone.

- Mam to wszystko zapisane w zeszycie. Musiałabym pójść do pokoju.

- To bardzo ciekawe. - Kiwnął głową mój przyjaciel. - Chciałbym te wyniki zobaczyć.

- A gdzie jest cała grupa? - zapytałem.

- Poszli do Dik... Deng...

- Do Dingboche - odezwał się Simone tonem znawcy. - Wczoraj ich tam widzieliśmy.

„No, no - pomyślałem zaskoczony - proszę, jak się to robi”.

- Właśnie! - przytaknęła Amerykanka. Potem dodała niewesoło: - Musiałam zostać w hotelu, miałam kaszel i gorączkę. Teraz jest już dobrze, ale mam tu na nich czekać. A wy długo tu zostanieie? - Spojrzała na Simone z nadzieją.

Już otworzyłem usta, by odpowiedzieć, że mamy napięty plan działania i nie możemy odpoczywać, kiedy zobaczyłem zaniepokojone spojrzenie Włocha. Dobrze, posłucham, co ma do powiedzenia na temat relaksu w strefie lasu.

- Trochę posiedzimy - zapewnił. - Musimy dobrze wypocząć.

- Byliście tacy dzielni. - Dziewczyna znów westchnęła. Zapomniała o książce, którą czytała. Niczym królik wpatrzony w boa dusiciela chłonęła każde słowo Simone.

Zostawiłem ich, by mogli kontynuować badania lokalnej gospodarki; przeliczać tragarzy i jaki, rozszyfrowywać notatki. Wybrałem się na spacer. Chciałem odetchnąć ciepłym i ożywczym powietrzem, przepompować krew w organizmie. Pochłonięte śniadanie dobrze mnie nastroiło. Myśli krążyły gdzieś w chmurach, wokół ośnieżonych szczytów Himalajów.

W swoim poprzednim wcieleniu wcale - a po prawdzie to w ogóle - nie miałem pieniędzy. Żołd wojskowego był śmiesznie mały. Większość kasy wydawałem na prezenty dla przyjaciół, upominki dla dziewczyn, alkohol i oczywiście sprzęt alpinistyczny. Nieraz zastanawiałem się, jak udawało mi się co miesiąc przeżyć. Nie miałem cukru - szedłem po prośbie do innych żołnierzy w koszarach; skończył się chleb - odwiedzałem panie pracujące w pobliskim biurze; brakowało na kolację - uderzałem do przyjaciół. Czasem zachodziłem na targ i szwendając się od stoiska do stoiska, częstowałem się tym, co akurat wystawiano na spróbowanie. Dawało się najeść. Trzeba było tylko uważać,

by takich miejsc nie odwiedzać zbyt często, nie zostać zapamiętanym. Bezcelne korzystanie z uroków targowiska groziło pobiciem. Oszczędzałem na wszystkim, dbając jednak o kondycję fizyczną i o to, by w moich oczach wciąż płonął ogień.

Czy można się dziwić, że tutejszy świat odbierałem jak bajkę? To w dużej mierze dzięki wsparciu przyjaciół w ogóle mogłem się znaleźć w Nepalu. A po spotkaniu z tajemniczym milionerem otrzymałem zezwolenie na wspinaczkę na Everest, w mojej kieszeni natomiast tkwiło tysiąc dolarów. Niech to szlag! Nie byłem przygotowany na tak dramatyczny zwrot akcji. Niepohamowany pęd Dudhkosi unosił mnie, nie wiadomo dokąd, z zawrotną prędkością. Wody rzeki triumfalnie bulgotały w głębinach.

Wałęsając się po okolicy Deboche, pośród rododendronów roztaczających wokół tyle zapachów, wciąż podziwiałem odległy trójkąt najwyższego szczytu świata. Krył się za innymi graniami, ostrożny czarny olbrzym. Zdawało mi się, że patrzy na mnie z góry i kpi z tego, jaki jestem malutki i zdesperowany. Czego mi potrzeba? Po co te nerwy? Patrzyłem na piramidę, którą miesiąc temu mogłem sobie tylko wyobrażać w snach i marzeniach. Moje serce przepełniała nadzieja. Niemal widziałem siebie już na szczycie. Precz z wątpliwościami! Musiałem się tam znaleźć! Najważniejsze: nie rozpraszać się i nie popełniać błędów. Everest!

Kiedy wróciłem do hotelu, przed wejściem trwała nerwowa krzątanina. Szara kamienna ściana stanowiła sceneryę jakiegoś przedziwnego przedstawienia. Przypominało to jedną z opowieści o Dzikim Zachodzie Thomasa Maynego Reida. Indianie, w tej roli występowali dziś Szerpowie, ganiali w jedną i drugą stronę. Na ich twarzach malowała się zaciętość, wyglądali jak lokalni watażkowie. Ganili Mingmę, że rozstawił namioty na

podwórzu, wyciągali z plecionych koszy sakwy. Panował taki rwetes, że poczułem się nieswojo. Jeszcze mniej sympatycznie zrobiło się, kiedy na ścieżce pojawiła się duża grupa trekkerów. Pośród tutejszej przyrody wyglądali wręcz groteskowo; szli parami lub trójkami, a ich głowy zdobiły a to skautowskie czapki, a to kapelusze à la Chuck Norris. Kilku starszych facetów przypominało wręcz postaci z jakichś komiksów. Wszyscy zachowywali się tak, jakby byli panami świata.

Przy wejściu całą grupę, radośnie ćwierkając, witała Linda. Oto byli owi studenci i profesorowie, z którymi podróżowała. Badania naukowe dobiegły końca, teraz myślano już o powrocie w dolinę i do domu. Opiekuńczy, jowialny Simone tkwił obok nowej znajomej i chyba nie zdawał sobie sprawy, ile rozdrażnienia powoduje. Jego obecność irytowała zwłaszcza jednego z opiekunów grupy: wysokiego, łysego brodacza o szerokich ramionach, który wyglądał jak prawdziwy brutal. Spoglądał na Simone z wyraźną niechęcią.

- Hej, Den - zawołał z radością mój kumpel - popatrz tylko, ilu mamy przyjaciół!

Jego włoska bezpośredniość rażąco kontrastowała z otaczającą nas wyższością i pewnością siebie. Mimowolnie wciągnąłem głowę w ramiona, chcąc się ukryć w najdalszym kąciuku.

- Poznajcie się, to mój partner wspinaczkowy - perorował Simone, zwracając się do zebranych niczym Cezar do ludu. - Jest z Kazachstanu, to dziki człowiek, Azjata. Potomek Kozaków, którzy w tysiąc osiemset czternastym brali szturmem Paryż.

Brodacz, przypominający potężnego mastodonta, skierował głowę w moją stronę. Chyba nie stanowiłem dla niego zagrożenia, bo ponownie utkwiał wzrok we Włochu.

Nie znajdowałem przyjemności w nieładzie, który zapanował w Ama Dablam Garden Lodge. W dodatku nieco się przeziębilem podczas naszego przemarszu. Czułem drapanie w gardle i ból przy przełykaniu. Zacząłem się obawiać, że nie podołam wspinaczce na Everest. Zażyłem więc aspirynę i położyłem się do łóżka. Godzinę później w naszym pokoju zjawił się Simone.

- Słuchaj, Den - zagaił, zamykając drzwi - jutro wyruszamy do bazy. - W napięciu wsłuchiwał się teraz w ciężkie kroki dudniące po korytarzu.

- A co z Lindą? - Ironicznie uniosłem brwi.

- Wyrusza w dolinę ze wszystkimi.

Ktoś schodził z piętra na parter. Simone otworzył delikatnie drzwi i wyjrzał przez szparę.

- Kto to? - zapytałem.

- Docent czy profesor nadzwyczajny. Ten olbrzym. Smali cholewki do Lindy.

Aha, wszystko jasne. To dlatego mastodont z ludzką twarzą tak zareagował na pojawienie się Simone. I do tego miał rację, gdyż mój kumpel oznajmił właśnie:

- Dobra. Idę do Lindy, mieszka w ostatnim pokoju na piętrze. Wołaj, gdyby coś.

Zwinnie wyskoczył na korytarz. Słyszałem, jak idzie szybkim krokiem, potem trzasnęły drzwi od jakiegoś pokoju. Wzruszyłem ramionami: a niech się spotyka, z kim chce, to nie moja sprawa. Ważne, żeby nie zapomniał, po co tu jesteśmy. Przypomniałem sobie, jak schodziliśmy lodospadem i we mgle zgubiliśmy szlak. Simone pokonywał wtedy ogromne bryły bez zabezpieczenia, a ja martwiałem z przerażenia. I podziwiałem jego niezłomny charakter.

Pod wieczór nad doliną rozlały się dźwięki trąb zwiastujące koniec dnia. Potężne buczenie nie pasowało do szarej codzienności, wywoływało niepokój, było niczym wewnętrzne echo niespokojnych przeżyć. Jakby w powietrzu krążyło niewypowiedziane uczucie, myśl, która nie znalazła odbicia w słowach lub czynie. Ogarnął mnie smutek. Dzień właśnie dobiegał końca, a realizacja zamierzenia, które mną zawładnęło, trwała w zawieszeniu.

Chmury płynęły po niebie; miało się wrażenie, że opadają na dno doliny. Tonęły w rzece, zlewając się z jej mętnymi wodami. Gdzieś tam wściekał się pienisty nurt, niczym dzikie zwierzę zamknięte w klatce. Serce gór wybijało rytm bębniem, a głębokie brzmienie trąb niosło się po okolicy. Powoli nad Everest spływał spokój.

W mroku gasnącego wieczoru siedziałem na progu hoteliku i myślałem o tym, co wielkie i nieprzemijające. Moje niespokojne myśli kręciły się również wokół tego, co przyniesie kolejny dzień. Potem zajęły mnie sprawy bardziej przyziemne: czy się uda załatwić u Simone butelkę coli. Nie miałem nepalskiej waluty, a szkoda było napocząć prezent od Niekricza.



Nad Deboche w promieniach zachodzącego słońca tkwi święta góra
Ama Dablam

Mój przyjaciel rozmawiał akurat z Lindą o pięknie i wielkości himalajskiego zachodu słońca. O tym, jak horyzont rozpala się w odcieniach purpury, jak w ostatnich promieniach dnia mieni się szczyt Everestu. Nie zamierzałem przeszkadzać w tak natchnionej wymianie myśli, wyrywać się ze swoją prostą prośbą. Czekałem, aż uduchowiona muza wraz z dźwiękami niebiańskich harf opuści Simone.

- Właśnie dlatego się tu znaleźliśmy - terkotał mój przyjaciel. - Tu zawsze zbierają siły bohaterowie. Deboche to najlepsze miejsce na świecie. Sam Anatolij Bukrijew chętnie tu bywał.

- Znałeś Anatolija Bukriejewa? - Głos Lindy był pełen nabożnego zachwytu.

- Znałem. Próbowaliśmy zrobić trawers Lhotse-Everest. Pamiętam jak dziś: wspinałem się jako pierwszy niemal pionową ścianą, torowałem drogę po pas, gdzie tam, po pierś w śniegu!

Książka Bukriejewa *Wspinaczka* była szeroko komentowana w Ameryce. Stanowiła całkowite przeciwieństwo *Wszystkiego za Everest* Jona Krakauera - taniej opowieści o tragicznych wydarzeniach pod Everestem w 1996 roku. *Wspinaczka* skłaniała do przemyśleń, pozwalała od podszewki poznać wysokogórski świat i jego zagrożenia, wyobrazić sobie realia wypraw w najwyższe góry świata.

Przekazana przez Lindę wiadomość, że w hotelu przebywa przyjaciel Bukriejewa, zelektryzowała amerykańską grupę. Simone zajął honorowe miejsce przy stole, Linda, drżąca z emocji, usiadła tuż przy nim. Studenci i ich opiekunowie zajadali się lokalnymi przysmakami, popijali herbatę i słuchali głosu potęgi, który właśnie się im objawił. Jedyne łysy brodacze ze złością krzywił usta i drapieźnie mrużył oczy.

Było jasne, że Simone złapał wiatr w żagle i wieczór będzie długi. Nie miałem szans na wydebienie od niego coli, poszedłem więc do kuchni. Żona Mingmy życzliwie się uśmiechnęła i poczęstowała mnie herbatą. Panowała tu niemająca przez rozwydrzonych gości atmosfera spokoju i wyluzowania. Przysiadłem na dłużej. W łamanym angielskim opowiadałem, jak nasz kucharz ogrywał wszystkich w karty w bazie pod Everestem. Okazało się, że Tsakat Limbu był dobrym znajomym gospodarzy.

- Przekaż mu pozdrowienia - poprosiła córka Mingmy.

- Jasne - zapewniłem. Ech, gdybym miał tyle szczęścia w życiu, co ten łotrzyk. - Po wyprawie na pewno będzie miał prezenty dla przyjaciół - dodałem z uśmiechem.

Czas było wracać do pokoju; owinąć się w śpiwór i zanurzyć w objęciach Morfeusza. Przed powrotem do bazy należało się porządnie wyspać.

Najwyraźniej Simone miał rację, kiedy twierdził, że nad Deboche unosi się duch Bukriejewa. Ledwie zdążyłem przysnąć, gdy pod oknem rozległy się krzyki i śpiewy. Wyglądało na to, że na podwórzu odbywała się popijawa, naruszająca nie tylko ciszę nocną gości Ama Dablam Garden Lodge, lecz także spokój mnichów z klasztoru Tengboche znajdującego się dwa kilometry dalej.

Przez pewien czas kręciłem się na łóżku, zły i rozbudzony. Wreszcie nie wytrzymałem. Otworzyłem okno, żeby zobaczyć, co tam się wyprawia. Przy ganku, wprost pod oknem naszego pokoju, dwóch amerykańskich studentów wraz ze sporą grupą tragarzy popijało whisky przy plastikowym stoliku. Wyglądało na to, że świętowali pomyślne zakończenie wyprawy.

- Chłopaki! - zawołałem nieśmiało. - Możecie odrobinę ciszej?

- Że co? Jak tam?! - rozdarli się w odpowiedzi.

- Nie mogę spać. Uspokójcie się - poprosiłem grzecznie. - Już północ, a przede mną ciężki dzień.

- Wszystko gra! - Zarechotali. - Śpij!

Westchnąłem, zamknąłem okno, ponownie owinąłem się w śpiwór. Naprawdę próbowałem zasnąć. Ale impreza się rozkręcała. Dzikie wrzaski bez trudu przenikały do pokoju. Ktoś włączył magnetofon. Wył na cały regulator, a towarzystwo do taktu waliło w stół pięściami. A może łbami? Wszystko wskazywało na to, że nie prześpię tej nocy.

Tymczasem rano czekała mnie długa droga do bazy. „O nie – pomyślałem – nie mam zamiaru wysłuchiwać tych pijackich porykiwań do rana”. Wzdrygnąłem się. Znow otworzyłem okno.

- Nie dajecie zasnąć normalnym ludziom, tym, którzy mają obowiązki i muszą się wyspać. - Próbowałem przemówić im do rozsądku. Nawet na mnie nie spojrzeli. - Dość tego! - huknąłem, dodając przy tym kilka dobrze znanych przekleństw w języku rosyjskim.

Dopiero wtedy zareagowali. Zaczęli gwizdać, pokazywać brzydkie gesty i wrzeszczeć, co sądzą o mojej urodzie, inteligencji i poziomie rozwoju. Ktoś rzucił w moją stronę plastikową butelką; omal nie dostałem nią w twarz. Towarzystwo było nabuzowane do granic możliwości.

- Zamknij japę, palancie! - zawył jeden z nich.

Usiadłem na łóżku zdezorientowany. Nie zasłużyłem na takie traktowanie. Nikt nie ma prawa obrażać chorążego armii kazachstańskiej! I nikomu nie ujdzie to płazem! Wskoczyłem w spodnie, naciągnąłem na tors podkoszulek i zbiegłem do tego pijackiego bractwa. Trzeba było wytłumaczyć dzieciakom, że ich świętowanie oraz traktowanie innych gości wykraczają poza granice przyzwoitości.

Otworzyłem drzwi wejściowe i stanąłem naprzeciw gawiedzi. Jeden z pijanych, potężny i bezczelny Nepalczyk, szedł w moją stronę. Jego szeroki tors zagroził mi drogę, odciął szansę powrotu zarówno do bezkonfliktowej przeszłości, jak i spokojnej przyszłości. Stała przede mną smutna i nieunikniona realność.

- Przepraszam - odkaszlnąłem i położyłem dłoń na klatce gościa, który z wyglądu przypominał koszykarza - który to pokazał mi środkowy palec?

- No, ja - wycharczał olbrzym. Wyprostował ramiona, jakby pytał, czy mam z tym problem.

Wpadłem jak śliwka w kompot. Nie było odwrotu. Westchnąłem, nie wiedząc, co począć.

Moją nieuwagę wykorzystały trzy lub cztery małpoludy, które rzuciły się nagle na mnie od dołu. Złapały moją koszulkę, chwyciły za nadgarstki i ściągnęły mnie z ganku. Dostrzegłem wykrzywione twarze. Udało mi się złapać faceta stojącego przede mną i z całej siły go popchnąć. Wydał dziki okrzyk, próbując zachować równowagę, a potem spadł ze schodów. Upadłem na niego. Na mnie zaś zważyło się kilku pijaków, kopiąc gdzie popadnie. Otrzymałem kilka bolesnych ciosów.

Leżałem rozplaszczony na kamieniach, a w mojej głowie tłukła się jedna myśl: „Poszedłem na Everest, twoja mać!”. Bo też wychodziło na to, że ze mną koniec. Nie miałem jednak zamiaru tak po prostu się poddać. Zacisnąłem zęby, zrzuciłem jakieś ciało z ramion i uklęknąłem. Ktoś próbował mnie dusić, dwóch innych wykręcało mi ręce. Czas zwolnił, i to przerażało.

Nadludzkim wysiłkiem udało mi się dźwignąć na nogi. Zrobiwszy krok, pomogłem komuś uwieszonemu na moich plecach wykręcić mi rękę, a potem łup! - walnąłem go w splot słoneczny. Biedaczysko stracił oddech. Teraz dałem w japę kolejnemu pijakowi. Upadł z łomotem strąconego kręgla. Dwóch miłośników sumo obłapiło moją talię i próbowało rzucić na ziemię. Jacyś Nepalczycy walili mnie czymś po głowie. Horror! Wycie, krzyki, jęki. Po niebie krążyły gwiazdy, uderzenia wzniecały w moim mózgu snopy białych iskier. Nie czułem jednak bólu.

Ogarnęła mnie wściekłość. Nie zasłużyłem na takie traktowanie. Walnąłem jednego z amatorów sumo w plecy, aż rozległ się chrzęst; kolejnemu wymierzyłem twardy cios

w nochal, niemal przebijając mu czaszkę. Przystąpiłem jakiegoś leżące ciało i znalazłem się w kącie letniego tarasu. Kilka silnych ciosów w tył głowy spowodowało, że osunąłem się na kolana. To koniec! Wyrzuciłem ręce do przodu i dotknąłem kamiennego ogrodzenia. Żegnaj, młodości.

I wtedy moja ręka trafiła na rękonożec ciężkiej mosiężnej patelni. Ha! Zrobiłem błyskawiczny zwrot i walnąłem kogoś prosto w łeb. Biedak zamiauczał niczym kot; zniknął, upadł gdzieś w ciemność. Tak, byłem Dobrynią Nikiticzem, legendarnym ruskim wojem! Obróciłem się w drugą stronę i zacząłem rozdawać ciosy. Patelnia była moim mieczem. Skąd się tu wzięła? Musiał mi ją zesać Bóg.

Rozpoczęła się rozstrzygające dla wojny starcie na Kulikowym Polu. Ci bandyci myśleli, że łatwo im pójdzie. „Chamy!” - mógłbym zawołać jak Kisa Worobjaninow, niezapomniany bohater powieści *Dwanaście krzesel*^[**]. Jedyne, czego się bałem, to, że w tej bitwie ktoś zechce dźgnąć mnie nożem. Kiedy więc tłum rozstał się przed patelnią, pomyślałem, że wystarczy już tego bohaterstwa. Korzystając z chwilowego zamieszania po stronie przeciwnika, z okrzykiem na ustach: „Pozabijam was, sukinsyny!”, wbiegłem na ganek. Któryś z leżących próbował mnie jeszcze chwycić za nogę, ale uderzenie patelnią wybiło mu z głowy wszystkie pomysły. Mając za plecami drzwi, stanąłem w bojowej pozycji. „Śmierć gadom!” - zawołałem w myśli. Głośno zaś ryknąłem:

- *Come on!* No dalej, kanalie!

Nagle drzwi za moimi plecami otworzyły się i delikatne kobiece dłonie wciągnęły mnie do środka. Mingma, patrząc na mnie oczyma pełnymi przerażenia, zaciągnął zasuwkę. Jego żona oraz córka pochlipowały. To one pociągnęły mnie do środka. Z drugiej strony drzwi dochodziły głucho uderzenia. Potem nastąpiła cisza.

Ledwie łapałem rżący oddech. Żyłem, i to było najważniejsze.

- Jeśli ktokolwiek tu wejdzie, zamorduję go - zapewniłem wszystkich, potrząsając patelnią.

Kiwnęli tylko głowami, zbyt przerażeni, by wydusić z siebie jakiegokolwiek słowa.

Wszedłem na górę i jak wryty stanąłem w drzwiach naszego pokoju. Moim oczom ukazał się niezwykle widok. Linda trzymała za nogi Simone, który nieomal cały tkwił za oknem. Dziewczyna miała na sobie jedynie cieniutki prześwitujący peniuar. Trudno było nie docenić jej anielskiej urody, nawet jeśli miało się skołowaną głowę.

- *Finito la komedia, amico!* - krzyknąłem.

Zabrzmiało to tak nieoczekiwanie, że Linda podskoczyła z piskiem. Obróciła się w moją stronę i podniosła rękę, jakby ujrzała widmo. Tym samym puściła Simone, który coś gulgocząc, zaczął osuwać się na zewnątrz. Liczyły się sekundy. Gwałtownie doskoczyłem do okna i dosłownie w ostatniej chwili chwyciłem kumpla za piętę. Wykonawszy jakiegoś niesamowitego wykrętasa, Simone znów znalazł się w pokoju.

- Żywy! Żywy! - Uściskał mnie, cały się trzęsąc. - Coś sobie złamałeś?

- Nie! Wszystko w porządku!

- A to co? - zapytał, kiedy potknął się o patelnię.

- Zwycięska broń. - Zrobiło mi się weselej na duszy. - Wszystko w porządku!

- Krwawisz? Trzeba cię opatrzyć?

- Nie ma krwi, Simone. Jestem cały. A gdzie twoje ubranie? - zapytałem.

Dopiero teraz mój przyjaciel uświadomił sobie, że jest zupełnie nagi. Cicho syknął i odruchowo opuścił dłonie, przykrywając przyrodzenie. Z zaskoczenia nawet przysiadł, wytrzeszczając oczy.

Z dworu dobiegały niezrozumiałe jęki i przekleństwa. Ktoś zawodził. Widząc, że jestem cały i mam się całkiem nieźle, zawstydzony Simone coś szepnął do Lindy. Ta gwałtownie się zaczerwieniła, zauważyłem to nawet w półmroku, i spuściła wzrok.

- Dobra, idźcie sobie - poradziłem im. - Muszę się położyć.

Roześmiani, wzięli się za ręce i odfrunęli do swoich spraw. Zamknąłem drzwi na zasuwkę, zostawiłem przy nich patelnię, padłem na łóżko i natychmiast zasnąłem.

Obudziło mnie pukanie. Przez chwilę nie docierało do mnie, gdzie jestem. Zanotowałem natomiast, że było już jasno. Ktoś się do mnie dobijał.

- Denis! Denis! - Cichy głos nawoływał zza drzwi.

- To ty, Simone?

- Ja, otwórz!

Podniosłem patelnię i ostrożnie uchylilem drzwi. Simone był sam. Błyskawicznie wskoczył do pokoju i zasunął zasuwkę.

Z korytarza dolatywały przekleństwa.

- Któż to się piekli? - zapytałem.

- Wiadomo, profesor nadzwyczajny! - Nieco histerycznie zaśmiał się Simone.

- Nie może spać?

- Przyszedł obudzić Lindę. Zapukał do jej drzwi i zawołał lubieżnie: „Lindo! Lindo!”.

- I co ty na to? - Zmrużyłem oczy.

- Co miałem robić: wyszedłem, powiedziałem: „Cześć!”, i przybiegłem do ciebie.

- A co ja mam do tego? - Byłem nieco przerażony.

- Przyjaciele powinni sobie pomagać.

Przed oczami stanął mi wkurzony amerykański wykładowca i jego wzrok, gdy zobaczył Simone wychodzącego z pokoju jego współpracownicy.

- Dobrze, że zdążyłeś się ubrać, zanim spotkałeś tego profesorka - powiedziałem kwaśno. - Inaczej skompromitowałbyś swoją przyjaciółkę.

- W kupie siła. Zamordowałeś kogoś w nocy?

Za ścianą słychać było ciężkie kroki i przytłumiony charczący oddech wiekowego brontozaura, czy też wykładowcy uniwersytetu amerykańskiego. Skurczyliśmy się. Z napięciem nasłuchiwalismy, co dzieje się za cienką drewnianą przegrodą. Byliśmy gotowi na wszystko. Dłoń zaciśnięta na uchwycie patelni spociała się od napięcia. Potwór minął nasze drzwi, zatrzymał się na chwilę przy schodach i ruszył w dół. Niebezpieczeństwo minęło. Simone westchnął, ja natomiast lekko się uśmiechnąłem.

Był poranek. Za oknami rozlewało się szare mgliste światło. Wyszedszy na dwór, z ciekawością spojrzałem na pole bitwy. Połamany plastikowy stolik pozbawiony nóżek - to nimi, niczym kijami, Nepalczycy tłukli mnie w głowę. Uderzali tak mocno, że plastik się kruszył. Strzępy ubrań, kilka par stłuczonych okularów. Na wprost ganku, na kamieniach widniała złowieszcza plama krwi. Na płocie też. Obejrzawszy z przerażeniem te dekoracje, poszedłem do toalety na skraju urwiska. Po drodze spotkałem dwóch Nepalczyków. Wybałuszyli na mnie oczy, zrobili w tył zwrot i skryli się w swoim namiocie.



Ruszam na podbój Everestu!

Piękno dnia było nagrodą za wszelkie lęki i zmartwienia. Strzępy mgły rozwiewały się nad doliną i odsłaniały błękit nieba. Pachniało świeżością, śpiew ptaków zwiastował radość. Zza pełnej gracji Ama Dablam wyływało słońce. Cienie nocy ukrywały się pod rododendronami. Kwiaty łapały pierwsze ciepłe promienie, ożywały. Koraliki rosy przypominały małe lustreczka odbijające światło. Tu i tam było widać niebieskie wianuszki pierwiosnków. Dusza napełniała się radością: ruszałem na podbój Everestu.

- Nasza grupa ma podobno nowego przewodnika - oznajmiła Linda przy śniadaniu.
- Co się stało z poprzednikiem? - zapytałem.
- No... W nocy zanieśli go na noszach do klasztoru.

Zakrztusiłem się, długo kaszlałem i miałem łzy w oczach. Simone klepał mnie po plecach. Przy sąsiednim stole siedziała grupa studentów i rzucała nam wrogie spojrzenia. Ze szczególną nienawiścią gapił się na nas potężny łysy brodac. A może mi się tylko zdawało?

Tragarze tłoczyli się przy recepcji, Mingma z naganą w głosie o czymś rozprawił i liczył na kalkulatorze. Podszedłem do nich. Wszyscy, jak na komendę, się odsunęli.

- Przepraszam - zwróciłem się do Mingmy. - Jest taka sprawa... widziałem...

- Dzień dobry, *monsignore*! Jakież problemy?

- Sporo rzeczy się wczoraj zniszczyło. - Pociągnąłem nosem. Potem swoim kiepskim angielskim zacząłem się usprawiedliwiać: - Żli ludzie napadli mnie w nocy. Wziąłem patelnię, ale jest cała.

- Patelnia jest cała? - Na szczupłej twarzy gospodarza pojawił się wyraz zadowolenia. - Jeśli patelnia jest cała, to nie ma problemu! *No problem!*

Odetchnąłem z ulgą.

Kwadrans później, gdy wraz z Simone opuszczaliśmy hotelik, na ganku żegnały nas trzy kobiety. Dwie Szerpanki machały ręką i powtarzały:

- Dobrej drogi! Do widzenia! Mamy nadzieję, że wam się podobało!

Amerykańska studentka trzymała w dłoniach nieprzeczytaną do końca książkę i mrużyła oczy w słońcu. Przywoływała zapewne miłe wspomnienia.

[*] W Polsce Dzień Zwycięstwa jest obchodzony 8 maja.

[**] Eugeniusz Pietrow, Ilja Ilf, *Dwanaście krzesel* - powieść satyryczna z 1928 roku wyśmiewająca paradoksy

porewolucyjnej Rosji, władzę radziecką i biurokrację.



W pobliżu mostu poprosiłem Simone, żeby na mnie zaczekał. Zrzuciłem plecak i wdrapałem się na zbocze. Chciałem nazrywać rododendronowych kwiatów.

- Co ty robisz?! - zawołał zdumiony przyjaciel.
- Obiecałem. Nepalkom.
- Komu obiecałeś?
- Kobiecej ekipie. No, dziewczynom.
- A! Rozumiem. - Mój kumpel pokiwał głową. I dorzucił po rosyjsku: - *Nie tonkij ty czietowiek.*

Simone poznał podczas swoich wypraw kilku Rosjan i nauczył się od nich różnych powiedzonek. Nie zawsze do końca rozumiał sens tych wyrażen, tak naprawdę wstawiał je gdzie popadnie. Święcie wierzył, że nastrój jest ważniejszy od znaczenia wypowiedzanych słów. Oznajmił właśnie, że jestem gruboskórny, ale przecież nie miał tego na myśli, no i - co trzeba było decenić - powiedział to po rosyjsku!

Do ulubionych powiedzonek Simone należało również: „Mam brata lub siostrę”. Radziłem mu, żeby wreszcie na kogoś się zdecydował, bo jedno lub drugie któregoś dnia da mu popalić. W rzeczywistości Włoch miał dwóch braci - Matteo i Marcello. Jeden mądrzejszy od drugiego, jak na prawdziwych Lombardczyków przystało. Pewnie nawet nieustraszony, walczący z sycylijską mafią inspektor Cattani z serialu „Ośmiornica” wolałyby ich nie niepokoić.

Urwałem kilka rododendronowych gałązek z purpurowymi kwiatami i ostrożnie schowałem je do plecaka. Ruszyliśmy

dalej. Wraz ze zdobywaniem wysokości robiło się coraz zimniej i wietrzniej. Everest tonął w chmurach. Mieliśmy przed sobą cały dzień wędrówki do bazy. Lub tylko dzień, zależy jak spojrzeć. Pokonywałem tę drogę już po raz piąty. Ten sam zakurzony szlak i niemal tak samo wyglądający trekkerzy, Szerpowie, jaki.

Do obozu dotarliśmy późnym wieczorem. Ledwie starczyło nam sił na przywitania. Pogratulowaliśmy Piotrowi Pustelnikowi wejścia na Lhotse, przekazaliśmy Tsakatowi pozdrowienia od gospodarzy Ama Dablam Garden Lodge i zaszyliśmy się w swoich namiotach. Mieliśmy w nogach półtorakilometrowe przewyższenie, zasłużyliśmy na odpoczynek. Rano czuliśmy się świetnie. Byliśmy gotowi do kolejnej akcji. Czekala nas trudna, ale interesująca himalaistyczna układanka, złożenie wszystkich elementów w całość.

Tymczasem inne ekipy już kończyły układać wspinaczkowe puzzle. Od kilku dni trwało nasilone szturmowanie Everestu. Jak dotąd, choć podjęto sześć prób, wydawało się, że nikt nie dał rady wdrapać się powyżej 8500 metrów. Kucharz Hiszpanów twierdził, że dwie osoby z jego ekipy schodzą właśnie z Balkonu. Te, które spotkaliśmy kilka dni wcześniej, gdy parły do góry. Balkon okazał się przeszkodą trudną do pokonania. „Pożyjemy, zobaczymy” - pomyślałem. Następni w kolejce - Peter Habeler i Christine Boskoff - podobno mieli właśnie wyruszać na szczyt z Przełęczy Południowej.



Simone przygotowujący się do szturmu

Obserwacja życia w bazie skłaniała do różnych przemyśleń. Z jednej strony Habeler, z drugiej... Wyglądało na to, że większość osób zgromadzonych na morenie lodowca Khumbu grała w grę, którą sam na własny użytek nazwałem Byłem na Ośmiu Tysiącach. Korzystali z tlenu, by potem podekscytowanymi głosami wykrzykiwać jeden przez drugiego: „*Wow! Just yesterday I was on the 8000 meters! Wow!* Zaliczyłem osiem tysięcy!”. Wszyscy dookoła klaskali: „Wow!”, a kiedy przychodziła ich kolej, szli w stronę szczytu i też korzystali z tlenu.

Oczywiście wspinaczka to wolność, robimy to dla własnej satysfakcji. Ale też uznania. Dla wielu ludzi wejście na osiem tysięcy z tlenem to duże dokonanie. Zrozumiałe, że bardzo się z tego cieszą i czerpią przyjemność z tego, że dokonali – ich zdaniem – czegoś wielkiego. Też biję im brawo i wołam z uznaniem: „Wspaniale!”. Nie zamierzam się jednak oszukiwać. Korzystanie z dodatkowego tlenu obniża wysokość i trudność zdobywanej góry. Z ośmiotysięcznika robi się tak naprawdę sześciotysięcznik. A biorąc pod uwagę, że himalajska wspinaczka jest łatwiejsza niż na Alasce lub w Tien-szanie, należałoby uznać, że z tlenem zdobywa się tu odpowiedniki tienszańskich pięciotysięczników.

Simone odwiedzał znajomych i słuchał bazowych niusów, ja natomiast kompletowałem ekwipunek na atak szczytowy. Gaz, żywność, odpowiednie ubrania. Siedziałem w mesie i rozważałem, jak zimno będzie powyżej Przełęczy Południowej, kiedy do namiotu zajrzał Piotr. Towarzyszyła mu dziennikarka jednej z polskich gazet. W poszukiwaniu bohaterów Rzeczypospolitej znalazła się aż pod Everestem.

- Siedzisz sobie – zagaił Piotr.
- Ano siedzę.
- A gdzie Simone?

- Poszedł na zwiady. - Nie mogłem się przy tym nie uśmiechnąć.

- W czym będziesz zdobywał szczyt? - Piotr usadowił się naprzeciw mnie. - Co założysz?

- Z tym właśnie mam problem - westchnąłem. - Większość moich ciepłych ubrań wyniosłem do trójki. A tam przysypała je lawina.

Przypomniałem sobie próby odkopania depozytu w obozie trzecim. Pod śniegiem zostało sporo ważnego, potrzebnego sprzętu.

Piotr wyciągnął zza pleców reklamówkę.

- Bierz! - Roześmiał się. - Wracam do domu i kombinezon nie będzie mi już potrzebny, a tobie się przyda.

Zaskoczony uniosłem się na krześle. Ręce same wyciągnęły się w stronę torby, ale udało mi się je powstrzymać.

- Bierz, bierz. To prezent od kierownika ekipy!

- Dziękuję, Piotrze. Co za niespodzianka - powiedziałem szczerze uradowany. - Naprawdę nie widziałem, w co się ubrać podczas ataku szczytowego.

- A widzisz! Byłem pewien, że się przyda.

- Samurajowie lubią takie kolory! - Zaśmiałem się, patrząc na bordowy kombinezon z czarnymi wstawkami. Piotr był mniej więcej tej samej wysokości i postury co ja, z rozmiarem nie było więc kłopotu.

- A co to za akumulator? - Wtrąciła się do rozmowy polska dziennikarka.

- Bateria do kamery - wyjaśniłem.

- Nie było zwykłych? - zakpił Piotr. - No, niestety z bateriami cię nie poratuję.

Czarny akumulator przypominał rozmiarami cegłę. Tego typu urządzeń używało się do skuterów o minimalnej mocy silnika lub do lekkich wiertarek; nikt nie dźwigał czegoś takiego na Everest. Niestety ładowarki od kamery zostały pogrzebane w trójce. Pogodziłem się już z ich stratą. W zamian trochę pogłównkowałem i podłączyłem czarną cegłę do swojego urządzenia. Akumulator ważył półtora kilograma, trzy razy więcej od kamery.

Simone wciąż nie wracał, wziąłem więc kwiaty i poszedłem do obozu nepalskiej wyprawy kobiecej. Kamienie ogrzane słońcem oddawały ciepło, było wiosennie i nastrojowo.

- Patrzcie, kto przyszedł! Nasz bohater z kwiatami! - zawołała wesoło Lakpa.

Siedziała w promieniach słońca obok chłopców wspomagających jej ekipę. Ujrawszy mnie z kwiatami, panowie zaczęli się śmiać i komentować sytuację po nepalsku. Niewiele z tego zrozumiałem, widziałem jednak, że dziewczynie było miło.

Zwabiona śmiechami na progu mesy stanęła Zita.

- O! Cześć! - zawołała. A ujrawszy bukiet rododendronów, zdumiona zapytała: - A to z jakiej okazji?

- Przecież obiecałem. - Szeroko się uśmiechałem.

- Ale kiedy zdążyłeś je zerwać?

- Odpoczywaliśmy z Simone w dolinie. Byliśmy w Deboche.

Z namiotów wyrzały kolejne dwie dziewczyny. Wręczyłem każdej po gałązce. Ech, nie gnałem tych czterdziestu kilometrów nadaremno - dziewczyny z kwiatami wyglądały wspaniale. One się radowały, Szerpowie natomiast gadali jeden przez drugiego:

- Uważaj, ona jest mężatką!
- Jemu się Zita podoba. Zita na razie jest wolna.
- Jak to wolna? A ja?
- Nie przyniosłeś jej kwiatków. I od dawna nie przeglądałaś się w lustrze.

Nie rozumiałem tutejszej kultury, nie znałem nepalskich obyczajów. Trochę się więc bałem, że ta wesołość może przerodzić się w konflikt przypominający ten w Deboche. Kto wie, co siedziało w głowie tajemniczych wyznawców tybetańskiego buddyzmu? Podarowałem dziewczynom kwiaty, chłopcy mojego towarzystwa nie potrzebowali. Zacząłem się żegnać.

- Jeszcze kijki. Dałem je w obozie drugim - przypomniałem.

- Aaa! Handel wymienny. - Lakpa się roześmiała. - Akceptujemy. Zaraz przyniosę.

Poszła do jednego z namiotów. Po chwili wróciła z kijami w dłoni.

- Dziękujemy, bardzo nam pomogłeś - powiedziała, a potem dała mi całusa w brodę.

Szerpowie omal nie popękali ze śmiechu, ja natomiast zaczerwieniłem się jak prawiczek. „Everest - przywołałem sam siebie do porządku - najważniejsze jest wejście na Everest. Potrzebujesz spokoju”.

Etruskowie nazywani byli mistrzami. Od nich uczyli się inni mistrzowie - Rzymianie. Ach, te prawa sukcesji! Nic i nigdy nie przychodzi znikąd, choć władza zawsze gorliwie przekonuje nas o czymś innym. Świadczy to wyłącznie o kretynizmie władzy i kryzysie w społeczeństwie. To jak wymyślanie bajeczki podnoszącej samoocenę tego czy innego narodu, aż do

granic panowania nad resztą świata. Fascynująco proste: nie trzeba myśleć, należy tylko wierzyć. Jesteś wybrańcem, jesteś najlepszy, moralność i odpowiedzialność nie powinny cię krępować. Dopóki opowiadamy sobie takie bajki, władza lub, co gorsza, obcy ludzie mogą nas wykorzystywać. Mogą nami sterować, mogą rabować. Mówiąc krótko: mogą wszystko!

Dywagacje o tym, w jaki sposób powstała Ruś Kijowska wywołują podejrzenia i smutek. Nie próbujemy opowiadać, co było wcześniej, jak mieszały się kultury Rosji i Ukrainy, Estonii i Łotwy. Bo wtedy trzeba by włączyć myślenie. Wbrew temu, o czym przekonują współczesne podręczniki, kultury nigdy nie były jednorodne i samowystarczalne. Ludzie wtłaczają sobie do głowy myśli o przewadze nad innymi narodami, o swojej niepowtarzalności, czystości rasy. Zaczynają wierzyć, że mają prawo do dominacji nad innymi, do sądzenia, karania i okazywania litości. W naszych czasach coś podobnego dzieje się z historią Kazachstanu. Nagle ni stąd, ni zowąd mamy prawo do wielu różnych rzeczy. Tak było też z republiką rzymską. Dopóki rządzący uznawali prawo ciągłości tradycji, to, że cywilizacja rzymska jest zakorzeniona w cywilizacji etruskiej, wszystko się opierało na solidnych podstawach.

Etruskowie zasiedlali tereny dzisiejszej Toskanii i częściowo Umbrii. Plemiona italskie, w tym Latynowie żyjący w regionie ujścia Tybru i Gór Albańskich, nazywali mieszkańców Etrurii - Etruskami, oni sami określali siebie jako Rasenna. Szczyt rozkwitu etruskiej kultury przypada na VI i V wiek przed naszą erą, upadek - na II wiek przed naszą erą. Etruskowie nie mieli władz centralnych, tworzyli związek miast. Do najważniejszych ich ośrodków należały Clevsin

(obecnie Chiusi), Tarquinia, Veio, Velathri (obecnie Volterra) i Perugia (obecnie Perugia). W 505 roku przed naszą erą Rzymianie wypędzili tyrana Tarkwiniusza Pysznego i ogłosili powstanie republiki. Rzym stał się antagonistą Etrurii w tej samej sferze wpływów. Rzymianie stworzyli silne państwo i zaczęli stopniowo podbijać etruskie miasta-państwa. W 89 roku przed naszą erą wszystkim etruskim rodzinom nadano rzymskie obywatelstwo. Rok później ostatnie niepodległe miasto - Sulla - złożyło przysięgę na wierność republice. Etruria przestała istnieć.

Cywilizacje i narody nie biorą się znikąd. Rzymianie byli spadkobiercami kultury etruskiej. To od Etrusków nauczyli się kowalstwa, odlewania w brązie i żelazie, przejęli style architektury, system użyźniania, wprowadzili walki gladiatorów. Czcili też tych samych bogów. Do czasów współczesnych po niegdyś wielkiej etruskiej kulturze pozostały tylko nieliczne pamiątki, między innymi freski na ścianach grobowców oraz fragmenty ceramiki. Mimo to Etruskowie pozostali częścią wszystkiego, co istnieje.



Pod koniec maja 2000 roku u podnóża Everestu powstało coś, co można nazwać zarysem końcowej rozgrywki partii szachów. Dobiegły kresu przetasowania, gońce i skoczki zostały rozstawione na szachownicy góry tak, by zapewnić wsparcie i bezpieczeństwo królowym i królom zmierzającym na szczyt. My sami, ja wraz z Simone, byliśmy pionkami wychodzącymi na ostatnią prostą. W odpowiednim czasie mieliśmy się znaleźć na skrajnej linii poziomej. Na niebiańskim progu, z którego nie da się już zrobić kroku wyżej.

Nawet ja, bez doświadczenia w zdobywaniu ośmiotysięczników, rozumiałem, że kolejne wyjście z bazy może być ostatnim. Zbliżała się pora monsunu. Wieczorami w dolinach coraz częściej się błyskało, czasem dochodziły do nas głuchoe odgłosy grzmotów. Każde dojście na osiem tysięcy metrów, wliczając w to również czas resetu w bazie i przeczekiwania kiepskiej pogody w obozach, zajmowało około dziesięciu dni. Mogliśmy mieć tylko jedną szansę. Jedną próbę trawersu Everest - Lhotse. Potem miało nadejść lato: najwyższe szczyty świata zostaną pokryte śnieżnym całunem. Himalaje zanurzą się w otchłań zmrożonej wilgoci, dotarcie na szczyt będzie poza ludzkimi możliwościami.

Czułem się nad wyraz spokojnie, pogodzony z rzeczywistością. Można powiedzieć, że był to rodzaj fatalizmu, wiary w przeznaczenie. Poranek 20 maja przywitaliśmy wraz z Simone na lodospadzie. W jego wyglądzie zaszły duże zmiany. Większość śnieżnych mostów zawałiła się, szczeliny ziały bezdenną pustką, emanowały

jakaś żywiołową siłą. Lód pękał, skrzypiał, pojękiwał. Głucho stękał. Jakby nie mógł się już doczekać monsunu.

Droga do drugiego obozu zajęła nam cztery godziny. Dłużej niż miesiąc wcześniej, kiedy jeszcze nie mieliśmy dobrej aklimatyzacji i wszystko było nowe. W Kotle Zachodnim słońce niemiłosiernie grzało, a my wlekliśmy się noga za nogą. Noc postanowiliśmy spędzić w dwójce. Przed nami było pół dnia nicnierobienia.

- Den, idę się przejść. - Simone ziewnął.

- Dokąd? - zapytałem.

- Do innych obozów. Wypiję herbatę u jednych, przekąszę u drugich. Do wieczora jakoś zleci.

- Idź, idź. - Uśmiechnąłem się pod nosem. - Tylko uważaj, żebyś nie zgubił drogi powrotnej.

Godzinę później zaczął padać śnieg. Leżałem w śpiworze i przez otwartą płachtę obserwowałem wirujące płatki. Przechodzący obok Szerpa chciał wiedzieć, czy to prawda, że wyruszamy w dalszą drogę o trzeciej nad ranem. Słyszał, jak Simone mówił o tym w namiocie Byrona Smitha. Kiedy potwierdziłem, pobiegł zanieść nowinę innym tragarzom. Nad ranem szlak będzie przetarty, szalony Kazach i szalony Włoch wykonają całą niezbędną pracę w świeżym śniegu. Dumiałem nad tym, że byłoby wspaniale, gdyby wszystko na świecie było równie proste. Zgodne z zasadą: kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Wkrótce przyszedł Simone. Był najedzony i opity, umiał nawiązywać przyjaźnie.

- Ale paskudna pogoda - mruknął i wlaź do śpiwora. - Jakby nie można było jej przewidzieć.

- Chciałbym się znaleźć w cieple - wymamrotałem w odpowiedzi. Skuliłem się z zimna.

- Jak wrócę do domu, pojedę do Grecji. Skały wystają tam z wody. Można do nich podpłynąć i się wspinać. Wieczorami w barach tańczą Greczynki. - Rozmarzony Simone przymknął oczy.

- Ech, Morze Śródziemne. - Westchnąłem z zazdrością. - Mnie pozostaje Kapszagaj. Tam dziewczyny w bikini grają w siatkówkę. Są takie zgrabne.



Księżyc nad granią Lhotse

Leżeliśmy i marzyliśmy. Niebo nad Everestem trochę się rozjaśniło, śnieg przestał sypać. Zwarta czapa chmur to tu, to tam popękała, ukazując w prześwitach purpurowe niebo. Przebijało się słońce i kłuło lodowiec żółtymi promieniami. Uchyliliśmy wejście, by móc podziwiać naturę. Widok był zarazem piękny i przerażający.

- Simone, widzisz? - Z niepokojem uniosłem głowę. - Zdaje się, że ktoś się źle czuje.

Nasz namiot znajdował się wyżej niż pozostałe. Stał w miejscu, gdzie morena się zwęzała i przytulała do południowo-zachodniej ściany Everestu. Dalej trasa wejścia prowadziła w kierunku Lhotse i szczeliny brzeżnej. Już od półgodziny schodził stamtąd jakiś wspinacz. Nie zwróciłbym na niego uwagi, gdyby jego ruchy były bardziej skoordynowane. Kiedy znalazł się w odległości pięćdziesięciu metrów od naszego namiotu, zachwiał się i przyklęknął. Wtedy go rozpoznałem. Dojczin Wasiliew, Bułgar z naszej ekipy.

- On zaraz umrze! - zawołałem i wyskoczyłem ze śpiwora.

Błyskawicznie wciągnęliśmy buty i podbiegliśmy do naszego kolegi. Charczał i bulgotał. Nie mógł się wykaszleć, z jego ust wydobywała się jakaś ropna wydzielina. Odpływał. Ostrożnie go podnieśliśmy i podtrzymując z obu stron, doprowadziliśmy do namiotu.

- Zaraz się rozgrzejesz! - Próbowałem dodać Dojczinowi otuchy. - Byłeś na Lhotse?

- Nie - wycharczał. - Zrobiło mi się niedobrze... w czwórce... Gonzalez poszedł.

- Gdzie jest teraz? - Chciał wiedzieć Simone.

- Nie wieee... - Szkliste oczy Bułgara nagle się zapadły, ciałem zaczęły wstrząsać drgawki.

- Simone, tlen! Biegnij do Rosjan!

Włoch wyskoczył na zewnątrz i pognął do namiotów wyprawy rosyjsko-gruzińskiej. Wiedzieliśmy, że mają butle z tlenem. Mieliśmy dużo szczęścia, akurat nocował tam Jewgienij Winogradzki. Był nie tylko jednym z najlepszych rosyjskich alpinistów, lecz również lekarzem, pracował w szpitalu. Zaaplikował Dojczinowi tlen oraz zrobił zastrzyk

z jakiegoś skutecznego paskudztwa. Półtorej godziny później Bułgar oddychał ciężko, ale spokojnie. Leżał w śpiworze i powoli dochodził do siebie. Zapadł w sen. Na krótko się wybudził, nie rozumiejąc, gdzie jest i co się z nim dzieje, i znów usnął.

- Możecie chłopaki działać według planu. - Winogradzki śmiał się, kiedy zegnał nas nocą. - Rano się nim zaopiekuję. Jak go popchnę w dół, pobiegnie aż miło.

Położyliśmy się po północy. Dojczin spał kamiennym snem, cóż, że w moim śpiworze. Naciągnąłem puchowy kombinezon, który otrzymałem od Piotra, i zwinąłem się w kłębek przy wejściu do namiotu. Zasnąłem niemal natychmiast.

O trzeciej rano znów byliśmy na nogach. Z zazdrością spoglądałem na Dojczina. Przed wyjściem sprawdziliśmy jeszcze, czy butla z tlenem jest właściwie podłączona do jego maski, a potem zanurzyliśmy się w nieprzytulny mrok. Nad naszymi głowami skrzyły się gwiazdy, zimno przenikało do szpiku kości. Świat wydawał się wielki i piękny, owiany tajemniczą mgłą. „Kim jesteśmy? Co nami kieruje? Jaki jest sens naszych działań?” - tłukło się w mojej głowie. Kiedy dotarliśmy do poręczówek, myśli uleciały, wyparte przez czynności, na których trzeba się było skupić.

Sezon wspinaczkowy dobiegał końca, w obozie trzecim stał zaledwie jeden namiot. Pozostałe, jeśli wcześniej nie połamał ich wiatr lub nie pochłonął śnieg, zostały złożone i zniesione. Samotny namiot, który należał do ekipy rosyjsko-gruzińskiej, sprawiał, że miejsce nie wyglądało na całkowicie opuszczone. Simone został sporo z tyłu, postanowiłem poczekać na niego, korzystając z tego górskiego schronienia. Kiedy zanurkowałem do środka, ze zdziwieniem napotkałem wzrok jakiegoś wspinacza. Gonzalez - przytomny, ale całkowicie zubożniały.

Nagrzałem wody i wmusiłem w niego kilka kubków ciepłego płynu. Wtedy poczuł się lepiej. Okazało się, że nie zdobył Lhotse, zawrócił z wysokości około 8200 metrów, z trudem zszedł do trójki. Po godzinie dotarł do nas Simone. Szybko coś przekąsiliśmy, zostawiliśmy Portugalczykowi czekoladę i ruszyliśmy dalej. Jeszcze przed Żółtą Wstęgą dogoniło nas dwóch Szerpów. Nic dziwnego: szli na lekko, nic nie dźwigali, nie musieli też przecierać trasy od obozu drugiego. W okolicy Żebra Genewczyków zauważyłem natomiast ekipę rosyjsko-gruzińską. Wspinali się na Lhotse drogą klasyczną. Nagrałem ich; z daleka wyglądali jak małe rozrzucone kropki. Poruszali się ledwo zauważalnie. Zastanawiałem się, jak w ciągu dnia zamierzają wejść na szczyt i wrócić z niego do namiotu. To zakrawałoby na cud.



Przełęcz Południowa: Szerpowie rozstawiają namioty dla klientów
wyprawy komercyjnej

Pogoda się psuła. Koło południa od zachodu zaczęła napływać zasłona obłoków. Wiatr stawał się coraz silniejszy. Na grani szalał huragan. Kiedy znalazłam się na Przełęczy Południowej, wzmocniłem umocowanie naszego namiotu. Pośród zasypanych śniegiem starych butli z tlenem zauważyłem czekan Simone, który przez nieuwagę zostawił tu poprzednim razem. Zabrałem go i zawróciłem, by dać go Simone. Poruszanie się pod wiatr było ciężkie, ale z wiatrem niewiele łatwiejsze - porywy waliły w plecy z taką siłą, że często nie dawało się ustać na nogach. Kiedy wreszcie wleźliśmy obaj do namiotu, przez dziesięć minut siedzieliśmy jak odurzeni. Nie chciało nam się nawet gadać. Dzień okazał się ciężki, byliśmy porządnie zmęczeni. Poprzednia nieprzespana noc dawała o sobie znać z podwójną siłą.

- Jak tam? - zapytałem w końcu.

- Chyba dobrze - wydukał Simone. - Gdzie się podziela nasza aklimatyzacja?

Powolnymi ruchami sięgnąłem po menażkę, wyjąłem kartusz z gazem i podgrzewacz.

- Może za mało odpoczęliśmy - stwierdziłem.

- Kto wie. - Na twarzy Simone pojawił się nikły uśmiech. - Ale w zamian dobrze się bawiliśmy.

- W nocy idziemy na szczyt? - Bardziej stwierdziłem, niż zapytałem. Tkwienie na przełęczy, w strefie śmierci, nie miało sensu.

Każdy wiedział, że na wysokości ośmiu tysięcy metrów organizm ani nie wypoczywał, ani się nie regenerował. Dlatego zazwyczaj ci, którzy docierali na przełęcz za dnia, zbierali siły i w środku nocy wyruszali na podbój Everestu. Chodziło o to, żeby wejść na szczyt rano i zejść do namiotu

po południu, zanim zepsuje się pogoda. Druga połowa dnia była zazwyczaj wietrzna i kapryśna. Kolejnego ranka schodziło się do niższych obozów. W ten sposób czas przebywania w strefie śmierci był ograniczany do minimum.

Sami powinniśmy działać jeszcze szybciej. Naszym zamierzeniem był trawers z Everestu na Lhotse, a to oznaczało, że przyjdzie nam trochę przebywać w strefie śmierci. Wypiliśmy herbatę, zjedliśmy trochę mięsa z serem i o siódmej wieczorem położyliśmy się spać. Mieliśmy tylko jeden śpiwór, ułożyliśmy się więc plecami do siebie.

Obudziły mnie odgłosy krzątania; zwykły rozgardiasz, jak przed startem – pobrząkiwanie butli z tlenem, skrzypienie raków... Coś się działo. Słysząc było rozmowy Szerpów z klientami. Atak szczytowy? Wyjście? Usiadłem.

- Simone – potrząsałem przyjacielem – wszyscy idą.
- Która godzina?
- Północ. Wychodzimy?

Uniósł głowę i wsłuchiwał się w zawroźnienie wiatru.

- Nie. Zła pogoda. Poczekajmy. – Znow ułożył się do snu.

Nie bardzo rozumiałem, skąd taka decyzja. Wydawało się, że porywy wiatru nie są tak silne jak wieczorem. Uznałem jednak, że to kierownik wyprawy podejmuje decyzje. Zwinąłem się w kłębek.

Mój sen był płytki. Słyszałem dalekie głosy, dziwne smętne zawroźnienie. To pewnie pozostali w namiotach Szerpowie modlili się za tych, co poszli na szczyt. O wpół do piątej bładny szary cień zaczął zwiastować wschód słońca. Nie wytrzymałem i znow potrząsałem Simone.

- Słuchaj, może ruszymy?
- Która godzina?

- Czwarta trzydzieści. Wschodzi słońce.

- To za późno. Nie zdążymy.

Hm! A niech tam! Kto wie, jakie zwyczaje panują na wysokości ośmiu tysięcy metrów? Ponownie usnąłem.

Kiedy się obudziliśmy, przywitał nas piękny słoneczny dzień. Było prawie zupełnie cicho, wiatr jedynie chwilami łagodnie muskał płachtę namiotu, jakby informując, że wszystko toczy się zgodnie z planem. Słońce stało nad wschodnim zboczem przełęczy i delikatnie ogrzewało świat, który ostygł nocą. Bezkres błękitu przywodził na myśl wolność. Wyleżliśmy na zewnątrz. Trudno było nie zachwycać się otaczającym nas pięknem. Everest, a po przeciwnej stronie - Lhotse.

- Nooo - Simone się przeciągnął - jednak trzeba nam było ruszać na szczyt.

- I owszem - odparłem zirytowany.

- Den, przypomnij sobie, jacy byliśmy zmęczeni!

- I niewyspani - dodałem zgryźliwie.

- Przez pół nocy opiekowaliśmy się Bułgarem. - Simone próbował rozładować sytuację.

Nie mieliśmy nic do roboty. Świat skurczył się do niewielkiego kręgu, stanowiliśmy jego centrum. Niemal słyszałem sekundy odmierzające upływ czasu; ogromna wskazówka nieuniknioności poruszała się po tarczy zegara. Prawie dotarła do punktu, od którego wejście na Everest nie wchodziło już w grę. Nasze szanse w zastraszającym tempie spadały do zera.

Cholera!

Co robić, zdarza się. Musiałem się czymś zająć. Zebrałem lód do topienia i ułożyłem przy wejściu do namiotu; dokładnie naciągnąłem płachtę, wykorzystując kilka

walających się wokół pustych butli tlenowych; nagrzałem wody i napiłem jakiegoś otumanionego Szerpę, który błąkał się po tutejszym pustkowiu. Nie udało mi się wyjaśnić, z jakiej był ekipy, nie mówił ani słowa po angielsku. Było to o tyle dziwne, że organizatorzy wypraw wynajmowali Szerpów mogących się porozumieć ze wspinaczami z Zachodu. Wypiwszy dwa kubki wody, Szerpa burknął „Dhanyabad” i powlókł się w dół.



Odwodnienie to jeden z największych problemów w wysokogórskich warunkach

Po obiedzie postanowiliśmy pójść spać. A pod wieczór zaczęli wracać ci, którzy dotarli na szczyt. Witano ich okrzykami radości. Ależ im zazdrościłem.

- Spokojnie - odezwał się Simone, jakby czytał w moich myślach - jeszcze pokażemy, na co nas stać.

- Wejdziemy?

- No pewnie. Potem wzdłuż grani na Lhotse. Naszym zadaniem jest trawers!

Kiedy nadeszła noc, byliśmy niemal gotowi. Musieliśmy jeszcze dobrze się nawodnić. Na dużej wysokości z każdym płytkim oddechem organizm szybko traci wodę; odwodnienie to jeden z największych problemów w wysokogórskich warunkach. Krew zaczyna wtedy gęstnieć, nie płynie jak należy, tlen słabiej dociera do tkanek. Wywołuje to niedotlenienie mózgu i nadmierne wychłodzenie rąk i nóg. Człowiek traci siły, odmraża się, a potem zamarza. Brr! Zmuszałem się do tego, by nie myśleć o tak ponurych sprawach.

- Simone, woda!

- Chcę kawę, inaczej zwymiotuję. Niczego innego nie dam rady w siebie wmusić.

Podąłem mu kubek z kawą. Pił małymi łykami i przegryzał ciastkami. Sam wolałem gorącą wodę, taką, która parzy gardło. Jak niewiele czasem trzeba do szczęścia. Rozkosz może dawać zwykła woda!

Tymczasem z Simone działo się coś złego. Z jego trzewi wydobywały się dziwne dźwięki, ciałem wstrząsały drgawki. Nagle zaczął się krztusić, a potem wystawił głowę za namiot i w konwulsjach zwrócił wszystko, co wypił i zjadł.

- Hej, braciszku, zmarnowałeś tyle wody! - Byłem przerażony, ale próbowałem żartować.

Głowa Simone znów znalazła się w namiocie. Włoch był zzieleniały na twarzy, z włosami w nieładzie, przestraszony.

- Zdarza się. - Zacząłem go pocieszać. - To zaraz minie. Lepiej ci?

- Lepiej - odparł po dłuższej chwili. - Ruszajmy.

- Jesteś pewien?

- Spróbujmy.

O jedenastej w nocy wyczołgaliśmy się z namiotu, założyliśmy raki i rozpoczęliśmy wędrówkę w górę. O tej porze trasa jeszcze nie została przedeptana. Było za wcześnie. Ci, którzy tej nocy szli z przełęczy na szczyt, dopiero się szykowali. Szerpowie dzielili między siebie bagaże, ustalali, kto z kim idzie. Wieczne opady zostawiły trochę śniegu, trzeba było przecierać szlak. Co chwila z niepokojem odwracałem głowę i sprawdzałem, czy Simone nadąża. Nie chciałem zgubić go w ciemnościach. A on ledwo powłóczył nogami. Jego czołówka słabo migotała jakieś dziesięć metrów za mną. Co dwadzieścia, trzydzieści metrów przystawał. I wymiotował. Za każdym razem z trudem się prostował i ociężale ruszał dalej. Co i rusz się potykał. Próbował udawać, że daje radę. Tego, że czuł się fatalnie, nie dało się jednak ukryć.

Splunąłem i posłałem do diabła Himalaje, które niczemu nie były winne.

- Simone! - Podszedłem do niego. - Wystarczy.

- Czego? - zapytał z niepokojem.

- Zawracamy. Nigdzie nie dojdiesz w takim stanie.

- Tak uważasz? - Ciężko osunął się na śnieg. Póллеżąc, dochodził do siebie.

- Żadna góra nie jest warta śmierci. - Przywołałem dyżurne zdanie. - Do diabła z Himalajami!

Pomogłem Simone wstać i powoli ruszyliśmy w dół. Minęliśmy jakichś wspinaczy z maskami tlenowymi na

twarzach. Przypominali nurków. Ich celem był Everest, lecz w oczach nie tlił się entuzjazm. Wyglądali raczej jak skazańcy, którzy wiedzą, że przed nimi godziny wykańczającej pracy. Nie cieszyli się, my też nie. Oni jednak szli w górę, dla nas wszystko się skończyło. „Basta – pomyślałem – jutro schodzimy”.

Znów wpełzliśmy do namiotu. Nie rozebrawszy się i nie zdjawszy butów, przykryliśmy się śpiworem. Byle nieco się rozgrzać. Simone wkrótce zasnął. Z niepokojem słuchałem jego świszczącego oddechu. Chwilami zdawało się, że rżenie rozrywa go od środka. Drzemałem.

Nad ranem Włoch poczuł się lepiej. W jego oczach pojawił się błysk, jakiś zamysł. Widać było, że nie zamierza umierać. Co dalej? W mojej głowie kłębiły się myśli. Byłem tak blisko Everestu. Tuż obok. I nie wykorzystałem szansy. Trawers. W cholerę z nim! Przetrwa jeszcze z tysiąc lat. Marzyłem o dachu świata.

Zagotowałem wodę.

- Nici z trawersu – westchnąłem i podałem Simone kubek.
- Na to wygląda. – Skrzywił się.
- Jak się czujesz? Lepiej ci się oddycha?
- Lepiej. Spróbuję dostać od kogoś tlen.
- Widzisz, muszę wejść na Everest – powiedziałem szczerze.
- No i...?
- Czujesz się lepiej. Znajdziemy tlen. A potem spróbuję wejść na szczyt, niezależnie od tego, czy pójdziesz ze mną, czy nie.
- Do diabła! Wszystko nie w porę! – Simone uderzył pięścią w podłogę namiotu i zaklął zły.
- Simone! – zawołał ktoś z zewnątrz. – To ty?

- Tak. A kto pyta?

- Robert. I Kim Gattone. Jak tam?

Simone na sekundę przymknął oczy, jakby się namyślał. A potem odpowiedział:

- Niezbyt dobrze. Zaczekajcie. Potrzebny nam tlen.

Nasi sąsiedzi mieli kilka niewykorzystanych butli. Szczyt zdobyli poprzedniego dnia, teraz zbierali się do zejścia, szczęśliwi i zadowoleni. Nie potrzebowali już tlenu, pożyczylimy więc jedną butlę w celach medycznych. Simone nastawił reduktor, nałożył maskę i włączył przepływ.

- Beno, Beno Kaszakaszwili! - wywołałem kierownika wyprawy rosyjsko-gruzińskiej przez krótkofalówkę. Odkąd ekipa Piotra Pustelnika zakończyła działania na Lhotse, kontaktowaliśmy się w górze właśnie z nim. - Słyszysz mnie?

- Słyszę, Den. Jak Simone?

- Leży. Ale czuje się lepiej. Pożyczylimy butlę z tlenem. Dobrze oddycha.

- Pozdrów go. Jakie macie plany?

Zmieszałem się. Od samego siebie nie da rady uciec. Musiałem wejść na Everest! Choć rezygnacja z dalszej wspinaczki wydawała się jedyną słuszną decyzją, wiedziałem, że po powrocie będę wciąż rozpamiętywał tę sytuację, wyrzucał sobie, że nie spróbowałem, choć do celu brakowało tylko kilku godzin. Od tak dawna marzyłem o Evereście. Musiałem tam dotrzeć, niechby i na klęczkach!

- Nie wiem, Beno - wymamrotałem. - Myślę o tym, żeby jutro podjąć próbę dotarcia na Everest.

- Aha. A co z Simone?

- Z trawersu nici. Ale może tylko Everest.

- Den, musisz znaleźć jeszcze jedną butlę. Bez względu na to, czy Simone pójdzie z tobą, czy nie. Jeżeli nie znajdziesz tlenu, nie możesz zostawić go samego. To rozkaz.

- Jak to? Nie starczy mu jedna butla? Nigdy z tego nie korzystałem, nie wiedziałem.

- Simone musi mieć jeszcze jedną pełną butlę. Rób, co uważasz, ale twój przyjaciel musi mieć czym oddychać.

- Rozumiem. A co u was?

- O nas się nie martw, Den. Trzymajcie się! Szukaj butli!

- Dzięki, Beno. - Wyłączyłem krótkofalówkę i raz jeszcze wyszeptalem: - Dzięki, Beno.

Simone spał. Słyszałem delikatne syczenie, tlen docierał prawidłowo. Wszedłem na zewnątrz. Ha, trzeba znaleźć tę butlę. Może jakaś się wala wśród tutejszych śmieci? Nie, na pewno nie. Pełne wszyscy zabierają ze sobą na dół.



Gustowny kombinezon od Piotra okazał się niezastąpiony

Po powierzchni plateau wiatr pędził mlecznobiałą mgłą wymieszaną z lodową sieczką. Widoczność ograniczała się do trzech metrów. Niby nie wiało aż tak mocno, ale lodowate igiełki nieprzyjemnie kłuły w twarz. Wokół walało się mnóstwo butli, wyrastały niczym grzyby. Wszystkie podobne do siebie, jak muchomory sromotnikowe.

Dostrzegłem kilku Szerpów. Kręcili się przy pobliskich namiotach. Pakowali plecaki, było jasne, że będą schodzić. Należało działać, mieć jasność, co dalej. Musiałem przecież dotrzeć na wysokość 8848 metrów. Podszedłem do nich. Dojrzałem składzik butli. Były ładne, w kolorze pomarańczowym. Zamigotały w moich oczach. Dwóch Szerpów ładowało właśnie po dwie sztuki do plecaków. A więc były pełne!

- Chłopcy! - zawołałem. - Dokąd idziecie?
- Na dół - odburknął jeden z nich. - Skończyliśmy pracę.
- Macie tlen?
- Tak. Bo co?
- Potrzebuję. Dajcie mi jedną butlę, bardzo proszę!

Zdziwienie malujące się na twarzach tragarzy było tak przeogromne, że ekspresji pozazdrościłby im nawet tak wielki reformator teatru, jak Konstantin Stanisławski. Ale też okoliczności nie należały do zwyczajnych. Oto pakowali spokojnie swój dobytek do plecaków, kiedy nagle jakiś wariat o manierach komsomolca zaczyna się domagać oddania tego, co należało do nich. W dodatku to coś było drogocenne. Jak inaczej mogli zareagować?

Slogany o braterstwie narodów mogłem sobie darować. Butle miały dużą wartość i Szerpowie zapewne nie zrezygnowaliby z nich dla tak mało przekonującej idei.

- Przyjaciel mi umiera! - zawołałem. - Bez tlenu nie przeżyje!

Spojrzeni po sobie.

- Wiesz, ile taka butla kosztuje? - zapytał jeden z nich. - Tu w górach?

- Pewnie dużo. Ale ja nie mam pieniędzy - zajęczałem.

Szerpa splunął i zaczął wpychać butle do plecaka. Nie mając nic do stracenia, przyskoczyłem i uczepiłem się jednej z nich. Tragarz odsunął się zaskoczony i odwrócił do kolegi. Kilku innych Szerpów podeszło bliżej.

- Co to za przyjaciel?

- Simone Moro! Włoch.

Znów wymienili te swoje spojrzenia.

- Chłopcy, zapłacę w bazie - przekonywałem ich, nie wypuszczając butli z rąk. - Znajdę was i wszystko oddam, naprawdę! - Nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym zrobić. W odruchu desperacji uklęknąłem. Nie mogłem przecież się z nimi bić na ośmiu tysiącach metrów.

Widok musiał być... przerażający: facet oszalał z rozpacz i zwał się na kolana. Szerpowie w zamyśleniu drapali się po podbródkach. Wreszcie jeden z nich, wyglądający na najstarszego, podjął decyzję.

- Niech bierze - oświadczył - bo jeszcze rzeczywiście ktoś tu zdechnie.

- Dziękuję! Dziękuję! Jest pełna? - Mój głos drżał. Wciąż nie dowierzałem, że naprawdę mi ją dają.

- Pełna, pełna - zapewnił naburmuszony Nepalczyk. - Wystarczy dla przyjaciela. Weź i to! - Wyciągnął z plecaka reduktor i maskę. - Specjalista, do cholery!

Złapałem butlę, reduktor i maskę i poczłapałem do naszego namiotu. Ręce mi zmarzły, ustrojstwo, które zgarnąłem, wbijało się w żebra. A jednak wątpię, czy w tamtej chwili znalazłby się na świecie ktoś szczęśliwszy ode mnie.

Simone wyglądał dobrze. Ujrawszy mnie z butlą, radośnie pokiwał głową i unioś kciuk. Ponieważ miał na twarzy maskę tlenową, wydawał z siebie tylko zadowolone muczenie. Potem jednak zdjął ją i zachrypiał:

- Wow, Den!

- Znalazłem - zażartowałem i położyłem zdobycz na środku namiotu.

- Świetnie! Czyli atak szczytowy.

- Jak się czujesz, dowódco? - spytałem.

- Lepiej. O wiele lepiej. Złapałem oddech.

Spojrzałem na niego uważniej. Rzeczywiście wyglądał żwawiej, jego twarz się zaróżowiła, oczy nie były tak podkrążone. Pojawił się w nich znajomy błysk.

- Cieszę się - westchnąłem. - Teraz herbata, małe co nieco i kładziemy się spać.

- Pewnie - zgodził się Simone.

Okazało się, że butle mogą mieć różne reduktory. Miałem szczęście, że Szerpowie dali mi cały komplet. Mieli więcej doświadczenia niż ja, pomyśleli o tym, że jedno może nie pasować do drugiego.

Simone naprawdę czuł się dużo lepiej. Zjadł i nie wymiotował. Pod wieczór ustało charczenie w płucach, które tak bardzo mnie niepokoiło. Mówiąc krótko, zdrowiał. Co znaczy tlen w strefie śmierci! O siódmej wieczorem spaliśmy.



Szansa wejścia na Everest ponownie stawała się realna, niemal fizycznie czułem, że największe przeszkody były już za mną. Zniknęło przecucie czegoś nieodwracalnego, czegoś, na co nie miałem wpływu. Wszystko znów było w moich rękach i w mojej mocy. Wskazówka drgnęła i ruszyła w dobrą stronę.

Obudziłem się o wpół do jedenastej. Panującą wokół ciemność potraktowałem jak wezwanie. Strach, że ominie mnie to, do czego tak dążyłem, zapewnił dopływ adrenaliny. Poczułem, że jestem zdolny do zdroworozsądkowego myślenia. Zachrypiałem pod nosem tekst z *The Wall* grupy Pink Floyd: „Ty! Tak, ty! Stój nieruchomo, chłopcze!”. Lubilem się dopingować słowami napisanymi przez innych. Cytaty z książek lub piosenek często wskazywały mi kierunek działania. Pozbawiały konieczności grzebania się we własnej psychice, szukania argumentów. Wszystko stawało się proste – cytat tworzył nastrój, a nastrój skłaniał do akcji. Simone również się obudził. Było widać, że nadajemy na tych samych falach.

- Jak tam, kamrat? - zapytałem, choć jego błyszczące oczy, patrzące radośnie znad maski tlenowej, mówiły wszystko.

Tym razem Simone wziął przykład ze mnie i wypił tylko gorącą wodę. Każdy jej łyk rozgrzewał ciało i pobudzał, dodawał energii. Czułem się lepiej niż kilka godzin wcześniej, przed pójściem spać.

- Den, będziemy działać samodzielnie - oznajmił mój przyjaciel.

- To znaczy?

- Na tej wysokości każdy działa na własną rękę.

Nie bardzo rozumiałem, co to znaczyło. Czyż nie tworzyliśmy zespołu?

- Droga jest wytyczona, są poręczówki. - Simone zauważył moją konsternację. - Pamiętasz nasze wspinanie na Chan Tengri? - zapytał.

- Pewnie.

- Działamy niezależnie od siebie. Każdy idzie we własnym tempie. Chodzi o to, żeby nie opóźniać innych, nie przeszkadzać sobie nawzajem. - Zaśmiał się i puścił do mnie oko. - Głowa do góry, będzie dobrze! Zobaczymy się na szczycie!

Simone załadował do plecaka pełną butlę z tlenem i założył maskę. Mój bagaż obciążały kamera, ogromny akumulator i chorągiewki sponsorów. Spojrzeliśmy sobie w oczy. Czułem się tak, jakbym musiał skoczyć w przepaść. Nic nie wiedziałem o zdobywaniu ośmiotysięczników. Jak się to wszystko skończy, miałem się dowiedzieć za kilka godzin. Przede mną ziała gigantyczna czarna pustka. Musiałem ją sobie podporządkować. Czułem buzowanie adrenaliny, aż kołowało się w głowie.

- Naprzód, Simone!

- Trzymaj się, Den!

Północ to dziwna pora. Świat zostaje rozpięty na krzyżu nieba, przybity do sklepienia gwoździami gwiazd. Odkupuje grzechy; te minione i te przyszłe. Wstrzymuje oddech, cierpi, zamiera. O tej godzinie chłód istnienia odczuwa się nawet w tropikach, co mówić o górskich pustyniach. Tym razem wraz z Simone byliśmy przeciwni temu nocnemu zamieraniu. Sam czułem lęk, ale też nadzieję, która dała mi siłę, by wyjść z namiotu i zacząć wędrówkę do celu.

Na przełęczy błyskały ogniki czołówek, słycać było glosy przytlumione zimnem, zelastwo brzęczało na kamieniach. Ruszyłem w stronę Everestu, Simone całkiem wesoło podążył za mną. Pierwsze kroki w tej wysokogórskiej krainie, przystani ambitnych popowych gwiazd alpinizmu, nie były łatwe. Trzy dni bezczynności dały o sobie znać. Mięśnie potrzebowały czasu, by ruszyć do ciężkiej pracy. Stopniowo łapały swój rytm.

Wkrótce zaśnieżone zbocze łagodnie poprowadziło wzwyż. Z namiotów rozstawionych na przełęczy biegło tu kilka ścieżek. Za skalistą platformą łączyły się one, tworząc większą koleinę. Widziałem innych wspinaczy i Szerpów z ciężkimi plecakami; wszyscy wspomagali się tlenem. Tylko mojej twarzy nie zdołała maska. Wyglądałem jak idiota, który bez odpowiednich zabezpieczeń zamierza zanurkować w otchłań. Diabli wiedzą, czym oddychałem. Czasami miałem wrażenie, że oddech w ogóle nie dostarcza organizmowi tlenu. W rytmie bicia serca recytowałem mantrę: „Wkrótce poczuję się lepiej, wkrótce poczuję się lepiej...”. Najważniejsze to się trzymać.

Simone szedł pięćdziesiąt metrów za mną. Za lodowym czołem, gdzie wiatr z morderczą siłą kontynuował swoją obojętną i bezwzględną pracę, zgromadziło się nieco więcej śniegu. Należało zachować płynność ruchu, przy każdym kroku dawać z siebie wszystko. Kalkulowanie i rozkładanie sił nie wchodziły w rachubę. Oglądając się, widziałem czołówkę Włocha. Byłem zaskoczony, jak dobrze sobie radzi. Gdybym osłabiony chorobą znalazł się w tak ekstremalnej sytuacji jak on, pewnie przekląłbym Everest i całą tę wspinaczkę, porzucił ambicje, które wciągały do tego błędnego koła, i zawrócił.

Jak to szło? Napierać! Noga w przód, wybicie z czubka buta drugiej... Kijki do przodu, odepchnięcie, noga... Kijki do przodu, odepchnięcie, noga... I znów to samo. Nie

można zaprzestać. Szedłem jak w transie, a przed oczami widziałem ubitą drogę. Kiedy to było? I gdzie? Na Tujuk-Su. Rok albo sto lat temu. Czyżbym od zawsze był jak Syzyf? Walczył z rozpaczą, która pali od środka? Wbrew przeciwnościom losu i niesprzyjającym okolicznościom pchał ciało na szczyt niczym kamień? Czy Syzyf odnajdywał szczęście w terażniejszości, bo jego przyszłość była z góry określona? Bzdura. Sami ustalamy kierunek naszego życia.



Droga wspinaczki na Everest z obozu czwartego

Wkrótce szerokie śnieżne zbocze, po którym wiatr przewalał śnieg, zwęziło się i przeszło w kuluar. Ciemne ściany skał ograniczyły linię wspinaczki, odcięły od gwiazd. Brak szerszego horyzontu sprzyjał schematyzmowi

myślenia; jakbym założył końskie okulary. Szybko się do tego przyzwyczaiałem. Miałem punkt orientacyjny, nic nie rozpraszało myśli. Nawet tlenu było więcej, jakby powietrze zostało skompresowane pod ciężarem ścian.

Powyżej migotały czołówki innych wspinaczy. Tych, którzy wyruszyli nieco wcześniej niż my. Szedłem ich śladami, powoli, ale do przodu. Simone zagubił się w ciemnościach poniżej. Kiedy przystawałem na chwilę, by złapać oddech, dostrzegałem światło jego czołówki. Ognik pełzający na dnie studni.



Kolumna wspinaczy i obsługujący ich Sierpowie

Dotarłem do poręczówek. Ułatwiały robotę: przesuw jumaru, krok, dwa do przodu, przesuw jumaru, krok, dwa do przodu. Oddech i tętno były na granicy wytrzymałości. Wysokość napierała na mnie i powodowała słabość. Jakby zamiast mnie działał ledwie cień. Dalej! Przesuw jumaru, krok, dwa do przodu, przesuw jumaru, krok, dwa do przodu. Nie można zaprzestać. Oczy znów zaszły mgłą, jak podczas szybkiej wspinaczki na Amangeldy. Tam byłem gotów umrzeć, znalazłem się blisko granicy swojej wytrzymałości. Tamtejsze zawody trwały jednak nieco ponad godzinę, a ile czasu zajmie ta linia do nieba? Tyle, że nie dam rady? Tyle, że będę musiał się wycofać, poddać? Tyle, że moje płuca odmówią posłuszeństwa?

Cienka nić liny pozwalała myśleć wyłącznie o ruchu, nie martwić się o drogę zejścia. Dam radę! W wąskich przestrzeniach między skałami wiatr skręcał śnieg w wiry. Na wysokości 8400 metrów nagle wydało mi się, że jeden z kamieni ożył. Przyprószony śniegiem uniósł się i wolno ruszył w górę. Poczułem szarpnięcie liny. Potrząsnąłem głową. Nie kamień, a Szerpa, który okutany w ciemny kombinezon, z ogromnym plecakiem i maską tlenową na twarzy z daleka rzeczywiście przypominał niewielką skałę. Jego czołówka ledwo zipała, nie dawała dobrego światła. Trochę wyżej ujrzałem kolejnych ludzi, a za nimi, już na tle nieba - następnych. Ich czołówki działały znacznie lepiej.

Powoli zacząłem wymijać kolejne osoby. Byli to klienci jakiejś wyprawy komercyjnej i obsługujący ich Szerpowie. Zachodni wspinacze wyglądali niemal nienagannie: kombinezony uznanych firm, nowy błyszczący sprzęt, niewielkie czyste plecaki. Szerpowie byli przy nich jak lumipy: zużyte, często nawet podarte ubrania, ekwipunek, który pamiętał niejedną wyprawę - wspinali się na ośmiotysięczniki rok po roku, a ich celem był zarobek.

Obecność zorganizowanej grupy nieco mnie uspokoiła. Jeśli zajdzie potrzeba, Simone będzie mógł się do nich podpiąć, nie zostanie sam na tej olbrzymiej górze. Gdyby poczuł się źle, zejście ułatwią mu poręczówki. A na przełęczu byli kolejni ludzie. Najważniejsze, żeby nie zabrakło mu tlenu. Należało teraz pomyśleć o sobie, tym samotnym punkcie w bezbrzeżnej otchłani. Wędrówka na dach świata bez partnera i kojącej myśli o butli w plecaku wymagała ufności we własne siły. Mogłem liczyć wyłącznie na siebie i swoje ciało.

Kuluar łagodniał. Nade mną tkwił szeroki krąg nieba. Ciemność zmieniała swoje nasycenie. Na razie bardziej się to wyczuwało, niż widziało. W powietrzu unosiło się coś ożywczego. Mroczny korytarz prowadził w stronę wschodzącego dnia, na grań. Tam zaś, na wysokości około 8500 metrów, znajdował się Balkon, miejsce, z którego w poprzednich dniach zawróciło tyłu wspinaczy. Wiejące w tej okolicy zachodnie wiatry powodowały, że tworzyły się tu głębokie zaspasy. Byłem przygotowany na torowanie, przynajmniej psychicznie, ale tym razem szczęście mi sprzyjało. Ktoś ruszył do ataku szczytowego znacznie wcześniej niż ja i Simone i przetaił drogę.

Świt coraz bardziej dawał o sobie znać. Zza horyzontu sączyły się barwy wschodu słońca. Przedzierały się przez chmury i przypominały skrawki materiału. Mgła filtrowała różowe i żółte paski, mieszała je z fioletem głębin lodowca Kangshung. Na nim nadal panowała noc. Przepaść kryła w sobie mroczne tajemnice, grań jaśniała w tęczowym blasku. W kosmicznym niebie kipiało od złota i purpury. Nie odczuwałem zimna, choć nie wspomagałem się tlenem. Może dodatkową energię zapewniała mi młodość? W żyłach płynęło życiodajne ciepło.



Olbrzymy Czo Oju i Gyachung Kang spotykają świt nad Himalajami

Czas i przestrzeń. Droga na Everest w przedziwny sposób zawiodła mnie do Zenona z Elei. Dwa i pół tysiąca lat temu ten Grek uznał, że każdy odcinek można dzielić w nieskończoność. Jeden z jego paradoksów dowodził, że przy takim założeniu ruch jest jedynie złudzeniem. Zgodnie ze swoimi rozważaniami Zenon nie dałby rady rozpocząć wędrówki na Everest, nie mówiąc nawet o dotarciu na szczyt. W przewrotny sposób udało mu się natomiast zejść o wiele wyżej, związać ręce matematykom. Ja zaś kontrolowałem każdy krok i próbowałem popchnąć moje myśli w innym kierunku.

Napierać! Przesuw jumaru, krok, dwa do przodu, przesuw jumaru, krok, dwa do przodu. Nie można zaprzestać. Grań Everestu biegła w nieskończoność. Na Zenonowe odcinki dzieliły ją porzucone butle tlenowe. Czy były puste i zostawiono je jak śmieci, czy może wniesione przez Szerpów, wypełnione tlenem, czekały na klientów? Byłem

skazańcem. Niczym grecką strzałę wypuszczono mnie z łuku, by udowodnić, że w każdej terażniejszej chwili znajduję się w konkretnym punkcie w stanie spoczynku, a co za tym idzie, nie mam szans dotarcia do celu.

Aleksander Puszkina, Ruch:

Ruch nie istnieje - brodaczek rzekł uczone.

Inny w milczeniu zaczął przed nim chodzić.

Bardzo wymyślna była ta odpowiedź;

Nie zgadzam się - to chyba chciał wychodzić.

Panowie, sytuacja ta zabawna

Tu co innego na myśl mi przywodzi

Każdego dnia przed nami słońce chodzi

Uparty Galileusz rację miał

Nigdy nie dotrę do najwyższego punktu na świecie... Nigdy nie znajdę się tam, gdzie pragnęło być moje serce, które walczyło teraz o każdy mililitr krwi. Organizm opadał z sił, walczył o to, by nieskończoność zamieniła się w realnie przebyty odcinek. W drogę, która miała się skończyć na wysokości 8848 metrów, skąd nie było już możliwości pójścia wyżej.

Świadomość przyparta do muru, próg, którego nie sposób przekroczyć. Ale przecież była jeszcze dusza. Mój niedotleniony mózg pracował na zwolnionych obrotach. Posuwając się noga za nogą, czytałem sam siebie. Było ciężko, bałem się, a jednocześnie kipiało we mnie uczucie, że muszę przycisnąć, tak aby postawić zwycięską kropkę na tej nieskończonej drodze. Czasu miałem dość.

Gdy byłem dzieckiem, mieszkaliśmy w jednym z miast Kaukazu Północnego. Latem słońce wypalało step, a listowie topoli przypominało kłaczki przydrożnego kurzu. Nad polami wisiała szara mgła. Dużo wtedy chorowałem.

Dusiła mnie astma, każdego kolejnego dnia coraz trudniej oddychałem. Na spacerach mogłem podziwiać majestatyczny łańcuch gór wznoszący się gdzieś za naszym miasteczkiem. Zdawało się, że zaśnieżone szczyty są na wyciągnięcie ręki, że tam jest wolność. Złote słońce niczym czarodziejski smok wynurzało się z głębin Morza Kaspijskiego i nurkowało w studni Morza Czarnego. Wszystko było proste: tam w górach było świeże powietrze, na dole – kurz wywołujący astmę.

Ojciec był inżynierem geodetą, tworzył pierwsze maszyny cybernetyczne. Miał w sobie coś z włóczęgi, był uważany za dziwaka. Ludzie go nie rozumieli i woleli unikać. W jego życiu liczyły się nie tyle matematyczne wyzwania, ile rzeczy dające radość. Do tych ostatnich należały zarybione jeziora i rzeki oraz pola i wzgórza, na których można było polować. Wypychanie portfela nie leżało w kręgu jego zainteresowań, jeśli obliczał miary kąta, to po to, by cieszyć się w życiu pewną swobodą. Nie cierpiał wszystkiego, co typowe.

To ojciec zaznajomił mnie z paradoksami Zenona z Elei, choć oczywiście tak ich wtedy nie nazywał. Byłem jeszcze dzieckiem, logiczne sprzeczności Greka zapadły mi jednak w pamięć. W tamtych latach postrzegałem wszystko w kategoriach dokładności i jasności. Nie chciałem balansować na krawędzi. Potrzebowałem prostoty. To ona była moim lekiem na bezkresny niezrozumiały świat.

Latem ojciec często siadywał ze mną przy stole i rozmawiał. Raz zapytał:

- Masz kartkę papieru? Weź długopis, będziemy rysowali! Umiesz narysować żółwia?

- Takiego zwykłego? - Zdziwiłem się.

- No tak. Narysuj go na środku kartki.

Z przejęcia aż otworzyłem usta. Żółw musiał być malutki, takiego widywaliśmy na jeziorze, gdy łowiliśmy razem ryby.

Powinien być szaro-zielony, ale miałem tylko niebieski długopis. Starannie narysowałem pancerz, łapy, głowę i nawet tygi ogon.

Wiktor Wiktorowicz kiwał głową z uznaniem.

- Teraz z boku kartki narysuj człowieka - powiedział. - Ale nie takiego zwykłego, tylko Achillesa.

- A kto to taki? - spytałem zadowolony. Czekają mnie coś tajemniczego i nowego.

- Najsilniejszy i najszybszy żołnierz starożytności - odparł ojciec. - Grek. Był jednym z tych, którzy pokonali Trojan.

- Trojan? Kim oni byli?

- Hmm - uśmiechnął się ojciec - powiedzmy, żeby było prościej, że Achilles walczył z Persami.

Greków znałem, byli nasi. Persowie należeli do wrogów. Chcieli opanować Grecję i wszystkich zabić, nawet dzieci. Z tego wynikało, że Achilles musiał być super. Narysowałem go z tarczą i mieczem. Wysokiego i silnego. Ojciec obserwował, jak starannie kreślę linie. Interesowało go, co potrafią dziesięciolatki.

- Teraz wyobraź sobie, że biegną - odezwał się.

- Żółw też?

- Też. - Ojciec się roześmiał. - Tylko powoli, jak prawdziwy żółw. - Wziął ode mnie długopis i zaczął coś wyrysowywać. - Patrz, Achilles biegnie, próbuje dogonić żółwia.

- Dogoni?

- A jak myślisz?

- Na pewno dogoni - odparłem zdecydowanie. - Przecież to Grek. Zwycięzca Persów!

- Patrz. Biegnie w stronę żółwia. Tak?

- Tak.

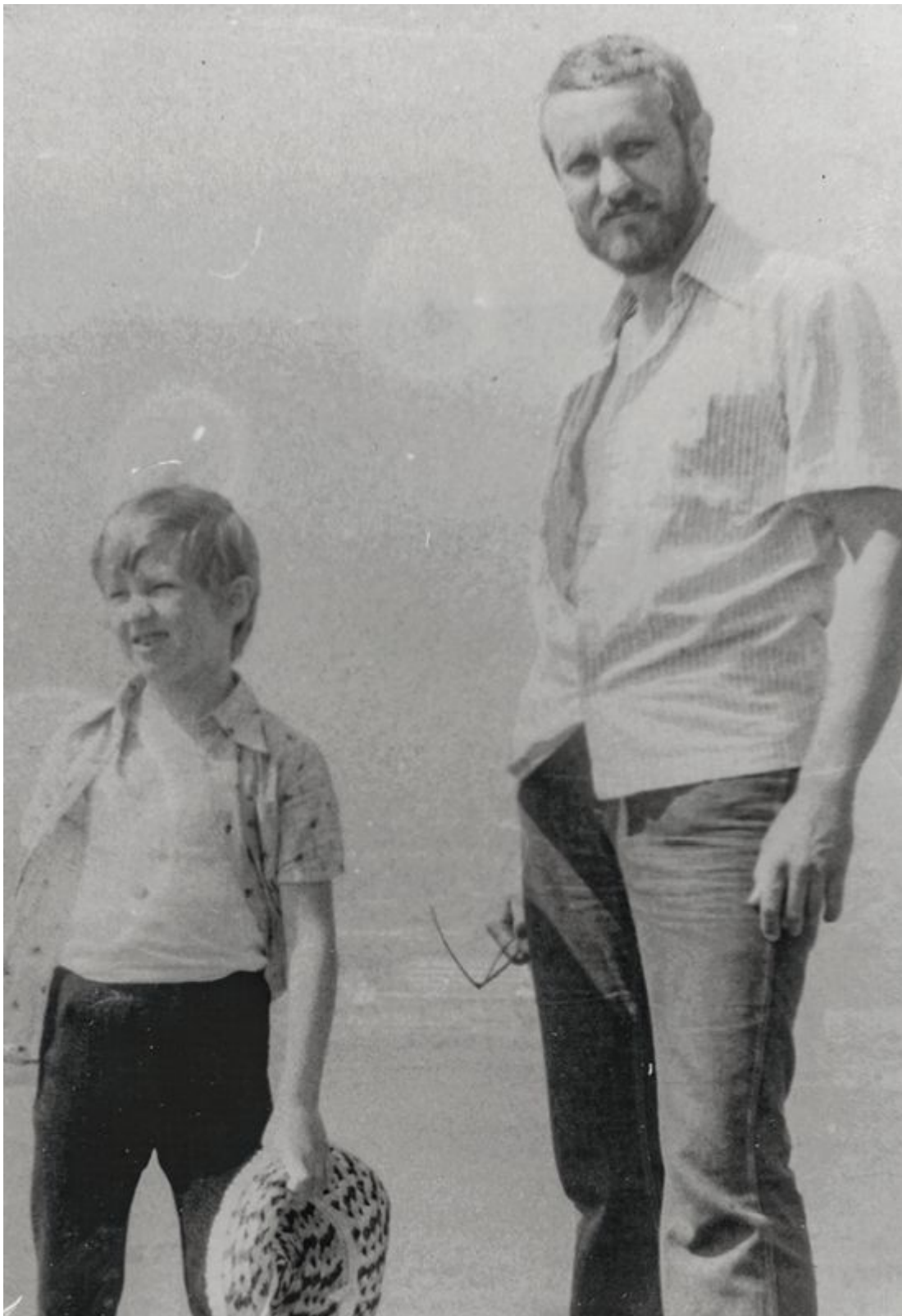
- Ale kiedy on przebiega swoją połowę kartki, żółw powoli kroczy przez drugą połowę.

- No tak. - Byłem zaskoczony.

- Żółw nadal będzie przed Achillesem.

- Tak, tato.

- Achilles biegnie więc dalej. Gdy dotrze do miejsca, gdzie znajdował się przed chwilą żółw - ojciec, gdy to mówił, zaznaczał łukami odcinki, które przebiegnie lub przepełźnie jeden z bohaterów - ten zdąży już pójść nieco dalej, pokonać kolejny mały odcinek. Czyż nie tak?



Z ojcem na pierwszym wierchu - Newinskaja (580 m n.p.m.); 1979 rok

- Tak - przyznałem z niedowierzaniem.

Wchodziłem do *sancta sanctorum*. Szybki i silny Achilles, a obok słaby i powolny żółw, który okazuje się nieuchwytny! Coś, niczym błysk, przeleciało przez moją głowę. Achilles nigdy nie dogoni żółwia, zawsze będzie dzieliła ich, zmniejszająca się co prawda, ale jakaś odległość.



Rodzinnie: moja mama (pierwsza z lewej), siostra opierająca się na jej ramieniu, ojciec (z prawej) i ja u góry; 1982 rok

Po tej rozmowie brałem różne przedmioty do rąk i udawałem, że są Achillosem i żółwiem. W mojej zabawie zawsze było jak w życiu: bohater mitów natychmiast wyprzedzał małego zaleknionego gada. A jednak coś do mnie dotarło - łamigłówki umysłowe potrafiły skutkować czymś nieprzewidywalnym, tak samo jak wola przypadku. Kiedy w nie tak precyzyjnych słowach podzieliłem się swoim odkryciem z tatą, był wyraźnie zadowolony.

- Oni, Grecy, tak właśnie uważali - powiedział. - Ale tych łamigłówek nie potrafili dobrze wyjaśnić.

- A można to zrobić? - zapytałem.

- Matematyka wszystko wyjaśnia - odparł. I dodał, jak zwykle: - To królowa nauk. Ucz się jej, synku.

Kiedy ojciec zanurzał się w swoje logarytmy, tabele Bradisa, w całą tę swoją geodezję, nawet nie przypuszczał, w co zamieni się filozofia w młodej głowie. Dziesięć lat później dowiedziałem się, że Achilles i żółw obrazują jeden z paradoksów Zenona z Elei. Była to klasyka gatunku: zestawianie pojęć, których nie zamierzano udowodniać. W owych latach świat przestawał być dla mnie czarno-biały, zamienił się w obraz pełen tajemnic.

Teraz, z całą tą życiową paletą, szedłem na Everest. Syzyf toczący kamień. Dalej! Przesuw jumaru, krok, dwa do przodu, przesuw jumaru, krok, dwa do przodu. I znów. Nie można zaprzestać. Przed Wierzchołkiem Południowym spod śniegu wystawały skały. Liny poręczowe obchodziły je z prawej strony. Leżało tu co najmniej dwadzieścia butli tlenowych. Prawdziwe składowisko. Czy w górę dźwiga się łatwiej, niż znosi? Do diabła, powinni zabierać te śmieci ze sobą!

Pod skałami wiatr aż tak nie dokuczał, grzbiet osłaniał przed wichurą. Dzięki temu było też trochę cieplej. Zmęczenie dawało się we znaki, ciężko dyszałem, z trudem stawiałem kolejne kroki. Wyszedłem z namiotu na przełęcz sześć godzin temu, nie wiedziałem, czy dam radę dojść na szczyt. Wycieńczony organizm domagał się swoich praw. Wrzeszczał: „Dosyć!”.

Przede mną znajdował się jakiś wspinacz. Poniżej na grani ciągnął się długi sznur ludzi. Dreptali niemal w miejscu, kiwając się w takt stawianych kroków. Gdzieś wśród nich powinien być uparty jak przystało na bergamończyka

Simone. Szkoda, że odległość i śnieg nie pozwalały mi go dostrzec.

No więc, co z tymi paradoksami? Czy byłem jak strzała Zenona z Elei? Nie miało to sensu. Gdybym przyjął jego założenie o bezruchu w każdym momencie ruchu nie miałbym szans dotrzeć do celu. Obiekt jako niezmienny byt? Do diabła z tymi abstrakcjami. Miałem za zadanie przejść całą drogę, niechby nawet w nieskończonej liczbie odcinków.

Skrzywiłem się. Ech, czy to wszystko nie było u Zenona zbyt proste? Żeby przejść całą drogę, najpierw należało przejść jej połowę. Ale zanim się dotarło do połowy, trzeba było pokonać połowę tej połowy, czyli jedną czwartą drogi. A jeszcze wcześniej: połowę jednej czwartej. I tak bez końca. To rozumowanie doprowadziło filozofa do wniosku, że ruch jest niemożliwy, bo nie da się pokonać nieskończonej liczby odcinków w skończonym czasie. „Ruch nie istnieje – brodacz rzekł uczony. Inny w milczeniu zaczął przed nim chodzić” – przypomniał mi się wiersz Puszkina.

Tak, sześć godzin wcześniej opuściłem namiot na przełęczy. Wystartowałem z poziomu mniej więcej 8000 metrów. Cały czas szedłem w górę. Teraz, jeżeli wierzyć własnym oczom, znajdowałem się gdzieś na wysokości 8700 metrów. Hmm, cóż to oznaczało?

„To oznacza, idioto, że przeszedłeś już więcej niż połowę drogi”. Moje wargi zeszywniały z zimna, nadal jednak poddawały się woli mózgu. Wymamrotałem z pewnym niedowierzaniem: „Więcej niż połowa drogi!”.

Wspinacz przede mną odwrócił się ze strachem. Z całym tym tlenowym ustrojstwem wyglądał jak kosmita. Gdzie kończył się futurizm, a zaczynała groteska, nie wiedziałyby nawet Andriej Starkow. Dwa i pół tysiąca lat temu stary Zenon okazał się nie tylko filozofem, lecz także odważnym

człowiekiem. Wystąpił przeciw ówczesnemu tyranowi. Przesłuchiwany, nie wyrzekł się własnych poglądów i na znak protestu odgryzł sobie język. Pozostał sobą. Ja też dostałem szansę działania zgodnie z tym, co czułem. Nie wymagało to aż takiej odwagi, krwi i wyrzeczeń, a zawdzięczałem tę pomyślą okoliczność wielu pokoleniom przodków. Wszyscy oni żyli, cieszyli się, martwili, kochali, pracowali także po to, bym mógł pozostać sobą. Mogłem dotrzeć na Everest o własnych siłach, bez wspomagania się tlenem, bez tej całej gry. Byłem na Ośmiu Tysiącach. Wyrwałem się z pułapki paradoksów Zenona. Przeszedłszy połowę drogi, wiedziałem już, że dotrę do jej końca.

Z przodu w niepewności dreptało kilka osób. Nie zamierzałem dochodzić, kim są. Ani tym bardziej czekać, aż pokonają ten fragment trasy i zwolnią linę. Odczepiłem z uprząży czekan i wspierając się na nim, ostrożnie i dokładnie wbijając raki, powoli wyprzedziłem całą grupkę. Niech sobie oddychają! Żeby tylko im tlenu nie zabrakło, kiedy tak będą czekać na swoją kolej.

Dotarłem na Wierzchołek Południowy, gdy szalała tam prawdziwa zamieć. Widzialność spadła niemal do zera. Znalazłem się na wyspie pośród oceanu burz. Trzej Szerpowie wyładowywali butle. Podeszedłem do nich i przykucnąłem.

- Hej, idziecie dalej?! - wydarłem się, próbując przekrzyczeć huragan.

Jeden odsunął maskę tlenową i zawołał:

- Nie, sir! Proszę popatrzeć, jaka pogoda! Należy wracać, szybko schodzić.

Słuchałem w niedowierzaniu. Stąd się wycofać? Z przedwierzchołka? Gdy do najwyższego punktu pozostało tak niedużo? „O nie - pomyślałem - nie mam zamiaru ich słuchać”.

Nad głową, w zadymce zawodziły wiedźmy. Czekają mnie zejście, a potem kolejne podejście, już bezpośrednio na główny szczyt. Zrobiłem kilka kroków, by spróbować dojrzeć dalszą drogę. Przede mną unosiły się tumany śniegu, wył wiatr. Śmierć spuściła z uwięzi białego kudłatego psa, który szczyrzył kły i chciał dobrać się do mojego gardła. Poczulem strach. Nie chciałem ryzykować dalszej samotnej wędrówki. Byłem w kropce. Jeśli się wahasz, już po tobie. Powrót i kolejny atak nie wchodziły w grę. Miałem na to za mało czasu, sił i odwagi.

Zrobiłem kilka wdechów i cofnąłem się na wierzchołek. Szerpowie, jak mi się wydawało, gapili się z zaciekawieniem na gościa miotającego się w uściskach swoich pragnień. Maski kryły zapewne ich szydercze uśmiechy. Nagle jeden z nich wstał, poprawił uprząż i zrobił krok w moją stronę.

- Jestem Apa! - wrzasnął mi nad uchem po odsunięciu maski tlenowej.

- Denis! - Jeszcze trochę, a bym się roześmiał. Cóż za zawieranie znajomości na szczycie.

- Zaryzykujesz? Ze mną? - zapytał.

Niemal nie udusiłem się z radości. Pospiesznie skinąłem głową. Oczywiście, że zaryzykuję. Byłem tak podekscytowany, że aż zaniemówiłem.

- Pójdziemy razem! - kontynuował Szerpa. - Byłem tam dwa razy. Znajdę drogę. Jeśli się zgadzasz, idę z tobą.

Nietrudno sobie wyobrazić moje emocje. Z jakiego powodu Apa zdecydował się na ponowne zdobywanie Everestu, nie wiedziałem. Gdybym miał już na koncie zaliczenie dachu świata dwa razy, nikt by mnie tam nie zaciągnął po raz kolejny. Zwłaszcza podczas tak fatalnej pogody.

Dwóch przyjaciół Apy pomachało nam rękawicami i zniknęło za łukiem grani. Poszli w dół, tam gdzie panowało ciepło i bezpieczeństwo. Być może spotkamy się jeszcze kiedyś, w innej czasoprzestrzeni. My natomiast przybiliśmy sobie piątki i ruszyliśmy w drugą stronę. Zanurkowałem w mgłę jako pierwszy, Szerpa podążył za mną.

Przy złej widoczności każda fałda terenu, każda skała nabiera demonicznych kształtów. Wyginała się niczym obcy twór. Tak było i teraz. Wszystko dookoła przypominało przemrożone stwory. Okropny ziąb przenikał do każdej komórki ciała. Miałem wrażenie, że znalazłem się gdzieś na orbicie pierścieni Saturna, które bryzgały cząsteczkami lodu i pyłem kosmicznym. Z miłą i dobrą planetą Ziemia łączyła mnie tylko poręczówka. Szedłem jak linoskoczek, tyle że przepaście rozpościerały się z prawej i lewej strony.

Organizm spalał się w nadludzkim wysiłku. Było tak ciężko, że poczułem rozdwojenie jaźni i czasu. Już to kiedyś przeżywałem! Znałem ten stan! Jakby jakaś gigantycznym nieznaną siłą zgmiotła świat w kartkę papieru. Świdrujące w świadomości dzikie szeleszczenie miażdżonego wszechświata zamieniło trasę we wstęgę Möbiusa. Gonilem w nieskończoność. Tak, cofnąłem się kilka miesięcy wstecz; biegłem na szczyt Amangeldy. Wówczas też spalałem się we własnych ambicjach. Tylko zwycięstwo mnie zadowalało. Gigantyczny wysiłek miał jedynie do niego doprowadzić.

Coś się wydarzyło, kiedy przeciążona świadomość wpadła w pułapkę. Czułem, że zwykle myślenie nie zdoła przeprowadzić mnie przez labirynt wskazówek i znaków. Pojęcia „tu” i „teraz” krępowały niczym kajdany. I właśnie wtedy, gdy spontaniczność ruchu spierała się z ograniczeniami rozsądku, coś zaskoczyło. Jakby w moim mózgu otworzyła się ukryta klapka pozwalająca zrozumieć prawdziwe powiązania przyczyn i skutków. Nagle wszystko złożyło się w całość, stało dostępne, podporządkowane.

Szczegóły zniknęły, zostały jedynie obrazy. Patrzyłem na nie jak na kółka rozchodzące się po wodzie, zonglowałem nimi niczym zajęczkami na ścianie.

- Pędzisz, chłopie - wyszeptałem do siebie na jednym z postojów, kiedy dramatycznie łapałem oddech. - Nie przestawaj, dawaj dalej!

Ileż to się nasłuchiwałem o dwunastometrowej pionowej skale zwanej Uskokiem Hillary'ego. Kiedy do niej dotarłem, poczułem ulgę. Wszystko szło zgodnie z planem. Bastion pokrywała cienka warstwa błyszczącego świeżego śniegu. Na tej bajecznej wysokości przez chwilę zastanawiałem się nawet, czym ten stalagmit jest: kamieniem, a może lodem? Nie miało to znaczenia. Jego przejście ułatwiała lina. Trzeba jej było tylko zaufać. Wpiąłem się i wciągnąłem na górę.

Oddychać! Drżałem. Dreszcze przenikały ciało, płynąc falami od ramion do pięt. Świszczałem, pompując do płuc i wypompowując z nich metry sześciennie pustego powietrza. Nie było już pragnienia zdobycia szczytu, czułem tylko ból. Czy to samo przeżywali Norgay i Hilary, kiedy dokonywali epokowego wejścia na Everest? Mimo zamroczenia dostrzegałem ogromną różnicę między tamtym wyczynem a moją próbą. Urodziłem się pięćdziesiąt lat później od bohaterów, przez ten czas wiele się zmieniło. Droga na szczyt była znana i wielokrotnie przedeptana, wejście ułatwiały poręczówki, odpowiednie przygotowanie i nowoczesny sprzęt. Trzeba było jedynie przesuwać nogi. W 1953 roku Norgay i Hilary dokonali niemożliwego. Byli na tej górze pierwsi i to się już nie powtórzy.

Kiedy odpoczywałem, doszedł do mnie Apa. W śnieżnej zadymce trudno było dostrzec cokolwiek dookoła. Szerpa chciał dodać mi otuchy: klepnął mnie w ramię i machnął ręką do przodu. „Tam jest szczyt - mówił jego gest - wszystko będzie dobrze”.

Pokiwałem głową, a potem umysł zdołał pchnąć ciało we wskazanym kierunku. Zaśnieżona grań miała szerokość od pięciu do ośmiu metrów. Wiedziałem, że po lewej stronie opadała stromo kamieniami i skałami, za którymi hulał już tylko wiatr, po prawej natomiast obrywała się poszarpanymi ogromnymi nawisami - tam majestatyczna ściana Kangshung wiodła w otchłań. Nogi niosły mnie po wąskiej płaszczyźnie; byłem tam, gdzie chciałem być, tam, dokąd szedłem przez długie lata. Popadałem w stan ekstazy, choć każdy ruch wydawał się ciężarem nie do zniesienia. Ech, spójrzmy na to napięcie jak na wolny wybór, jedną z reguł gry i jeden z niezbędnych elementów bycia w tym miejscu.

Zupełnie niespodzianie przez mgłę przebiły się jakieś kolorowe plamy. Zrozumiałem. To koniec drogi w nieskończoność. Na jednej z zasp pod uderzeniami wiatru furgotały strzępy szmatek, flagi różnych narodów oraz buddyjskie chorągiewki. Napinały się i wiły niczym żywe stworzenia, opadając na wschód w przepaść czterokilometrowej ściany.

Stałem na dachu świata.

Pustka i kres, ziemia i niebo, chwila i wieczność, rzeczywistość i sen... Od tak dawna widziałem to miejsce w marzeniach, że zdawało mi się, iż już tu kiedyś byłem. Rozłożyłem ramiona, odrzuciłem w tył głowę i zrobiłem ostatni krok dzielący mnie od śnieżnego stożka. A potem tkwiłem bez ruchu zapatrzony w siebie. Odnajdywałem młodzieńca sprzed lat, tego, którym wciąż przecież byłem. Prawdziwego siebie.

Co innego można robić na dachu świata? Oglądać pamiątki pozostawione na szczycie? To, co należało do przeszłości, nie miało znaczenia. Nawet gdyby tutejsza zasp była obsypana złotem i perłami, myślę, że nie zwróciłbym na to uwagi. Niesamowite uczucie osiągnięcia celu dawało szczęście i wprawiało w ekstazę bliską

narkotycznej. Tak długo walczyłem o zwycięstwo, tak długo i wbrew wszystkiemu marzyłem o najwyższych górach świata. Odczuwałem radość całym swoim jestestwem. Uśmiech był może niezgrabny i nefotogeniczny, ale całkowicie szczery. Dzięki ci, losie, że dałeś mi to mgnienie na Evereście, chwilę, której nigdy nie zapomnę.

Gdy po kilku minutach doszedłem do siebie, próbowałem działać racjonalnie, odpowiednio do wagi wydarzenia. Apa, który zdążył już dotrzeć na szczyt, z filozoficznym spokojem obserwował moje egzaltowane zachowanie. Pewnie uznał, że gdy już się nasycę tym wszystkim, natychmiast ruszę w dół. Nic bardziej mylnego. Wprawdzie widoczność była zerowa, ale przecież mogłem uwiecznić jeden obiekt: siebie. Nie aparatem, ale kamerą! Po coś ją w końcu dzwigałem. Nawet pogoda jakby wspierała ten pomysł. Zastłona obłoków zrobiła się cieńsza, śnieg nie walił już tak gęsto, zrobiło się jaśniej. A może to ja złapałem oddech i wreszcie spojrzałem na świat bardziej trzeźwo?



Everest - najwyższy na świecie stos śniegu dla chorążego

W ślad za Apą na szczyt weszło kilka innych osób. Byli to wspinacze, których wyprzedziłem przed Wierzchołkiem Południowym. Chłopcy poszli za naszym przykładem, a teraz po kolei wynurzali się z mgły snującej się na grani. Stanowili pstrokate stadko papug, a może po prostu w tej czarno-białej przestrzeni kolory wydawały się jaskrawsze niż były w rzeczywistości. W ich oczach musiałem wyglądać podobnie: jak nachalnie ubarwiona plama. Zająłem najwyższy punkt szczytu i starałem się prezentować jak najbardziej znacząco.

Wyciągnąłem kamerę i radośnie pomachałem do wspinaczy: „Cześć! Jesteśmy w najwyższym punkcie!”. Ich sylwetki nie wyrażały żadnych emocji. Ledwie doczłgali się do zaspy. Nawet nie dali rady unieść dłoni w górę. Nie szkodzi! Mogłem obdzielić swoim triumfem kilka osób. Wyciągnąłem z kombinezonu kabel, a potem akumulator.

Półtora kilograma! Stojący obok mnie Szerpa, który dotarł na szczyt wraz ze wspinaczami, odsunął maskę, odchrząknął i oszołomiony zapytał:

- Co to?

- Bateria! - odparłem zadowolony.

- Przecież to akumulator do skutera - trzeźwo zauważył Apa.

- Oczywiście. - Machnąłem ręką w stronę Wierzchołka Południowego. - Mój przyjaciel Simone zaraz przyciągnie tu motocykl. - Radośnie zarechotałem.

Czy mi zdawało, że Szerpowie spojrzeli na mnie jak na wariata?

Z książki Johna Hunta *Zdobycie Mount Everestu*^[*]:

Tymczasem Tenzing wygrzebał w śniegu mały dołek i umieścił w nim tabliczkę czekolady, paczuszkę biszkoptów oraz garstkę cukierków - skromne, lecz przynajmniej na właściwym miejscu złożone dary dla bogów, które - według przekonania wszystkich prawowiernych buddystów - zamieszkują ten wyniosły szczyt. Dwa dni przedtem, kiedy obozowaliśmy wspólnie na południowej przełęczy, Hunt dał mi mały krzyżyk z prośbą, abym go zaniósł na wierzchołek. Wobec tego i ja wygrzebałem dołek w śniegu i położyłem w nim krzyżyk obok ofiar Tenzinga.

Nie miałem niczego, co mógłbym ofiarować bogom zamieszkującym Everest. Może oprócz radości, ale zapewne tej nie potrzebowali. Mogłem natomiast zabrać coś na pamiątkę - dla siebie i przyjaciół. Wyciągnąłem chorągiewki sponsorów - firmy Adani i hotelu Regent - i uwieczniłem je na filmie. „Wschód to delikatna sprawa - przemknęło przez moją głowę - a najważniejsze są relacje międzyludzkie”.

Jeżeli masz przyjaciół, wiele zniesiesz. Głód, nienawiść, nawet wojnę.

Najważniejszy jest pokój, świat bez wojen – mniej więcej w tym duchu mówiłem do obiektywu kamery. Rozwinąłem flagę Kazachstanu i dumnie ją uniosłem. Niebieskie płótno, orzeł machający żółtymi skrzydłami... Byłem wdzięczny temu krajowi. Pozwolił mi pozostać sobą, mogłem w nim żyć tak, jak chciałem. Dawać z siebie wszystko podczas treningów, osiągać szczyty, zwyciężać podczas zawodów.

Krótko: niech żyje wolność i swoboda, a po nas choćby potop!

Uśmiechnąłem się, złożyłem flagę i schowałem ją za pazuchą.

Ech, młodość! Pragnienie absolutu wciąż tkwiło w moim sercu. Nigdy nie należałem sam do siebie, ale to także mogło być formą wolności. Od dziesięciu lat żyłem w stanie absurdu i nie narzekałem. Strach, szczęście, porażki i zwycięstwa nie miały granic.

- Jestem na dachu świata! - zawołałem do nieba, które było tak blisko. Niech wszyscy to usłyszą: - Jestem tu!

Ta chwila była wiele warta.

Trzeba było schodzić. Wrócić do rzeczywistości. Apa już ruszył w dół. Widać, doszedł do wniosku, że poradzę sobie sam. Przez chwilę widziałem jeszcze jego sylwetkę, potem skryła ją mgła. Chłopcy, którzy doszli na szczyt po nas, czekali, kiedy wreszcie ruszę tyłek z najwyższego szczytu świata i pozwolę świętować innym.

Żegnaj, Evereście! Kto wie, czy jeszcze do ciebie wrócę.

Rozejrzałem się, ale nad Himalajami drgała jedynie mglista zasłona. Czułem jednak, że pod moimi stopami znajduje się cały świat, a ja patrzę na niego dosłownie i w przenośni z góry.

Zejsście jest trudniejsze niż wejście – dogmat, który wrył się w moją świadomości po dziesięciu latach uprawiania alpinizmu, zadźwięczał niczym dzwonek, gdy tylko zrobiłem pierwsze kroki w dół. Raki były sprawdzone i pewne, ale należało zachować rozwagę. Źle postawiony krok, chwila nieuwagi i leciało się do Kotła Zachodniego, dwa i pół kilometra niżej.

Nie chciałem opuszczać szczytu. Po raz ostatni, zanim sylwetki ludzi i flag przykryła biała zasłona, odwróciłem głowę. Dosyć! Zdobycie Everestu to już przeszłość. Nikt mi tego nie odbierze, ale lepiej wrócić żywym i zdrowym. Chodzi przecież o to, żeby mieć miłe wspomnienia.

Na Uskoku Hillary’ego mimo mgły dostrzegłem jakiegoś wspinacza z czekanem w rękę. Pokonywał skałę tak, jakby z balkonu wdrapywał się na dach. Kiedy wyszedł mi na spotkanie, zauważyłem najpierw jego rozpięty kaptur kombinezonu. Przypominał fałd skórny australijskiej agamy kołnierzystej. W Kazachstanie występowała jej krewniaczka – krągłogłówką uszasta. Ona również, kiedy czuła strach, rozkładała podobny kaptur. Potem rozpoznałem plecak. Sterczała z niego biała rurka dochodząca do maski tlenowej – ubiegłego wieczoru własnoręcznie ją tam przykręciłem. Simone!

- Hej! - wychrypiałem. - Dobrze cię widzieć.

Przyjaciół opadł na jedno kolano. Jego włosy były oszronione, skóra wydawała się ziemista, jednak w oczach tlił się ogień. Wesolek z niego. Odsunął maskę.

- Daleko do szczytu? - zadał najważniejsze pytanie.

- Sto pięćdziesiąt metrów, nie więcej - odparłem.

Z ulgą opuścił ramiona, jakby ktoś z zewnątrz rozluźnił uścisk.

- Ciężko. Ale dam radę - oznajmił.

- *Viva Italia!* - Próbowałem dodać mu sił. - Na szczycie są ludzie, Simone.

- Jak u ciebie?

- W porządku. Trochę zmęczony.

- Dawaj do namiotu, dopóki wszystko gra. Zrób herbatę.

Skinąłem głową. O czym on gada? Herbata, namiot... Nie bardzo to ogarniałem.

- Na razie, Den. - Simone wyprostował się i przesunął jumar wzdłuż liny.

Musiał dotrzeć na szczyt Everestu. Ten dzień - 24 maja 2000 roku - powinien być decydujący nie tylko dla mnie, ale także dla niego. Patrzyłem za nim, jak niespiesznie pokonuje kolejne metry. W głowie brzęczało pytanie: „Namiot, co to takiego?”.

Opuściłem się po linie do podnóża uskoku.

Uczucia, które ogarnęły mnie pół godziny temu na szczycie, teraz wirowały jak zamieć. Wybijały z rytmu. Chmury i śnieg próbowały wciągnąć mnie w pułapkę. Miałem wrażenie, że rozpadam się na kawałki. Potrząsałem głową, by na kilka sekund wynurzyć się z nierzeczywistości, po czym znów zapominałem, dokąd zmierzam.

Uparcie szedłem jednak dalej. Pchała mnie jakaś psychiczna siła. Co tam mówił Simone? Herbata. Po co mu herbata? Dokąd poszedł? Musisz iść dokładnie na południe. Wiatr jest od prawej, tak jak powinien. Dlaczego mam się ścigać sam ze sobą? A muszę? Kto musi?

Przede mną wznosił się Wierzchołek Południowy. Wspomnienia uderzyły do głowy niczym adrenalina. Czuję się nieswojo: byłem tu godzinę, rok czy wieki temu? Wyczerpany, ledwie powłócząc nogami, wdrapywałem się na śnieżne ramię. Nie odpoczywać, nie łapać oddechu, tylko

dalej. Na dół! Na dół. Należy stracić wysokość. W tym ratunek! Życie. Moje życie?

Na głowę naciągnięto mi duszącą czapkę; mój oddech stał się płytki i przerywany. Być może serce pracowałoby jak należy, ale brakowało mu ożywczego powietrza. Czułem się tak, jakbym biegł z ogromną prędkością, a ktoś trzymał mnie za gardło, uniemożliwiając oddychanie. I jeszcze ta mgła: lepka i gęsta, pokrywająca świat białawym filtrem. Znajdowałem się poza sobą.

- Everest - wyszeptały moje usta.

Nikt tego przytłumionego słowa nie usłyszał, nawet wiatr odmówił niesienia go dalej. Słowo, które tak wiele znaczyło tam, w świecie ludzi, zostało nadziane na igielki śnieżynek i umarło zaraz po narodzinach. Poczułem pustkę i samotność. Obojętność.



Simone Moro na szczycie Everestu

To, co działo się później, było jak sen. Delirium. Znałem ten stan, coś podobnego przeżywałem podczas wycieczających przejść przez tajgę. Tam, na Sachalinie, gdy mieliśmy w nogach sto kilometrów i trzydzieści godzin marszu za sobą, świadomość się wyłączała. Słaniałem się ze zmęczenia, nie byłem w stanie kontrolować swojego położenia w przestrzeni. Spałem, idąc. Tu zaczynały się dziwactwa tego samego rodzaju. Być może dotarłem do granicy swojej wytrzymałości fizycznej, adaptacji do dużej wysokości i jej warunków. Ciało jeszcze działało w trybie autopilota, ale łączność z głową została już zerwana. Dryfowałem w rozrzedzonym powietrzu, ledwo kontrolując sytuację.

W którymś momencie, kiedy gwałtownie chwyciłem za poręczówkę, mój łokieć uderzył w czekan przy uprzęży. Widocznie poluzował się w uchwycie, bo spadł na śnieg i powoli zaczął zjeżdżać w dół. Obserwowałem wszystko jak na zwolnionym filmie. Zgrabny stalowo-zielony przedmiot płynnie oddalał się ode mnie, a ja po prostu na to patrzyłem. Przez moją głowę leniwie płynęły myśli: „Czekan. Spada. Zaraz poturla się w przepaść”. W jakimś przebłysku rozumu, krzyknąłem do siebie: „Łap go, zatrzymaj! Przyda się, gdy będziesz schodził po lodzie”, a potem znów osunąłem się w odrętwienie: „Niech spada”. Czekan przechylił się, machnął do mnie styliskiem i poleciał wzdłuż wschodniej ściany.

To wyzwoliło we mnie zdziwienie. I jakiś rodzaj głupawki. Jakbym ujarzył się marihuaną. „Oj, co za wstyd. Biedak”. Gdybym nie miał w dłoniach liny, próbowałbym nimi komicznie pomachać. A tak wzruszyłem tylko ramionami i ruszyłem dalej. Traciłem wysokość, schodziłem tam, gdzie mogło istnieć życie. Robiłem to instynktownie, już dawno

przestałem sobie uświadamiać, w jak nieprzyjaznym miejscu byłem.

Co czterdzieści, pięćdziesiąt metrów musiałem odpoczywać. Znow zaczęło mocniej padać, rozpętała się kolejna zamieć, widoczność spadła do kilku metrów. Skąd szedłem i dokąd? Pamięć i przestrzeń przestały istnieć. Tylko instynkt przetrwania wciąż pchał mnie w dół. Wreszcie odczułem, że teren zrobił się bardziej płaski. Dotarłem do Balkonu. Tu utonąłem w świeżym śniegu po kolana. Gdyby zdarzyło się to podczas wspinaczki na szczyt, nie wiem, czy ktokolwiek dotarłby tego dnia na dach świata.

W kularze, który nurkował w skały, poczułem się lepiej. Przez ostatnią godzinę przebywałem w stanie somnambulicznym, teraz mój oddech, choć nadal rwany, stał się spokojniejszy. Trudność sprawiał natomiast świeży śnieg. Na jego powierzchni utworzyła się cienka skorupa, z trudem się przez to wszystko przebijałem. Nie miałem siły na taką zabawę. Usiadłem na tyłku i zsuwałem się wzdłuż poręczówek. Niżej, kiedy stok stał się łagodniejszy, trzeba było wrócić do pozycji pionowej i znanego rytmu: czterdzieści, pięćdziesiąt metrów, przerwa, czterdzieści, pięćdziesiąt metrów, przerwa.

W pewnym momencie źle postawiłem nogę, obróciło mną i musiałem oprzeć się dłońmi o skały. Kiedy uniosłem w górę oprószoną śniegiem twarz, wprost przed sobą ujrzałem Buddę lub Krisznę, kto go tam wie. Unosił jedną dłoń i zdawał się błogosławić światu. Skądś w mojej głowie pojawił się obraz gladiatorów wykrzykujących przed wejściem na arenę: „Witaj Cezarze, idący na śmierć cię pozdrawiają!”. Kto wciągnął tu tę statuetkę i po co? Miała ze czterdzieści centymetrów wysokości, ustawiono ją w załomie skały i owinięto w buddyjską kremową szarfę. Miejsce wybrano starannie, z posążka emanowała powaga.

Patrzyłem w oczy tego Buddy lub Kriszny będącego wcieleniem boga Wisznu i odnajdywałem w nich odbicie ludzkich głupich ambicji oraz ból nieskończonych odrodzeń u wrót krainy Szambala.

Skończyły się poręczówki, a we mgle i padającym śniegu niewiele widziałem. Buddyjska mądrość nie pomagała mi odnaleźć drogi zejścia. Tutejsze bóstwa jednak się mną opiekowały, posłały w moją stronę dwóch Szerpów. Wynurzyli się z szarego całunu niczym zjawy.

- Hej! Jak tam? - zdołałem zagadać, zanim minęli mnie ciężkim krokiem.

Jeden z nich przystanął, odchylił maskę i powiedział, że ktoś na górze poczuł się źle.

- Idziemy do niego z tlenem - dodał.

Tak nagle jak się pojawili, tak szybko zniknęli. Znów pochłonęła ich mgła. Ale przetarty przez nich szlak wskazywał, którądy do namiotu. Gdzieś tkwiły też trasery. Około pierwszej po południu, po wieczności od wyruszenia nocą, znalazłem się ponownie na przełęczy. Było tu wręcz spokojnie, powiedziałbym nawet, że przytulnie. Huragan szalał wyżej, tu docierały tylko jego odpryski.



Po zdobyciu ośmiotysięcznika każdy czuje pragnienie

Roztopiłem lód i zagotowałem wodę. Wypiłem kilka łyków, a potem leżałem bez sił, nie myśląc o niczym, nic nie widząc. Czas gnał niczym wichurą na najwyższym szczycie świata. Minęło półtorej godziny od mojego powrotu. Zdążyłem wypić herbatę i nastawić kolejną wodę. Zacząłem się martwić o Simone. Może wyjść mu na spotkanie?

- Kto tam?! - zawołałem, gdy ktoś oparł się o stelaż namiotu.

- Simone. - Jego głos był przytłumiony.

Patrzcie! Wrócił!

- Den, gratulacje! - Mój przyjaciel wtaraśniał się do namiotu.

- Tobie też! Dobrze, że jesteś!

Zrzucił z ramion plecak. Pół twarzy zasłaniała mu odsunięta na bok maska tlenowa. Sprzęt wesoło syczał, wyglądało więc, że życiodajnego gazu starczyło. Zakręcenie zaworu butli było symbolicznym zakończeniem naszego zdobywania Everestu. Spojrzawszy na zmierzwiłone włosy i oszołomione spojrzenie Simone, roześmiałem się.

- Zrobiliśmy to!

Mój przyjaciel zacisnął pięść i pomachał nią groźnie.

- A jest woda? - zapytał.

- Jest coś lepszego, herbata. - Podałem mu kubek.

- Świetnie! Muszę się rozgrzać.

A potem wyznał, że nie ma czucia w palcach u nóg.

- I tu też. - Wyciągnął do mnie prawą dłoń.

Palce wskazujące i środkowy były jakby przydymione. Przyjrzałem się im uważniej, były odmrożone. Cholera!

- Boli cię? - Zacząłem dotykać uszkodzonej tkanki.

- Nie. Nic nie czuję. Będzie dobrze.

Zmarszczyłem brwi. Byłoby lepiej, gdyby Simone czuł ból.

Westchnąłem.

- Zdejmuj buty. Zobaczymy, co z twoimi stopami - nakazałem.

Okazało się, że było gorzej. Kiedy mój przyjaciel zdjął buty, pojawiła się złowieszcza czerń. Podczas ataku szczytowego panował straszliwy mróz, a osłabione chorobą serce Simone w niewystarczającym stopniu pompowało krew do naczyń. Była jednak szansa na uratowanie stóp.

Zaaplikowałem Simone aspirynę i pentoksyfilinę oraz mnóstwo herbaty. I kazałem z całych sił masować palce i je rozgrzewać. Około piątej po południu ożyła krótkofalówka. Nadeszło potężne załamanie pogody, Robert i Mark z bazy prosili o podejście do góry. Na wysokości 8600 metrów utknęła grupa klientów. Wszyscy byli bardzo zmęczeni, otępiali, czekali na śmierć. Przypomniałem sobie, że w tamtym miejscu zaczyna się głęboki śnieg. Grupa miała więc problem z przetarciem szlaku... w dół!

- Nie mają tlenu? - odezwałem się.

- Mają. Dodatkowo dwóch Szerpów idzie do nich z butlami.

To ci, których spotkałem podczas schodzenia.

- Naprawdę nie dadzą rady zejść?

- Są bardzo zmęczeni.

- Jak mamy im pomóc? - zapytałem, a przez moją głowę przeleciała inna myśl: „W cholerę z nimi!”. - Mamy ich popychać w dół?

- Trzeba do nich podejść - dobiegło jakoś nieśmiało z krótkofalówki. - Pomóc...

Albo oni, albo ja czegoś nie rozumieliśmy. Simone miał odmrożenia, nie mógł się ruszyć. Sam też nie czułem się rewelacyjnie. „Trudno - pomyślałem - mus, to mus”. Ubrałem się, wciągnąłem buty i wyszedłem na zewnątrz. Przy sąsiednich namiotach kręcili się Szerpowie. Podszedłem do nich i krzyknąłem, że będę się wspinał.

- Dajcie tlen, poniosę!

Moje słowa wywołały dziwną reakcję. Mówiłem im o tlenie, a oni udawali, że nie rozumieją, o co chodzi. Na szczęście wśród Szerpów odnalazł się mój everestowy znajomy - Apa. Jak się okazało był sirdarem, przełożonym wszystkich tych wysokogórskich tragarzy. On też mnie rozpoznał.



Widok ze stoku Everestu na zachód słońca

Dzieliliśmy między siebie butle i maski, kiedy z jednego z namiotów wyszedł facet z krótkofalówką przy uchu. Rozmawiał właśnie z grupą, która tak opadła z sił w okolicy Balkonu. Coś negocjował, do czegoś ich zachęcał.

- Jak tam? - zapytałem.

- Zaczynają powoli schodzić - odparł. - Są przy nich Szerpowie, torują drogę.

- Idę do nich, zorientuję się, co i jak.

Usłyszawszy moje słowa, gościu aż poskoczył z radości.

- Znalazłem ci wolontariusza! - krzyknął do Apy.

Wymieniliśmy z Szerpą krzywe uśmiechy.

- Pozostałym zapłacę! - zawołał ten kierownik krótkofalówki. - Teraz do góry.

Kiwało mną na wietrze. Apa spojrzał na mnie i pokręcił głową. „Nie wtrącaj się” - mówił jego gest.

- Damy sobie radę sami - oznajmił. - Trzech Szerpów już rusza. Cały dzień spędzili na przełęczu, nie są zmęczeni.

- Na pewno? - zapytałem. Owszem, nie uśmiechała mi się kolejna wędrownka na osiem i pół tysiąca metrów, ale jeśli trzeba pomóc...

- Będzie dobrze. Denis, tak? Wracaj do namiotu, odpoczywaj.

- Potrzebujecie czegoś?

Apa na chwilę się zamyślił.

- Masz czołówkę? Jeżeli możesz, daj Szerpom. Będą schodzili po nocy.

Oddałem latarkę; w myślach pożegnałem się z nią na zawsze. Poczłapałem z powrotem do namiotu. W mojej głowie kołatała jedna myśl: „Everest to ryzykowna

rozrywka”. Przekonał się o tym sam Bukriew w 1996 roku.

[*] John Hunt, dz. cyt., fragment rozdziału *Szczyt* napisanego przez Edmunda Hillary’ego, s. 277-288.



Noc minęła spokojnie. Tylko raz z płytkiego snu wybudziły mnie przytłumione głosy i pobrzękiwanie sprzętu. Nasłuchiwałem przez chwilę, ale nic nie wskazywało na panikę. Wyglądało na to, że wszystko skończyło się szczęśliwie. O poranku, kiedy wypęzłem z namiotu, jeden z Szerpów potwierdził moje przypuszczenia. Klienci zeszli na przełęcz. Przeżyli. Teraz odpoczywali.

Pogoda była lepsza niż dzień wcześniej. O wiele lepsza. Kiedy podniosłem głowę, ujrzałem Wierzchołek Południowy. Wciąż trudno było mi uwierzyć, że tam dotarłem.

- Den, jak tam? - zapytał Simone z namiotu.
- W porządku. Niedługo wyjrzy słońce. Możemy schodzić.
- Najpierw napijmy się herbaty. A potem w dół.

Zanurkowałem pod naszą pałatkę, puściłem oko do Simone, który masował stopy, nastawiłem wodę, a potem wygrzebałem z rzeczy reduktor, maskę i butlę. Poszedłem oddać sprzęt Szerpom, żeby nie schodzić z nim do bazy. Im też było to na rękę, nie musieli szukać mnie na morenie lodowca. Jeszcze raz serdecznie im podziękowałem. Gdyby nie butla, którą mi podarowali, nie ruszylibyśmy na podbój Everestu. Szerpowie na moje słowa zareagowali uśmiechem, a potem wrócili do swoich spraw. Moja obecność zakłócała rutynę ich poranka, nie było sensu rozwodzić się nad całą sprawą. Wyznawcy buddyzmu nie potrzebowali europejskich manier i grzecznościowych formułek.



Po czterech nocach na Przełęczy Południowej trzeci obóz jawi się jak
cicha przystań

Okolo ósmej rano wraz z Simone pomachaliśmy na pożegnanie tym, którzy pozostawali na przełęczy, i ruszyliśmy w dół. Schodziliśmy, czując się zwycięzcami. Nie chciałem, żeby Simone dźwigał za dużo, zapowiadał się ciężki dzień. Poniżej Żebra Genewczyków ledwie daliśmy radę wydrzeć liny spod zlodowaciałego śniegu. Potem spotkaliśmy trzech chłopców z ekipy amerykańskiej. Szli w maskach tlenowych od wysokości siedmiu tysięcy metrów - parli do przodu niczym bogowie. Nie można było ich zatrzymać.

Kiedy dotarliśmy do obozu drugiego, spotkaliśmy ekipę rosyjsko-gruzińską. Wybierali się na zwiady, w stronę Przełęczy Południowej. Dali nam pić, a Jewgienij Winogradzki zrobił Simone kilka zastrzyków w tyłek i obejrzał jego odmrożenia. Według niego o palce nie trzeba się było martwić. Dzięki Bogu!

Dalsza wędrówka okazała się udręką. W plecakach nieśliśmy mnóstwo badziewia, rzeczy zawilgotniały, sprzęt ciążył. Ledwo powłóczyliśmy nogami. Lodospad bardzo się zmienił. Szerpowie zaczęli likwidować drabiny i niektóre liny poręczowe. Zmieniła się również sama baza. Dokładniej - już jej nie było. Z namiotowego miasteczka pozostało niewiele. Simone zakładał, że tak będzie. Nasza między-narodowa grupa pod przewodnictwem Piotra Pustelnika też się zebrała i rozjechała na cztery strony świata. Należące do mnie i Simone rzeczy spakowano i złożono przy obozie rosyjsko-gruzińskim.

- A więc znalazłeś tlen, Den. Gratulacje! - radośnie przywitał nas Beno Kaszakaszwili.

Byliśmy wśród przyjaciół. A ja dodatkowo pośród ludzi o mentalności podobnej do mojej. Wystarczyły dwa słowa -

„nalejmy, wypijmy” – by uczcić nasz szczęśliwy powrót do bazy.

Pożyczyłem od Simone telefon satelitarny. Chciałem porozmawiać z mamą, powiedzieć, że już po wszystkim i wracam do domu.



Od wiecznego lodu do sjesty; jak mówią Gruzini – *Gaumardžos!*

Tamtego wieczoru poczułem, że dopiąłem swego. Za kilka dni przyjdzie monsun, dostęp do gór się zamknie. Wprawdzie nie zdobyłem Lhotse, a trawers pozostał w sferze marzeń, ale wszedłem na Everest. Skorzystałem z szansy danej mi przez los. „Co tam porabia Michaił Niekricz? – myślałem, gapiąc się na zachodzące słońce. – Enigmatyczny facet ze Szwajcarii, Rosji lub Bóg wie skąd?”.

Wyprawa dobiegła końca. Simone czuł się lepiej. Obaj byliśmy zadowoleni z tego kawałka życia, jakie spędziliśmy w Himalajach.

Z pamiętnika Andrieja Starkowa:

Budzę się późno. Światło ledwie przebija się przez szczeliny czegoś, co nazywa się tu pokojem hotelowym. Po wczorajszej depresji nie ma śladu. Leżę i rozmyślam o tym, co mi się śniło: o dobrym jedzeniu, ładnych wnętrzach i kuszących propozycjach pięknych kobiet. Wojna też mi się śniła: coś o japońskich żołnierzach, których z łatwością pokonaliśmy.

Trzeba przyznać, że Tengboche to piękne miejsce. Z otwartego tarasu mam widok na Everest. Wciąż jest chłodno i pochmurno. Przez szarość przebijają groźne szczyty. Zostanę tu jeszcze jeden dzień. Chcę zrobić zdjęcia Czomolungmy; mam nadzieję, że pogoda poprawi się do wieczora. Z hotelików, w których nocowałem wcześniej, najwyższego szczytu Ziemi nie było widać, to ostatnia szansa na ładne ujęcia.

Zwiedzam klasztor. Tengboche oznacza „miejsce dobre dla snu”, „miejsce, gdzie się ma dobre sny”. Nazwa wzięła się od lamy, który zmuszony był spędzić w tym miejscu noc, doznając we śnie objawienia. Wysłuchuję wykładu anglojęzycznego przewodnika, oglądam dziedziniec, a potem pomieszczenie z ogromnym Buddą, bębnami, flagami modlitewnymi. Wszędzie jest kolorowo, są zachodni turyści, ale nie ma mnichów. Tych spotykam poza zabudowaniami. Spod ciemnoczerwonych tog wystają buty trekkingowe, ciepło zapewniają puchowe kurtki – moda klasztorna idzie z duchem czasu. Nie tylko zresztą ona. Są również antena satelitarna i kolektory słoneczne. Obok klasztoru znajduje się lądowisko dla helikopterów.

Idę na spacer. Kilku Szerpów obtłukuje kamienie do budowy domów lub murków. Tutejsze hoteliki są zbudowane z takich dokładnie ociosanych bloków. Nie wykorzystuje się zaprawy, używa się konstrukcji szkieletowej z belek. Szwy między kamieniami zasmarowuje się ziemią lub gliną. Domy kryte są blachą, często ocynkowaną, najstarsze - łupkiem. Szlak do bazy pod Everestem w przeciwieństwie do tego na Annapurnę nie jest wyłożony kamieniami. Tak w ogóle, trekking pod Annapurnę podobał mi się bardziej. Tam były piękne widoki, większość drogi wiodła przez las, tu drzewa kończą się na wysokości Tengboche.

O piątej po południu siedzę przy wejściu do swojego hoteliku z aparatem. Mam nadzieję, że chmury się rozejdą i odsłonią Everest. Przystaje przy mnie gromadka cieląt. Czyżbym doznał objawienia i mogę rozmawiać ze zwierzętami jak prawosławni święci Siergij Radonieżski i Serafin Sarowski? Prawda okazuje się banalna: zwierzęta przyszły na podwieczorek; o tej godzinie sędziwy Szerpa karmi je sianem. Witamy się przeciągłym „Namaste”. Ręce dziadka są powykrzywiane i czarne. Przypominam sobie, że Simone mówił, że człowiek ten pamięta wyprawę Hilarego i Tenzinga - stracił palce podczas pierwszych wspinaczek z himalaistami. Zza skrawków szarofioletowych chmur wynurza się Everest. Robię kilka zdjęć. Niestety zapomniałem o kamerze, a szkoda, byłyby dynamiczne ujęcia, chmury pędzą naprawdę szybko.

Za ogrodzeniem na małym placu przed hotelem długonogi chłopak wraz z dziewczyną szybko i sprawnie rozstawiają namioty. Pomagają im Szerpowie. Chłopak rozciąga między namiotami linę z proporczykami modlitewnymi. Widać, że ten rytuał ma dobrze opracowany. Dochodzę do wniosku, że to

samotny alpinista, który być może stanie się kiedyś równie sławny jak Messner lub Bukriew. Zresztą kto wie, może już jest znany.

Wieczorem siedzę w jadalni. Wokół sporo ludzi, ale ja jestem sam. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło: spisuję notatki. Dlaczego ubiegłej nocy miałem sen z japońskimi żołnierzami z czasów drugiej wojny światowej? Może dlatego, że wczoraj spotkałem grupę Japończyków w podeszłym wieku. Jeden z nich – facet o skamieniałej twarzy – miał kłopoty zdrowotne. Umieszczono go, jak mnie wcześniej, w komorze hiperbarycznej. Teraz widziałem, jak wygląda to z boku: wielce nieciekawie. Na podłodze leży coś, co przypomina kokon. W środku – bezbronny człowiek, którego nie widać, ale wiadomo, że tam jest. Ci, którzy mnie reanimowali, zaglądali przynajmniej do mnie przez szybkę i słownie wspierali. Towarzysze Japończyka siedzieli bez ruchu, jakby już uznali go za zmarłego.

Dzień wcześniej wymyśliłem projekt. Roboczo nazwałem go Chan Tengri pod Everestem. Chciałbym, żeby Szerpowie wnieśli do bazy pod najwyższą górą świata pięćdziesiąt moich pejzaży z Tien-szanu i okolic. Wystawa mogłaby się odbyć z okazji pięćdziesiątej rocznicy pierwszego wejścia na Everest, w 2003 roku.

Budzę się po piątej i od razu wychodzę na dwór. Może uda się zrobić dobre zdjęcia, zanim ruszę do Namcze Bazar. Niestety wszystko tonie we mgle. Około siódmej zaczynają się modlitwy w klasztorze. Biorę kamerę i idę na spacer. Filmuję jak leci: drzwi, kamienie, mury, mchy, porosty. Docierają do mnie przytłumione głosy modlących się, bicie w gong, a potem głośne buczenie trąb. Dostaję gęsiej skórki.

Opuszczam Tengboche. W spokojnym tempie koło południa docieram do Namcze Bazar. Zatrzymuję się w tym samym hoteliku, co wcześniej. Gospodyni Pemba zna Simone kilka lat. Była nawet we Włoszech, ale nie wiem, czy w odwiedzinach, czy w interesach. Pamięta również Bukrijewa, pokazuje mi pokój numer 4, w którym mieszkał. W prowadzeniu hoteliku pomagają Pembie dwie siostry; jedna z nich jest bardzo zgrabna, przypomina z wyglądu Yoko Ono. Jest też brat; w Katmandu kieruje agencją Cho Oyu Trekking. Tak się rozkręca rodzinny interes.

W jadalni spotykam Guida, przyjaciela Simone. Gadamy, a potem idziemy na spacer. Uliczki Namcze są wąskie i strome; błoto, kamienie, stoiska z towarami. Wchodzimy do europejskiej z wyglądu kawiarni. Słczy się przyjemna muzyka, jest czysto. Guido ze śmiechem przyznaje, że choć nepalska egzotyka ma w sobie wiele uroku, czuje się nią zmęczony. Wieczorem długo siedzimy w hotelowej jadalni. Mój angielski jest koszmar; nie wiem, jak udaje nam się porozmawiać o zapasach ropy i uranu w Kazachstanie, Putinie, totalitaryzmie, dziełach Rafaela w galerii Uffizi, a także o tym, co takiego wyjątkowego jest w sztuce. Guido Guzzi jest jubilerem. O ile dobrze rozumiem, ma 48 lat i mieszka w Mediolanie.

Tej nocy śpię bardzo dobrze w pokoju modlitewnym. Rano pojawiają się problemy: Guido się zatruł: wymiotuje, skarży się na ból serca. Nie da rady schodzić do Lukli. Mogę wyruszyć sam, ale już się nastawiłem, że będę miał towarzystwo. Jest 17 kwietnia, dzień urodzin mojego ojca. Samolot odlatuje z Lukli dopiero za dwa dni. Gdybym dotarł tam dziś, cały dzień spędziłbym sam. Zostaję.



Do klasztoru Tengboche przybywają pielgrzymi z całego świata

Z rozkoszą pochłaniam na śniadanie owsiankę, smażonych potraw, choć są dobre, mam na razie dosyć. Proszę, żeby przygotowano dla mnie prysznic. Ta atrakcja - wiadro gorącej i wiadro zimnej wody - kosztuje 160 rupii. Niedrogo, jeśli się pomyśli o orzeźwieniu, które daje taka kąpiel.

Guido przez cały dzień nie wychodzi z pokoju, muszę szukać rozrywki na własną rękę. Do Namcze nie prowadzą żadne drogi jezdne, wszystkie potrzebne rzeczy wnosi się tu na plecach lub grzbietach zwierząt. Wszędzie słychać uderzenia młotków i dłuta o kamienie. W najbliższym czasie Namcze Bazar wzbogaci się o kilka kolejnych hotelików. Niemal staję jak wryty, gdy widzę, że na jednej z budów używa się zbrojenia i betonu. Sądząc po ilości zastosowanych

prętów, dom wytrzyma trzęsienie ziemi o sile nawet dziewięciu stopni. Zadziwiająco, jeśli się pamięta, że wszystkie te materiały trzeba było jakoś tu donieść.

Na jednej z uliczek zatrzymuję się przy niewielkim kramiku z obrazami olejnymi - nieudolnie kopiowanymi widoczkami z pocztówek. Jeden przyciąga moją uwagę: postać Szerpy albo mnicha, a u jego stóp zimowy pejzaż w skali mikro. To częsty zabieg w sztuce naiwnej, zwłaszcza u moich ulubionych prymitywistów jugosłowiańskich. Przypominam sobie sklep z obrazami, na który natknęliśmy się z Denisem, gdy spacerowaliśmy po katmanduańskiej dzielnicy Thamel. Prawdziwa galeria sztuki ze świetnymi akwarelami jakiegoś młodego artysty z Katmandu. Szczerze pozazdrościłem mu talentu.

Wieczorem przy kolacji próbuję sobie przypomnieć szczegóły wyprawy Bukiejewa w 1997 roku pod Annapurnę. Po powrocie mam napisać o tym artykuł. A rano ruszam do Lukli. Guido nadal czuje się źle, cała ta wyprawa nieźle mu obrzydła. Żartuję, że ma w zamian mnóstwo wrażeń, które może wykorzystać przy tworzeniu nowej kolekcji biżuterii. Broszka Oko Buddy, naszyjnik Łzy trekkera, wisior Zęb Yeti...

W drodze do Lukli towarzyszy nam ładna pogoda. Potem aura się psuje, znów chmury i deszcz. Dostajemy pokój w hotelu niedaleko lotniska. Guido cały wieczór spędza w łóżku.



Kilka dni później otworzyłem drzwi od swojego małego pokoiku w hotelu Star w Katmandu. Zszedłem na dół, skinąłem głową recepcjoniście. Wyszedłem na ulicę, a mój umysł zalała kakofonia barw i dźwięków. Był poranek, a ja

czułem się zmęczony wielodniowym pobytem na dużej wysokości. Mimo to noce przesypiałem kiepsko. Męczyły mnie majaki, drżałem w otchłani halucynacji, po przebudzeniu nie mogłem sobie jednak przypomnieć, co tak dręczyło moją duszę.

Nie potrafiłem na niczym się skupić ani znaleźć sobie żadnego zajęcia. Nie chciało mi się nic robić, ale też nie musiałem się wysilać. Wszedłem na Everest, miałem prawo do nicnierobienia, tracenia czasu na próżno. Mogłem się cieszyć zwykłą codziennością, tym, co leżało u podstaw ludzkiego szczęścia - powietrzem, wodą i jedzeniem. Korzystać ze zdobyczy cywilizacji, ale też się nimi nie przejmować.

Rozejrzałem się dookoła. Nie wiedziałem, dokąd się udać. Plecami odwróciłem się do słońca; niech rozgrzewa przemrożoną mózgowicę, zamiast oślepić. Wszystko, co chciałem zobaczyć w Katmandu, już widziałem. Kiedyś, dawno temu, zanim osiągnąłem Everest. Teraz szedłem przed siebie, słuchając okrzyków handlarzy i lawirując między turystami oraz sprzedawcami haszyszu. Wciąż wspominałem przygody ostatnich dni.

Simone zatrzymał się w hotelu Vaishali, zbyt drogim jak dla mnie. Chodziłem tam jednak na śniadania, dzięki przyjacielowi miałem je za darmo. Włoch zmizerniał i schudł, wciąż promieniował jednak wewnętrzną siłą. Pobolewały go odmrożone palce. Z bazy niewiele przeszedł o własnych siłach. Wył z bólu przy każdym kroku i w dolinę, do lądowiska w Syangboche, koniec końców dotarł na koniu - białym, jak przystało na bohatera. Machał z niego do wszystkich napotkanych dziewczyn. Wyglądał przy tym na prawdziwego zdobywcę, z tym swoim szerokim uśmiechem i dumnie wyprostowaną sylwetką.

Z Syangboche odlecieliśmy do Katmandu rosyjskim śmigłowcem Mi-8. Również białym. Długo czekaliśmy, nim

Nepalczyki załadują do niego trzy i pół tony lokalnego barachła. Gdy wreszcie przeciążony Mi-8 z trudem oderwał się od ziemi, Simone w zachwycie wrzeszczał:

- Rosyjska maszyna! Den, niech żyje rosyjska maszyna!

Przyglądał się temu Apa, Szerpa, z którym wszedłem na Everest i który później kierował akcją ratunkową na Przełęczy Południowej. Przysiadł nieco z boku, jego szczupła postać i nieśmiały wyraz twarzy zupełnie nie pasowały do moich dramatycznych wspomnień. Kiedy witałem się z nim kilka minut wcześniej, potrząsając serdecznie jego smagłą żyłastą dłonią, wydawał się zmieszany okazywaną mu uwagą.

Prawdziwe zaskoczenie czekało nas jednak w Katmandu. Na lotnisku powitał nas tłum: kamery, mikrofony, dziennikarze, oficjele. Wszędzie kolorowe wstążki, wiązanki kwiatów. Wymieniliśmy z Simone zdziwione spojrzenia. Co tu się dzieje? Czy to nas tak witają? A dlaczego nie? Przecież jesteśmy zdobywcami najwyższego szczytu świata!

Simone, wypiąwszy pierś do przodu, wyszedł na trap. Za nim ja: wzruszony i dumny. Byliśmy w samym centrum uwagi, anioły trzepotały skrzydłami i wkładały na nasze głowy wieńce laurowe. Ach, co za chwila! Pławiliśmy się we własnym zachwycie, kiedy dziennikarze i operatorzy pchający się w stronę wejścia do śmigłowca, bezceremonialnie odepchnęli nas na bok. W drzwiach ukazał się Apa. Tłum zaczął wiwatować, a zawstydzony Szerpa próbował stać się własnym cieniem. Był tak wzruszony, że nie wiedział, co robić. Ludzie pomogli mu wyjść z kabiny i w blasku fleszy, przed obiektywami obsypali kwiatami. Wysocy urzędnicy państwowi kłaniali się z szacunkiem, piękne kobiety, złożwszy obie dłonie w geście powitania, zamierały w pokłonach.

- *Namaste! Namaste, Apa Szerpa!* Witamy serdecznie! - wołano z szacunkiem.

Okrzyki radości, uśmiechy, wiwaty, wszystko to stało się udziałem niewysokiego Nepalczyka, który zmieszany przestępował z nogi na nogę i mrużył oczy po wyjściu z półmroku kabiny śmigłowca. Staliśmy z boku, próbując zrozumieć, skąd całe to zamieszanie.

- Co to wszystko znaczy? - wydusił z siebie Simone.

Przedstawiciel agencji, który miał się nami zaopiekować w Katmandu i który jako jedyny przy nas przystanął, popatrzył na nas z politowaniem.

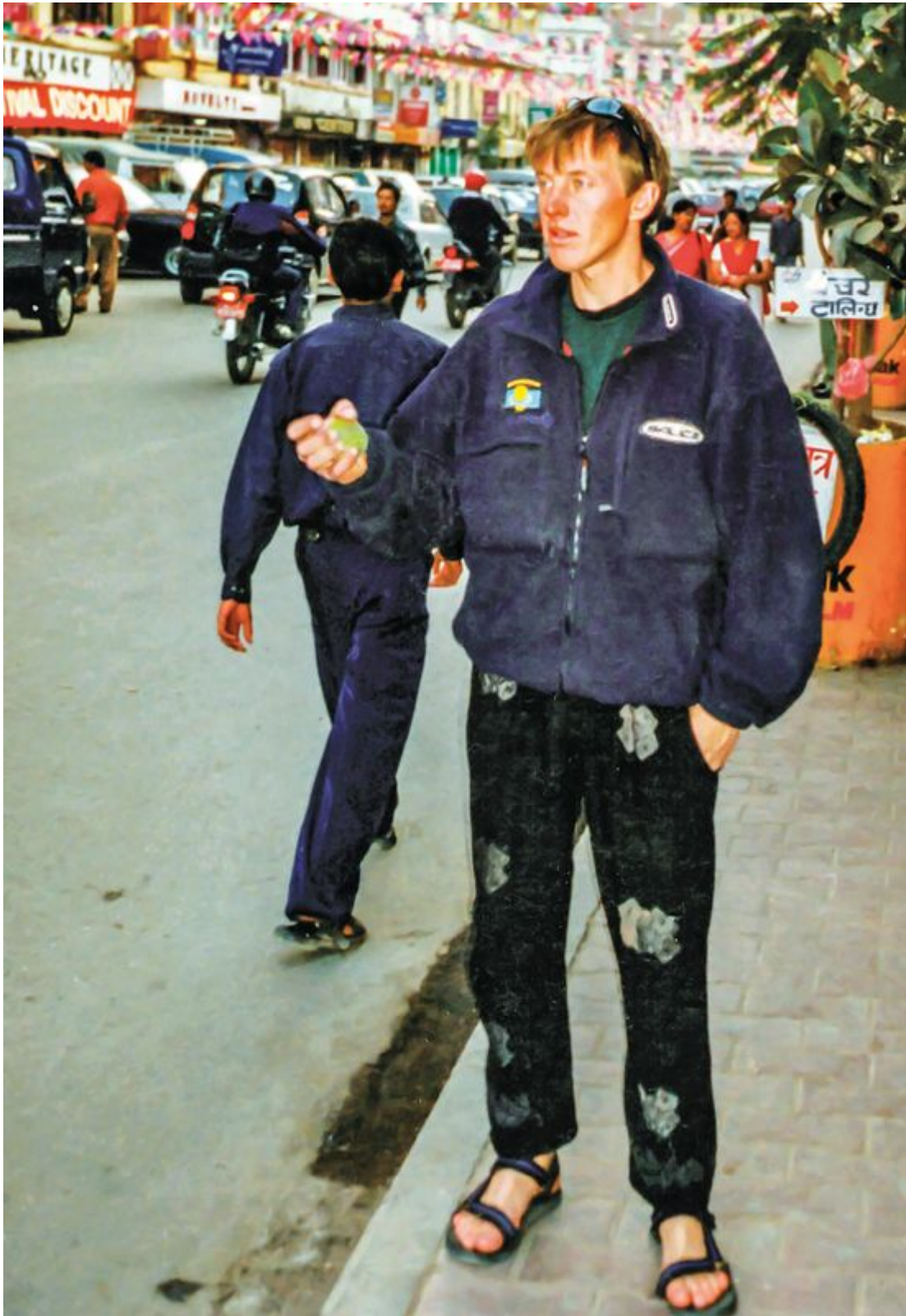
- To Apa Szerpa - oznajmił niczym profesor, który nie może się otrząsnąć ze zdumienia, że studenci fizyki proszą o wyjaśnienie wzoru $E = mc^2$.

- No i? - Niezrażony Simone podrapał się po nosie.

- Wszedł na Everest po raz jedenasty. - Nasz opiekun westchnął głęboko, jakby uznał, że wyjaśnianie głupkom teorii względności to niepotrzebna strata czasu.

- Po raz jedenasty? - Uniosłem brwi ze zdumieniem i ucieszyłem się z osiągnięcia Apy. - Coś niesamowitego! ^[*]

Niestety nie mogliśmy obejrzeć całej ceremonii powitalnej, spieszyliśmy się do szpitala. Przedstawiciel agencji wyprowadził nas z lotniska i wsadził do taksówki. Simone trafił w ręce lekarzy i szybko poczuł się lepiej.



Przemrożona mózgowica inaczej postrzega normalny świat

Teraz, w ciepłe poranka zabawnie było rozpamiętywać przygody ostatnich dni. Simone odpoczywał w swoim hotelu, pływał się w basenie, a potem odpowiadał na pytania dziennikarzy. Zwykle skromnie siadałem z boku, popijając kawę i pochłaniałem bułeczki.

- Den, Miss Hawley - powiedział Simone któregoś razu i wskazał głową starszą kobietę.

- Naprawdę? To ona? - Obserwowałem, jak wchodzi do hotelu.

Przyjechała do Simone, aby wypytać go o szczegóły wejścia na Everest i nieudany trawers. Towarzyszył jej Nepalczyk: pomocnik, przewodnik, ochroniarz i kierowca w jednej osobie.

O Elizabeth Hawley słyszeli wszyscy, którzy mieli cokolwiek wspólnego z himalaizmem. Niewysoka, szczupła, o przenikliwym spojrzeniu zdradzającym ironiczną inteligencję, potrafiła rozłożyć na czynniki pierwsze każdą ekspedycję, wyciągnąć ze wspinaczy wszystkie interesujące ją informacje i szczegóły. To, co w jej oczach uchodziło za niepotrzebne dodatki, ignorowała, jakby mówiąc: „Sprawy osobiste nie wchodzą w zakres moich zainteresowań”.

Długo rozmawiała z Simone. Może dlatego, że on sam lubił roztrząsać wyprawowe zagadnienia, wchodził w temat głębiej niż inni. Miss Hawley zapewne doceniała takich rozmówców, byli zwierciadłem jej własnych myśli. Czasem Włoch kiwał głową w moim kierunku. Wtedy słynna kronikarka himalajskich ekspedycji spoglądała na mnie badawczo spod szkieł okularów. A ja się uśmiechałem znad kawy.

Skończywszy rozmowę z Simone, Miss Hawley wzięła się za mnie.

- Po ataku na Everest miałeś siły i nie byłeś odmrożony - jej głos zabrzmiał ostro - dlaczego więc nie ruszyłeś na

Lhotse?

Poczułem się zdezorientowany. Po zejściu z Everestu myślałem o bezpieczeństwie Simone, a nie o trawersie. Wyjaśniłem, że przyjaciel czuł się źle, skończył się tlen, musieliśmy jak najszybciej schodzić, a potem lodospad Khumbu stał się niedostępny. Elizabeth Hawley w milczeniu słuchała mojej opowieści snutej niezgrabną angielszczyzną. Przy tym z uwagą mi się przyglądała, jakby próbowała ocenić, z kim ma do czynienia. Nagle pod wpływem jakiejś wewnętrznej decyzji jej spojrzenie złagodniało, a na twarzy pojawił się uśmiech.

- Chłopcy, ten trawers interesuje wszystkich. Musicie spróbować jeszcze raz. - Spojrzała na Simone. - Prawda? - Była jak nauczycielka, przywołująca ucznia do porządku.

Mój przyjaciel zaczął coś bąkać, że w naszych czasach życie jest nieprzewidywalne i skomplikowane, a rząd Nepalu chce za dużo pieniędzy, by zakończyć swoje tłumaczenia słowami:

- Ma pani rację. Muszę zrealizować ten projekt. To może się udać.

- Jak się zdecydujesz, nie zapomnij mnie o tym poinformować. - Miss Hawley pogroziła mu palcem. A potem wstała i zaczęła się żegnać.

Powodowany jakimś impulsem, pochyliłem się i pocałowałem ją w rękę. Dłoń była drobna, jak cała Miss Hawley, ale z tej delikatności emanowała pewność siebie. W nagrodę otrzymałem życzliwy uśmiech i zadowolone skinienie siwej głowy.

Tego dnia zaproszono nas na świętowanie zdobycia Everestu przez pierwszą kobietę z Nepalu, Szerpankę. Nepalese Women Millennium Expedition, jak nazywała się nepalska kobieca wyprawa, zakończyła się sukcesem. Ku mojej wielkiej radości okazało się, że na najwyższy szczyt

świata weszła Lakpa^[**], najbystrzejsza ze wszystkich kobiet biorących udział w owej wyprawie. Nigdy nie była smutna i zawsze próbowała znaleźć wspólny język ze światem.



Elizabeth Hawley w rozmowie z Simone

Wydarzenie miało uroczystą oprawę. Na rozgrzewkę wszystkim wspinaczom, którzy dotarli w wiosennym sezonie 2000 na Czomolungmę, wręczono dyplomy, potem nastąpiła główna część imprezy. W blasku fleszy i lamp na scenę zaproszono Lakpę. Przemówieniom, gratulacjom, wręczaniu kwiatów i upominków nie było końca. Wreszcie do głosu dopuszczono samą Lakpę, a ona postanowiła uhonorować tych, którzy ją wspierali. Ze zdziwieniem usłyszałem swoje imię i nazwisko. Znowu znalazłem się na scenie. W ramach podziękowań otrzymałem grawerowaną

tabliczkę. Nie rozumiałem języka nepalskiego, zresztą angielskiego w wydaniu Nepalczyków również nie, uśmiechałem się więc tylko i kłaniałem publiczności. Było bardzo miło.

Potem wyszedłem na zewnątrz i obejrzałem tabliczkę dokładniej. Wryto na niej tekst: „Członkowi nepalskiej kobiecej wyprawy na Everest w 2000 roku – Denisowi Urubce – z wdzięcznością i życzliwymi słowami”. Poniżej nazwiska licznych oficjeli. Śmiałem się jak głupi pod nocnym światłem Katmandu. Chwila była naprawdę doniosła!

Przypadek czy zrządzenie losu? Wtedy właśnie znów ją ujrzałem. Dziewczynę, która w trakcie wyprawy zaprzętała moje myśli, przychodziła w snach. Karizma. Miała na sobie purpurowe indyjskie sari, jak przystało na wzorową kobietę Wschodu, i wydawała się niższa niż w górach. Szal, niedbale narzucony na ramiona, nie zasłaniał jej delikatnej długiej szyi, wyraźnej oznaki młodości. Stała między kolumnami i przez otwarte drzwi obserwowała uroczystość. Jakby na kogoś czekała. Wstrzymałem oddech. Do moich uszu nie dochodził żaden dźwięk. Niczym na romantycznym filmie Karizma powoli odwróciła głowę i spojrzała w moje oczy. Poznała mnie. Widziałem to po lekkim uśmiechu, który pojawił się na jej ustach. Zaraz za nim w jej spojrzeniu zamigotał chłód.

Potem świat znów ruszył. Świętowanie trwało dalej. Simone zawołał, że dokądś jedziemy, potem ściskaliśmy kolejne dłonie, dołączyli do nas Gruzini i Rosjanie. Jak w piosence: *Show must go on*. Aż wszystko zgaśnie.

Kolejny ranek wstał pogodny. Szedłem bez celu kąpiącą się w tropikalnym słońcu ulicą. Odczuwałem pewną formę szczęśliwości, jak to się zdarza człowiekowi, który żyje w spokoju i zgodzie z samym sobą. Nepalskie kapcie, pamiątki i symbole buddyjskie, chiński jedwab, wonności,

dudniąca muzyka - mijalem kolejne sklepiki i stragany. Sprzedawcy proponowali autentyczne wyroby z kości jaka, inni zachęcali, żebym wybrał biżuterię dla ukochanej - tej nie miałem, ktoś zebrał, riksarz namawiał na przejażdżkę do podejrzanych miejsc, kusiły ceny sprzętu wspinaczkowego i odzieży trekkingowej. Jeszcze dwa miesiące temu jak zwykły człowiek Zachodu chodziłbym i rozmyślał, co kupić na pamiątkę, co na prezent, próbował się targować. Ale przecież nie teraz, nie po pobycie w górach!

Tak, spędziłem sporo czasu bez tlenu i ciepła. Wysokogórski świat wciąż we mnie tkwił. Mózg nadal był nastawiony na obserwację. Czułem się... uduchowiony. Miałem poczucie wyzwolenia, dopadł mnie jakiś rodzaj nirwany. Co za różnica, co będę robił jutro? Niczego nie potrzebowałem. Wystarczała mi wędrówka wąskimi uliczkami Thamelu. I oby się nie kończyła. Żeby nie musiał myśleć o przeszłości i przyszłości. Chciałem być tu i teraz. Słońce grzejące głowę, dwu- i trzypiętrowe domy wokół, szum rozmów, kalejdoskop kolorów - to było szczęście.

W nastroju absolutnego spokoju moja pamięć wyłowiła w tłumie kilka znajomych szerpańskich twarzy. Musiałem je widzieć, i to nie raz. Oczywiście! Spotkałem tych chłopców w obozie nepalskiej wyprawy kobiecej, potem na lodospadzie, kiedy pomagali dziewczynom, oraz podczas świętowania zdobycia Everestu przez Lakpę. Teraz wychodzili z kawiarni. Machali rękoma, o czymś wesoło rozmawiali. Byli opaleni i wysportowani. Poznali mnie od razu.

- Cześć! Cześć! - witali się ze mną i poklepywali pobłażliwie, jak na miejscowych przystało. - Żywy i zdrowy? Co u ciebie?

- Cześć, dziękuję, w porządku. - Ledwie nadażalem z odpowiedziami. W końcu udało mi się wtrącić: - Wczoraj mieliśmy prawdziwe święto.

- My wciąż świętujemy! - Beztrosko się roześmieli. - Chodź z nami!

- Dzięki, ale...

Prawdę mówiąc, w ogóle mnie to nie nęciło. Za dużo byłoby z tym zachodu. Musiałbym się wysilać, dukać po angielsku, myśleć. Zwłaszcza na to ostatnie nie miałem najmniejszej ochoty. Chciałem zapomnieć o czymś takim, jak proces myślowy. Zamierzałem płynąć z prądem, pozostać w krainie ułudy.

- Nie możesz czy nie chcesz? - Chłopcy nie dawali za wygraną.

Ech! Gdyby byli swoi, poszedłbym chętnie. Nie było jednak sensu wdzierać się do tej kultury, próbować przyswajać buddyjskie wartości. Grzecznie odmówiłem, wykręcając się, że jestem zajęty.

- Jak chcesz. - Szerpowie nie poczuli się obrażeni. - Jeśli najdzie cię ochota, przychodź!

- Okey, tylko powiedzcie, gdzie będziecie.

Spojrzeli po sobie zdziwieni.

- A gdzie ty będziesz wieczorem?

- W Rum Doodle - odparłem bez wahania. - Tam jest najlepiej.

- Dlatego, że dają jeść za darmo? - Ryknęli śmiechem. - Idź, idź, zadbaj o własną kieszeń. My nie wiemy, gdzie będziemy się bawić, to zależy od kierownictwa.

Przespacerowaliśmy się jeszcze trochę razem. Chłopcy od czasu do czasu wzmacniali siły whisky, popijając po łyku z butelki, którą targali ze sobą. Proponowali, żebym ja

także gołnął sobie odrobinę, ale alkohol na pusty żołądek nigdy nie przynosi dobrego rezultatu.

Restauracja Rum Doodle cieszyła się sławą wśród trekkerów i wspinaczy. Wyróżniała się klimatem i wystrojem. Tradycyjne dania dostosowano tu do podniebienia Europejczyków i Amerykanów. W tamtym czasie lokal znajdował się w dolnej części Thamelu. Nazwę wziął od wymyślonej góry dwukrotnie wyższej od Everestu. Wiele lat temu William Ernest Bowman napisał książkę *Rum Doodle. Zdobycie najwyższego szczytu świata* – parodię literatury górskiej. Niebywale śmieszna, opowiadała o grupce niekompetentnych angielskich wspinaczy, którzy wyruszyli na podbój tytułowego Rum Doodle, o obłędnej wysokości 40 000 i ½ stopy, czyli 12 345 i ćwierci metra. Góra znajdowała się w tajemniczej krainie Jogistan nad potężną Dręczącą Przełęczą. Książka ukazała się w 1956 roku i zyskała sobie rozgłos wśród wspinaczy. W owym czasie trwały dyskusje o zdobywaniu ośmiotysięczników i zasadności wydawania ogromnych sum na wyprawy. Oczywiście książkę można było kupić w Rum Doodle. Stanowiła swego rodzaju pamiątkę.



Na ulicach Katmandu

Zwykle po zakończeniu wyprawy przychodziło się do tej knajpy całą ekipą, by świętować. Łączono stoliki i do północy śpiewano oraz bito się w piersi na znak skruchy lub potwierdzenia prawdziwości swoich słów. Nikt nie zliczył ilości jadła i napitków, które w historii podboju ośmiotysięczników, zostały tu spożyte. Gdzieś tak w środku imprezy proszono o „odcisk yeti” – około czterdziestocentymetrową tekturową stopę, na której podpisywali się uczestnicy wyprawy. Rysowano i wypisywano na niej różności. Pijacka wena twórcza była niby nieograniczona, zazwyczaj rysowano jednak flagi, czekany, kwiatki, a obok wypisywano nazwy szczytów, imiona wspinaczy i ich kochanek. Pod koniec imprezy przy akompaniamencie strzelających korków od szampana i salw

śmiechu stopa była wieszana na jednej ze ścian lub pod sufitem. W ten sposób czas wspólnej ekspedycji dobiegał końca. Każdy mógł poczuć dumę z utrwalonego na wieki osiągnięcia. I przychodzić tu, by połechtać ego, kolejny i kolejny raz.

Tego majowego wieczoru i ja udałem się do słynnej knajpki. Mówiąc dokładniej, nogi same mnie do niej zaprowadziły. Albo ujmując rzecz jeszcze precyzyjniej: głód zmusił ciało do wykonania wielu kroków. Pozdrowiłem portiera przy wejściu, ale ten spojrzał na mnie z leniwą obojętnością. Głównie przychodziła tu podróżnicza burżuazja, przynajmniej jak na nepalskie warunki, a mój wygląd wskazywał, że o napiwku można zapomnieć. W zamian wysoki wąsaty chudzielec, który kelnerował w knajpie, pamiętał, że trzy dni temu byłem tu z Kanadyjczykami. Uśmiechnął się do mnie uprzejmie.

- Jesteś z przyjaciółmi? - zapytał.

- Nie. - Pokręciłem głową.

- Czyli stolik dla jednego?

- Tak. Na uboczu, jeśli jest.

- Taras? Będzie przewiewniej.

- To na dachu? W porządku.

Chyba nie trzeba wyjaśniać, że nie miałem pieniędzy na spędzanie przyjemnych wieczorów w restauracjach. Oczywiście, niezłą sumkę ofiarował mi Michaił Niekricz, ale wydatki kontrolowałem skrupulatnie. Musiałem przecież oddać Starkowowi to, co od niego pożyczyłem, a powrót do pensji żołnierza nie napawał mnie optymizmem. Chciałem zatrzymać te pieniądze w kieszeni jak najdłużej. I właśnie dlatego przyszedłem do Rum Doodle.

- Trzy dni temu z przyjacielem... Byron Smith, lider - zacząłem wyjaśniać jakiemuś starszemu kelnerowi, który

się pojawił. – Pomogli nam... dzisiaj... wasz szef mówi, że gotowe.

Kelner gapił się na mnie jak sroka w gnat. Mój bełkot nie składał mu się w nic logicznego. Westchnąłem, zły na siebie i swój angielski. Dobra, zacznijmy od początku, prościej. Złożyłem duże i wskazujące palce w kwadrat.

– Everest, karta. – Uśmiechnąłem się przymilnie. – *Verstehen? Capito?*

– Aaa... – Skinął głową. I powiódł mnie do punktu dowodzenia, czyli do kasy.

Chłopak za ladą, korzystając z tego, że wieczór dopiero się rozkręcał i restauracja jeszcze nie zaczęła pracować pełną parą, oddawał się swojej namiętności: grom komputerowym. Kelner coś do niego zagadał, ten otworzył jedną szufladę, potem kolejną i wyciągnął kilka plastikowych kart. Przekładał je szybko, lustrując moją twarz. Wreszcie podał jedną kelnerowi, który także porównał oryginalną facjatę z tą na zdjęciu i zapytał:

– Pana nazwisko?

– Urubko. Denis – odparłem szybko. – Zgadza się?

– Zgadza. – Kelner ukłonił się grzecznie i podał mi kartę. – Gratulujemy wejścia na szczyt, sir.

– Dziękuję – odparłem zmieszany.

Spojrzałem na kawałek plastiku. Zdjęcie, a pod nim czarno na białym: „W dniu 24 maja 2000 roku pan Denis Urubko wszedł na najwyższy szczyt świata – Everest”. Nie do wiary!

Trzeba przyznać, że restauracja Rum Doodle – zgodnie z duchem swojej niezwyklej nazwy – miała twórcze podejście do spraw marketingu. Wysokogórską brać naprawdę tu hołubiono, dbając o zachowanie przyjaznej

atmosfery Nepalu. Wspinacz, który wszedł na Everest, dostawał kartę, która uprawniała go do darmowego jedzenia. Przy czym wejście musiało zostać potwierdzone nie tylko przez ministerstwo turystyki, ale też Miss Hawley. Początkowo nie chciałem w to uwierzyć. Darmowe posiłki tylko dlatego, że ktoś był jakimś cholernym wspinaczem? Po tym, jak kpiono ze mnie w Kazachstanie, z trudem wierzyłem w to, co widzę.

Trzymałem w ręku kartę, dzięki której zawsze mogłem przyjść do tej restauracji i poprosić o jedzenie. Oto pod koniec maja 2000 roku na świecie pojawiło się miejsce, w którym nie pozwolono by mi umrzeć z głodu.

- Zapraszam na górę, do pańskiego stolika. - Przerwał moje rozmyślenia kelner.

Wyrwany ze szczęśliwych myśli trafiłem do jeszcze szczęśliwszej teraźniejszości.

Na dachowej werandzie było ciepło i bezwietrznie. Ulica oraz ściany sąsiednich budynków tonęły w półmroku. Nadchodził wieczór, a turystyczne Katmandu chciało przeżyć go jak najintensywniej. Skądś dochodziły dźwięki muzyki klasycznej, co mnie zaskoczyło.

Usiadłem w kąciku i dumałem „o niczym”. Płynąłem swobodnie na fali nastroju oraz braku zobowiązań. W mojej głowie przesuwaly się migawki z wyprawy. Jak pokaz slajdów. Wyciągałem przeźrocza pojedynczo, przez chwilę podziwiałem i odkładałem z powrotem do kasetki. Od czasu do czasu przerywałem to wewnętrzne slajdowisko i obserwowałem gości przy innych stolikach.

Restauracja cieszyła się powodzeniem także wśród organizatorów trekkingów. Po zakończeniu kilkudniowej wędrowki przychodzili tu całymi grupami i niczym prawdziwi zdobywcy szczytów świętowali powrót na łono cywilizacji. Zwykle pili i jedli o wiele więcej niż wspinacze.

Poza tym było z nimi wesoło. Takie grupy także dostawały stopy do podpisywania, a że trekkerów było więcej niż wspinaczy, ich twórczość wypełniała niemal całą przestrzeń, zaczynało brakować miejsca na ścianach i sufitach.

Mój wzrok przyciągnęła dziewczyna przeciskająca się między stolikami dwóch grup trekkingowych. Szukała wolnego miejsca. W półmroku, który ogarnął już Rum Doodle, jej zgrabne kocie ruchy miały w sobie jakąś drapieżność. Ubrana po zachodniemu - spódnica, bluzka, buty na obcasie - wydała mi się znajoma, zwłaszcza jej sposób poruszania się.



Świętowanie zwycięstwa w restauracji Rum Doodle

Kiedy usiadła przy jednym z nieodległych stolików, już wiedziałem. To Kariszma. Słowa niezbyt dobrze sobie radzą z oddawaniem emocji. Zwłaszcza, gdy te emocje są obezwładniające. Tak, była piękna. Kelner zapalił świecę na jej stoliku. W blasku ognia oczy dziewczyny przypominały czarne opale. Na twarzy wyrzeźbionej przez boskiego artystę błąkał się cień uśmiechu, świadomość wrażenia, które robiła na innych. Otworzyła kartę dań i zaczęła ją czytać.

Podniosłem się i w mroku ruszyłem w jej kierunku.

- Mogę pomóc? - zapytałem półszepem. Nie chciałem jej wystraszyć.

Spojrzała na mnie szybko, jej brwi uniosły się do góry, jakby w zaskoczeniu.

- O! Ty tutaj? - Roześmiała się.

- Dlaczego nie? Dobra knajpka dla tych, co weszli na Everest. - Cieszyłem się, że była w radosnym nastroju.

- Czyli także dla ciebie? - Wciąż się uśmiechała. - Świętujesz?

- Trochę. Po cichu... Samotnie - jękałem się. - Pozwolisz? - zapytałem, wskazując ręką krzesło.

- Będzie mi miło! - Zmieszana spojrzała w kartę. - Nie wiem, co wybrać.

Płomień świecy wydobywał z mroku jej oczy, szyję, nadgarstki. Co tu robiła? Czekala na kogoś? Nie sądziłem, że jeszcze ją zobaczę. Nade wszystko tu.

- Jesteś wegetarianką? - spytałem. - Mogę cię zaprosić?

- Nie trzeba. - Znów się roześmiała. - Skoro nie mogłam wejść na szczyt, postanowiłam poczuć się jak zdobywca Everestu. Chociaż tu, w Rum Doodle.

Dotarło do mnie, że się denerwuję i zamykam w sobie. Niespodziewanie, wydawałoby się zupełnie bez sensu, ogarnęło mnie dziwne skrępowanie.

- Opowiedzieć ci?
- O czym?
- Co to znaczy być zdobywcą Everestu.

Opuściła menu i spojrzała na mnie uważniej. Wzruszyła ramionami, a potem wytoczyła swoją broń: śmiech. Spalałem się.

- Wspaniale! Opowiadaj!

Świat skurczył się do cudownego uśmiechu i uważnie patrzących chłodnych oczu. Tak było za każdym razem, gdy widziałem Karisznę: w bazie pod Everestem, na gali... Chwile przypominające iskry. Pałała tak, że zaczynałem się bać. Ciągle miałem wrażenie, że Kariszma specjalnie się odsuwa, chcąc mnie wciągnąć, zwabić. Była tajemniczym Wschód: wiejąca chłodem w chwilach bliskości i pałała ogniem, gdy się oddalała. Jakby wciąż chciała ranić albo sprawdzała stopień zainteresowania jej osobą. Niebezpieczne i bezużyteczne lodowe ostrze - topniejące w ogniu lub kruszące się pod wpływem zimna. Ale tej nocy wpadałem w otchłań jej oczu coraz głębiej i głębiej, nie mogąc pojąć, gdzie zaczyna się przeszłość, a kończy przyszłość.

[*] W kolejnych latach Apa Szerpa nadal wprowadzał na Everest klientów wypraw komercyjnych. Ostatecznie był na najwyższym szczycie świata 21 razy. W 2014 roku, kiedy w lawinie pod Everestem podczas przygotowywania przejścia przez lodospad zginęło 16 Szerpów, porzucił wspinanie. Obecnie rekord wejść na najwyższą górę Ziemi należy do Kami Rity Szerpy, który był na dachu świata już 22 razy.

[**] Lakpa była pierwszą Szerpanką, która weszła na Everest i szczęśliwie z niego zeszła. Przed nią, w 1993 roku, szczyt osiągnęła Pasang Lhamu Sherpa, która niestety zginęła podczas schodzenia. Do Lakpy należy obecnie kobiecy rekord wejść na najwyższą górę Ziemi - w 2018 roku zdobyła Everest po raz dziewiąty.



Gdy przypominające atrament ciemności schodzą ze zboczy do wód strumyków, a półmrok w dolinie Khumbu zamienia je w jezioro cieni, staje się zrozumiałe, że noc się kończy. Nie bez walki ciemność ustępuje jasności. To, co wysoko, napełnia się światłem, to, co w dole jeszcze przez jakiś czas pozostaje w mroku. Potem czernść skrywa się w szczelinach.

W jednym z dołów na błyszczącej tafli odbijała się purpura. Gdzie to było? Kiedy? I czy dotyczyło to mnie? Gwałtownie otworzyłem oczy. Ze zdziwieniem zdałem sobie sprawę, że nie znajduję się w dolinie Khumbu. Było ciepło. Szarość przenikała przez wąskie okna i rozlewała się po pomieszczeniu. Hotel. Mój pokój. Nocą nie wróciłem do niego sam.

Karizma. Przekręciłem się na łóżku. Pusto. Ale była tu. Pamiętałem. Miała rozpuszczone włosy, leżała zdyszana, ułożywszy głowę na mojej piersi. Nawijałem na palec pasmo jej czarnych włosów, a ona delikatnie gładziła mnie po ramieniu. Uspokajała się, oddychała coraz ciszej. To było tak...

Usiadłem i rozejrzałem się po pokoju. Panował w nim smutny półmrok pozbawiony ekspresji, którą daje słoneczny szkarłatny świt w górach. Ten wschód był boleśnie przygaszony, pozbawiony uczuć. Komentował: „Takie jest właśnie życie”. Po prostu poszła, zostawiła cię. Nic nie trwa wiecznie na tym świecie, a w mieście nic nie jest jednoznaczne. Poczulem portfel pod poduszką. Pieniądze i dokumenty były na miejscu. Przyziemna, merkantylna myśl otrzeźwiła mnie, jak kubeł wody wylany na gorącą głowę. To była gra, zabawa.

Cóż. Zacisnąłem zęby. Trudno. Tak powinno być. Prawdopodobnie. Początek był tam, gdzie się go nie spodziewałem. Finał - tym bardziej. To tylko nerwy, do diabła!

Podszedłem do okna i lekko odsunąłem zasłonę. Na zewnątrz panował spokój. W żadnym oknie nie paliło się światło. Wyblakła latarnia rzucała słaby snop przed domem naprzeciwko. Byłem sam, zapomniany i porzucony. Mimo to wiele się zmieniło od czasu, gdy dwa miesiące wcześniej Galina Mulenkowa zawiozła mnie na lotnisko. Wówczas na ulicach też panowała cisza. Pustka miała jednak znak „minus”, przede mną była niepewność i słabość.

„A co czujesz teraz? - wydawało się, że ktoś zapytał. - Jest inaczej niż przed wyprawą?”.

Nie spieszyłem się z odpowiedzią. Sięgnąłem do plecaka. Cygaro. Prawdziwa hawana warta dwieście dolarów. Prezent od milionera Francesca Illyego, z którym przemierzyliśmy fragment doliny Khumbu. Wyciągnąłem rękę po hotelowe zapalki leżące na szafce nocnej. Zapaliłem.

Po co mi to było? Co osiągnąłem? Pytania rozplywały się w dymie.

„Zmieniłem się - pomyślałem. - Może tego jeszcze nie widać. Ale po wejściu na Everest już nie jestem taki jak wcześniej”.

Dążenie do celu nie jest właściwe przedmiotom. A przecież nie jestem przedmiotem, prawda? Człowiek może mówić o podstawie ideowej swoich czynów. Marzyć i wyznaczać cele. Przypomniałem sobie, jak w dzieciństwie rysowałem Achillesa ścigającego żółwia. Jak będąc uczniem szkoły średniej, interesowałem się kulturą Etrusków. Jak w młodości rozmyślałem o Syzyfie i jego nadziejach. To wykraczało poza standardowe postrzeganie świata, często

działało nawet wbrew temu światu. I pokazywało, że z ograniczeń narzucanych przez rzeczywistość można się wyrwać. Trzeba tylko chcieć i mieć cel.

Cisza nepalskiego poranka miała dla mnie znak „plus”. Zyskałem siłę. Moim celem była wolność. Od obcych standardów, głupich wymyślnych sideł, błędnego koła, po którym biegłem pędzony cudzą wolą. Gdzieś w Hadesie, walcząc o siebie, Syzyf wciąż wtaczał kamień na szczyt góry. A głaz kolejny i kolejny raz turlał się w dół. W moim świecie - tu i teraz - udało mi się wejść na Everest, osiągnąć cel. Opłaciłem to bólem i rozterkami oraz wyrzeczeniami wielu minionych lat. Teraz było ważne, żebym nie stracił tego poczucia wolności i właściwie je wykorzystał.

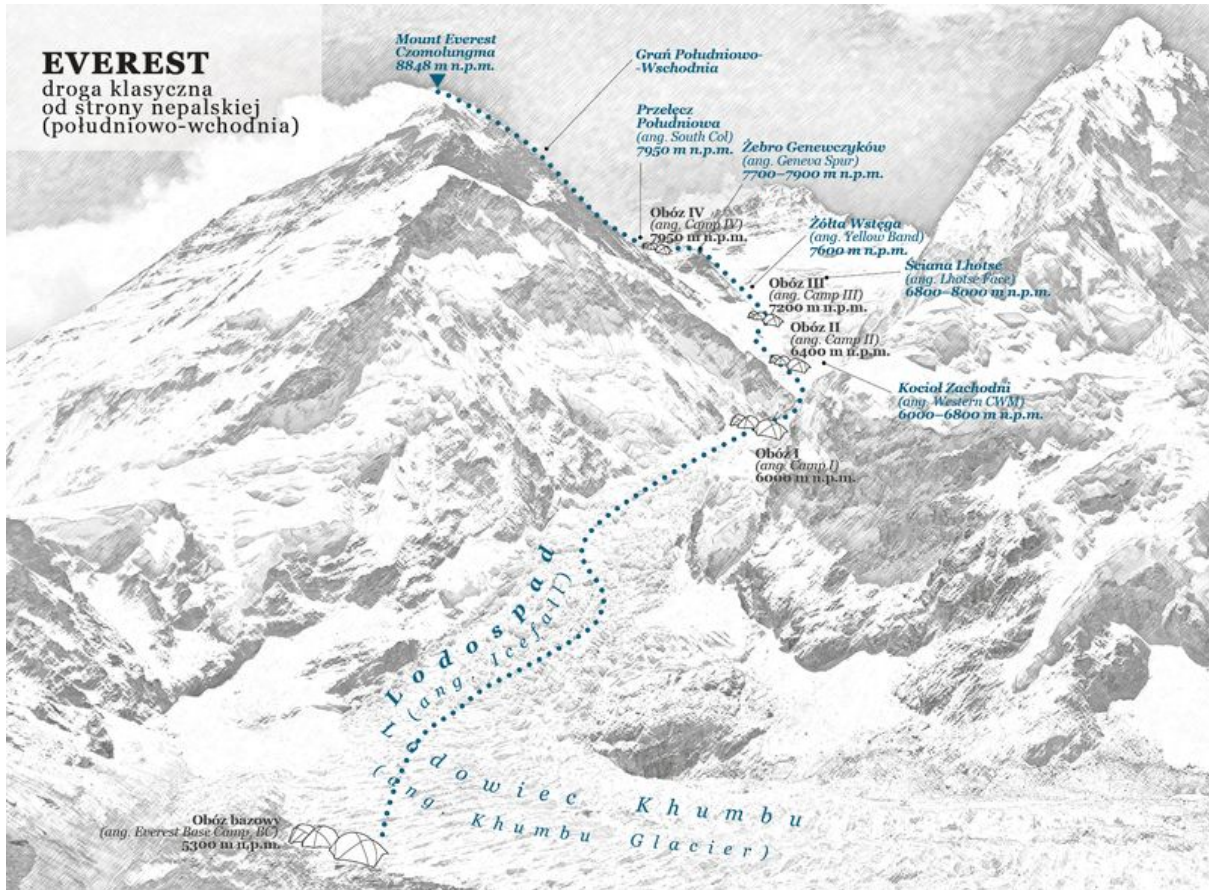
Stałem przy oknie, paliłem cygaro, patrzyłem na wschód słońca.

Absurd dla absurdu? Tak! Bądź cierpliwy, Syzyfie, przyjdzie czas i na ciebie.

2000-2012

EVEREST

droga klasyczna
od strony nepalskiej
(południowo-wschodnia)





DENIS URUBKO

Urodził się 29 lipca 1973 roku w Niewinnomyssku w Rosji. Matka, nauczycielka muzyki, zaszczepiła w nim miłość do literatury i sztuki, ojciec, geodeta i matematyk – do wędrówek i filozoficznych rozważań. Studiował na Akademii Teatralnej we Władywostoku, alpinizm odkrył przypadkowo: w jednej z księgarni natrafił na czasopismo z fragmentem książki Reinholda Messnera *Solo: Nanga Parbat* oraz opowieścią o wspinaczce kazachskiej ekspedycji na Dhaulagiri nową drogą. Połknął bakcyła. W wysokich górach zadebiutował, mając 17 lat. Pierwsze poważne szczyty – trzytysięczniki Kodaru, czterotysięczniki Ałtaju, pięcioletysięczniki Kirgistanu – zdobywał samotnie, nie znał nikogo, kto chciałby w taki sposób spędzać wolny czas. W Pamirze poznał Erwanda Ilińskiego, starszego trenera Centralnego Sportowego Klubu Armii Kazachskiej (CSKA), który zaproponował mu przyjazd do Ałmatów. Z zaproszenia skorzystał – rzucił studia, przyjął nowe obywatelstwo i wstąpił do kazachskiej armii, do sekcji alpinistycznej. W 2013 roku poprosił o obywatelstwo rosyjskie, a w 2015 roku – o polskie. Obecnie mieszka i trenuje w północnych Włoszech, w okolicy Bergamo, oraz na południu Polski, w Żąbkowicach Śląskich.

Dokonał wielu wybitnych przejść w Tien-szanie, Pamirze, Himalajach i Karakorum. Jako ósmy wspinacz na świecie zdobył Koronę Himalajów i Karakorum bez wspomaganie się tlenem, jest również pierwszym zimowym zdobywcą Makalu (wraz z Simone Moro) i Gaszerbrumu II (wraz z Simone Moro i Cory Richardsem), na cztery z ośmiotysięczników (Broad Peak, Manaslu, Czo Oju i Lhotse) poprowadził nowe drogi. Dwukrotnie brał udział w polskich zimowych wyprawach na K2 (w sezonach 2002–2003 i 2017–2018).

Za swoje osiągnięcia był wielokrotnie nagradzany: cztery razy został wybrany najlepszym wspinaczem Kazachstanu; trzy razy dostał Azjatycki Złoty Czekan (za nowe drogi na Czo Oju i Szczyt Zwycięstwa oraz za życiowe osiągnięcia), otrzymał również najwyższe wyróżnienie sportowego alpinizmu Złoty Czekan (za Czo Oju). Sam wśród swoich dokonań najbardziej ceni wytyczenie nowej drogi na Broad Peak z Siergiejem Samożłowem oraz na Czo Oju z Borysem Dedeszko. W planach ma wytyczenie nowych dróg na patagoński Cerro Torre oraz himalajski Gaszerbrum II oraz zimowe wejście na Broad Peak i K2.

Napisał kilka książek. W Polsce ukazały się: *Czekan porucznika*, *Skazany na góry* oraz *Absurd Everestu*.



PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion